

Józef Mehoffer 1899

VII.

CHIMERA—19.

TREŚĆ

TOM VII. ZESZYT 19. — KWIECIEŃ 1904.

Rysunek okładkowy przerysował na czterech kamieniach EDWARD OKUŃ.
Odbito okładkę w czterech kolorach w litografii W. GŁÓWCZEWSKIEGO w Warszawie.
Klisze rysunków do tego N-ru wytrawiono w zakładach chemigraficznych
TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW oraz B. WIERZBICKIEGO i S-KI.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica.“
Składał i łamał JÓZEF PERŻAK. — Odbijali na maszynie:
tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę — WACŁAW MUSZYŃSKI
Pod zarządem PIOTRA UKLAŃSKIEGO.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 марта 1904 года.

Albrecht Dürer.
MELANCHOLIA.


MELENCOLIA I

„BOGA-RODZICA.“ PIEŚŃ.—ZE STANOWISKA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO ODCZYTANA PRZEZ CYPRYANA NORWIDA.

„Szlachetne pragnienie musi się w nas
„zapalić do przyczynienia się także datkiem
„z *własnych zasobów*, aby powiększonym był
„owy bogaty spadek prawdy, obyczajności
„i wolności, który odziedziczyliśmy...“

SCHILLER.

Pierwszymi historykami są *poeci,* a pod ich nieobecność *starcy;* dalej *kronikarze,* i dopiero właściwi historycy; ci, którzy za dni naszych, użaliwszy się, że dotychmiast *„historya przez poetów pisaną bywała,“* zapowiadają jej rzeczywistą prawdę odkryć. Słowa te ich są bardzo obiecujące i oczekiwać na owoce pozwalają.

Atoli, w obecnym stanie rzeczy, historya jest poniekąd umiejętnością najmniej mającą podobieństwa do nauki ustalonej. Dowodów ku temu zawiele przyszłoby okazywać z łatwością potoczną. Same *określniki zasadnicze,* bez których żadna nie istnieje umiejętność, są u historyków tegoczesnych tak dalece niejasne, iż policzać onychże w szereg umiejętniczych środków niepodobna. Wyraz np. *„autochtony“* jest urojeniem, albowiem nigdy niebyło autochtonów, i dopiero skutkiem zachwiania tradycyj biblijnych na miejsce *jedynego-autochtona* stało się koniecznością dydaktyczną spłodzić autochtonów milion. Jest to więc nie rozwoju wiedzy, ale systemu

wynikiem. Nieprawdą jest podobnież, jakoby wędrówki ludów jednorasowemi pokładami człowieczeństwa tam i sam odpieranemi zaludniły obszary krajów... Tak, niekoniecznie było, gdziekolwiekbądź albowiem lud jaki przybywał i osiedlał się, zastawał zawsze słabe, rzadkie, ale odeń na miejscu starsze osady. — Dalej!.. ktokolwiek nie ze samych dzisiejszych pism, lecz i z życia pouczał się historyi, ten wie, iż tak zwanych *ludzi dzikich* nigdy i nigdzie żaden głębszy nie spotkał badacz. Byli to i są raczej *ludzie zdziczeli* a nie pierwotnie *dzicy*. Przemyślni w oszukaństwie i w podstępstwie, wyrafinowani w zadawaniu okrucieństw, biegli w imponowaniu zewnętrzną ciała postawą i tonem. Żadnego podziwu niemający dla cywilizacyjnych płodów naszych, lecz, i owszem, spokojną tylko pychę, iż wytworniejsze znają użytki... Tacy są przecież *rudoskorzy amerykańscy*, zarówno nadzy jak przesadni we wymyślaniu ozdób i strojeniu się, a ze wszech miar okazujący jakoby ostatnią jakąś *modę* spotworzonej pod koniec swego bytu, ale kiedyś byłej cywilizacyi. Ani, mówię, *autochtonów*, ani *dzikich ludzi*, ani *jednolitych całości ras*, rzeczywiście i prawdziwie te rozejrzawszy pojęcia i nazwy, wcale niema. Lud sam żaden ze stworzenia następstw na swojem miejscu nie wysnuł się — wszystkie przychodnie są i wszystkie spotykają się... Ludzkość idzie... zawsze...

Dla tegoto, śród tak zasadniczych błędów, zarówno czytelnik chce się dziwić: czemu *żaden historyk nie wie, odkąd rozpocząć swą historyę..?* i zarówno dziwić się temu nie może albowiem, kto chaosu nie zamknął, nie zna poczęcia. Kronikarze w tym względzie głębszymi są i bliższymi prawdy, ale ci pojęci są płytko, a kroniki źle odczytane. Wyrażenia, na których częstotliwie oparło się *wszystko*, bywają zaledwo że w zbliżeniu dotykane z właściwej ich strony. Całe przeto karty pierwsze, np. pol-

skiej historyi, są nieodwarte, całe ostatnie z tej samej przyczyny bezwyraźne i obowiązującej siły niemające. Nareszcie i samo pojęcie człowieka historyczne jest zniżone i obłąkane. Na źródeł brak do pierwotnych kart dziejów użalanie się jest filozoficznym *absurdem*. Jeżeli albowiem historya tak jest pojętą, *iż same jej braki, wyszczerby i przemilczenia nie oświecają i nie mówią;* tedy to nie jest wcale umiejętność pełna, ale zbiorowisko inwentarzów mniej lub więcej kompletnych, i których nigdy dość nie będzie. — Umiejętności pełność dopiero tam zaczyna się, gdzie i samo jej przemilczenie coś wyraża! Nareszcie, *regułą* jest powszechną, iż skoro gdzie badania historyczne do tego koniecznego kresu dojdą, w którym ciągle i ciągle też same *cytaty* tych samych kilku pisarzy starożytnych w kółko powtarzają się; wybija naówczas godzina zamknięcia ksiąg, a otworzenia archiwów kopalnej ziemi i językowych pokładów. Wszelako ruina żadna w Słowiańszczyźnie nie jest historycznie odkopaną... *). *Odkopanie*

---

*) Natura publikacyi rękopisów polskich pociąga za sobą przypiski, w miarę zalegań wciąż rosnące i powoli wyrównać mogące samej-że tekstu obszerności. Kiedy się pisało o godzinie otworzenia archiwów ziemi kopalnej, nie było jeszcze odkryć, które nareszcie zaczyna się uznawać. Pięć cmętarzysk przedchrześciańskich w Polsce zachodnio-południowej poruszono. Ze zdania sprawy atoli wiele jeszcze doczytać się nie można, z tej przyczyny, z jakiej na innem miejscu publicznie mówiłem był:

„*Coż* Grek *w Tartaryi znajdzie, jeśli jak* Grek *szuka..?*“

I dalej w tejże *rzeczy:*

„*Swoja własna metoda jest piętnem własności,*
„*NIC bez niej mieć niemożna, nawet dziadów kości.*“

Hrabia Zawisza utrzymuje, iż znalezione starożytności (które są wszystkie z ŻELAZA) oznaczają EPOKĘ BRONZOWĄ z tej przyczyny, iż archeologowie innych narodów, gdzie *bronz* był w używaniu pierwotnem, utworzyli *epokę bronzu.* — Podobnież jest wystoso-

historyczne a *odkopanie ogrodowe* są dwie rzeczy. Dla pierwszego niekoniecznie trzeba i samych nawet kształtów gmachu, częstotliwie natura pokładów piasku i atomy onegoż wystarczają. Jest to już dziś umiejętnością, nie dowolną igraszką, a której aby się nauczyć, trzeba i przy wykopaliskach różnych krajów czynnym bywać. Mnogie zaś *historyczne europejskie towarzystwa* są ku temuż, aby o właściwej godzinie i epoce umiejętności ostrzedz czytający ogół; tak, jak *zbiorowe ciała* ku temu są, aby obowiązującą siłę wyrobić i utrzymać; jak wydawców i księgarzy oświeconych baczność ku temu jest, aby nie dać się przeczerpywać chorobliwym smakom literatury, które same sobie zostawione do zupełnej muszą doprowadzać obojętności i do koniecznego bankructwa; tak, jak nareszcie godność osobista oświeconego i religijnego człowieka ten ma publiczny obowiązek, ażeby, *nie płaszcząc* krańców prawdy, wyznawać ją. To zaś, razem wzięte, zwie się *pracą* sumienną...

Szczęśliwymi, zaiste, są ci pisarze, którzy mogą trzy-

---

wane i całe sprawozdanie odkryć, które jednakże zasługują na uznanie pracy i starań tak Zawiszy jak wszystkich innych członków ekspedycyi. Tylko mówi się, iż tym sposobem tłómaczenia wszystkiego z obcej Minerwy na swoją, i bez żadnej własnej twórczości, niepodobna będzie nigdy nic znaleźć.

Tak samo wątpię bardzo, czy „*palafit*“ znaleziony jest palafitem, lubo nie wątpię, że to jest mieszkanie i *zamek nad-wodny*. Rzecz, o której w przypisku za długo pisać. Więcej powiedziałbym, gdybym ufał, że to się może na co przydać. Nietylko całe karty historyi, ale *kapitały w złocie, srebrze i w skarbach leżą w Polsce,* i można ołówkiem na karcie narysować nie miejsca same, ale region, w którym spoczywają. Lecz w Polce tylko jedna arcy cieniutka warstewka ziemi bywa poruszana pługiem i niejako oblizana z wierzchu. A to nie na samem polu agrykultury, lecz i na innych niwach nieinaczej jest. CYPRYAN NORWID. 1874.

mać się ściśle przedmiotu głównego i nieociemniać stylu przez uboczne albo długie wycieczki po za krańce ram właściwych rzeczy. Ta wszelako wielka przyjemność należy jedynie do właści pisarzy *szczęśliwych*, to jest, w ogóle żywym literatury znajdujących się, czyli przeto w takowym, który nieustanną pracą dopełnia swojego spółpracownika i nie wyniszcza onegoż ani zatraca. Słowem jednem i prostem, jest to tam tylko, gdzie jest *miłość* i bezosobista *potrzeba ciągłego uwielbienia praw postępu*, niby ogromna i udatniająca się nieustannie modlitwa wzdychającego za prawdą i wolnością ducha ludzkiego... Tam, mówię, gdzie przeto niema potrzeby jednocześnie zajmować miejsce swoje i toż miejsce robić, albo jeszcze pierwej onegoż miejsca przestrzeń uzasadniać.

Żyjemy zaś (jeżeli się nie mylę?) w epoce łatwego czytania rzeczy płodzonych szybko, ponętnych i głośnych. I to stało się jedną z pięknych pobudek do wywołania równocześnie *odczytów*, z powodu, iż przy szybkiem umysłowych płodów spożywaniu *odczytywać* na nowo godzi się. Ta wszelako charakterystyka epoki naszej nie przynależy się szczególnie ludom zachodnim, to jest, właśnie tym, które tworzenie rzeczy głośnych, małotrwałych i ponętnych, aż do industryi posunęły, z powodu, iż te ludy umieją zarazem świat zarzucić romansami, dorywczem dziennikarstwem, i sensualną dramaturgią,—i zarazem wielkie, poważne, cywilizacyjne kroki robić. Literatura owa jaskrawa i przelotna u ludów tych zewnętrzną tylko jest oponą, a przeto umiały one równocześnie *hieroglify* odczytać nad Nilem, assyryjskie z cegieł podjąć napisy, z mroków islandzkich *Eddę* v. *Eddas* zbliżyć do nas, i odszukać zarzucone książkami *Nibelungen*. Atoli wszystko to objaśnia tylko, gdzie mniej dobitnie lub dobitniej wycisnęła

się cecha epoki, lecz bynajmniej onejże nie usuwa. *Czytanie,* o którem na innem miejscu wypowiedziałem, iż jest *sztuką,* znajduje się obecnie i pogłównie na stanowisku sensualnej potrzeby i rozrywki. Cechą jego główną w starożytności i aż do połowy średnich wieków było *czytanie głośne,* deklamacyjne, modlitewne. Tak wygładzano *Epos* i *Legendę,* której ztąd osobna idzie nazwa. Czytaniu zaś owemu powinniśmy tok i nastrój wyższy, bo publiczny; tudzież poszła zeń eufoniczna ogólność względem dyalektów i ich odcieni, a nawet szczególny rodzaj *onkcyi,* która potem, we wtórej *epoce czytania samotnego i badawczego,* stała się zarodem rozględnej krytyki i etymologicznych prac poczęciem.

Niezbadaną jeszcze w głębiach swoich ale istną zdaje się być prawdą, iż postęp *twórstwa* warunkuje się postępem *czytelnictwa.* Ażeby mieć *bezwątpliwie* nowe utwory, trzeba pierw istniejące w zupełności mieć odczytanemi. Te albowiem, które co miesiąc nowemi zwą ludzie bawiący się czytaniem lub wydawcy, są *odmiennemi tylko, nie nowemi,* to jest, iż np. po utworach osnowanych na materyalizmie, następują feeryczne i na mistycyzmie osnowane, lub po patryotycznych kosmopolityczne i t. p.... Ruch taki, jest *przemianą* tylko postawienia się na temże samem miejscu, i utwory takowe wcale *nowemi* nie są. Jest to, zaiste, że zupełnie nowy wynalazek, za cel mający nietylko, samemi przeciwstawianiami względów i obrazów, czyli samą *tęczy irradiacyą,* ubawiać i wyniszczać poczucie istotnych potrzeb umysłowych, ale nadto dawać kłamne uczucie, iż takowe przestępowanie na jednem miejscu jest postępowaniem i pochodem. Ostrzedz o tem czytający i opiniujący ogół należy do obowiązku zbiorowych ciał umiejętniczych, które ku temu uwzględniane i posiłkowane bywają przez społeczność. I zapewne tę rzecz ciała owe sumiennie podnieść zamierzają, lub ją podniosły. — —

Od statecznego, zupełnego i dogłębnego odczytania istniejących już płodów literatury jak dalece pochód onejże i następna zależy autorska twórczość? to, na najpiękniejszym z przykładów, łatwo okazać. Podobno, że JEDYNYM z autorów spółczesnych polskich, umiejącym *czytanie wyższe,* jest Szajnocha. Jemu to gdyby naród za kilka kartek o *Popielu i myszach* („*Szkice*“) ofiarował medal złoty z obywatelską koroną, nietylko iż takową społeczeństwa przyzwoitością niebyłbym był bynajmniej zadziwiony, ale byłbym ledwo zadowolony!.. Te wszakże kilka kart Szajnochy, gdyby on sam był *dogłębniej* je odczytał, powinny były otworzyć lub dać hasło do otworzenia mnogich a wielkich milczeń przedkronikarskiej historyi polskiej i powinny były już do teraz całą szkołę wywołać. Nic się jednak nie stało w podobnym względzie i samo nawet tak świetne Szajnochy odkrycie, zamiast dać polot, wstrzymało się...

Przyczyna tego jeżeli leży w obojętności czytelnictwa polskiego, to powyżej, iż autor zatrzymał się na wskazaniu pierwszych liter głównych i uważał za dobre nie posunąć się aż do odczytania całej treści dlatego, iż takowe, bez narażenia się na pobłądzenie, rzadko się dawało uskutecznić. Ale ja się pytam, czyli ktokolwiek z nas ostatecznie zaręczyć sam może za istotną podawanej przezeń prawdy historycznej pewność, i czyli czasowi czegoś zostawiać w próbie tej nie mamy? Gdy, przeciwnie, zdaje się to być pewnością, iż zupełne jedynie i całe treści jakowej określenie powołuje interes czytelników.

Wyraz *mus,* w żyjącym polskim języku, znaczy po dziś dzień *pianę* — *musować* znaczy *pienić* — „*écumeur de mer,*“ zapieniający morze, znaczy *pirat.* Tenże wyraz *mus* niemniej po dziś dzień w języku żeglarskim znaczy *pachołka okrętowego,* albowiem zarówno w *żeglarskim języku* (który jest osobny i słowniki swoje posiadający) jak w ca-

łym przyborze i ustroju dzisiejszych okrętów zachowały się w pewnej tylko części dawnego żeglarstwa spadkobierstwa. Szajnocha, toż samo innemi gdy stwierdza wyrazami, cytuje *dziewięć* egzekucyj dokonanych przez „*myszy*“ na osobach, mniej więcej zawsze *możnych*, śród których jest arcybiskupów czterech. Z czego dopiero ten genialny pisarz wyprowadza wniosek *(niedoczytany)*, to jest, iż łupieżcy na bogatych głównie godzili. Otóż ten właśnie wzgląd jest zaledwo że podrzędnym, i z pewnością że każdemu innemu wojsku i wojownikowi owoczesnemu równie spólnym, jak Nortmanom, tak dalece, iż w niczem on Nortmanów nie wyszczególnia ani nie objaśnia. — Przeciwnie nawet, wywnioskować możnaby, np., iż pod czasy owe tylko możni, bogaci i omurowani w swoich zamkach załogi potężne trzymać mogli, trzymali, i lada *myszy* nie jadły ich... Dla czegoż przeto taka plaga choćby na one dziewięć możnych głów upadła??..

Nortmanowie, nieco za pośpiesznie nazwani *korsarzami*, nie byli bryłą rasy wypełniającej najazd. Coś, zaiste, wyższego ten posiadać musiał, kto *narodem* niebędąc po dwóch krańcach naraz morzami Europę oblegał, na *Oceanie*, *Śródziemnem morzu*, *Czarnem* i *Kaspijskiem* ARGONAUCIŁ... (słowo to, argonaucić nowe jest i może — przepraszam za nie) — — kto Saracenom Sycylię wziął, a Imperatorom greckim i lombardzkim królom część Italii — kto zatrząsł Konstantynopolem — przykazał Anglii, i uzasadnił się we Francyi. A potem jeszcze, w Ameryce, *Kanadę* odkrył i *Luizyanę*, i założył *Quebek*; kto, na polu praw, dotrzymał wielkiego *Trybunału* (Echiquier) *konstytucyę* i okrzyk „*haro!*“ — tudzież na dzień wielki Chrześciaństwa: „*Diex el volt!*“...

Północy-syn, *Nord-man*, skandynawski „*viking*,“

zatok-król („*vik*“ zatoka — *king* — *kyning* — *könig*), nietylko umiał nawoływać wielkie burze i ciemne noce, by nastrajać wtedy żagle swoje, i nietylko w religii miał swojej, iż śmierć na spokojnem łożu *(strádod)* obrzydła jest niebiosom; miał on jeszcze *dogmaty* zawiązujące towarzystwo:

> słowa dotrzymać rycerskiego — przeniewiercą brzydzić się, *sponiewieranego, uciśnionego, wdowę i sierotę* ochronić i pomścić...

Bystro wyraża się o strategii Vikingów historyk, mówiąc: „la terreur marchait *devant eux et subjuguait par avance...*“

Wiedzieli oni dobrze, i „*par avance*“ przez „*musów*“ swoich, że, gdzie? na kogo i za co? skoro boży sąd upadł, albo zostanie on mimo dostojeństwa i mimo bogactw we wieży swojej odbiegniętym przez załogi i lud w godzinie próby, albo, co straszniejsza, umiejętnem a dwuznacznem milczeniem rzeszy i opóźnieniem ratunku, przejdzie w groźne Vikingów ręce *). Monarchowie tak nieraz podsuwali Nortmanom całe te prowincye swoje własne, które zasługiwały na niełaskę, a nieinaczej czynił i głos ogółu tej lub owej miejscowości względem możnych. Ztąd-to i u kronikarzy w zapisywaniu zdarzeń o „*myszach*“ jest niejaka metaforyczność i oględność wielce delikatna... Jakoż, z wielości to *ciał potrutych, które się wodami jeziora rozpłynęły*... wyszły były natychmiast myszy owe, co, nibyto (niekoniecznie z wielkim zapałem i przez całe *pospolite ruszenie* narodu) bronionego, monarchę zagryzły!..

Wieści o sprawach miejscowych od brzegów Polski

*) Pozostawić coś *na zjedzenie myszom*, to jest porzucić na ustroni i opuścić. —

dochodziły były w dnie jarmarków nawet i do samego świętego miasta Odyna!..

Adam Bremeński mówi o mieście *Birka:*

„miasto położone w środku Szwecyi, opodal *Upsali,*
„świątyni najsławniejszej u idolatrów Sueonów,
„tam, gdzie golf *barbarzyński* czyli *Baltycki* ciągnie
„się ku północy...
„... droga jest niebezpieczna... i wszelako naj-
„pewniejsza z dróg u brzegów Szwecyi — tam
„okręty duńskie, norwegskie, *słowiańskie*, tudzież
„*Sembów* (mieszkańców Prus) i innych Scytyj-
„skich ludów zatrzymywać się zwykły dla jar-
„marków, na których jest wymiana produktów
„ziemi.“

Vitalisy późniejsze *(przyjaciele Bozi a nieprzyjaciele ludzkich względów)* byli już arcy-upadłem i nieumiejętnem religii Vikingów naśladownictwem. Siły historyczne tak dziwnie bywają trwałemi, że, gdy Byron tworzył typ *korsarza,* i on sam i krytycy utrzymywali, iż na widoku miał jakiś typ idealny, gdy tymczasem było to tylko idealne określenie normandzkiego człowieka, którego Byron we krwi swojej nosił... i nic więcej! —

Wyznałem, iż szczęśliwymi są ci pisarze, którzy mogą bezzbocznie samego się przedmiotu trzymać; przyszło jednak rozszerzyć niniejszy *wstęp* i o napozór ustronnych mówić rzeczach; przeto, iż za cel mam rozejrzenie i odczytanie starożytnej pieśni polskiej *„Boga-Rodzica“*, od ośmiuset lat z różnym wygłaszanej zapałem lub z różnego stopnia i rodzaju uwagą czytanej. Do ila zaś zbyt długim albo niewystarczającym ten wstęp jest, okaże się to dopiero w ciągu rzeczy.

Mniemanie jest moje, iż pomimo *akademickich definicyj* i skrzętnych poszukiwań, nie ma jednak lud żaden

onej właściwej Epopei, która skarbem jest Greków. Są zaprawdę arcy-piękne i napozór podobne do Epopei utwory, to późniejsze, to starożytne; tak, iż one, w sensie potocznym mówiąc, za należące do tegoż samego dzieł rzędu liczy się. Nie przyjmuje ich jednakże sąd ściślejszy. Obraz z nich literacki złożyć można, lecz poddać pod krytykę niebezpieczna. Atoli, porówni mniemam i widzę, że *każdy lud jako Grekowie,* jeżeli nie tak wytwornie upojedyńczoną Epopeję, to onejże żywioły lub pracę posiada. I że Epopeja przeto jest żywotnym warunkiem ludów historycznych, który tylko najformalniej u Greków wyraził się, ale niemniej każdemu jest właściwym. Policzyłbym zapewne *Torquata Tasso* i *Cervantesa* nawet, i *Mickiewicza* lub *Słowackiego* między Epopei twórców, lecz *tam,* gdzie i o samym *Wirgiliuszu* możnaby nie zwątpić!!.. Sąd jednakże właściwej krytyki estetycznej nie może być na stopę zwykłego poglądu literackiego.

Epopeja jest utworem nastroju wysokiego, opiewającym bohaterstwo o *czynności jednej* i wybranej jako określnik całości jakiej sprawy obchodzącej naród i epokę.— *„Achilla gniew!“*.. jest wszystko.

Nadto, ma ona jeszcze rozwojowe warunki *intrygi, osi,* czyli *węzła* swojego żywotnego, a po szczególe *inwokacyę* i *zaklęcie. Cudowności* także używa, lecz i sami to gramatycy zgodnie przyznają, że *„poecie tej tylko cudowności używać wolno, w której sam wiarę pokłada.. .“*

Tu — — ażeby wstęp mój, i tak już nieco przydługi, uhamować, wypowiem: że powyższa definicya znacznych rozszerzeń dziś wymaga. Że *formalnego potomstwa* taka (lubo właściwa) Epopeja nigdzie nie ma. Że praca ta jednakże, wszędzie istniejąc, stanowi u ludów innych rodzaj *wielkiej księgi* narodu, choćby księga taka nie była sposzytą w jeden tom. Że *moralnie wszędzie ona istnieje i istniała.* Niekiedy nazywają ją i *„Literaturą!“*...

Pochodzi to z przyczyny, iż nietylko pojedyncze umysły pracują, ale i wzajemne ichześrodkowanie i całość... Tak pojęta Epopeja zda mi się *opiewać dzielność jakowego ludu,* a *dzielność* jest to jego *praca i nabożeństwo.* — U Homera też, dwie te rzeczy gdyby odjęło się, zostałby romans lub powiastka.

Dla tychto więc zasadniczych elementów, i ażeby do pierwotnych źródlisk Epopei Polskiej przybliżyć się, biorę sobie za cel rozejrzenie i odczytanie pieśni „*Boga-Rodzica*“ ze stanowiska historyczno-literackiego.

C. N.

Tekst

BOGA RODZICA, DZIEWICA, BOGIEM SŁAWIONA
MARYA — U TWEGO SYNA HOSPODYNA
MATKO ZWOLONA,
MARYA — ZIŚCI NAM — SPUŚCI NAM
KYRIE ELEJSON TWEGO SYNA
CHRZCICIELA ZBOŻNY CZAS.
USŁYSZ GŁOSY, NAPEŁNIJ MYŚLI CZŁOWIECZE,
SŁYSZ MODLITWĘ — JENŻE CIĘ PROSIMY,
TO, DAĆ RACZY — TEGOŻ PROSIMY:
DAJ NA ŚWIECIE ZBOŻNY POBYT,
PO ŻYWOCIE RAJSKI PRZEBYT,
KYRIE ELEJSON.

Skarbnica archeologii żywotnej, Kościół Katolicki Rzymski, przechował nam najstarszą formę literacką nazywania rapsodów *od wyrazów pierwszych wiersza pierwszego.* Przed papiezkiemi bullami, uznane za ogólną własność hymny, rapsody, pieśni, i jakoby do *wielkiej księgi narodu* policzane, wyzywano po pierwszych onychże słowach. A to ze źródła tego, iż *śpiewający-pierwszy* zagajał jakoby chór, lub uwagę czy uciszenie się zboru powodował, wyzywając, co ma być głoszone. Tak, np., jakoby dziś gdziekolwiek polski lud zebrany miał się do pieśni i jakoby *pierwszy śpiewak*

zawołał: *„Kto się w obronę!..“* intonując przez to *Dawidzki psalm* według tłómaczenia Kochanowskiego.

Pytanie jest wielkie, acz w tem piśmie *osobne*, i które po części tylko tu nadmienię: czyli Odysseja w obyczaju wulgarnym u Acheów nie nazywała się, jak my ją piśmiennie zowiemy: „ΟΔΥΣΣΕΙΑ“ — ale raczej: „Ἄνδρα μοι ἔννεπε“..?

Wytłómaczenie to nazwy hymnu świętego Wojciecha zarazem jest od pierwszego słowa dowodem, do ila ta pieśń żyła w duszach, i od jak nieskończenie dawna do *wielkiej księgi narodu* należała.

Wyraz *„Boga-Rodzica!...“* wyrzeczony po pierwszy raz na krakowskim rynku, a potem powtarzany *„wszerz i wdłuż całej Polski“* ówczesnej (oprócz *Gniezna)*, bez pominięcia *„najmniejszego nawet sioła“* (Długosz w Dziejach), gdzie przez lat 3, jako Zbawiciel, ewangelizował św. Wojciech: wyraz ten *„Boga-rodzica!“* tłómaczył na raz wszystko zbierającemu się ludowi. On, że *„dobra nowina“* jest potwierdzana albo i przyniesiona, głosił sam przez się. Słowa zaś wielkiego męża Bożego *„prędko po całej rozchodziły się krainie.“* —

Co więcej — mniemanie jest moje, ze starannego uważania budowy ogólnej hymnu *„Bogarodzica“* powzięte, że składa się ten poemat modlitewny z części *dwóch*. I że pierwsza część, poczynająca się od wyrazu *„Boga-rodzica“*, zaokrągla i zamyka sens swój pierwszy na finalnym obrazie ostatecznych widzeń skroś nieba „tam“ — gdzie już tylko jest *„widzenie Twórcy anielskie bez końca!...“* a po jakowem słuszna jest, iż nietylko żaden *Dante* ni *Calderon*, ale nawet i ścisły teolog, nie potrafiliby czegokolwiek za rozwijące też samą treść dalej uznawać. — Jakoż, po takowemto tej pierwszej części zamknięciu, spoziera jeszcze raz oko śmiertelne na padół, mówiąc z westchnieniem:

„Tu — — się nam zjawiło dyable-potępienie!“

I rozpoczyna się odtąd *część-wtóra* tegoż samego poematu, taż sama treścią, ładem i żywotnością teologii, ale we wszystkiem bliższa warunków historyi doczesnej Kościoła wojującego i *Pasyi* Boskiej. I ta znowu *po wtóry raz zamyka się jak pierwsza* po siedemkroć wyśpiewywanem *„Amen“* przez wyznawców i chóry radujących się *sił niebieskich* przy odwarciu bram Raju.

Zbudowanie takowe *dwóch sfer hymnu* arcy-widoczne jest choćby tylko z przyczyny *dwóch ostatecznych końców* treści.

Pierwszej przeto części, pierwszego wiersza słowa pierwsze, dają nazwę rapsodu sposobem bull papieskich i początkują inwokacyę przez tę patetyczną formę deklinacyi, która zamiast *piątego* przypadku używa *pierwszego.* Zamiast odrazu *„O! Maryo...“* jest jeszcze trzykroć pierwej Imię w przypadku pierwszym, lub przymioty toż Imię zastępujące, co daje tym sposobem wyraźną *Litanię* wstępną:

Boga-Rodzica-dziewica!
Bogiem sławiona Marya!
(u Twego Syna *hospodyna*)
Matko Zwolona —
Marya!..
Ziści nam — spuści nam:
Kyrie Elejson...
Twego Syna, Chrzciciela, zbożny czas.

Zupełne zbliżenie tych wyrazów *„Syna“* i *„Chrzcicie-*

la“ cechuje epokę ewangelizacyi u Słowian, gdzie syn Zacharyasza i Elżbiety nie uprzedza o nieco czasu Zbawiciela, ale gdzie *Chrzest i Chrystus razem* się jawią. „*Zbożny czas,*“ nietylko w tymże *tu* jest sensie, ale opiewa on zarazem i *czas zbiorów zboża*... raz, z powodu, iż wszystko w tej pierwszej części poematu kreślone jest na jednem tle sielskiem i *kmiecem*, drugi raz, iż odnosi się to wyrażenie do podobnego jemu lub wzorującemu je, u Mateusza (IX, 38): *Proście-ż tedy Pana żniwa, aby wysłał robotniki na żniwo swoje* — czyli — „u Twego Syna“ — Pana (hospodyna) ziści nam, „spuści nam — — *zbożny czas*...“ — czas zbiorów zbóż należących do „*Pana żniwa*“ — „dominum messis.“

„*Kyrie elejson,*“ które w tej pierwszej strofie, części pierwszej, użyte jest dwukrotnie, a później już w całym ciągu pieśni niepowtarzane, raz, zamyka wstępną *Litanię*, która może w oryginalnych pierwszych rękopisach była lub bywała dłuższą i więcej rozwiniętą; drugi raz, zdaje się być muzykalnym strofy odcinkiem. Że albowiem ta pieśń *długo i częstotliwie była śpiewaną,* to znać jest na niej samej, tak, jako dziś ją mamy, i to każdy nieco we filologii biegły zapewne uważył.

„Usłysz — GŁOSY...
„Napełnij — MYŚLI...
„Słysz — MODLITWĘ!

Stopniowanie to umyślne, bo które jeszcze pierwej spotyka się we wyrażeniach po sobie idących „*ziści*“, „*spuści*“, jest tak prawie że bezprzykładnie pięknem i arcydzielnem, tak zarazem głębokiem i estetycznie udziałanem, iż, gdyby tylko te jedynie z całego utworu wiersze zostały, już umielibyśmy wyraźnie poczuć, dlaczego i *Wujek*,

i *Skarga*, o tej pieśni gdy mówią, są w niejakim zachwycie, ze stylu ich, słów i określeń do dziś czytelnym.

Jest to, zaiste, że prawdziwa i podobno jedyna, jaką posiadamy, GLOSA pierwo-chrześciańska. —

I dla tego-to dalej po takiej *Glosie* idzie już to *jęczenie,* które bywało u pierwszych Chrześcian stopniem pewnym i przymiotem *glossolalii* właściwym —— „*jenże!*..“ czyli: *jęcząc prosimy Cię*... i stopniowany jeszcze docisk jęku: „*to* dać raczy, *tegoż* prosimy...“

Rozjęk zaś takowy, modlitwą wewnętrzną i śpiewem ustopniowany, należał był tak nierozłącznie do modlitwy śpiewnej, jak niektóra część białego ręcznika, jakiej używa kapłan przy Mszy św., początek swój wzięła od potrzebnej *chusty do ocierania łez.* Czytanie pomników albo musi się archeologią żywotną posiłkować i oświecać, albo pozostać użalaniem się na brak źródeł (których częstokroć jest za wiele) i, nieodczytawszy prawie NIC, wszystko obmierzić, bo uczynić i *sławnem* i *nieznanem!* *). —

Nieocennnie drogą jest to rzeczą, iż w najpierwszych *trzech słowach* pieśni:

---

*) *Umiejętność mowy* jest najmłodszą z nauk, albowiem dopiero kilkadziesiąt lat liczącą, ale w postępach swych może najszybszą. Wynika z tego, że należy się jej albo równie szybka poręka wydawnictwa i ruchu umysłowego, albo spóźniane lecz przytomne rektyfikacye. Co do *glossolalii,* żaden filolog (oprócz C. N.) nie podnosił jeszcze tej kwestyi w Europie. — Co do formy Litanii, którą tenże za jeden z peryodów Glossolalii okazuje, nie jest dotąd jasne, czyli ta forma, za czasu pierwszego najścia Tatarów, gdzieś śród chroniących się i zmodlonych utworzoną i wyłkaną poczęła się? a dobrze później w obleganym Wiedniu austryackim wybrzmiewała; czyli, jak mniemają inni, *niemniej pod ogólnym ciosem,* i pod przewodnictwem świętego Mamerta we Wiedniu Delfińskim (Vienne en Dauphiné) wygłaszaną poczęła być? Archeologiczna ta wątpliwość nie odmienia natury źródła, w każdym razie albowiem *litania* ze zbiorowej glossolalii poczęła się. C. N.

„*Boga — rodzica — dziewica*“

lat temu osiemset był już obwołanym dogmat, o którym, skoro za dni naszych stało się solenne i pontyfikalne kościoła orzeczenie, wielu ze spółczesnych publicystów jakoby „*o wynalezionym nowo*“ dogmacie prawiło!..

Do osobnego zaś podniesienia należy w tym ustępie użyty wyraz: „*hospodyna.*“ Wyraz ten jest podobno jednym z najstarożytniejszych fragmentów pierwo-słowiańskiej cywilizacyi, lecz u Polaków, gdzie się społeczność wcześnie uzasadniać poczęła, wyraz ten wcześnie się rozmnożył na „*gospodarzy*“ i jedną z pierwotnych swoich stradał godności. U południowych Słowian dłużej trwał on w jednem z pierwszych znaczeń swoich, ale na Wołoszczyźnie i to znaczenie spotworzyło się tak, iż niektórzy etymologowie, pod jednej epoki wpływem będący, tłómaczą „*Hospodar*“ od greckiego i bezpośrednio wyraz ten z „*Despotą*“ łączą. Indziej, wybrzmiewa on jeszcze: „*pan — sir* — mon-sir *v.* monsieur.“

Atoli pierwsze, kardynalne znaczenie słowa tego wiązało się było z praktyką pierwszych religijnych zasad. — *Gościnność,* na początku, nie była samem tylko uczuciem i obyczajem, ale *religijną* praktyką osadzoną na tej wierze, iż bóstwo może posyłać ludzi wędrownych, czy jak później usubtelniono: *przybierać ich zewnętrzność,* i że *posłańcy* czyli *aniołowie* przyjmowani być mogą w gościnnych domach pod mniemaniem, iż ludzi przyjmuje się. Ci zaś, bez zostawowania *darów,* nie odchodzili, i należało baczność mieć dla wszystkich czujną i ochotną. „*Gospodyn*“ jest to „*Gość a Pan*“, „a *jedyny*“ — we skandynawskiem dobrzmieniu „*Gość-a-Odyn*“— a w dobrzmieniach innych jeszcze toż samo. Nie, ażeby etymologij wiele miał jeden wyraz, ale iż starożytność wyrazu udziela mu wielu wpływów wielu epok. *Hospodyn* jest to hebrajski „*Emmanuel*“ poniekąd,

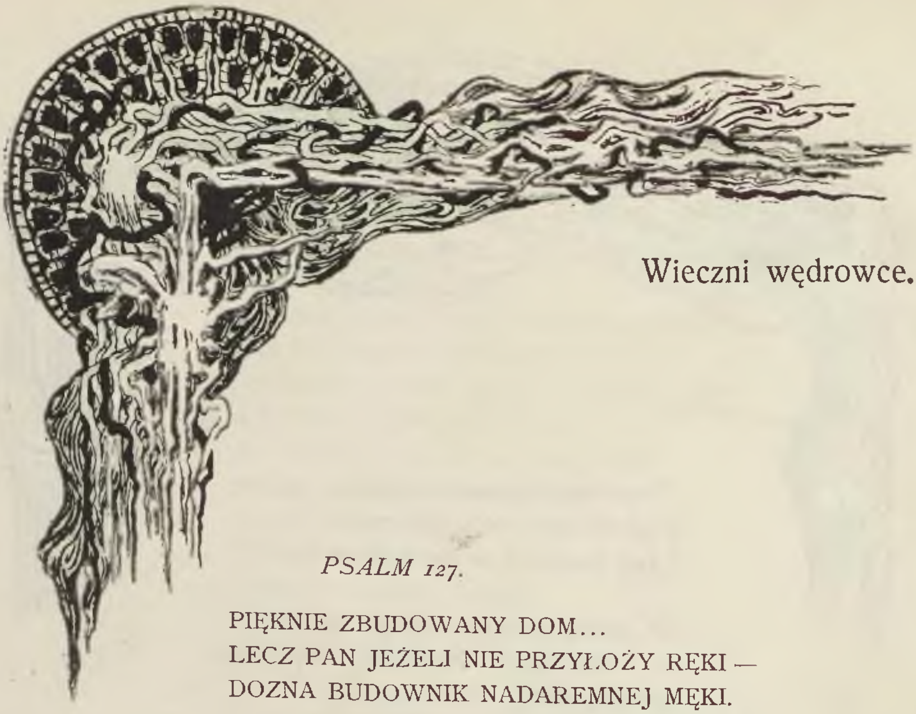
wyczekiwany i spodziewany *Gość,* ale i *Pan!* — ku czemu, po przemianie praktyk religijnych, pozostało już obyczajowe ale arcy stare przysłowie:

„Gość w dom, to *Bóg* w dom“ — a to jest: „*Gospodyn.*“ — Nazwa ta po żeńskiej stronie pozostała z powodu małżeństw chrześciańskich, które z *jednożeństwem* uidealizowały kobietę („*Gospodyni*“) i niejako anielski charakter przyznały jej.

PISAŁEM W PARYŻU 1873 R.

Cypryan Norwid.

(Dokończenie.)



Wieczni wędrowce.

PSALM 127.

PIĘKNIE ZBUDOWANY DOM...
LECZ PAN JEŻELI NIE PRZYŁOŻY RĘKI —
DOZNA BUDOWNIK NADAREMNEJ MĘKI.
SEN GO ODLECI ZE ZNUŻONYCH POWIEK,
RĘKĘ Z ZAŚWIATÓW POCZUJE NA SKRONI,
I PRZYJDZIE W NOCY TEN ROZWAŻNY CZŁOWIEK,
WSZYSTKO POSIADŁSZY, DO GŁĘBOKIEJ TONI.
I W GWIAZDY PATRZĄC — TAM NA DNIE STRUMYKA —
ZSTĄPI W MILCZĄCE PODWODNE KOMNATY —
SERCE SIĘ JEGO UDERZY O KRATY,
ZA KTÓRE NIGDY ROZUM NIE PRZENIKA.
I ZNAJDĄ RANKIEM TO JĘCZĄCE CIAŁO
W MĘCE KONANIA NAD WODY LAZUREM —
A GWIAZDY ŚPIEWAĆ JEMU BĘDĄ CHÓREM
TO, CO SIĘ ŻYWYM SŁYSZEĆ NIE UDAŁO.
TAK — JEŚLI WIECZNEJ NIE ZBUDUJEM DUSZY, —
BUTWIEJĄC ŁZAMI, JAKO LIŚCIEŃ W GRUDNIE,
I JAK ZAMCZYSKO, CO SIĘ W MROKACH KRUSZY,
I JAK KRWI KROPLE, CO PADAJĄ W STUDNIĘ, —
ZEJDZIEMY WIDMA — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —



Przychwyciły mnie zdradne żelaza
i spoiły mi serce obręczą,
i już powstać — nie będę mógł.

W mojej baszcie skarby zaklęte —
w moim zamku duchów pełne głazy
czekają harfy czarodzieja.

O, smutków pełne są posągi —
z pod każdej trawki śmierć mi gra,
— pokrzyw jadowite ognie
zakryły wejścia moich grot.

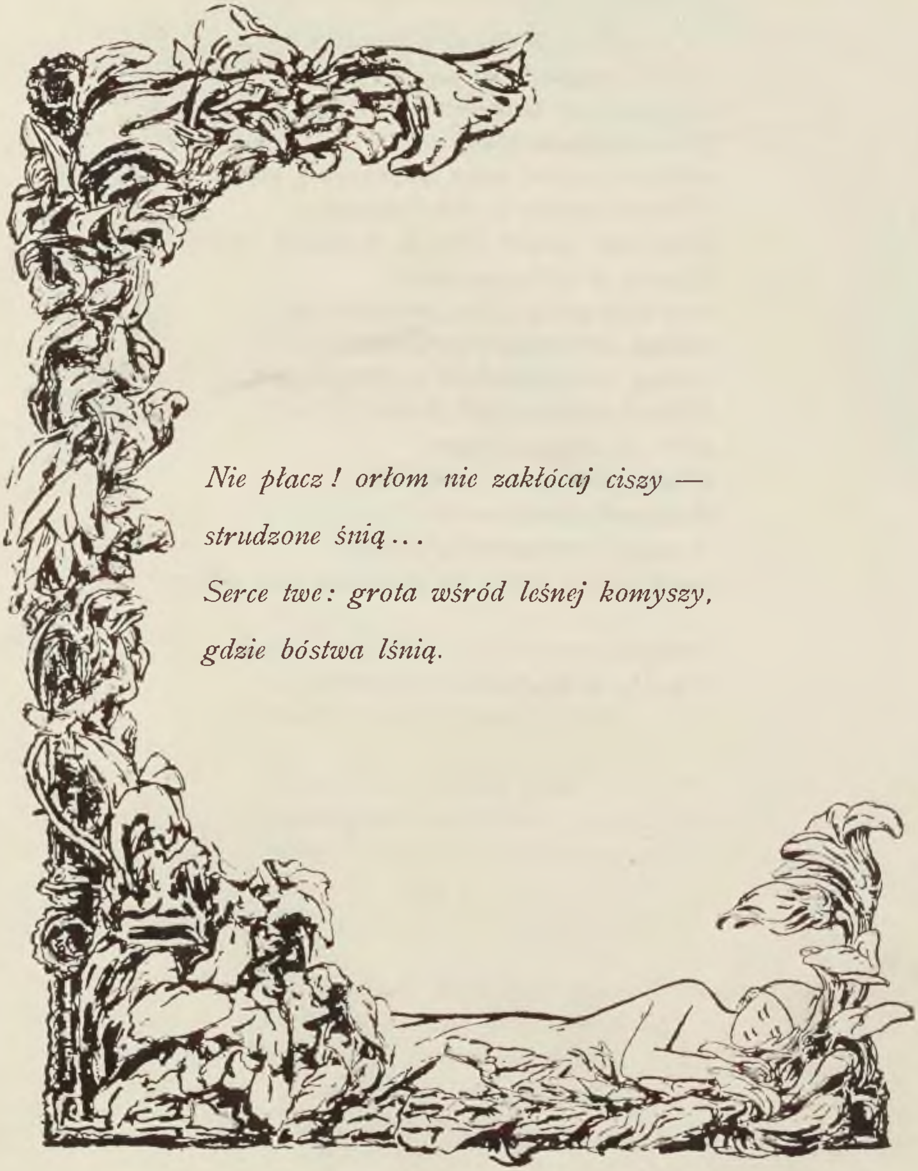
Rozerwać! bezmiar skał —
wyszarpnąć skrzydła z pośród lochów —
mroczne witraże napoić słońcem —
rubinowy kielich
na czarnych obłędu katowniach.

Wyszarpnąć chciałbym skrzydło moje
i Drogą mleczną moich piór —
wrócić do ojczyzny w niebiosach.

Krople krwi padają
z białych łabędzi —

co je orły szarpią nad mą głową.
Słyszę smutny jęk...
Nie wyzwolę was — me wieszcze ptaki —
jak nie wyzwoliłem
otchłani piekieł moją nadaremną męką.
Wicher szarpie zasłony drzew —
kamienny zamek drży w posadach swoich.
Rycerz w świecącej zbroi,
nad krawędzią okna przechylony,
patrzy na drogę w głębinie,
usianą plamami krwi i pełną ognia.
Wśród karłowatych drzew
wije się smętna droga.
Tamtędy on musi przejść!..
I zrzucił zbroję —
w szarej wygnańca opończy
szedł w las, który się palił mu nad głową.

O hej!..
o hej!.. o hej!..



Nie płacz! orłom nie zakłócaj ciszy —
strudzone śnią...
Serce twe: grota wśród leśnej komyszy,
gdzie bóstwa lśnią.



Przelatują nademną upiory —

— — Jezus Maryja! —

schodzę w w puszcze mogił — w głuche nory —

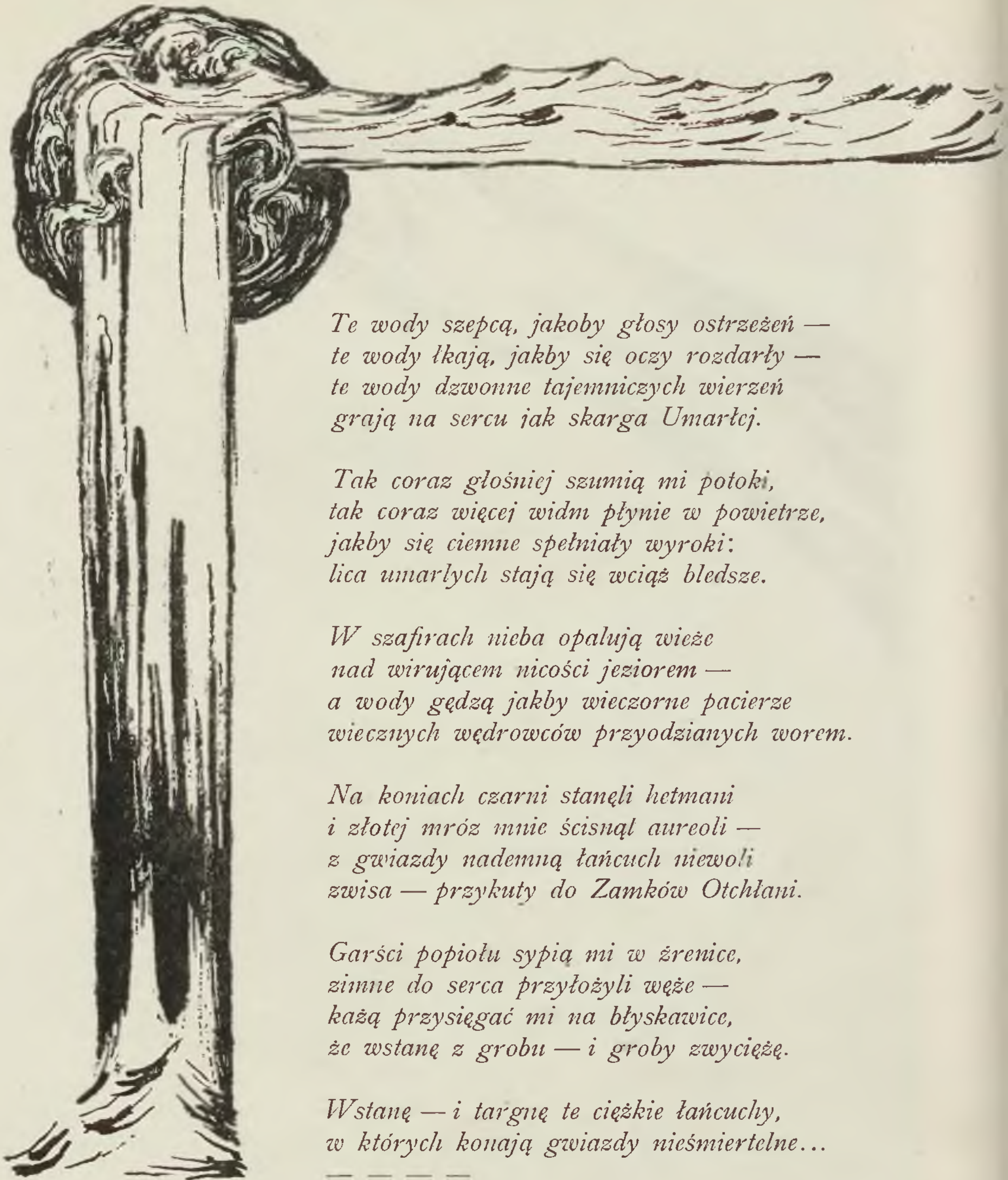
— — Jezus Maryja! —

za mną kroczą na koniu hetmany —

— — Jezus Maryja! —

przez świat idę — ja król obłąkany —

— — Jezus Maryja! —



Te wody szepcą, jakoby głosy ostrzeżeń —
te wody łkają, jakby się oczy rozdarły —
te wody dzwonne tajemniczych wierzeń
grają na sercu jak skarga Umarłej.

Tak coraz głośniej szumią mi potoki,
tak coraz więcej widm płynie w powietrze,
jakby się ciemne spełniały wyroki:
lica umarłych stają się wciąż bledsze.

W szafirach nieba opalują wieże
nad wirującem nicości jeziorem —
a wody gędzą jakby wieczorne pacierze
wiecznych wędrowców przyodzianych worem.

Na koniach czarni stanęli hetmani
i złotej mróz mnie ścisnął aureoli —
z gwiazdy nademną łańcuch niewoli
zwisa — przykuty do Zamków Otchłani.

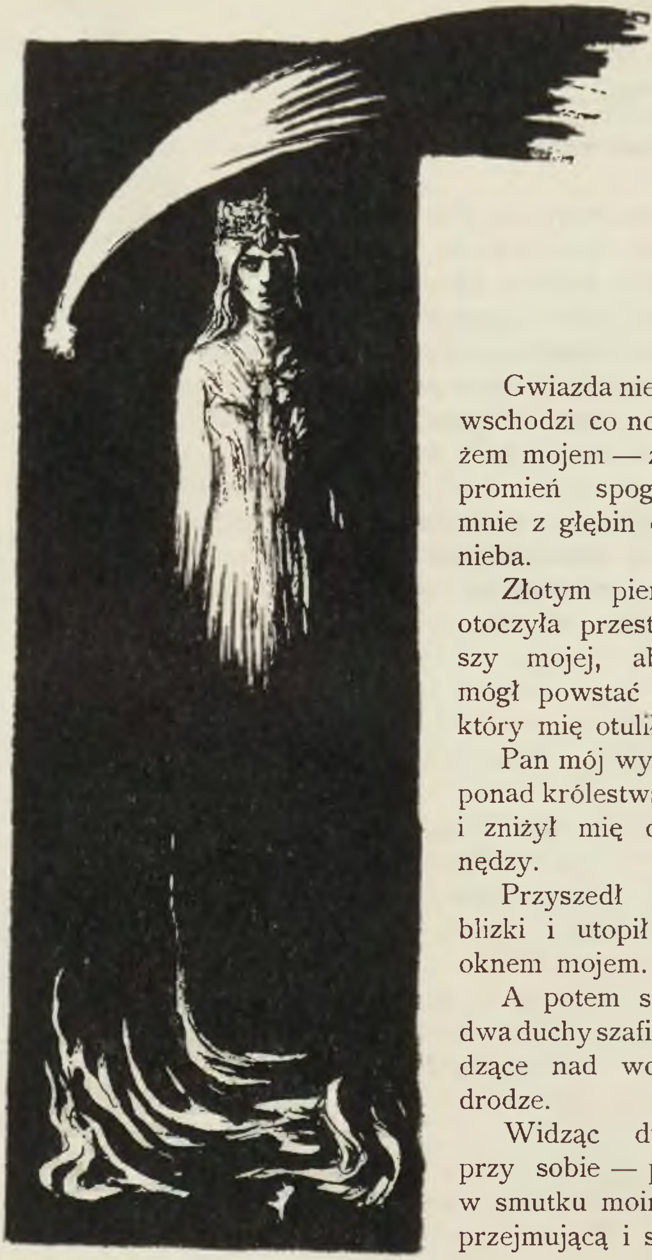
Garści popiołu sypią mi w źrenice,
zimne do serca przyłożyli węże —
każą przysięgać mi na błyskawice,
że wstanę z grobu — i groby zwyciężę.

Wstanę — i targnę te ciężkie łańcuchy,
w których konają gwiazdy nieśmiertelne...
— — — —

a wody szumią, jak chóry kościelne,
a Mszy Wieczornej nadsłuchują duchy.

— Czemu nie mogę iść, Panie, za Tobą?
duszę mą we krwi za Ciebie położę! —
„Duszę swą — krwawą opłaczesz żałobą,
„bo się mnie zaprzesz potrzykroć na dworze.
„Niech się nie trwoży serce wasze w zgonie,
„choć ducha prawdy świat przyjąć nie może —
„już Książę świata zabłysnął na tronie,
„we mnie nic niema, tylko mroki boże.“

To mówił Jezus i, podniósłszy oczy,
ujrzał dokoła zimną gwiazd pustynię —
czarne olbrzymie księżyca świątynie —
wody szumiące, jak rana, co broczy.



Gwiazda nieszczęścia wschodzi co noc nad łożem mojem — zimny jej promień spogląda na mnie z głębin ciemnego nieba.

Złotym pierścieniem otoczyła przestwór duszy mojej, abym nie mógł powstać z głazu, który mię otulił.

Pan mój wyniósł mię ponad królestwa ziemi — i zniżył mię do lochu nędzy.

Przyszedł człowiek blizki i utopił się pod oknem mojem.

A potem spotkalem dwa duchy szafirowe siedzące nad wodą przy drodze.

Widząc duchy te przy sobie — poczułem w smutku moim radość przejmującą i słodką.

Otwarłem księgę Uspokojeń i czytałem z niej, weseląc sie z duchami jasnemi.

Chciałbym się u nóg Twoich położyć i nie wstać, zapatrzony w oczy Twoje.

Wybiegnę daleko na spotkanie króla mojego — i będę słuchał Jego dziwnych słów.

Dusza moja między ogniami skwarzy się — między ołtarzami czterema zapalonemi na rogach jej.

Ziemia pode mną, niebo nade mną, wkoło ogień.

Umiłuj mnie — piersiami Twemi niech się nasycę — w zasłonie skrzydeł Twoich, o Śmierci!..



Tadeusz Miciński.

O teatrze maryonetek.

Bawiąc w zimie 1801 r. w M., spotkałem tamże w ogrodzie publicznym pewnego wieczora pana C., — który od niedawna został był pierwszym tancerzem opery miejscowej i cieszył się szczególniejszemi względami publiczności.

Powiedziałem mu, iż miałem już przyjemność widzieć go kilkakrotnie w teatrze maryonetek, który rozbił swój namiot na targowicy i zabawiał gawiedź drobnemi burleskami dramatycznemi, przeplatanemi tańcem i śpiewem.

Zapewnił mnie, iż lubi bardzo kukieł tych pantomimikę, i dał niedwuznacznie do zrozumienia, że tancerz, który chce się wykształcić, niejednego od nich nauczyć się może.

Zdanie to, oraz sposób, w jaki je wyraził, wydały mi się czemś więcej niż zwykłym frazesem, usiadłem przeto przy nim, by się szczegółowiej dowiedzieć, na czem to swoje osobliwsze opiera twierdzenie.

Spytał mnie, czy nie zauważyłem istotnie, iż niektóre ruchy lalek, zwłaszcza drobniejszych, mają w tańcu dużo wdzięku?

Zaprzeczyć temu nie mogłem. Grupy czterech chłopów, co w szybkim takcie tańczyli oberka, nie mógłby piękniej namalować sam Teniers.

Zagadnąłem tedy o figurek tych mechanizm, oraz czy to podobna, miryadów nitek na palcach nie mając, tak pokierować poszczególnemi ich członkami, tudzież punktami tychże, jak tego rytm ruchów i tańca wymaga?

Odpowiedział na to, iż nie trzeba sobie wyobrażać, jakoby maszynista w różnych momentach tańca nastawiał i pociągał każdy członek zosobna. Każdy ruch — objaśniał — posiada swój punkt ciężkości; wystarcza nim kierować wewnątrz figury; członki są tylko wahadłami i idą za nim same przez się, bez żadnej pomocy mechanicznej. Prócz tego dodał, iż ruch ten jest nader prosty, że za każdym razem, gdy punkt ciężkości w linii prostej poruszany bywa, członki tem samem opisują krzywizny; oraz że często przypadkowe jeno wstrząśnienia wprawiają już całość w rodzaj rytmicznego ruchu, podobnego do tańca.

Dopiero te uwagi wyświetliły mi potrosze przyjemność, jakiej w teatrze maryonetek miał rzekomo doznawać. Nawet przybliżeniu jednak nie domyślałem się jeszcze wniosków, jakie później ztąd wysnuł.

Zapytałem, czy zdaniem jego maszynista, lalkami temi kierujący, winien sam być tancerzem, lub przynajmniej na piękności tańca się rozumieć?

Jeśli strona mechaniczna jakiegoś zajęcia jest nawet łatwa — odrzekł mi na to — nie wynika ztąd jednak jesz-

cze, by można je uprawiać, nie przejmując się niem wcale. Linia, którą ma opisać punkt ciężkości, jest wprawdzie wcale niezłożona i, według mego zdania, najczęściej prosta. Gdy zdarzy się, iż jest krzywą, prawidło jej krzywizny zda się zaliczać do pierwszego lub co najwyżej do drugiego rzędu, a i w tym ostatnim nawet wypadku jest ona tylko eliptyczną, która to forma ruchu, skutkiem stawów, kończynom ciała ludzkiego na ogół jest wrodzona; zakreślenie jej nie przedstawia przeto dla maszynisty nazbyt wielkich trudności. Z innego natomiast względu linia ta ma w sobie coś bardzo tajemniczego, gdyż jest ona poprostu drogą duszy tancerza; i wątpliwem wydaje mi się, by można ją odszukać inaczej, jak w ten sposób, iż maszynista w punkt ciężkości maryonetki sam się przenosi, czyli, innemi słowy, tańczy.

Odparłem, iż zajęcie tegoż wydawało mi się czemś wcale bezdusznem, w rodzaju kręcenia korby, obracanej przy grze na lirze.

Bynajmniej, odpowiedział; ruchy jego palców zostają do ruchu przytwierdzonych do nich lalek w stosunku dość misternym, mniej więcej jak liczby do swoich logarytmów, lub asymptota do hiperboli. Dodał wszakże, iż, według jego zdania, można pozbawić maryonetki nawet tej ostatniej odrobiny ducha, o której wspomniał, tak, że taniec ich da się sprowadzić wyłącznie do sfery sił mechanicznych i wywołać za pomocą korby, jak to sobie wyobrażałem.

Wyraziłem mu swoje zdziwienie, iż ta, dla pospólstwa wynaleziona, sztuki pięknej odmiana tak żywo go obchodzi. Nie tylko bowiem przypisuje jej zdolność do wyższego rozwoju, lecz owszem sam nią nawet zajmować się zdaje.

Na to odrzekł z uśmiechem, iż gdyby jaki mechanik zechciał zbudować maryonetkę, wedle wskazanych przez

niego wymagań, to on poważa się twierdzić, że za pośrednictwem tejże przedstawiłby taki taniec, na jaki nie stać ani jego, ani żadnego innego zręcznego tancerza, samego Vestris'a nie wyjmując.

Czy słyszał pan, zapytał, gdy wzrok w milczeniu opuściłem ku ziemi: czy słyszał pan o owych mechanicznych nogach, sporządzanych przez angielskich specyalistów dla nieszczęśliwych, którzy uda własne postradali? Nie! — odparłem — czegoś podobnego nie widziałem nigdy. Szkoda — odrzekł — gdyż jeśli panu powiem, iż ci nieszczęśliwi tańczą niemi, lękam się niemal, iż pan nie da mi wiary. Co mówię, tańczą! Zakres ich ruchów jest wprawdzie ograniczony; te wszakże, któremi rozporządzać mogą, dokonywają się z takiem spokojem, lekkością i wdziękiem, iż każdy umysł myślący w podziw wprawić mogą.

Odezwałem się żartem, iż znalazł tedy człowieka, jakiego potrzebuje. Gdyż ten sam specyalista, który takie przedziwne udo sporządzić potrafi, zdolen jest także niewątpliwie skonstruować całą maryonetkę, co żądaniom jego zadość uczyni.

Jakież to, zapytałem, gdy z niejakiem zakłopotaniem spuścił oczy, jakież to są żądania, które pan sprawności jego postawić zamierza?

Nic ponadto, odpowiedział, coby w pierwszym tym razie także już nie istniało: wymagam proporcyi, ruchliwości, lekkości, jeno wszystkiego w wyższym stopniu, a przedewszystkiem — zgodniejszego z przyrodą rozmieszczenia punktów ciężkości.

A zalety, jakiemiby taka lalka nad żywymi tancerzami górowała?

Zalety? Najpierw negatywna, przezacny mój przyjacielu, ta mianowicie, iż nie wdzięczyłaby się nigdy. Wdzięczenie się bowiem, jak panu wiadomo, występuje wtedy, gdy dusza *(vis motrix)* w jakimkolwiek innym punkcie, nie zaś

w punkcie ciężkości ruchu się znajduje. Ponieważ maszynista, za pośrednictwem drutu czy nitki, żadnego innego punktu okrom tego jednego w mocy swej nie ma, wszystkie inne członki są przeto tem, czem być powinny, martwemi jeno wahadłami, które powodują się jedynie prawem ciężkości; przewyborna właściwość, której u większości naszych tancerzy szukać daremnie. Niech pan spojrzy chociażby na pannę P., mówił dalej, gdy, grając Dafne, ogląda się na ścigającego ją Apollina; ma wtedy duszę w kręgach krzyżowych, wygina się, jak gdyby złamać się miała, niby najada ze szkoły Bernini'ego. Niech pan popatrzy na młodego F., gdy jako Parys stoi w otoczeniu trzech bogiń i wręcza jabłko Wenerze; ma on duszę — aż strach spojrzeć! — poprostu w łokciu. Usterki takie, dodał, urywając, są nieuniknione, odkąd spożyliśmy owoc z drzewa świadomości. Lecz raj zamknięty, a za nami Cherub; musimy odbyć podróż naokoło świata i zajrzeć, czy przypadkiem nie jest znowu otwarty gdziebądź od tyłu.

Zaśmiałem się. — Bez wątpienia, pomyślałem sobie, nie może duch tam pobłądzić, gdzie go niema wcale. Zauważywszy atoli, iż ma jeszcze coś na myśli, prosiłem go, by mówił dalej.

Takie lalki, rzekł, mają nadto tę zaletę, iż są przeciwważkie. Bezwładności materyi, tej właściwości tańcowi tak opornej, wcale nie ulegają, gdyż siła, unosząca je w powietrze, większa jest od tej, która je do ziemi przykuwa. Coby dała za to poczciwa nasza pani G., gdyby była lżejsza o sześćdziesiąt funtów, lub gdyby przy swych *entrechats* i piruetach ciężar tejże wagi miała do pomocy? Kukły, wzorem elfów, potrzebują podstawy tylko o tyle, by ją muskać i od rzekomej tej przeszkody wzlotność swych członków na nowo ożywiać; my potrzebujemy jej, by się na niej opierać i po trudach tańca wypoczywać;

sam ten moment właściwie tańcem nie jest i tyle tylko da się z nim zrobić, iż się go o ile możności maskuje.

Odezwałem się na to, iż mimo całej zręczności, z jaką paradoksy swe popiera, nigdy przekonać się nie dam, by mechaniczny manekin mógł więcej wdzięku posiadać od budowy ciała ludzkiego.

Odparł, iż dla człowieka byłoby wprost niemożliwością manekinowi pod tym względem choćby tylko dorównać. Bóg jeden może się mierzyć na tem polu z materyą, i tu jest punkt, gdzie się zbiegają oba końce kolistego świata.

Zdumienie moje rosło, nie wiedziałem, co na osobliwsze te twierdzenia powiedzieć.

A on, zażywając szczyptę tabaki, zagadnął, iż nie czytałem snadź uważnie trzeciego rozdziału pierwszej księgi Mojżesza; kto zaś tego pierwszego okresu wszelkiej kultury ludzkiej nie zna, z tym też o następnych, a tem mniej o ostatnim, mówić niepodobna.

Na to rzekłem, iż wiem dobrze, jaki nieład wywołuje świadomość we wrodzonej gracyi ludzi. Pewien młodzieniec z pośród moich znajomych skutkiem luźnej uwagi postradał w mych oczach niejako swą niewinność i raju tejże mimo wszelkich możliwych wysiłków nigdy już nie odzyskał. — Lecz jakież wnioski, dodałem, może pan ztąd wyprowadzić?

Zapytał mnie, co za wypadek mam na myśli?

Przed trzema mniej więcej laty, jąłem opowiadać, kąpałem się z pewnym młodzieńcem, którego budowa odznaczała się podówczas przedziwnym wdziękiem. Liczył on lat szesnaście niespełna i z lekka jeno zaznaczały się w nim pierwsze ślady próżności, względami kobiet wywołane. Zdarzyło się, iż właśnie na krótko przedtem widzieliśmy w Paryżu młodzieńca, wyjmującego sobie ze stopy drzazgę; znany odlew tego posągu znajduje się we

wszystkich prawie zbiorach niemieckich. Stawiając nogę na stołeczku, by ją obetrzeć, rzucił wzrokiem w wielkie zwierciadło i przypomniał go sobie; z uśmiechem oznajmił mi o tem swojem odkryciu. Tejże samej chwili ja także zauważyłem istotnie to samo; chcąc wszakże czy to pewność właściwej mu gracyi zbadać, czy też na próżność jego zbawiennie podziałać, zaśmiałem się i odparłem, iż zwidują mu się snadź duchy! Zarumienił się i podniósł nogę powtórnie, by mi to podobieństwo pokazać; atoli próba, co łatwo można było przewidzieć, wypadła niepomyślnie. Zmieszany podniósł nogę po raz trzeci i czwarty, podniósł ją jeszcze z dziesięć razy: nadaremnie! tego samego ruchu powtórzyć nie mógł. Co mówię! ruchy, przezeń wykonywane, miały tyle pierwiastku komicznego, iż z trudnością powstrzymywałem się od śmiechu. Od tego dnia, od tej chwili niejako, zaszła w młodzieńcu owym niepojęta zmiana. Jął całemi dniami wystawać przed lustrem, i tracił jeden powab po drugim. Jakaś niewidzialna, niepojęta potęga zdała się ogarniać gdyby żelazną siecią swobodną grę jego gestów, a po roku nie było w nim ani śladu tego ujmującego wdzięku, który czarował przedtem oczy otaczających go ludzi. Dziś jeszcze żyje ktoś, co był świadkiem tego dziwnego i niefortunnego wypadku, i moje opowiadanie słowo za słowem potwierdzić może.

Przy tej sposobności, rzekł uprzejmie pan C., opowiem panu zdarzenie, z którego łacno pan wyrozumie, o ile ono z przedmiotem naszej rozmowy pozostaje w związku. Podróżując po Rosyi, bawiłem w dobrach liflandzkiego szlachcica, pana von G., którego synowie ćwiczyli się podówczas zawzięcie w szermierce. Zwłaszcza starszy, który właśnie powrócił był z uniwersytetu, udawał wirtuoza, i gdy pewnego razu zaszedłem rankiem do jego pokoju, podał mi rapier. Starliśmy się; zdarzyło się atoli, iż miałem nad nim przewagę. Do jego zmieszania przyłączyła

się jeszcze zapamiętałość. Żaden niemal mój sztych nie chybiał, a w końcu rapier jego poleciał do kąta. Podnosząc broń, rzekł nawpół żartem, napoły z urazą, iż znalazł swojego mistrza; że wszystko atoli na świecie musi znaleźć swojego, więc on do mojego mnie zaprowadzi. Bracia, wybuchnąwszy głośnym śmiechem, zawołali: chodźmy, chodźmy do drewutni! i, wziąwszy mnie za ręce, zaprowadzili do niedźwiedzia, którego ojciec ich, pan von G., chował na swym folwarku. Kiedy zdziwiony stanąłem przed nim, dźwignął się niedźwiedź na tylne łapy, wsparł się grzbietem o pal, do którego był uwiązany, i, podniósłszy prawą łapę do uderzenia, patrzył mi w oczy; była to jego postawa szermierska. Zdawało mi się, że śnię, gdy takiego przeciwnika ujrzałem przed sobą; lecz pan von G. zawołał: zaczynaj pan, zaczynaj pan, zobaczymy, czy mu podołasz! Ochłonąwszy nieco ze zdumienia, wypadłem nań z rapierem; niedźwiedź zrobił krótki ruch łapą i odparował cios. Próbowałem podejść go sztychami zwodzonemi; niedźwiedź się nie ruszał. Wypadłem znów na niego błyskawicznym obrotem, w pierś ludzką byłbym ugodził niechybnie: niedźwiedź zrobił jeszcze krótszy ruch łapą i znów cios odparował! Byłem teraz niemal w położeniu młodego pana von G. Spokój niedźwiedzia doprowadzał mnie do pasyi. Zadawałem naprzemian cięcia istotne i zwodzone, pot oblał mnie całego: daremnie! Niedość, że niedźwiedź odbijał wszystkie me ciosy niby pierwszy na świecie szermierz; co więcej, sztychów zwodniczych — w czem żaden szermierz na świecie naśladować go nie zdoła — wcale przyjmować nie raczył: stał oko w oko, jak gdyby duszę z oczu moich czytał, z łapą do ciosu gotową, a gdy me cięcia nie były zadawane naprawdę, nie ruszał się wcale.

Czy pan da temu wiarę?

Najzupełniej! przyświadczyłem mu radośnie: takie to

prawdopodobne, iż uwierzyłbym każdemu obcemu, a cóż dopiero panu!

Otóż, przezacny mój przyjacielu, rzekł pan C., posiada pan wszystko, czego potrzeba, by mnie zrozumieć. Widzimy, iż w świecie organicznym wdzięk przejawia się tem promienniej i wspanialej, im refleksya ciemniejszą staje się i słabszą. Atoli, jak przecięcie się dwóch linij po jednej stronie jakiegoś punktu, przeszedłszy przez nieskończoność, po drugiej naraz stronie się znajduje, lub jak obraz w zwierciedle wklęsłem, odbiegłszy w nieskończoność, znów ukazuje się nagle tuż przed nami: tak wdzięk przejawia się znowu, gdy świadomość przejdzie niejako przez nieskończoność; przeto najczystszym wydaje się on, jednako, w takim ciałokształcie ludzkim, który świadomości zgoła nie ma, lub w takim, który posiada nieskończoną, to znaczy, w manekinie lub też w Bogu.

Zatem, odezwałem się z pewnem roztargnieniem, musimy znów pożywać z drzewa Świadomości, by do stanu niewinności powrócić?

Bez wątpienia, odrzekł mi na to: to ostatni rozdział historyi świata. —

PRZEŁOŻYŁ Y. Rz. Henryk von Kleist.

Legendy tęsknoty.



I.

BAŚŃ O RYCERZU PAŃSKIM.



W pierwszych latach mojej młodości trawiła mnie gorączka rozkoszna, złota, rzekłbym — seraficzna, uskrzydlająca duszę ekstazą, podobną w swej istocie do najpiękniejszej ze wszystkich śmierci: do śmierci jasnowidzących.

Skutek to zbyt płomiennych marzeń, których przesilenie jest jakoby zmartwychwstaniem duszy ku nowym próbom wcieleń ziemskich.

Czułem w skroni pulsowanie nieznanych mi dawniej istnień, czułem w oczach rozszerzenie się źrenic ku pochwyceniu zjawów, poza osłoną wzroku utworzonych, i czułem dziki, radosny tryumf duszy, oczyszczającej w ogniach zaświata powłokę cielesną!

Ozdrowiałem nagle, w chwili, kiedy południe wybiło na niebiosach godzinę rozpiętego w przestworach milczenia. Lecz ozdrowiałem niezupełnie: straciłem pamięć przeszłości, straciłem cień, który pada od naszej postaci na tło minionych lat, — cień, bez którego nie jesteśmy sobą...

Powoli i stopniowo jąłem uczyć się na pamięć tej utraconej przeszłości — z listów wypłowiałych i opowiadań matki, — i z własnych nagłych objawień i uprzytomnień. Uczyłem się na pamięć dawniej przeżytych wydarzeń i bólów, — i niegdyś widzianych kwiatów, uczyłem się na pamięć gwiazd i pieśni, i szumów polnych, i jęków fal, i drzew, spotykanych ongi po drogach i lasach, i słodkich imion kobiecych, i nazwisk strumieni błękitnych... A tak, wracając wstecz ku odległym wiosnom i zimom, zbierałem rozsianą po świecie duszę, aby znów stworzyć siebie — w ziemskich złudzeniach.

Alem wciąż jeszcze nie mógł przypomnieć tego, co mnie najbardziej trwożyło nieodpartym rozkazem tęsknoty. Aż pewnej nocy przypomniałem wszystko! Przypomniałem nagle obecność Boga w niebiosach!

I pomyślałem, że jako dziś moja matka, tak kiedyś On przywróci mi pamięć innej, poprzedzającej istnienie ziemskie, przeszłości, przywróci mi cień, który pada od duszy naszej na pustynię prabytu, — cień, bez którego nie jesteśmy sobą!..

Wśród tych zawrotów ku zmroczonej przeszłości, wśród poszukiwań tego, co, mijając, niezupełnie minęło, — ocknąłem w sobie wspomnienie, a raczej opowieść wspomnienia, jedną z tych opowieści, które chętniej od ludzi schodzą w mogiły ukwiecone.

Nie wiem, czyli ta opowieść była rzeczywistem, na pamięć przywołanem zdarzeniem, czyli tworem majaczeń gorączkowych, czyli też snem, co winien był się wcielić,

gdyby go wicher nie porwał i nie przerzucił na jakąś gwiazdę wirującą.

A może—wysnuła się ona z głębin mojej niepamięci...

Leżała wieś nasza wśród jarów tajemniczych i sadów zapuszczonych. Opary błękitne i mgły purpurowe wznosiły się ponad nią, niby wyziewy rozkładającej się w powolnych skonach baśni. Wieczorem — rechot żabi i wrzask gawroni rozdrażniał czujne powietrze muzyką, wywołującą w oczach wizye sztywnego tańca snów, obciążonych wonią ziół i kwiecia.

Zaś po nocy, przy księżycu, tysiące strumieni błyskały w prześwietlonem zmroczu sadów, jaskrawiąc się złudnie i migotliwie. Zdawało się, iż wzajem w niepochwytnych okamgnieniach zamieniają się na swoje różnokształtne zwierciadła, przerzucając się niemi nieustannie wskroś gęstwy liści i gałęzi.

Wieś głucha była i samotna. Wokół — jak okiem cisnął — żadnej osady, żadnej przystani. Kto się wysunął za kołowrot, widział jeno step bezkreśny i widnokręgi, w oczach chodzące od zbyt długiego patrzenia. Zresztą— pustka i tęsknota, co nigdzie miejsca dla siebie znaleźć nie może. Tęsknota od ziemi, — aż do błękitu!..

Jeno w oddali, w nieprzejrzanej szczelinie widnokręgów, majaczył bór na wysokościach tęsknoty, bór — niedoskoczony.

Nikt nigdy nie był w jego cieniach, nie zaglądał do jego wnętrza, nikt nawet w myśli nie śmiał błądzić po niezwiedzonych jego bezdrożach. A ktokolwiek zbliżyć się doń zapragnął, — mógł iść bez końca, życie całe, —

a zawsze miał go przed sobą w jednakiem niedosiężeniu, w śnie widnokrężnym.

Czasem tylko, po nocy, szły z boru szumy na wieś spomroczoną. Budzili się wtedy ludzie z nagłą modlitwą na ustach, czując i rozumiejąc, że Bóg po wsi naszej chodzi i do chat zagląda...

Czczono ten bór zdaleka, bo święty był...

Mówiono, że trwają w jego mrokach rycerze — wojownicy boży — w strojach przezłotnych, na rumakach białych. Gdy chwila nastaje, pędzą szlakiem powietrznym, do boju zjawieni. Powietrze tętni, a oni giną w niebiosach.

Hufy Pańskie, bronią Boga na ziemi.

We wsi naszej odpust był majowy, w dzień świętych rycerzy.

Dwór naszego dziedzica stał na wsi okraju i grążył się w zawiłych ugłębieniach bujnej zieleni, a u stóp miał — jezioro.

Jezioro niewielkie było, w pierścień brzegami ujęte, i tak przezrocze, żeś dno złociste widział tuż pod błękitną powierzchnią. Jedno z tych jezior, w których się odbywa nieustanne wytwarzanie czaru i tęsknotu. Jedno z tych jezior, które uczą marzyć i pozostawiają na oczach ślad jakoby od dotknięcia samego dna, nadającego im mocą samozaprzeczeń — urok bezdeni... Po oczach poznasz tego, co dłużej w ich tonie zazierał...

Po oczach poznasz córkę dziedzicową, że niejeden sen nad jeziorem wyśniła, że niejedno pragnienie mgliste wyprzezroczyła w jego fali!

Córka dziedzicowa — czarnobrewa i błękitnooka — zdawna czuła w duszy płomiennej a dziewiczej przemiany cudowne ku miłowaniu na wieki, — i na sto mil dokoła swych marzeń szukała, kogoby ukochać! I taka — poszukająca — jedna jedyna we wsi naszej zbłądziła myślą

aż do boru, i zadumała się o jego wnętrzu niepoznanem, i zadumała się o jego rycerzach konnych.

W pomroczach jej zadumy płonęły oczy rycerskie, błyskały tarcze złote, dymiły miecze ogniste, i czyjeś usta szeptały, — i czyimś piersiom brakło tchu w pomroczach jej zadumy.



I czuła, jak się jej dłonie przepajają mocą czarów, mocą przywoływań. Aż je pewnej nocy z nad jeziornej otchłani wyciągnęła marzeń obyczajem — w niepojętość, ku borowi, co rozkwitał widnokrężnie.

I tak stała, niespokojna i niepokojąca, wyciągnięciem wonnych dłoni połączona z dookolnemi tajemnicami gwiazdozbiornej nocy. Nieświadoma własnej potęgi, czarowała kogoś dalekiego, niewidzialnego, poza sobą, poza jeziorem, poza wszystkiem, co jest utwierdzone na ziemi!

Niespokojna i niepokojąca, ujrzała nagle, jako z boru świętego głębiny, wywabiony jej wzrokiem, niby pieśnią

zdala słyszalną, wynurzył się wid jakowyś, w rozwachlarzeniu miesięcznego pobrzasku jaśniejący, — i szedł ku niej, ku jezioru i ku wszystkiemu, co jest utwierdzone na ziemi... Szedł uśpiony, lunatyczny, nieodparty...

A wtedy zaszumiał bór, zaszumiał groźnie! Zadrżała wieś w swoich tajemniczych posadach! Ocknęli się ludzie z modlitwą nagłą na ustach i z przerażeniem w źrenicach, bo widzieli we śnie Panią z dłońmi wzniesionemi, i noc, księżycem zażegniętą, — i widmo, z boru wywołane, widmo idące...

A córka dziedzicowa zemdlała wonczas na brzegach jeziornych!

I znowu dziwne obrazy wysnuwają się z głębin mojej niepamięci...

Od owej nocy zemdlenia, — zjawiła się we wsi naszej chata nagła, wśród sadów czereśniowych, a w niej samotnik, nikomu niewiadomy.

Piotr Władyka było mu na imię. Sam siebie tak nazywał. Groźny był i olbrzymi, jakby nie na ziemi i nie dla ziemi zrodzony. Trudno go było pojąć i odgadnąć. Sam sobie był niepojęty... Nie znał swego przyjścia, ani zjawienia. Nie pamiętał przeszłości, z której się wynurzył na wybrzeże dnia dzisiejszego. W oczach miał jakoby północ wiekuistą, północ umówioną, północ przeczuwanego spotkania... Potężny a dumny, gdy szedł przez wieś, — postrach budził dokoła nieokreślony. Nieludzką miał siłę i nieludzką duszę, złemu zaprzedaną. Do kościoła nie chadzał, na bór święty pozierał ukosem, o Bogu zapomniał, a ludźmi gardził.

Nikt nigdy nie był we wnętrzu jego chaty zjawionej, nie zaglądał do jej okien, nie pukał do drzwi jej nie-

gościnnych. Omijano ją zdala, żegnając się pośpiesznie, bo niewiadomo było, kto za chwilę wyjrzy z okien tej chaty, tającej we wnętrzu dzieje nietutejsze...

Stało się to dawno, za czasów pierwszej mojej pamięci, którą utraciłem, zyskując drugą, pełną nieziemskich objawień.

Nie mogę już sobie przypomnieć, jaki grzech, jaką zbrodnię przeciw niebu popełnił Władyka. Pamiętam tylko chwilę, kiedy wieść po ludziach gruchnęła, że Władyka wyklęty jest z kościoła i na wieki pozbawiony ciała i krwi Pańskiej.

Odtąd coraz gęstsze opary i mgły purpurowe kłębiły się nad otchłaniami wsi naszej. Bór święty szumiał złowieszczo. W zwierciadłach strumieni widywano czasem po nocy odbicia rąk załamanych, świetlistych, niewiadomo czyich. Załamywały się na fali i opadały na dno, jakby pragnąc swą boleść i swoje załamanie utopić w strumieniach.

Wonczas podnosił się od brzegu cień przejasny, bezręki i, wniebowstępując, ginął w gwiezdnych bezgraniczach.

A w mrocznym sadzie Władyki czereśnie nie białem, jeno czarnem osnuły się kwieciem.

Jedna tylko córka dziedzicowa domyślała się i nie domyślała tajnego znaczenia niepojętych cudów... Jedna tylko córka dziedzicowa chciała i nie chciała powiedzieć Władyce, zkąd przyszedł i dokąd zaś ma powrócić... Coraz bledsza i trwożniejsza, tłumiąc pragnienia szaleńcze, szeptała niejasne, obłąkane, grzechem zmącone modlitwy za siebie, za jezioro błękitne, i za wieś, cudami trawioną, i jeszcze jedną za bór na widnokręgach, i ostatnią za wszystkich rycerzy Pańskich!..

Modliła się i unikała brzegów jeziornych.

Unikała, dopóki nie nastał wieczór, wśród tysiąca innych dla spotkania dusz dwojga wybrany! Wtedy

wyszła Pani czarnobrewa nad brzegi jeziorne i po drugiej stronie ujrzała Władykę. Ten sam go wieczór do tegoż przywlókł jeziora! Stał, olbrzymi, niedaleki, potępiony od stóp do głów, Bogu i ludziom niemiły! A w oczach miał północ umówioną, a w ustach — czar i rozchylenie do pocałunku. Wyklęty był i upragniony wśród kwiatów, tam — nad jeziorem.

Stali tak oboje, bezwiedni i czujni, przeznaczenia wyczekując i znaku we wszechświecie.

Więc kiedy księżyc wysrebrzył w niebiosach północną godzinę, ocknęła się Pani czarnobrewa do przeznaczeń swoich i, niby wicher, przed się patrzący, biegła wpobrzeż pierścienia jeziornego ku Władyce, aż jej ten pierścień w oku się zazłocił, niby ślubny...

I księżyc widział dwa ciała grzeszne, szamotane rozkoszą, skute w uścisku, w jeden obłęd rzucone.

Parna woń ziół i kwiecia dusiła dwa gardła, zachłyśnięte upojeniem. Noc gorąca chłonęła dwa płomienne oddechy — dwie róże mistyczne, z piersi wywionięte. A dokoła migały świetlaki, niby latarki tajemnicze, przyświecające słodkiemu grzechowi.

Widział to księżyc i nikomu tego nie powiadał.

Lecz wyśledził dziedzic tajemnicę księżycową... I wypędził z progów swego domu córkę pokalaną, i cisnął przekleństwo na jej głowę, na oczy, na brwi czarne, na dłonie rozkoszą jeszcze obciążone.

Opuściła Pani czarnobrewa ojca i dom rodzinny, a poszła za Władyką na zgubę, na wieczność.

Pamiętam, jaki czar i zaklętość otoczyły chatę Władyki, gdy w niej zamieszkała ta Pani, grzechem opętana. Pamiętam, jak, kryjąc się przed okiem Boga i ludzi, nie objawiała się nawet na progu, nawet we drzwiach, nawet koło okien.

Tylko raz, wyczekując Władyki, wysnuła się z wnę-

trza przed chatę, aby go wypatrzeć, przynaglić, wyczarować z widnokręgów...

Stanęła wiotka i smukła, klejnotami wpodłuż wyświetlona, różowym zmierzchu obłokiem, jak tarczą marzeń, osłonięta.

Począł się tłum zbiegać dokoła, — patrzał na zjaw cudowny. Zrazu milczał ponury, widokiem nieziemskim onieśmielony. Milczał, i wahał się, i kołysał, jak morze, piersi do ryku prężące. Aż zawarczał, zaryczał i, skłębiony, jął się zbliżać do zjawu.

Wyklętemu się oddała, ustami jego shańbiona!

I ryczał tłum, i miotał obelgi, przekleństwa i groźby!

Pani trwała nieporuszona, coraz bardziej podobna do snu proroczego, który słońce, zachodząc, pragnie zatrzymać w gasnącej zwolna pamięci.

I w on sen, by go rozproszyć, ugodził nagle kamień, wzgardliwie syczący, — a za nim drugi i trzeci... I zagrały kamienie w powietrzu, jak stłumione krzyki! Zdawało się, iż, dolatując do Pani, w róże się zmieniają. Ale to nie róże były, jeno krwi krople. I krwią zbroczona, zwątpiwszy o wybawieniu, szukała oczyma śmierci.

Lecz oto zamilkł tłum cały i zdrętwiał w przerażeniu. Władykę zobaczył. Szedł Władyka, jakoby go otchłań piekielna na tłumy wyzionęła. Rozstąpiły się przed nim, czekając trwożnie, co pocznie w gniewie swoim.

Lecz on na nikogo nie spojrzał, do Pani czarnobrewej naglił, ujął ją w ramiona potężne, przycisnął okrwawioną do piersi szerokiej i tak ją poniósł w dal, rzekłbyś — w nieskończoność iść z nią zapragnął.

Padał od niego na ziemię cień wielki, konny, uzbrojony, o lat tysiące starszy od samego Władyki, i jakoby dążący we światy przezeń zapomniane...

Odtąd nie widziano go czas długi.

Tylko nazajutrz we wsi naszej nie stało chaty Wyklętego. Jak nagle powstała, tak nagle znikła bez wieści, bez śladu...

Odtąd nie widziano go czas długi.

I znowu dziwne obrazy wysnuwają się z głębin mojej niepamięci. Widzę powrót Władyki! Widzę jego skarby zaklęte, od których blasku ślepną oczy ludzkie. Drży wieś nasza, tętnią strumienie, huczą jary, zasłyszawszy o jego powrocie!

A z wieżycy kościelnej dzwon runął na ziemię z jękiem konającego anioła!

Dziedzic nasz zdawna w grobie leżał. Zawładnął Władyka wsią naszą i zamieszkał w domu dziedzicowym, po nad jeziorem czarownem.

Widzę tę noc, co po stopniach ciszy z księżycem w dłoni schodzi z niebiosów na ziemię. Noc, wiecznie schodząca. Noc, snu pozbawiona.

I widzę, jako Pani czarnobrewa w oknie rozwartem wystawa i na jezioro pogląda. A za jeziorem — wieś, we mgły spowita, w sadach zatopiona — porusza się, rozwiewa, w jakoweś kształty i bezkształty układa się ruchome, majaczeń pełna, księżycowem światłem porażona! Rzekłbyś — nie na ziemi, jeno w bezmiarach dłonią tęsknoty zbudowana.

W komnacie Władyki jarzą się skarby zaklęte, płoną myśli grzeszne, szepcze Pani czarnobrewa:

— „Idzie noc niespokojna. Staje się coś dokoła... Ponad wsią trwoga się moja unasza... Jest ktoś, co chce mi ciebie odebrać. On jest wszędzie... Jemu cię oddać

muszę! Ja i on znamy twoją tajemnicę, a noc już idzie niespokojna...“

— „Mów mi, Pani moja, czemuś blada? Gdy bór szumi, szepczesz słowa, których nie dosłyszę. Powiedz mi te słowa teraz, w blasku skarbów zaklętych!“

— „Nie powiem ci tych słów, bo nie moje... Gdy bór szumi, — moc tajemna każe wszystko tobie powiedzieć... Nie ja wtedy szepczę, lecz coś we mnie! Nie pytaj mnie o te słowa... Gdy bór szumi, — boję się stracić skarb mój najzłotszy — nie zaklęty, jeno wyklęty“...

— „Mów mi, Pani moja, co znaczy sen mój wczorajszy? Widziałem dłonie czyjeś, w przestrzeni wyciągnięte, a z tych dłoni wybłyskiwała w promieniach różowych potęga utajona. Różowe płomienie wsączyły się do boru mrocznego, a z boru wyszło widmo i ustami czyichś ust szukało... Ocknąłem się, jakbym chciał coś przypomnieć, a nie mógł... Wytłómacz mi sen mój wczorajszy.“

— „Nie wytłómaczę ci snu wczorajszego, bo był on mniej, niźli jawą, — więcej, niżeli snem... Niejedno widmo wychodzi z boru, ale nie każde powraca... Niejedne są dłonie o promieniach różowych... Są gwiazdy, które mnie lękają, — są mroki, które mnie trwożą!“

— „Mów mi, Pani moja, kto cię lęka i trwoży? Rozkażę, a w pył się rozwieje, skinę — a prochem się stanie w księżycu. Własną cię piersią przed wszystkiem, co czyha, obronię!“

— „Broń mnie!“ szepcze Pani, i nagle tuż pod szyją łabędzią rąbek jej szaty się odsłania i coś złotego tam błyska.

Krzyż złoty błysnął z pod obsłony... Spojrzał Władyka w ono błyśnięcie, spochmurniał, nic nie rzekł.

Zrozumiała Pani jego milczenie, krzyż z piersi zerwała i przez okno cisnęła do jeziora jak błyskawicę skróśnocną!

Upadł krzyż na sam środek roztoczy, lecz nie tonie... Na fali się trzyma — topielec złoty — i jarzy się i rozjaśnia głębię jeziorną, aż dno widać i ciszę ze dna idącą... Stoi jezioro w mroku — widzialne, znieruchomione, światłością wiekuistą przejęte.

Straszno w niem teraz łódź rozkołysać, straszno siecią badać głębinę!

Odwrócił się Wyklęty od okna, nie patrzy, nie zaziera.

A światłość z głębi jeziornej do komnaty wpływa i rozwidnia skarby zaklęte, aż się poruszają w roziskrzeniu złotem, niby żywe... Poruszają się, i kłębią, i wiją, w czarach bolesnych!

Wciąż odwrócony — pyta Władyka swej Pani:

— „Czy już zatonął?...“

A ona wyjrzała w oścież okna ku jezioru i rzecze drżąca:

— „Nie jeszcze....“

I serce bije w jej piersi, i bledną usta rozchylone, jakby wyszeptać chciały dręczącą, a straszną tajemnicę. Lecz milczą, nic nie mówią. I milczy jezioro, i milczy topielec złoty... Jeno Władyka woła nagle, do obłędu wielkiego podobny:

— „Jest we mnie moc, gdy ją natężę, zmuszę go, aby zatonął!“

I zatonął nagle krzyż złoty! Pociemniało jezioro. Zawył bór na widnokręgach. Zakłębiły się chmury. Zawarczały otchłanie. Wypadła burza z niebiosów, jak śmierć nagła, a niespodziana! Zaryczał piorun, purpurą ziejący, jakoby krwią Pańską gardło miał zalane, — i zbroczył dom Władyki!

Spłonął dom ogniem rubinowym, niezwykłym, majaczącym niby w przeszłości, w mgławicy wieków za-

mierzchłych! Łuna drapieżnym płomieniem wżarła się w chmur kłęby i zczerwieniła wieś otchłanną, rzekłbyś: noc szkarłatna!

Zbiegła się wieś na znak ognia, zbiegła się i patrzy: dom nad jeziorem, grozą pożaru objęty, wije się ku niebu spienionemi bałwanami spurpurowiałego dymu, wije się, kłębi, dyszy, rozpada się potwornie i porusza szkieletem rubinowym, jakby chciał się wyrwać z dławiących ognia uścisków!

Nikt nie chce ratować Wyklętego, nikt nie chce nieść mu pomocy. Nie widać go ani w płomieniach, ani poza płomieniami! Aż oto z drzwi, ogniem opłyniętych, wynurza się postać jego, straszna, olbrzymia, w szkarłatach łuny czerniejąca. Na ręku dźwiga skarb swój jedyny, swoją panią czarnobrewą, zemdloną, bezwładną. Wzgórę ją wznosi i woła;

— „Spaliłeś mój dom, ja bór Twój spalę ogniem za ogień!“

I głos jego grzmi, jakby piorunem na piorun Bogu odpowiadał! To już nie płomień pożaru łuną ugodził we chmury, lecz duch Wyklętego przewiał po nich od końca do końca! Ognie piekielne tam rozżarza, trwogą szarpie niebiosy!

I znowu dziwne obrazy wysnuwają się z głębin mojej niepamięci.

Widzę, jak wieczór jasny różowi drzew wierzchy i na brzegi obłoków kładzie znikliwą pozłotę. Jasny wieczór drogę pylną wybłękitnia i fioletową ciszą powleka strumienie. Kto ma w duszy tajemnicę, niech ją wyzna jasnemu wieczorowi, — kto nie ma — niech zdobędzie!

Widzę, jak Władyka — niegdyś, przed laty — wraz z Panią trwożną idzie drogą a bezdrożem ku borowi.

Był wonczas dzień odpustu, dzień świętych rycerzy.

Idzie drogą a bezdrożem ku borowi, ku nieznanemu. Nikt nigdy nie był w jego cieniach, nie zaglądał do jego wnętrza, nikt nawet w myśli nie śmiał błądzić po niezwiedzonych jego bezdeniach. A ktokolwiek zbliżyć się zapragnął, mógł iść bez końca, życie całe, a zawsze go miał przed sobą w jednakiem niedosiężeniu, — w śnie widnokrężnym! Lecz wielką jest potęga Władyki! Zmniejsza się przestrzeń tajemnicza pomiędzy borem a Wyklętym — pomiędzy borem a Panią trwożną... Zorza ogarnia ziemię całą, a oni — już poza ziemią zbliżają się — niegdyś, przed laty — zbliżają się do boru groźnego. A bór, coraz groźniejszy, w oczach im olbrzymieje, — i w oczach, i w duszach, i nad obłokami!

Dęby, do dębów niepodobne, nieskończonością konarów nieskończoność przesłaniają. Mrok z wnętrza zieje odwieczny, i w mroku tym czuć zdala obecność mnogich rycerzy, niby obecność piorunów, jeszcze nie zbłyskawiconych!

Szumią dęby nad przepaściami, pokłon biją Władyce:

— „Posłuchaj, Władyko, naszych szumów! Zrozum, Władyko, szumy nasze...“

Nie słucha Władyka, nie rozumie. Dłonie wyciąga i mówi:

— „Ogień przejdzie po borze, w popiół dęby obróci, na popiołach zamek wyniosę, złoty zamek dla Pani całującej!“

— „Nie czyń tego!“ szepcze Pani trwożna — „otom ja winna przed tobą, a dęby pokłon ci biją, i On sam zdawna cię już ukochał!“

— „Kto?“ pyta Władyka.

— „Bóg!“

I echo tego słowa bór w stu piorunach powtórzył stokrotnie!

A Pani trwożna drży, jak lutnia, siedmiostrunnym lękiem w siedem bezmiarów rozpięta! I woła — niegdyś, przed laty — głosem innym, nieswoim, jakoby z boru wychodzącym:

— „On kocha ciebie — Wyklętego! Kocha potęgę twoją, i dumę, i grzeszne twoje serce! On nad tobą dłonie w bólu załamywał, które w strumieniach widziano. On kazał czereśniom żałobę przywdziać po swym panu, i dom twój zniszczył, abyś nie na ziemi domu swego szukał!.. On do stóp ci dzwon cisnął z wieżycy kościelnej i wabił cię krzyżem nietonącym na fali! I ścigał cię, ścigał po ziemi całej, ścigał piorunem i ogniem pożarnym, i mną — mną, która idę za tobą przez życie! Tyś z Jego rozkazu mnie grzeszną i trwożną, jako modlitwę wznosił



ku niebu w kłębach dymu i ognia! Modlitwą jestem potępionego, i bez ust twoich czułam się, jakoby niewymówioną i niewyszeptaną ku Bogu! I teraz z jego rozkazu, głosem, który mię boli, wołam do ciebie: Rycerzu Pań-

ski, grzechem obłąkany, gdzie rumak twój biały, gdzie tarcza złota, gdzie miecz ognisty?“

I zamilkła Pani, głosem nieznanym mówiąca, zamilkła i oniemiała na wieki! Jeno bór echem powtórzył:

— „Gdzie rumak twój biały, gdzie tarcza złota, gdzie miecz ognisty?“

I przypomniał Władyka wszystko, i z objęć Pani oniemiałej rwał się ku borowi. Wonczas ona poraz ostatni, dłońmi zarzuconemi na szyję zatrzymała go na samych progach wieczności! I chciała go puścić, i nie chciała! I pragnęła go stracić, i nie pragnęła...

A on — zatrzymany — błądził myślą we wspomnieniu — i we wspomnieniu zazłociło mu się coś, zamigało, zatętniło...

Zamigało, zatętniło, zazłociło się za drzew kolumnami. I wypadł z boru głębiny huf rycerzy, niby sen zbrojny i strojny. Pędzą rumaki białe, ogromne, niewstrzymane. Pędzą w szyku bojowym. Od tarcz złotych, od mieczów ognistych brzask się czyni w całej nieskończoności, brzask tajemniczy! Suną rycerze, cisi, letargiczni, niezliczeni, niezgadnieni! Suną w dzień odpustu — niegdyś, przed laty... A wśród nich rumak jeden biegnie bez jeźdźca... Zoczył go Władyka i zrozumiał, czyj to rumak samotny...

Zbliżają się rycerze do Wyklętego, zbliżają się ich twarze zadumane, zbliżają się ich tarcze złote, zbliżają się miecze dymiące...

Pochylił Wyklęty głowę i szepnął:

— „Niech będzie pochwalony...“

Wonczas pierwszy z rycerzy na przedzie z rumaka pokłonem go powitał i głosem surmowym, jakoby zwiastującym w nieskończoność zwycięstwo wiekuiste, zawołał:

— „Na wieki!“

A za nim drugi i trzeci — i huf cały przywtórzył chóralnie:

— „Na wieki!“

I przejeżdżali rycerze koło Władyki, i jeden za drugim unosili się konno w powietrzu, zbroicą groźnie połyskując. Jeden za drugim wpływali w obłoków zawrotne doliny. W onych dolinach — niegdyś, przed laty — niecąc kurzawę złocistą, znikli w błękitach poza dolinami!

Padł Wyklęty na ziemię i duszą zionął w bezmiary! Jeno rumak biały, wierny, został przy nim, niby odłam snu, zniknionego w niebiosach, — i nad jego zwłokami, z nogą do biegu wniesioną, kamieniał zwolna w posąg nieruchomy... A Pani trwożna uklękła nad Władyką, niby jego modlitwa pośmiertna, już niema, a jeszcze nie wysłuchana!

Odtąd niejedna zorza zgasła, niejedna gwiazda zapaliła się w niebiosach, a ta Pani, w milczeniu klęcząca nad grzesznym trupem rycerza Pańskiego, trwa dotąd w głębiach mojej niepamięci!

Bolesław Leśmian.

MIŁOŚĆ.

OSOBY:

NIESZCZĘŚLIWY.
SZCZĘŚLIWY.



AKT PIERWSZY.

Późny wieczór. Czarne chmury. Korony drzew niewidzialne, słychać tylko jak gdyby poszum morski, gdy wiatr śród nich przeciąga. W dole, na ziemi, szelesty i szmery w krzewach trącanych powiewem. Dwa oświetlone okna, niby oczy osłupiałe wytrzeszczone w ciemność. Domu samego nie widać.

Skrzyp drzwi otwieranych ostrożnie. Żadna smuga światła nie pada przez szparę. Nieco później, przyciszone kroki po żwirze. Potem, wycie wiatru. Naraz chrzęst liści i trzask gałęzi. Dzikim skokiem rzuca się ktoś w gęste zarośla. SZCZĘŚLIWY chwyta coś obu rękoma. Paznokcie jego wpijają się w to coś kurczowo.

SZCZĘŚLIWY.

Kto jesteś? Nie chcesz, łotrze, wykrztusić nazwiska? A ja muszę je wiedzieć. Wytrzęsę je z ciebie, jak się owoce z drzew otrząsa. — Złodzieju! Łajdaku! Opryszku! — Nazwisko, prędzej, mówię ci! — Nie chcesz? — i nie próbujesz nawet uwolnić się z mych rąk — nie jękniesz ani razu — więc zaduszę cię, nie wiedząc, kto jesteś! Złodzieju! Nieszczęśniku! — (Puszcza go i mówi cicho:) Jednego znam

tylko człowieka, który zdoła tak ani drgnąć, gdy ktoś mu krtań ściska. Więc to ty j e d n a k.

NIESZCZĘŚLIWY.

Wiedziałeś to przecie odrazu.

SZCZĘŚLIWY.

Wiem od lat pięciu, że, jeśli kto w ciemną noc włóczy się koło domu i kryje śród zarośli, to ty nim być musisz. — Alem się mądrze wziął do rzeczy, nieprawdaż? Przyłapałem cię niespodzianie, — łotrze!

NIESZCZĘŚLIWY.

Widziałem cię oddawna, przez cały czas. — Twoją twarz białą, gdy tam w ciemnym pokoju, na prawo od werandy, do szyb ją przycisnąłeś — drzwiczki boczne, gdyś je uchylał i wykradał się do ogrodu —

SZCZĘŚLIWY.

I nie uciekłeś?

NIESZCZĘŚLIWY.

Nie.

SZCZĘŚLIWY.

Musisz być bardzo odważny?

NIESZCZĘŚLIWY.

Nie bałem się nigdy.

SZCZĘŚLIWY.

Mógłbym cię był zdusić.

NIESZCZĘŚLIWY.

Ale-ś tego nie zrobił. Czy mamy rozmawiać dalej, czy też rozejdziemy się?

SZCZĘŚLIWY.

Pójdź może tam bliżej do światła, abyśmy mogli rozeznać wzajemnie swe rysy?

NIESZCZĘŚLIWY,

Jak chcesz.

SZCZĘŚLIWY.

Ja — ja — nie chcę twoich widzieć.

NIESZCZĘŚLIWY.

Jak chcesz.

SZCZĘŚLIWY.

Oddalmy się od domu. Tam na samym krańcu ogrodu jest ławka. Uważaj, gdzie stąpasz! Poprowadzę cię! Znam tu krok każdy.

NIESZCZĘŚLIWY.

Ja także.

SZCZĘŚLIWY.

Zatem nie pierwszy raz. Od jak dawna?

NIESZCZĘŚLIWY.

Od tygodnia dopiero. — No, o mało-ś się nie potknął.

SZCZĘŚLIWY.

Ledwie można ścieżkę odróżnić od murawy.

NIESZCZĘŚLIWY.

Moje zmysły przywykły do ciemności. Ja widzę zieleń traw.

SZCZĘŚLIWY (idąc).

Tu wielka grzęda róż.

NIESZCZĘŚLIWY.

Poznaję zapach.

SZCZĘŚLIWY.

Tu rosną gwoździki.

NIESZCZĘSLIWY.

Zerwałem jeden — czerwony — zauważyłem go za dnia.

SZCZĘŚLIWY.

W tym kierunku stoi akacya.

NIESZCZĘŚLIWY.

Wiem. Dotknąłem którejś nocy ręką jej liści i poznałem je po kształcie.

SZCZĘŚLIWY.

Zamilcz!

NIESZCZĘŚLIWY.

Skręciwszy za ten róg, będziemy u ławki.

SZCZĘŚLIWY.

Zamilcz! Zamilcz! — (Siada). Tuśmy bezpieczni i niewidzialni.

NIESZCZĘŚLIWY.

Tak, tu możesz być spokojny — tu nie zobaczysz mej twarzy.

SZCZĘŚLIWY.

Posiwiałeś?

NIESZCZĘŚLIWY.

Z tęsknoty.

SZCZĘŚLIWY.

A ja nie zmieniłem się.

NIESZCZĘŚLIWY.

Spostrzegłem odrazu, żeś pobielał cały.

SZCZĘŚLIWY.

Czy możesz dostrzedz i moją twarz?

NIESZCZĘŚLIWY.

Postarzała.

SZCZĘŚLIWY.

Tak — tak — cierpiałem tak strasznie.

NIESZCZĘŚLIWY.

Będziemy zatem rozmawiali? Czy mamy zacząć od początku? Od owego letniego dnia w alei, kędyśmy, dwaj serdeczni przyjaciele, ty młodzian lat dwudziestu czterech, ja dwudziestu trzech, dzień w dzień, od samego dzieciństwa, się przechadzali? Żaden z nas nie mógł się jej wyrzec, żaden z nas nie chciał się jej wyrzec — jej — jej! Ja byłem pierwszy; zwierzyłem ci się ze swych marzeń — toć wówczas zwierzałem ci się ze wszystkiego. Wtedy dopiero otworzyły ci się na nią oczy — przedtem nie byłbyś jej zauważył. Czy pamiętasz jeszcze, jak-em ci rzekł, tam, w alei, że niechaj ma ją ten z nas, który ją pozyskać zdoła? Chcieliśmy postępować uczciwie jeden względem drugiego, chcieliśmy pozostać przyjaciółmi.

SZCZĘŚLIWY.

Tego-śmy nie zdołali.

NIESZCZĘŚLIWY.

Tego ty nie zdołałeś. Ale — walczyć chcieliśmy — ten miał ją posiąść, kto ją wywalczy.

SZCZĘŚLIWY.

Nie wywalczył-żem jej?

NIESZCZĘŚLIWY.

To też należała do ciebie.

SZCZĘŚLIWY.

Ale ty — usunął-żeś się z naszej drogi?

NIESZCZĘŚLIWY.

Ja? Toć ciągle jeszcze mogę ją zdobyć.

SZCZĘŚLIWY.

Ścigasz nas.

NIESZCZĘŚLIWY.

Nie. Idę tylko za wami — czekam.

SZCZĘŚLIWY.

Na co?

NIESZCZĘŚLIWY.

Gdybym nie miał w to wiary, nie żyłbym dawno.

SZCZĘŚLIWY.

Jakżeś nas tu odnalazł?

NIESZCZĘŚLIWY.

Uganiałem się po całym świecie, zaglądałem przez najwyższe mury i najgęstsze zarośla miejsc samotnych.

SZCZĘŚLIWY.

I całe te lat pięć tropiłeś nasze ślady?

NIESZCZĘŚLIWY.

Od owego wieczora. Przez pierwsze dwa lata od

chwili, gdy twoją została, widywałeś mię tak rzadko, jak rzadko widuje się chaber na wydmie piaskowej. Ale nic nie uchodziło mej baczności, bo stróżowałem oczyma, przed któremi nic ukryć się nie może. I później powiedziałem ci — czy pamiętasz to jeszcze? tego samego wieczora? — że straciłeś ją znowu, i że odtąd prawem słuszności nie jest ona już twoją! — Nazajutrz wyjechaliście nagle — a ja przypomniałem sobie, jak-eś zadrżał, gdym ci to mówił.

SZCZĘŚLIWY.

Przecież ja ją zdobyłem. Przecież ja ją zdobyłem!

NIESZCZĘŚLIWY.

W chwili upojenia, które pierzchło, gdy oczy jaśniej patrzeć zaczęły.

SZCZĘŚLIWY.

Silną masz wiarę.

NIESZCZĘŚLIWY.

Bez niej, nie żyłbym.

SZCZĘŚLIWY.

Nie wymówiła ani razu twego nazwiska.

NIESZCZĘŚLIWY.

Ale-m za to ciągle w jej myślach.

SZCZĘŚLIWY.

Tak sądzisz?

NIESZCZĘŚLIWY.

I ty sądzisz tak samo! Gdyby nie to, czyżbyś się mnie lękał? Widzę cię, jak chodzisz w kółko, niespokojnie — obraz mój zwierciedli się w jej oczach, ilekroć spoj-

rzy na ciebie — a ilekroć mówi cokolwiek, ty słyszysz tylko odpowiadające jej dźwięki mojego głosu.

SZCZĘŚLIWY.

Widziałeś ją?

NIESZCZĘŚLIWY.

W myślach.

SZCZĘŚLIWY.

Ciągle jeszcze ta sama.

NIESZCZĘŚLIWY.

Tak, ciągle. I taka będzie zawsze. Ale te pięć lat posunęły ją o jakieś lat dwadzieścia.

SZCZĘŚLIWY.

Zkąd to wiesz?

NIESZCZĘŚLIWY.

Nie kochałbym jej chyba, żebym tego nie wiedział! Widzę jej spojrzenie, gdy oczy ma zamknięte, słyszę jej myśli, gdy nic nie mówi. — Powiedz, czemu ona przez sen się skarży?

SZCZĘŚLIWY.

Słyszałeś to?

NIESZCZĘŚLIWY.

Raz słyszałem rzeczywiście — wieczorem, w nocy — przez zamknięte okiennice — ale wtedy nie spała. Głos jej drżał, gdy się żaliła. Był to jakby przeciągły krzyk, złożony z mnóstwa małych! Ona jest chora.

SZCZĘŚLIWY.

Przyszło to na nią w ostatnich latach.

NIESZCZĘŚLIWY.

W ostatnich pięciu latach.

SZCZĘŚLIWY.

A powraca coraz częściej, coraz częściej. Ciało jej skręca się w kurczach. Na ustach pokazuje się piana — cierpi, cierpi — ach jakże ona cierpi! Wszystkiego próbowałem, zwoływałem lekarzy ze wszystkich stron świata —

NIESZCZĘŚLIWY (powstając).

Słyszysz! — Słyszysz? Znowu! Jakże ona jęczy! Czy nie możesz zwrócić jej wolności? Nie możesz?

SZCZĘŚLIWY.

Nie mogę.

NIESZCZĘŚLIWY.

Więc idź do domu, do niej! Głaszcz ją tylko po twarzy! Całuj tylko trwożne jej oczy! Podłóż ramię pod znużoną jej głowę! — Dobranoc! (Wychodzi).

SZCZĘŚLIWY (woła za nim).

Idź! Idź! — Potykaj się na kamieniach! Rozbijaj się o drzewa! Nienawidzę cię! Złodzieju! Rabusiu! Czemużem cię nie zdusił?



AKT DRUGI.

Ranek. Komórka na strychu w karczmie wiejskiej. Słońce świeci przez okno w dachu na bielone ściany. Łóżko z siennikiem, kulawy stołek, stoczony przez robaki stół sosnowy — żadnych innych sprzętów. Jedyne przedmioty zbytku: — książka, którą NIESZCZĘŚLIWY czyta, i pół podkowy nade drzwiami. Pukanie.

SZCZĘŚLIWY.

Tak, teraz widzę — posiwiałeś rzeczywiście. Znajdujesz może, iż ja także —?

NIESZCZĘŚLIWY.

Przecież widziałem cię niedawno w ciemności.

SZCZĘŚLIWY.

Mieszkasz niezbyt wygodnie.

NIESZCZĘŚLIWY.

Wiesz dobrze, nie byłem nigdy bogaty — a w ostat-

nich latach nie zbogaciłem się również. (Wstając). Proszę cię, oto stołek! Ja siądę na łóżku.

SZCZĘŚLIWY (siadając).

Nie dziwisz się, że przychodzę do ciebie?

NIESZCZĘŚLIWY.

Oczekiwałem cię.

SZCZĘŚLIWY.

Aleś nie przeczuwał przecie, że to ja zapukałem?

NIESZCZĘŚLIWY.

Poznałem kroki twoje na schodach.

SZCZĘŚLIWY.

Czy słyszałeś, jak potknąłem się?

NIESZCZĘŚLIWY.

Gdybyś pewnie wchodził na górę, nie myślałbym, że to ty — powiedz mi wszakże, czego chcesz.

SZCZĘŚLIWY.

Chciałem cię zobaczyć.

NIESZCZĘŚLIWY.

To nieprawda.

SZCZĘŚLIWY.

Przyszła mi chęć — chęć — pomówić z tobą.

NIESZCZĘŚLIWY.

I to nieprawda.

SZCZĘŚLIWY.

Cóż więc takiego?

NIESZCZĘŚLIWY.

Ona chora śmiertelnie.

SZCZĘŚLIWY.

Kto ci to powiedział?

NIESZCZĘŚLIWY.

Skarga jej brzmiała jak szlochanie opuszczonego dziecka.

SZCZĘŚLIWY.

Nie — nie zdołam już dłużej tego znosić! Noc i dzień, dzień i noc — ach, jakże ona cierpi! Ach, jak ja cierpię! — — Mówże tedy! Wiesz dobrze, po co tu jestem. — Mówże!

NIESZCZĘŚLIWY.

Powiedz sam!

SZCZĘŚLIWY.

Pójdziesz ze mną?

NIESZCZĘŚLIWY.

Zrzeczesz się jej?

SZCZĘŚLIWY.

Nie mogę. Czy pójdziesz mimo to?

NIESZCZĘŚLIWY.

Wiesz ty, co robi lekarz, gdy uzdrawia chorego, który zmarłby bez jego pomocy? Obdarza człowieka życiem, na świat z powrotem go wiedzie. Czy rozumiesz, co to znaczy? A jeżeli lekarz wie, że życie czekające tego człowieka jest nędzą niewysłownej pełną goryczy? Czy nie zdaje ci się, że, ratując umierającego, zdradza go przez to poniekąd?

SZCZĘŚLIWY.

Nie trać czasu. Każda chwila nagli.

NIESZCZĘŚLIWY.

Rozumiesz-że ty sam, czego żądasz?

SZCZĘŚLIWY.

Tylko tego, abyś był przy niej, tylko aby ona poczuła, że jesteś przy niej! — Tak, widzisz, co się ze mnie zrobiło — siedzę oto tutaj i żebrzę — do tego doszedłem — ani snu — ani spokoju —

NIESZCZĘŚLIWY (powstaje).

Więc chodź! Mimo wszystko pójdę z tobą. — Nie wstajesz? Nic zatem nie nagli?

SZCZĘŚLIWY.

Powiedz mi tylko jedno. Gdy przyjdziemy do niej — co będziesz robił?

NIESZCZĘŚLIWY.

Boisz się? Chcesz wyraźnej umowy? — czy godzisz się, bym włosy jej pogładził — czy mogę zimną jej rękę w swoich rozgrzać dłoniach — czy wolno mi czoło jej ucałować —

SZCZĘŚLIWY.

Tego się nie waż!

NIESZCZĘŚLIWY.

W gruncie rzeczy, na cóż się to przyda, że z tobą pójdę? Gdy dojdziemy do drzwi, nie odważysz się otworzyć ich przede mną!

SZCZĘŚLIWY.

Nie waż się w oczy jej patrzeć! Nie będziesz? prawda? Czy słyszysz?

NIESZCZĘŚLIWY.

Przecież od tylu tygodni leży ciągle z zamkniętemi oczyma.

SZCZĘŚLIWY.

Nie waż się również nic szeptać jej do ucha.

NIESZCZĘŚLIWY.

Gdyby była przytomna i mogła słyszeć i rozumieć, nie byłbyś po mnie przyszedł. Pójdź! Czemuż ociągasz się jeszcze?

SZCZĘŚLIWY.

Czy obiecujesz mi —

NIESZCZĘŚLIWY.

Oszczędź sobie tych ostrożności. Nie zabiorę ci jej — nie dziś przynajmniej — mogę czekać. Czy słyszałeś, com ci mówił przed chwilą o odpowiedzialności lekarza? Mimo to idę z tobą. Bo gdyby umarła, nie zostałaby nigdy moją. Dla tego powrócę jej zdrowie i ciebie jej oddam. Pójdź zatem! Chwiejesz się. Pozwól, że cię sprowadzę ze schodów. Strome są jak drabina Jakubowa.



AKT TRZECI.

W willi. SZCZĘŚLIWY i NIESZCZĘŚLIWY wchodzą i zatrzymują się w przedsionku.

NIESZCZĘŚLIWY.

Zdaje mi się, iż listwy podwoi obite aksamitnemi krajkami?

SZCZĘŚLIWY.

Aby nie było słychać, gdy kto drzwi nieuważnie zatrzaśnie.

NIESZCZĘŚLIWY (ogląda się dokoła).

Cały ogród!

SZCZĘŚLIWY.

Wiesz przecie —

NIESZCZĘŚLIWY.

Tak, lubiła zawsze kwiaty.

SZCZĘŚLIWY.

Idźmy na górę. (Idzie naprzód).

NIESZCZĘŚLIWY.

Aksamitne kobierce na schodach.

SZCZĘŚLIWY.

Tak, aby miękko było chodzić.

NIESZCZĘŚLIWY.

Stary witraż tam w oknie —

SZCZĘŚLIWY.

Szkła kolorowe tłumią światło. — Słońcu nie wolno tutaj razić.

NIESZCZĘŚLIWY.

I te kotary jedwabne — nie przypominam sobie, bym kiedy widział barwy tak piękne.

SZCZĘŚLIWY.

Wiesz przecie —

NIESZCZĘŚLIWY.

Tak, lubiła kolory, miała oczy wrażliwe na każde piękno. Cudowna rzecz, jak ten jedwab' się mieni. Słońce przedziera się przez czerwony skraj szat Najświętszej Panny na witrażu i wężykiem spływa, niby krwawa żyła, aż w mroki sfałdowanych firanek. — Czemu chwytasz mię za ramię?

SZCZĘŚLIWY.

Słyszysz?

NIESZCZĘŚLIWY.

Co?

SZCZĘŚLIWY.

Jak ona jęczy.

NIESZCZĘŚLIWY.

Ten dźwięk nie przestał mi brzmieć nigdy, odkąd po raz pierwszy go usłyszałem. Zaciął się, niby ostry nóż, w moją duszę. Ale z każdym dniem stawał się łagodniejszym; brzmiał tak wzruszająco jak płacz dziecięcy, a nocą drgał mi w uchu niby srebrne dzwoneczki. — (Wskazuje ręką:) Te drzwi?

SZCZĘŚLIWY.

Odgadłeś to?

NIESZCZĘŚLIWY.

Czułem, jak drgnąłeś, gdyśmy się do nich zbliżyli. Masz-że odwagę je otworzyć?

SZCZĘSLIWY.

Nie mogę.

NIESZCZĘŚLIWY.

Więc ja to zrobię.

SZCZĘŚLIWY.

Nie, ja sam, ja sam! (Otwiera drzwi.)

Plafon z jasnego jedwabiu. Ściany powleczone miękkiemi tkaninami pięknych barw. Na kobiercu wiją się blade róże, zapadające głęboko pod niedosłyszalnemi krokami. W pośrodku sali proste łóżko polowe.

NIESZCZĘŚLIWY.

Puść mnie teraz! Nie masz się czego bać. Spojrzyj

tylko na nią! Chore, bezsilne dziecko, które nie zdołałoby nawet powiedzieć tak, gdybym ją o co prosił, ani nie, gdybym jej przykrość jaką chciał sprawić. Świętokradztwem-by było choćby włosy jej z czoła odgarnąć. — To twoje siedzenie, tam, koło łóżka? Musisz mi je na chwilę odstąpić. Siądę i będę ją uczył, jak śnić się powinno z rumieńcem na licach.

SZCZĘŚLIWY.

Nie szepcz jej nic do ucha.

NIESZCZĘŚLIWY.

W kościele stłumionym zawsze mówię głosem.

SZCZĘŚLIWY.

Czy mogę siąść koło ciebie?

NIESZCZĘŚLIWY.

Siadaj, gdzie chcesz. Dla mnie — niema cię tutaj — i dla niej również. (Siada przy łóżku). Julio, czy pamiętasz jeszcze owe dni letnie, gdy strumyk śród ogrodu jasne wody toczył, i odbijał w sobie krzaki różane, i szemrał na białych kamieniach, i zwierciedlił ciebie i mnie, dwoje uśmiechniętych dzieci między wielkiemi liśćmi podbiału? I łamaliśmy liście, i puszczali niby łodzie na strumień, który unosił je daleko — tak daleko, żeśmy w końcu już ich dojrzeć nie mogli. I wyobrażaliśmy sobie, że popłynęły ku niwom błogosławionym, kędy wielkie świetliste rosną kwiaty, o woni odurzającej. — Łodzie wracają! Łodzie wracają!

SZCZĘŚLIWY.

Co chcesz przez to powiedzieć?

NIESZCZĘŚLIWY.

Julio! Czy pamiętasz jeszcze ów wieczór pod gęstwi-

ną lip rozłożystych? Co ginęło w zgiełku dziennym, to budziły do życia nowego ich okwiaty, wyziewające słodką baśń wonną. Na drzewach kołysały się ptaki, ptaki-śpiewaki. Tryle ich drgały w powietrzu nad naszemi głowami, — a był jeden, który wyciągał tak fletniowo, tak tęsknie! A potem — jeden po drugim odleciały precz od nas, jeden po drugim przestały śpiewać. Był wieczór. Ptaki odlatywały na gniazda, ptaki szły spać, i noc smętna leżała naokół, cierpliwie rannego oczekując słońca. — Julio! Ptaki wracają! Ptaki wracają!

SZCZĘŚLIWY.

Nie rozumiem cię — głos twój brzmi jakby z odległej dali.

NIESZCZĘŚLIWY.

Julio, mała Juleczko! Czy wspominasz jeszcze ów ranek, gdy powietrze i morze zlewały się migotliwie? Małe ciemne łódki, stojące na kotwicach, wyglądały jak zawieszone w powietrzu i zwierciedlące się w jakiemś jasnem niebie. Wiosłowałem — i za każdem najmniejszem posunięciem się łódki mieliśmy wrażenie, żeśmy bliżej widnokręgu — nigdy wszakże nie mogliśmy dotrzeć do miejsca, gdzie woda i powietrze przelewały się jedno w drugie. Płynęliśmy ku jakimś krainom czarodziejskim, których wybrzeże cofało się ciągle. Z tej dali toczyły się ku nam fale za falami, i szarpały nasz ster, i chciały zatrzymać łódkę! Wszystkie odpychały nas w tył, żadna nie unosiła nas tam! — Julio, mała Juleczko, fale z powrotem toczą się w dal! Fale z powrotem toczą się w dal!

SZCZĘŚLIWY (zrywając się).

Patrz! Patrz! — nie widzisz? — Rumieniec na jej twarzy! Od lat, od lat, była biała jak wosk. Patrzaj-że! Patrzaj!

NIESZCZĘŚLIWY (powstaje).

Tak — wróciłem ci ją zatem.

SZCZĘŚLIWY.

Budzi się! Odejdź, odejdź!

NIESZCZĘŚLIWY.

Aby nie słyszeć jej krzyku, gdy odemknie oczy, obejrzy się dokoła i mnie nie znajdzie. Ale — ty go usłyszysz! Ty go usłyszysz!

SZCZĘŚLIWY.

Odejdź — prędko, prędko!

NIESZCZĘŚLIWY.

Jak chcesz.



AKT CZWARTY.

Wieczór. Ciemny pokój w willi.

NIESZCZĘŚLIWY (uchyla drzwi).

Tyś tutaj, nieprawdaż? Tam, w tym ciemnym kącie?

SZCZĘŚLIWY.

Szukałeś mnie zapewne po całym domu?

NIESZCZĘŚLIWY.

Zajrzałem przez okno z ogrodu. Gdzie było najciemniej i najdalej od pokoju, w którym umarła, tam szukałem cię odrazu.

SZCZĘŚLIWY.

Zdaje ci się może, iż ukryłem się przed tobą?

NIESZCZĘŚLIWY.

Przed sobą raczej, — gdybyś mógł to zrobić.

SZCZĘŚLIWY.

Oglądałem się dziś za tobą w kaplicy. Nie przyszedłeś?

NIESZCZĘŚLIWY.

Pożegnałem ją u siebie w domu. Do komórki pod strychem kazałem ogrodnikowi naznosić akacyi i gałązek dębowych, i przystroiłem nagie ściany. Na stole rozpostarłem obrus, olśniewająco biały, jak szaty zmarłej, postawiłem na nim róże, gwoździki i butelkę burgunda. Szklanki były dwie — i nalałem w obydwie. Przez całe te pięć lat nie miałem w ustach kropli wina — nie miałem go za co kupić. Słyszałem dzwon bijący na wieżyczce kaplicy i skrzyp kół karawanu, toczących się po wilgotnym żwirze drogi przed moim domem. Nie wyjrzałem przez okno. Podniosłem szklankę pod słońce — wino płonęło jak krew serdeczna — spojrzałem ku jasnemu niebu, co cicho leżało nad ziemią — jaskółka krążyła zwinnie, skowronek wzbijał się ze świegotem — wyszeptałem pożegnanie i dzięk.

SZCZĘŚLIWY.

Dla mnie dzień ten był jedną w słup obracającą okropnością. Światło raziło mi oczy. Woń róż w kaplicy doprowadzała mnie prawie do omdlenia... dźwięki dzwonów padały mi na głowę niby głuche ciosy. A ty — tyś zdołał urządzać sobie uroczystości?.. Cóż będziesz robił teraz?

NIESZCZĘŚLIWY.

Mam-że ci powiedzieć, co ty będziesz robił? Dzień jeden przesiedzisz w głębokiej ciemności, ale nazajutrz nie zapuścisz już zasłon, a trzeciego dnia wyjdziesz na dwór, na słońce. I wkrótce ty to będziesz wyprawiał sobie uro-

czystości. Nakryjesz stół obrusem, tak olśniewająco białym, jak szaty zmarłej, postawisz na nim róże i gwoździki, i butelkę burgunda, i dwie szklanki, i napełnisz obydwie, i obie zostaną wypróżnione. Nie podniesiesz szklanki swojej pod słońce, nie spostrzeżesz, że wino ma barwę krwi serdecznej. Ale nim wypijesz, będziesz już wpółpijany włosów złotych wonią. — Szczęśliwy człowiecze! Szczęśliwy człowiecze! Ty będziesz miał ciągłe święto. Ty nie jesteś pasierbem, jak ja, który raz jeden w życiu mogłem sobie święto urządzić.

SZCZĘŚLIWY.

Byłeś zawsze lubownikiem zagadek.

NIESZCZĘŚLIWY.

Wyprowadzam tylko wnioski z jednego o drugiem. Płakałeś dzisiaj tak wiele — będzie tak, jak mówiłem.

SZCZĘŚLIWY.

A ty? Pójdziesz zapewne do klasztoru?

NIESZCZĘŚLIWY.

Pójdę tłuc kamienie przy drodze. Na szerokim gościńcu wiejskim o stu kolejach — tam, kędy biała babka i niebieska cykorya w gorącym krzewią się piasku i w południowem słońcu płoną — tam siadywać będę nad brzegiem rowu. Ciężkim młotem żelaznym o krótkim trzonku łupać będę wielkie kamienie, ogładzone w ciągu tysiącoleci na okrągło przez morskie fale — jednostajnie będę je druzgotał na drobne ułomki, które sypie się w piasek, tam, gdzie koła wozów nazbyt głęboko zapadają. Pies mego gospodarza biegać będzie dokoła, i lizać mi ręce, i dzielić mój posiłek. Znużeni starzy wędrowcy i młodzież z piosnką na ustach pozdrawiać mnie będą i żegnać,

mijając, życzliwem głowy skinieniem. I tak oto życie przeciągać będzie przede mną, piękne, żwawe życie, tu kwapiące się ku zgryzocie, ówdzie ku szczęściu — a ja siedzieć będę i przyglądać się, niegnuśnie bynajmniej, bo odrabiając robotę, której kto inny musiałby się podjąć, gdybym ja nie chciał. Może któregoś dnia, gdy słońce stać będzie wysoko, młot wypadnie mi z ręki — jedyną istotą, która się oto zatroszczy, będzie pies gospodarza. On, wietrząc posiłek, językiem przymknie mi powieki.

SZCZĘŚLIWY.

Co ty tam robisz?

NIESZCZĘŚLIWY.

Zapalam światło. (Robi tak). Nie będziesz, ufam, nic miał przeciwko temu, że obejdę jeden po drugim wszystkie domu pokoje, tak tylko, na pozdrowienie i pożegnanie? — Czy pójdziesz razem?

Wychodzą z komnaty — i zwolna, po różnych schodkach, to na górę, to na dół, obchodzą pokoje.

SZCZĘŚLIWY.

To jadalnia.

NIESZCZĘŚLIWY.

Nie potrzebujesz wskazywać mi miejsca, gdzie siadywała. Widzę ją tam. Jedyne światło, które niosę w ręku, razi mi oczy, jakby wszystko wokół skrzyło się od blasków. — Słyszę śmiechy, brzęk szklanek. Ale tam, gdzie ona siedzi, blada gospodyni, tak cicho jest, tak cicho.

SZCZĘŚLIWY.

Oto mała bawialnia, gdzieśmy siadywali wieczorami.

NIESZCZĘŚLIWY.

Miała zasłonkę na lampie. Nie chcę otwierać fortepianu — i tak widzę białe jej palce na białych klawiszach — i tak słyszę tony — poznaję melodye.

SZCZĘŚLIWY.

A tu znowu siadywaliśmy często w dni gorące — przed południem — drzwi na ganek mieliśmy otwarte.

NIESZCZĘŚLIWY.

Ona siadała tu przy drzwiach — na tem nizkiem krzesełku — i głęboko wdychała powietrze, i patrzała w ogród, jakby wyglądając —

SZCZĘŚLIWY.

Te drzwi — do sypialni.

NIESZCZĘŚLIWY.

Przesuńmy się cicho koło nich. Nie chcę tam wchodzić.

SZCZĘŚLIWY.

Tu jest —

NIESZCZĘŚLIWY.

Wiem. Zaciszna, mała komnatka, kędy kryła się w chwilach znużenia, gdy jej zimno było i nie mogła się uśmiechać. Podkładała sobie poduszkę pod głowę — widzę jeszcze jej włosy połyskujące na jedwabiu.

SZCZĘŚLIWY.

Nie ruszaj poduszki.

NIESZCZĘŚLIWY.

Nie miej obawy! Nawet gdyby jeden z miękkich jej

włosów na niej został, trzebaby go zostawić w spokoju. Te drzwi otwarte — bądź-że spokojny — nie wejdę do jej ubieralni. Ale — powiedz mi jedno: co to jest? to tam? — Byłyż dzieci w domu?

SZCZĘŚLIWY.

O co pytasz?

NIESZCZĘŚLIWY.

O tamtą sukienkę!

SZCZĘŚLIWY.

To była jej suknia.

NIESZCZĘŚLIWY.

Taka mała — taka mała. Zapomniałem, że ona była taka mała. Dla mnie rosła z dniem każdym — i gdy sobie wyobrażałem, że kładzie mi ręce na głowie, musiała się zawsze nachylać. (Podchodzi bliżej). Jej-że to suknia doprawdy? Taka była malutka — jak dziecko — taka malutka.

SZCZĘŚLIWY.

Nie ruszaj!

NIESZCZĘŚLIWY.

Jej suknia?

SZCZĘŚLIWY.

Nie ruszaj, powiadam ci. Nie ruszaj!

NIESZCZĘŚLIWY.

Chcę dotknąć tylko, czy materyał jest miękki, nic więcej.

SZCZĘŚLIWY.

Ani końcem palców! Ona była moja! Do niczego

z niej nie masz prawa. Odejdź! Wynoś się! Nie mogę cię znieść. Z pokoju do pokoju wałęsasz się jak złodziej. Przyszedłeś tutaj, aby kraść. Wchłaniasz jej oddech, wypełniający to powietrze, łowisz jej spojrzenia, które tutaj na każdej spoczywały rzeczy. Precz! Wynoś się ztąd, powiadam.

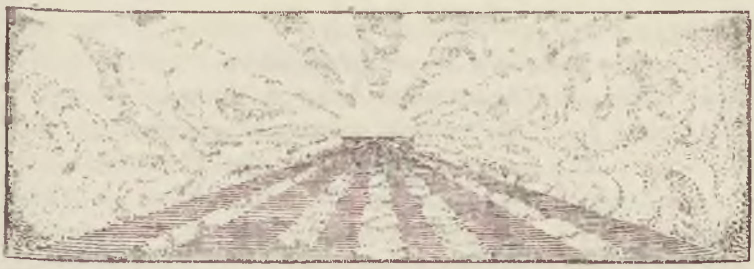
NIESZCZĘŚLIWY.

Idę, idę. Jestem, mimo wszystko, szczęśliwszy od ciebie — ty nic mi ukraść nie możesz. Bywaj zdrów! Idę teraz tłuc kamienie przy szosie. Gdy będziesz kiedy przejeżdżał, na jaką uroczystość, spotkają cię oczy moje od brzegu rowu. Biedny kamieniarz opuści młot i, jak czynią nędzarze, uchyli czapki, gdy będziesz go mijał.



PRZEŁOŻYŁ A. Om. Axel Steenbuch.

Anaktorya.



τίνος αὖ τὺ πειθοῖ
μὰψ σαγηνεύσας φιλότατα.
Sapho.

Gorzka twa miłość; — oślepia me oczy
Wzrok twój i pali połysk twych warkoczy.
Twój oddech ciało mi kraje i ducha,
Żyły me rosną, krew w nich żywiej bucha.
O nie oddychaj! nie mów! Spłoń na wieki,
A śnij, iż życia twego kres daleki.
Niechaj nas morze w swych głębiach pogrzebie,
Niecháj nam ogień (nie przeraża ciebie
Żar mojej żądzy, a tu pełnaś trwogi?)
Odlepi mięso od kości! Jak mnogi
Liść padający, niechaj się po roli
Rozsypią nasze popioły! Tak, boli
Ciebie ma boleść, krew twa — jać to czuję —
Powstaje przeciw mej, twa warga kłuje

Mą wrzącą wargę i moje się żyły
Na straszną mękę dla twych splomieniły.
Owoc niech owoc, kwiat niech kwiat poniszczy,
Pierś niech pierś spali i śród własnych zgliszczy
Niech się z nich każda żagwi jeszcze chwilę!
Przecz lichszych szukasz miłości? Nie w sile
Twoje są ręce i czar ust twych młody,
Aby iść mogły z mojemi w zawody?
Klnę cię na żywot mój — o ty, przez Boga!
Nazbyt łagodna, by twa stopa. sroga,
A nieskalana, mogła tak zuchwale
Podeptać miłość — klnę cię, niech w zapale
Żądzy twe usta dopóty się strzegą
Jej pocałunków lub też wargi jego,
Póki nie stanie słodsza się od mojej!
Albo też może twe serce się boi,
Że gołąb zwabi jaskółkę niewinną,
Za Erotionem goni czy Erinną?
Jakżeż ja pragnę, aby cię zabila
Miłości mojej nieprzeparta siła!
Rozkosz, iż żyjesz, a chcę, byś umarła,
Aby, jak owoc, ziemia cię pożarła,
By słodycz ust twych była li słodyczą
Dla pełznych gadów! Żądze moje liczą,
Jakieby znaleźć dla ciebie katusze,
Nadmiary tortur, by ci wydrzeć duszę;
Jakby wytrząsnąć życie na twe wargi
I pozostawić, by rozjękło w skargi;
Jakby ci tchnienie wydobywać z łona
Męką, od której ciało twe nie skona!
W jakich cię dręczyć przerwach, tę mam wolę,
I jakie sprawiać nieskończone bole;
Jak dech twoj niecić, jak szarpać na ćwierci
Przygłuchłe tony i półtony śmierci!

Już mnie twe dziwne nuży zachowanie,
Dla słów twych słodkich już mi sił nie stanie;
Już dni i nocy miłosnych rozkosze,
Jak ciężar wielki, w swojem sercu noszę —
Tych pocałunków słoną, morską pianę,
Którą twe usta, tak rozcałowane,
Jakgdyby z winem mieszają! — te oczy,
Snadź błękitniejsze od chwil, skrytych w mroczy,
Kiedy je rozkosz poi łzą, a wonią
Kwiatów wykarmia, co w sercu się płonią
Ogniem, płynącym z wnętrza li przez poły,
A których białość jest jako przyczoły
Niebieski okrąg rozkwitłego ziela!
Dość mam twych powiek, tej, co się podściela
Pod żar źreniczny, i górnej, a które
Miłość zamyka, uśmiech wznosi w górę —;
Męczy mnie pas ten, piękny, gdy na tobie,
I włos twój męczy w tych lilij ozdobie.
Twe zachowanie, słodkich słów twych moce,
Dnia wonne kwiaty i nocy owoce,
Usta raniące, winnych żarów pełne,
Spienione w słoną morskiej piany wełnę,
Z której się słodka rodzi Afrodyte; —
Godzin miłosnych twe oczy niesyte,
Gładkie jak kwiaty, jak ogień płomienne,
O barwach mroków, co leżą bezdenne
W sercu, lecz wokół ujęte w pożary,
Jak mrok, i w błękit, jak mrok nocy szary,
Dolną i górną zamknione powieką —
Wszystkie twe wdzięki miłością mnie pieką —
Ten pas, niepiękny już, bo już odpięty,
Te lilie zwiędłe i ten włos twoj zmięty.
Ty się o miłość nie troszcz; ta, co darzy
Miłością swego kochanka, rozżarzy

Wraz się i k' tobie! Więc poniechaj skargi!
O duszo słodka! O wy słodkie wargi
Tego, co życie swe uśmiechem znaczy,
Ona jest moją i ona przebaczy!
Bo sen mi światłość zjawił, co się czyni
W Pafos, w jej domu, w jej wzniosłej świątyni;
Bo mi całunki i ciała i duszy
Słyszeć pozwolił, wnikające w uszy
I w oczy śmiechem i łzami; bo płonie
Miłość przede mną, na swym sławnym tronie,
Ku południowi patrzy i północy,
Duszę ma pełną barw przedziwnej mocy,
W ustach całunków i szeptów tysiące...
I swoje lico nachyli śmiejące
I „któż cię martwi, Safo?“ tak mi rzeknie.
„Wszak twoje oczy to pieśń; z ust twych cieknie
Słodko muzyka, tyś więcej ode mnie,
Choć nie omdlewa głos mój, że aż w ciemnię
Świat cały pada, choć szaleją ludzie,
W głosu mojego zatopieni cudzie;
Choć miłość płacze, zmienia się natura
I we śnie wstydu kraśnieje purpura.
Ach! chcesz mnie zabić, by cię nie zabiły
Te pocałunków mych zabójcze siły?..“
I potem do mnie ta serca królowa
W te, uśmiechnięta, odezwie się słowa:
„Ta, co ucieka, teraz idzie rada
Z tobą i słodki podarek ci składa —
Oto całować cię będzie, tak, ona,
Co cię całować nie chciała, spłoniona,
Kiedy całować nie było w twej chęci...“
Ze wszystkich ludzi tyś w mojej pamięci
Jedna jedyna!.. Żaliż pieśni moje
Mogą jej serca stłumić niepokoje?

O ty, jak życie dla śmierci, tak droga
I słodka dla mnie, czemuż dzisiaj trwoga
Bije na ciebie przed jej gniewem? Żali
Ona jest bogiem, twórcą morskiej fali
I wieków ziemi? Żali ona tory
Słońcu wyznacza, i w jasne wieczory
Blaski miesięczne po niebie rozpina,
I gwiazd przelewa zdroje, jak zdrój wina?
Ona-ż dziewice stwarza i młodzieńce,
Bite rózgami, strojne w mirtów wieńce?
Żali nie mamy ócz dla łez, a zasię
Ust dla miłości, gwiazd w porannym czasie
Dla stóp tych naszych, a słońca w południe,
Miesięcznych w nocy zachwytów? Przecudnie
Nie kwitnie-ż dla nas kwiat kobiet? Czyż młodej
Nie mamy wiosny i lata? To błonie
Lilij nie dla nas i nie dla nas wionie
Omdlały powiew lesbijski po ziemi?
Nad wzlatujących gołębi wartkiemi
Stopy czyż niema jeszcze innej drogi,
Gdzie inną miłość inne chłoną bogi?
Choć ona dla mnie smaga cię bezmiernie,
Pod jej razami nie zakwitną ciernie,
Krew, chociaż tryśnie, szkarłatem nie spłynie.
Oby me wargi były w tej godzinie
Nieme, bezdźwięczne, li do twej smaganej
Tuląc się piersi, do jej kwietnej rany!
Oby me usta, zamiast Muzy mleka,
Krew twa karmiła, co kroplami ścieka!
Obym też mogła kosztować językiem
Tych kropli słodkich, co drobnym strumykiem
Sączą ci z piersi aż po pas! W twe żyły
Oby się żądne moje wargi wpiły,
Jak w puhar wina! Jako plastrem miodu

Obym twą piersią mogła mego głodu
Nasycić żary! Oby się me ciało
Od stóp do głowy w twojem pogrzebało!
Ach! ach! twa piękność! Żre mnie nakształt zwierza,
Kąsa jak żmija, jak pocisk uderza!
Ach! słodkie! słodkie! po siedemkroć słodkie
Ślady, gdzie przeszły twoje stopy wiotkie!
Nad sen wszelaki, nad powiewy letnie,
Słodsze twych włosów spadające pletnie!
Tak! choć mnie krzywdzą dziwnemi całunki,
Twe usta słodsze mieszczą w sobie trunki,
Niźli me wargi, wszelkiej pieśni pełne!
Ramię twe bielsze nad najbielszą wełnę,
A palce twoje o kwiatów słodyczy,
Jak owa słodkość, skryta w tajemniczej
Komórce plastru, jakby na to one,
By gryźć i dręczyć — lekko zróżowione
Konchy o kształtach migdałów, u góry
Płonące krwawem obrzeżem purpury.
Na wargach twoich ryte bólu piętna,
Tak ci je rani ma żądza namiętna!
Oby ci życie miłość ma wydarła!
Obym ja sama umarła, umarła
Z twych mąk a moich rozkoszy! Jak w grobie,
Z krwią twą zmieszana obym legła w tobie!
Czyż cię przemożnie śmierć ma nie udręczy?
Czyż oczom twoim nie da krwawej tęczy
Łez, które żalu odbiciem rozbłysły?
Czyliż nie wnikną katusze w twe zmysły?
Czyż kurcz nie pojdzie za kurczem, jak nuta
Idzie za nutą, z poprzedniej wysnuta?
Czyż w gardle twojem nie uwięzę jęku
Strasznej muzyki siłą moich ręku?
Twe członki żywe nie wyjdąż z mej dłoni

Zmienione w lirę bezskażnych agonij?
Nie będąż paść cię febry, głodu strawą
I wyszukanem pragnieniem? Pod krwawą
Moją potęgą czyż się nie rozściele
Kurcz na twych ustach i czyż w twojem ciele
Życie na nowo palić się nie pocznie?
Czyż duch się w tobie nie zerwie bezzwłocznie?
Sroga-m? Wszak mądry jak nieba, od piekła
Zasię jest sroższy ten, kogo urzekła
Miłość, a we mnie miłość większą budzi
Gorycz dla ciebie, niż ją ma dla ludzi
Śmierć! O, zaprawdę? Gdybym miała moce
Tego, co wszystko stwarza i druzgoce,
I deptać mogła i gwiazdy, i słońca,
I dusze ludzkie, którędy bez końca
Idzie ta Jego nieprzemienna droga,
Byłabym sroższą — jak Bóg żyw! — nad Boga!
Siłą swych modlów i dziękczynnych pieni
Któż tajemnicę srogości odmieni,
Ten przymiot wszystkich? Lub czy ktoś zagadnie,
Jaki to Bóg też, który wszystkiem władnie,
Który panuje i bogom i latom,
Aby tak sycił krwawych łez objatą,
Żalnemi głosy rozpacznej żałoby,
Z dziwnych płynącej krajów, tam, gdzie groby
Są karmią wężów; — tchem spalonej wargi
Więźniów; — tłumionem wywierzyskiem skargi,
Co się z ginących wywiera okrętów
Przez zwarte usta spienionych odmętów; —
Włosami komet, przez straszne wichury
Rozwiewanemi w przestrzeni ponurej,
Gdzie zmrok w głębokiem swem żlebisku kruczem
Jest, niby w kaźni uwięzion, pod kluczem
I pod pieczęcią; — krnąbrnych gwiazd płomiennym,

Dzikim oporem; — zaćmieniem, — bezsennym
Trudem księżyców, — światłości przemianą, —
Ślepotą tworów, wieczną, niezmazaną; —
Hukiem trzęsących się szczytów, — skrzydlami
Nocy, w przestworzu zawisłej nad nami; —
Płaczem strudzonych siedmiu Plejad, znojem
Planet śródnocnym —; któż w zdumieniu swojem
Zechce zapytać: co za władztwo boże
Niemiłosiernie tak wciąż sycić może
Melancholijną, niemą rozkosz nieba?
Żaliż goryczą nazywać nie trzeba
Tego kadzidła? strawy téj katuszą?
Żali się ludzie spotykać nie muszą
Z Jego ukrytem licem, z miedzianemi
Jego stopami, co wszystko na ziemi
Depcą i w każdej godzinie? Ażali
On nam nie zsyła głodu i nie pali
Niesytą żądzą ciala nam i ducha?
Któż głośnej skargi wyschłych ust nie słucha?
Któż każe woli nabrzmiewać, by potem
W nikłym marniała czynie? Ducha lotem
Któż tak kieruje, że ginie bez wieści,
Gdy ciało jeszcze musi żyć? Boleści
Któż to rozkazał ożywiać popioły
Umarłych pragnień, a życiu wesoły
Porzucać kwiat swój na pastwę złych losów?
Jegobym chciała doścignąć, z niebiosów
Strącić i zmiażdżyć, ludzkich tchów mych noże
W Jego utopić zimne wargi boże,
Ze śmiercią zbratać nieśmiertelność Jego!
Po co nas stworzył? I cóż my to złego
Uczyniliśmy, by tak żyć bez końca
I nienawidzieć jałowości słońca,
Blednąć z księżycem, w miarę jak on blednie,

I, puls za pulsem śledząc w tętnic sednie,
Czuć, jak w tych żyłach czas się nam przedłuża...?
I ciebie lata nakryją! Jak róża
Będziesz — jak róża, urodzona z zdroja
Krwi takiej samej, jak i krew jest twoja.
Będziesz jak słowa, które już przebrzmiały,
Jak wyśpiewany śpiew i, jak wspaniały
Kwiat, tak upadniesz i zginiesz do szczątka,
I nie zostanie z ciebie ni pamiątka.
Bo Muza w włosy nie zaplotła tobie
Pieryjskiego kwiecia, co w ozdobie
Swojej wyrasta ponad wszystkie krewne
Śmiertelnej róży lata, nad rozlewne,
Ogniste barwy dni, gasnących wkoło —;
Bo nie wylała ci Muza na czoło
Kraśnej czerwieni, którą niebo płonie;
Bo na twe blade z męki kwiatów skronie
Purpurowego nie rzuciła cienia
Ich przekrólewskich listków. W zapomnienia
Zaginiesz fali, jak wylany trunek,
Chyba, że ust mych płomienny całunek
Nieśmiertelności wypali ci piętno.
Człek się nie wsłucha w oceanu tętno,
Nie wpatrzy w jasność ognia, ni w muzyce
Zatopi serce, ni wzrok w błyskawice,
Lecące z nieba, z groźnie złocistemi
Stopy na skrzydłach bezpiórych — za niemi
Grzmot niby ogar za zwierzem w rozpędzie,
Po niezoranych ugorach —: lecz wszędzie,
W śmiechu i blasku promienistym, w jęku
I wskroś melodyi, w drżeniu ust i ręku,
W rozkołysaniu wodnych fal, co światu
Dają przeczuwać grozę majestatu
Całego morza, szumnego ogromnie,

Będzie miał pamięć i przenośnię o mnie!
Do mnie podobny będzie nocnej ciszy
Oddech miarowy, kiedy ledwie dyszy
Moc wszystkich wiatrów świata, co stuliły
Zmęczone skrzydła i usta, bez siły,
Zamkły z rozkoszy; — ta gwiazda, mdlejąca
Z wielkiej tęsknicy ku zimnym miesiąca
Wargom, jak ja dziś ku twoim; — południa
Białe pustkowie, kiedy je wyludnia
Jałowy słońca żar: to wszystko razem
Stanie się wówczas mej duszy obrazem!
Do mnie podobne będą i potoki
Lądu i rozszum morskich wód głęboki.
Czas mnie tak męczy i nuży, jak one
Przypływ i odpływ; me żyły stęsknione
Dają mi poznać żądze i tęsknoty
Szumów tych wodnych; blask mych ócz — to złoty
I bezpromienny ogień, niepokojem
Gwiazd i księżyców nieustannym znojem
Wypełniający niebiosa: ma dusza
Wciąż je pochłania i ból ją porusza —
Łakną ich żyły, jak łakną żądliwie
Płodnej jędrności drzew, gdy lato żywie,
A leniwego ich omdlenia w zimie.
A zasię ziemia, swe łono olbrzymie
Obciążająca niezliczonym płodem
Życia i śmierci, wiecznym ssana głodem
Śmierci i życia, te same boleści,
Co ja, w oddechu urywanym mieści.
Wiosna jej liści — zwiędłość; popiół szary —
Jej owoc; ciężar zgina jej konary;
Jej korzeń, zszarpan i skręcon przez jady,
Dołem oblazły pełzające gady,
Topiąc weń zęby krzywe, wyostrzone

Na kościach bytów zmarłych, a koronę
Dzikiego ptactwa obrywają stada.
Wszystko to stworzył Bóg; dłoń jego włada
Utkała z tego jak gdyby okrycie
Dla boskiej myśli i słowa; i życie
Moje powstało przezeń; On to stworzył
Pieśń promienistą i w me usta włożył.
I mnie ta ziemia nie zerwie, jak zioła,
Wówczas gdy ciebie na swą karm' przywoła:
Wylana będziesz jako łza wylana,
A ja — gwiazd niechaj spełnia się przemiana
I lat, niech ziemia płodzi w ciężkim trudzie,
Niechaj się rodzą i konają ludzie,
Niechaj Bóg wielki nowe byty stwarza,
Dawne niech gasną w obliczu Mocarza,
Który, silniejszym będąc od ich siły,
Pcha je ku życiu albo do mogiły —
Mnie On, stworzywszy, życia nie odbierze,
Mnie nie zabije, nie nasyci w mierze,
Jak ową tłuszczę ludzką, która trocha
Śmieje się tutaj i co nieco kocha,
Zadowolona z całunków swej chyżej,
Słodkiej miłości. — Śmierć się do nich zbliży,
Śmierć wolnym krokiem ludzi tych dogoni:
Czy nienawidzą czy miłują oni,
Walczą czy gną swe kolana w pokorze,
Rychły im koniec sprawią ręce boże.
A nienawidząc, gdyby zamordował
I w głębiach morza srogiego pochował,
Gdyby mnie ukrył w bladą topiel chłodną
I miał pociechę dla mnie, tłuszczy godną,
Głębie odstąpił słodkie i olbrzymie,
I jeszcze bardziej królewskie dał imię
Morzu przeze mnie, i słodszem przeze mnie

Uczynił morze to wielkie: daremnie!
Choć sama zasnę w śmiertelnej powłoce,
Jeszcze-ć mną całą nie zawładną moce
Tej Jego woli!.. Kwieciem strojne drzewa,
Wiatr, co na wzgórzach pogodnie zawiewa,
Żarnych słowików przenamiętne pienia,
Pąki, śród nagłej wiosny w kształt płomienia
Wybuchające; płowy, podmywany
Piasek i płonnych pełne żądz bałwany;
Żagle, jak białe kwiaty na roztoczy
Mórz; one słowa, co łzy cisną w oczy;
Melodya ptaków, co rośnie i rośnie,
Aż świat się cały rozśpiewa rozgłośnie —:
O tak, ja, Safo, z tem wszystkiem się stanę
Jednem na zawsze! Me lico, widziane
Raz w obcem miejscu, śpiew mój, raz w dalekiej
Posłyszan stronie, przylgnie już na wieki
Do życia ludzi i dni ich spustoszy
Smętkiem, tęsknicą i żądzą rozkoszy..,
Tak, ziemia — rzekną — dała z swego łona
Moc nowych bytów, lecz nowostworzona
Żadna jej istność nie dorówna! Twory
Ludzkie, dnie, wojny, wino, roku pory
I pieśń stworzyła ziemia równocześnie,
Lecz któż piękniejsze, doskonalsze pieśnie
Znajdzie nad moją śród okręgów świata?
Jak wy mnie znali, gdym zeszłego lata
Kochała Atthis, — tak ci mnie w tym roku,
Gdy kocham ciebie, poznawszy, co kroku
Wielbić mnie będą: „Jak my dzień swój mamy,
Tak“ — rzekną — „wszystek czas — li dla niej samej
Przypadł, więc nie ma żyć i nie mieć swojej
Jedynie woli?!..“ Mój duch się nie boi:
Nie umrę, chociaż ty umrzesz! Żyć muszę!

Oni mi dadzą swe życie, swą duszę,
Tchem mnie swym żywić będą, swą miłością,
I walkę o mnie toczyć z Śmierci włością.
Księżyc, śnieg, rosa już mnie nie uleczy,
I wszelkie inne, chłód niosące rzeczy,
Już nie uleczą mnie i nie ukoją,
Aż sen najwyższy przyjdzie z ciszą swoją,
Aż czas zaniknie w każdym swym okresie,
Aż przeznaczenie jarzmo bogów zniesie
I, by nasycić wszelką mą podnietę,
Da mi na usta i Lotus i Lethę,
Aż mnie pogrąży całą w mroków łożu
I w wiekuistem, niezmożonem morzu.



PRZEŁOŻYL
Jan Kasprowicz.

Algernon Karol Swinburne.

Sprzymierzeniec.

Gdy poraz pierwszy usłyszałam jego kroki, jego chód niezrównany, — silny, sprężysty, a przytem ledwie dosłyszalny, — odwróciłam głowę ze zdziwieniem, nie bez dreszczu nałogowej trwogi: — lecz nie ujrzałam nic, prócz własnego cienia, szarpanego bez litości przez dziki wicher pełni księżycowej.

Było to na jednym z tych naiwnie awanturniczych spacerów, w których ćwiczyłam elementarnie swą zidyociałą odwagę. — Noc była straszna; jedna z tych, które nawet psom błędnym otwierają drzwi niegościnnych domów, które w filistrach, budzonych dmą wichury (skowyczącej z nigdy nieznaną szczerym polom złośliwością w zaułkach „ognisk cywilizacyi“), dają jednocześnie świadomość ich

pierzynowej szczęśliwości — i napędzają gęsią skórkę litości (czy litości gęsiej skórki) na myśl, że może ktoś — w tej chwili — nie ma dachu, — i że tym kimś jest człowiek — jak oni, — że więc i oni mogliby... — Noc, jednem słowem, oddana żywiołom rozhukanym na łup, noc z samotnych najsamotniejsza, z bezpiecznych najbardziej bezpieczna dla tych, którzy tę prawdę poznali, że jedynem niebezpieczeństwem dla człowieka jest — człowiek.

Minęłam właśnie miasto, wyludnione, martwo blade w ponurem mruganiu zdmuchiwanych latarni, miasto pełne złowróżbnych szczęków, zgrzytliwych szelestów, huczenia drutów telegraficznych, dzwonienia zrywanych szyldów. Z sykiem wężowym wirowały tu trąby kurzu, zataczały się rozpustne śmiecie, z zaułków dobywały się świszczące chichoty. — Domy ziały oczodołowemi czerniami swych ruinowych okien, lub świeciły blademi szybami jak próchnem. Ucisk chwytał mnie z chwilą każdą większy, groził przerobem w panikę. Więc instynktem zwierzęcym, uciekającym z gróz kultury we względną stateczność Natury, — pognałam ślepo czarną ulicą nad morze. Aby do morza dojść! Przy niem czułam się zawsze jak w domu. — Było mi ono tem, czem Anteuszowi ziemia.

Odetchnęłam — na krótko. Wiedźma lęku została w mieście, lecz teraz zaczęła się konieczność walki z żywiołem. — Wiatr gnał z głębi wód, które, pod piorunowo czarnem niebem, całe w olbrzymich pianach, wzbierały aż pod samą drogę, wybuchały gigantycznemi fontannami, niby białemi widmami podmorskich harców, — i tryskały kłębami piany na szeroki, wysoki skalisty brzeg, przytwierdzając na chwilę lotne wydmy płynącego piachu. — Wicher dął jakby zewsząd, tamując dech i ruch. Każdy krok zdobywało się szturmem, drąc się turzem czołem przez zapory czarne. — A oto mijałam ostatnie, jakby wymarłe hotele; z łańcucha diun zerwał się teraz deszcz pia-

chu, ulewa gradowa, zamieć, huragan! i zasypywał mnie, siekł, w twarz, w oczy, w kołnierz, w nozdrza, w usta chwytające z trudem powietrze. — Już nic nie widziałam, nie słyszałam, szłam na oślep, szarpana, ciskana, zatrzymywana, pchana, zasypana wodą i piachem, oślepiona, ogłuszona, dymiąc z wysiłku jak koń na mrozie. — „Nie dojdę!“ — szepnęłam, myśląc o długiej drodze do domu (było to jeszcze w owych biednych czasach, gdy byłam podległa przesądowi „dachu“ i „mieszkałam“). — „Nie dojdę“ — szepnęłam więc, i wraz z dźwiękiem tych słów znikł ich sens, który jest dla naiwnych tragicznym. — „Cóż z tego? czy mi trzeba dojść?“ — przyszło mi nagle do głowy, rozgrzanej wichrem jak winem, — i porwało mnie boskie ożywienie, ognista potęga, która teraz, przełamawszy się przez patrole codziennej Kapuy gnuśności, buchała zachwytem awantury, szałem bohaterstwa, dziką radością żywiołu. — „Ah,“— wołałam ekstatycznie, — „staję się mniej niegodną! —“ — a właśnie mijałam diuny, fizycznie pół przytomna, lecz duchem wniebowzięta prawie przez ten wichr, który się stawał uosobieniem bicza bożego, niebiańską ostrogą, rózgą płomiennych entuzyazmów, wydzierających się z okropnie sponiewieranego ciała w empirejskie przestwory ognia! ognia! ognia!

A właśnie mijałam diuny i, fizycznie pół żywa, duchem zaś nad-żywa, wszech-żywa, — padłam pod dach szklanego schroniska.

„Lwem chcę być! w huczące morza gnać!“ wołałam w uniesieniu. — „Przybywaj, Lwie odwagi! Witaj, Przygodo! — tyś klucznicą mych Sezamów, tyś Ganimedem mej nieśmiertelności! —“

O naiwna wielka nocy mego powtórnego niemowlęctwa!

Jak wstałam, jak niesiona boskim entuzyazmem, pijana mocą swą, i samotnością nocną, i okrutną grą braci

mych, żywiołów, — doszłam wreszcie do domu, — widzę mglisto. Spostrzegam tylko twarz pół-litosną, pół-zgorszoną stróża, oblanego światłem łuczywa, — i podejrzaną figurę szpiega cnoty, który z za węgłów badał moralność mego pojawienia się wśród — kultury. — W domu omyłam się z kurzu i błota i wciąż w delirium zapału rzuciłam się na łóżko, majacząc o straszniejszych nocach, głębiach mórz, grozach pustynnych, wyspach ognistych, — o wielkich, nadludzkich, — o prawdziwych przygodach. Półsen mój był jednym dreszczem żądzy bohaterskiej, — a gdy dzień wstał, blady, wichrowy, tak wściekle rozkiełznany, szumny żółtem, wciąż spienionem przeogromnie morzem, — ja, nowicyusz, leżałam drętwa, z połamanemi kośćmi, z całą wrą morza w sennych uszach, z mgłą ogniście rozchwianą nad bredzącym mózgiem, który teraz wertował imaginacyjne karty księgi pełnej imaginacyi. — I zamajaczyły mi nie-do-słowa o nie-do-obrazach i ponad-woli...

I wtedy, po raz drugi, przez szum morza i świst wichru, przedarł się w me uszy ten bezprzykładny, silny i sprężysty, a niezłowiony chód, — i w czerwieniach myślotoczy zaciemniła się ciemno-staro-złota, wielka, rozczochrana plama, — cała, ogromna, dymno-słoneczna aureola królewskiej grzywy...

— Lew! — — szepnęłam zdumiona.

Przepyszny, olbrzymi, rudo-złoty łeb poruszył się w czerwieniach tła, wystąpił w całej okazałości wieczornej tarczy księżycowej, zajął monarsze centrum spowijającej mnie bezprzestrzennej otoczy. I spojrzały na mnie srogie, trójkątne oczy, z nieopisaną mieszaniną świadomej jakoby nieświadomości, stanowczej mocy, płynącej z niepotrzebującego formuł aksyomatu potęgi i z majestatycznego wprost zapoznania wszelkiej rzeczy, która nie jego jest. — Poczem zwrócił się profilem, olśniewająco krocząc potęż-

nemi łapami po wykreślanem przez nich kole, dźwigając nisko na ziemią swój w łuk wygięty, sprężysty ogon, i smukląc się płowym zwięzłym kadłubem. Zatoczywszy okrąg, stanął znów naprzeciw mych oczu, lecz już bliżej, opuścił się na ziemię i legł z hieratyczną powagą sfinksa.

W głowie mojej, po wczorajszem rozedrganiu, nie było miejsca na nic innego prócz zachwytu. Więc na ten widok niezwykły uczułam poryw ogromny i zawołałam w uniesieniu:

— Witaj, Królu!

Zdumiały mnie te słowa własne. — — Myśl przeniosła się o kilka miesięcy w tył, do pierwszego trwałego wrażenia, które otworzyło tę moją drogę wyobraźni... — Było to na pierwszym etapie wędrówki, w mieście obmierzłem. — Uciekając od jego grubego zbytku i trywialnej pozy, wpadłam do Zwierzyńca, — i tam, na zakręcie, jakby w oczekiwaniu na mnie, niespodzianie oczy me uderzył — ten sam lew. — Z obszernej klatki, leżąc w całym przepychu kształtów, bosko nieruchomy, wodził za mną twardemi oczyma. — I było w ciszy bezludnej zakąta, w tem niemem spotkaniu, w tym wzroku i w tej pozie coś bardzo dziwnego, — kiedy, objęta dziecinnie szczerym ruchem czci, zdjęłam przed tym majestatem czapkę (owo „złe copcysko,“ które gorszyło wszystkich przekupniów ulicznych i wszystkich „szykowych“) i rzekłam głośno:

— Witaj, Królu!

Jak teraz...

I teraz, jak wtedy, został nieruchomy wobec mego pokłonu, tylko mi w twarz patrzył tym srogim, uważnym, wyrazić się niedającym wzrokiem, — który nie pytał, czem jestem — ale: czego chcę? — nie pytał, czem jest sam, lecz stwierdzał, że jest. — Wzrok bez żadnej ciekawości, nostalgii, intuicyi, marzenia by najlżejszego; wzrok, który byłby tępy, gdyby nie owa szczególna twardość decyzyi

odwiecznej, owa przeszywająca bystrość praktyczna, — i bezwzględna prawość istoty zbyt silnej, by nie gardziła wszelkiem kłamstwem. — Jednem słowem — gdyby nie to *męstwo!* — Męstwo! nic więcej, nic mniej nie było w tych źrenicach bursztynowych; cała potęga całkowitej, nieodwołalnej, nieubłaganie prostej i celowej — *absolutnie* celowej WOLI!

— Więc *tyś* się zjawił, *gdy to myślałam!* — rzekłam. — I odtąd pójdziesz za mną wszędzie.

Wielkie oblicze nie zmieniło się ani na włos: było w niem odwieczne „*tak*“ na me pytanie... I w bredzeniach szczęścia ujrzałam się aż w głąb' przyszłości: bezdomną włóczęgę, czarną, nikłą sylwetkę żyjącego Cienia — na dymnie słonecznej aureoli tego monarszego oblicza, — z tym onej całości królewskim cerberem — po wszystkich drogach Żywota!

— Zresztą nic w tem dziwnego niema, — rzekłam; — rodziłam się przecie pod twoim znakiem.

I wciąż to spojrzenie — które nie wiedziało nic — prócz drogi przed sobą, poprzez wszystko, mimo wszystko.

— Więc — bądź!

Skinął niedostrzegalnie łbem wspaniałym, a potem otworzył szkarłatnie paszczę, że ujrzałam dno jego gardła; z ostrych, świetnie białych zębów wytoczył język szorstki, skrętny, — smocze żądło — i ziewnął.

— Ale co będziesz jadł? — przyszła na mnie troska. — Bo rzucać się niewolno ci będzie na nikogo! — Będziesz szedł przy mnie — to wystarcza. Damy spokój nawet tym, co w przebaczalnej naiwności będą chcieli nas krzywdzić...

Pierwszy raz zmienił się jego wzrok: — nie rozumiał, — pytał o rozwinięcie paragrafu umowy.

— Co ja ci dam jeść? — myślałam zakłopotana. —

Wiem przecie, że taka bestya musi się na coś ciskać, coś pożerać...

Nagle rzuciłam się jak od komocyi elektrycznej: — Eureka!..

— Masz! daję ci wszystkie me *prawdziwe* wrogi! — Rzucam ci na pastwę — pożeraj — *wszystkie moje grzechy!*

Głuchy pomruk ukontentowania oznajmił mi, że przymierze zawarte. I jakby dla zaznaczenia zgody, w bezprzestrzennych czerwieniach rozsłonecznił się promieniście łeb monarszy, i srogie, trójkątne, przezrocze bursztyny spojrzały na mnie z niewymownym odcieniem twardej łaskawości, a wiernego oczekiwania, jakby patrząc, czy idę — i wstać ma za mną, i iść — — — wszystkiemi drogami żywota.

Marya Komornicka.



W ogrodzie.

I.

Jak się dostałaś do mego ogrodu,
Jasna, okrutna, płomienna? —
Przecieram oczy, strwożona i senna,
I w cud nie wierzę...
Bo nigdy dotąd nie widziałam wschodu,
Bo nigdy dotąd nie widziałam słońca,
Bo nigdy jeszcze ta jasność paląca
Nie padła na moją głowę...
Pierwszy raz widzę, jak brzask rosę strąca
Na róże świeże,
Pierwszy raz widzę te świty perłowe —
I w cud — nie wierzę...

A noc? — Odeszła ta noc nieskończona,
Noc bezgranicznej tęsknoty...
Przyszedł wschód cudny, purpurowozłoty —
W płomieniach słońce...
Powiedz, ty — jasna — słońcem rozzłocona,

Zkąd ty się wzięłaś dziś w moim ogrodzie?
Dlaczego dzisiaj — tak wcześnie — o wschodzie?
Czemu w tej krwawej purpurze? —
Czy to orszaku twego suną łodzie,
Miłości gońce?..

Cicho... to lilie mrą... to pachną róże...
To idzie słońce...

II.

Wracam, gdzie kwiaty wiosna rozrzuciła hojna,
Kędy pod morzem kwiatów śpią umarłe żądze —
I wszystkich bram ogrodu zamykam wrzeciądze:
Spojrzałam w oczy słońcu — i wracam spokojna.

Dziwna — nie byłam tutaj od samego rana,
A wszystkie kwiaty kwitną mi, jak w chwili wschodu...
W seledynowe dale rajskiego ogrodu
Wracam — królowa kwiatów, nie znająca pana.

Z niepokojem uklękłam nad brzegiem jeziora...
Co to... głębia blaskami południa się pali?!
Nie — nie... w otchłannej głębi ani jednej fali —
To tylko wód powierzchnia mieni się, jak mora:

Nikt w głąb' twoją nie patrzał, duszo, nikt cię do dna
Nie przeniknął, bo słoneczne odbijasz promienie...
Nietknięty drzemie na dnie biały kwiat — wspomnienie —
To się tylko wód tafla mieni — w słońcu chłodna.

III.

Bez żalu jasne zabiłam wspomnienie.

W piersi mej wszystkie sny dziecka skonały,
Lecz na dnie duszy leżał jeden kwiat —
Zmięłam kwiat biały...

Ale nie biłam czołem o kamienie,
Nie rwałam włosów i nie darłam szat.

IV.

W haremie tęsknot samotna dziś błądzę,
Spragniona świeżych ust krwi i gorąca,
Z pod kwiatów senną wygrzebałam żądzę
I patrzę smutnie w pobladłą twarz słońca.

Wieczór nadchodzi fioletową chmurą.
Nie patrzcie na mnie dziś, oczy bratkowe,
Czemu obłewasz się wstydu purpurą,
Różo, i schylasz w dół królewską głowę?

Odwróć ode mnie twarz, daturo blada,
Blade zdziwieniem narcyzowe twarze.
Noc idzie, noc... Nie patrzcie — noc zapada:
Dziś jeszcze zwalić chcę moje ołtarze...

Cicho — to smutny wieczór... Wzrok przeslania
Jakieś krwi morze i iskier migoty.
Napróżno tłumię rozpaczliwe łkania,
Napróżno tłumię wielkie łzy tęsknoty.

Cicho — to smutny wieczór... Drżące dłonie
Z niemem błaganiem wyciągam nad kwiaty...

Tęsknię... To smutny wieczór... Zachód płonie,
We łzach się łamią złota i szkarłaty.

To smutny wieczór... Z białego kielicha
Woń się wznosiła mgłą lekką, błękitną...
Wiesz — kto raz w życiu tą wonią oddycha...
Prawda — te kwiaty dzisiaj już nie kwitną,

Wiesz — ten ostatni zmięłam własną dłonią,
Biały, przeczysty, cudny kwiat — wspomnienie...
Wiesz — kto raz w życiu oddychał tą wonią,
Nigdy już... — Cicho. Idą nocne cienie.

V.

Nie chcę czekać zachodu ponurej legendy,
Umrę w chwili, gdy świat się południem rozpala,
Na łożu purpurowych róż Heliogabala,
Ustawionem pomiędzy sztywnych lilij rzędy.

Chcę umrzeć w mym ogrodzie, umrzeć — odurzona
Wonią kwiatów, mdlejących w tęsknocie do słońca,
Umrzeć spokojna — czysta — wieczyście gardząca
Życiem, które mi zdala pręży swe ramiona.

Chcę umrzeć w mym ogrodzie, umrzeć — bez tęsknoty
Za nieziszczoną wizyą białego wspomnienia,
Bez jęków pożegnania, bez hymnów pragnienia,
Bijąc kaskadą śmiechu o strop nieba złoty.

Wróciłam, gdzie mię kwiatów mych drużyna rojna
Wita — i w niepodzielnem państwie mem znów błądzę —
I wszystkich bram ogrodu zamykam wrzeciądze:
Spojrzałam w oczy słońcu — i umrę spokojna.

Zofia Nałkowska.

Poemaciki prozą.

CUDZOZIEMIEC.

— Kogo, powiedz, kochasz najbardziej, zagadkowy człowiecze? ojca, matkę, siostrę, brata?

— Nie mam ani ojca, ani matki, ani siostry, ani brata.

— Przyjaciół?

— Używasz słowa, którego znaczenie do dziś zostało mi obcem.

— Ojczyznę?

— Nie wiem, pod jaką leży szerokością.

— Piękno?

— Radbym je kochał, boskie i nieśmiertelne.

— Złoto?

— Nienawidzę go, jak wy nienawidzicie Boga.

— Hę? Cóż więc kochasz, niezwykły cudzoziemcze?

— Kocham obłoki... przelotne obłoki... tam, ot tam... te cudowne obłoki!

ANY WHERE OUT OF THE WORLD.

GDZIEBĄDŹ PRECZ Z TEGO ŚWIATA.

Życie nasze jest szpitalem, gdzie wszystkich chorych opętało pragnienie zmiany łóżek. Ten chciałby chorować

naprzeciwko pieca, ów myśli, że ozdrowiałby z pewnością koło okna.

I mnie zdaje się zawsze, iż byłoby mi dobrze tam, gdzie nie jestem. Roztrząsam też nieustannie ze swą duszą sprawę przenosin.

„Powiedz mi, duszo moja, biedna wystygła duszo, co sądzisz o tem, abyśmy zamieszkali w Lizbonie? Musi tam być gorąco, odżyłabyś jak jaszczurka na słońcu. Miasto leży nad brzegiem morza; zbudowane jest, powiadają, z marmuru, a lud tameczny tak pono nienawidzi roślinności, że wyrywa wszystkie drzewa. Oto byłby krajobraz według twojego smaku, krajobraz ze światła, minerałów, oraz cieczy do ich odbijania!“

Dusza nie odpowiada.

„Ponieważ lubisz tak spokój, z widowiskiem ruchu dokoła, zamieszkajmy w Holandyi, tej ziemi szczęśliwości. Może rozerwiesz się w krainie, której widoki tak często podziwiałaś po muzeach. Co myślisz o Roterdamie, ty, co tak lubisz lasy masztów i okręty przycumowane u stóp domów?“

Dusza jakby oniemiała.

„Może bardziej uśmiechałaby ci się Batawia? Znaleźlibyśmy tam zresztą dowcip europejski połączony z pięknością zwrotnikową.“

Ani słówka. — Czyżby dusza moja umarla?

„Doszła-żeś już do takiej odrętwiałości, że znajdujesz upodobanie tylko w swojej chorobie? Jeżeli tak, uciekajmy do krajów, które są analogią śmierci. Wiem już wiem, biedna duszo! Pakujemy się w drogę do Torneo. Albo jedźmy jeszcze dalej, na kraniec świata, jeszcze dalej od życia, jeżeli to możliwe; osiedlimy się na biegunie. Tam słońce zukosa ledwie muska ziemię, a rzadkie zmiany światła i nocy usuwają rozmaitość i potęgują jednostajność, tę połowę nicości. Tam będziemy mogli

brać długie kąpiele mroków, a zorze północne, aby nas rozerwać, poszlą nam od czasu do czasu swój wytrysk różany, niby odblask jakiegoś fajerwerku piekielnego!“

Nareszcie, dusza moja wybucha, wołając rozsądnie: „Gdziebądź! gdziebądź! byle tylko precz z tego świata!“

Karol Baudelaire.

PO POTOPIE.

Jak tylko idea Potopu zczerstwiała: —

Zając zatrzymał się śród falujących koniczyn i dzwonków, i odmówił modlitwę do tęczy, poprzez siecie pajęczyn.

Oh! drogie kamienie kryć się jęły, kwiaty spoglądać już.

W wielkiej, brudnej ulicy stanęły stragany, poczęto ciągnąć barki ku morzu piętrzącemu się tam w górze, jak na starych rycinach.

Krew popłynęła u Sinobrodego, w jatkach, w cyrkach, kędy pod pieczęcią Boga bledną otwory okienne. Krew i mleko popłynęły.

Bobry jęły budować. „Mazagrany“ parować w kawiarniach.

W wielkim domu, o szybach jeszcze ociekających wodą, dzieci w żałobie oglądały przecudne obrazki.

Drzwi skrzypnęły, i na placu wioskowym dziecko obróciło się w kółko z wyciągniętemi rękoma, podobnie jak chorągiewki i koguty na wszystkich dzwonnicach, pod nagłą ulewą.

Pani *** ustawiła fortepian w Alpach. Odprawiono msze i pierwsze komunie przy stu tysiącach ołtarzy w katedrze.

Karawany wyruszyły. Pośród chaosu lodów i w mrokach nocy biegunowych pobudowano *Splendid*-hotele.

Odtąd księżyc słyszał znowu szakale sklamrzące w pustyniach cząbrów — i eklogi dwukopytne krząkające w sadzie. Potem, w borze fioletowym, całym w nowych latoroślach, Eucharis powiedziała mi, że to wiosna.

Rozlej się, stawie; — piany, zatopcie most i rozfalujcie się nad drzew szczytami; — kiry i organy, błyskawice i grzmoty, wzbierzcie i toczcie się; — wody i smutki, wzbierzcie i zastąpcie dawne potopy.

Bo odkąd te wyparowały, odkąd — oh! skryły się drogie kamienie a kwiaty otwarły — nuda, nuda bezbrzeżna! — a Królowa, Czarownica, utrzymująca żar w garnku glinianym, nie zechce nigdy opowiedzieć nam, co wie, a co nam niewiadome!

Artur Rimbaud.



PRZEŁOŻYŁ I. N.

Maskarada.
(TRYPTYK).

I.

Męczeństwa
dzieje ogólno-bydlackie świadczą, że pono
za to wilki tępiono,
iż się nie chciały zlać w społeczeństwa
roślinożerne, w które wnosiły swoje kanony:
wilk — ani weź do brony,
lubi krzywdę cudzą,
rozbój i manowce.

Do urządzeń społecznych niemasz jako owce,
które mięsem nie żyją, więc zawsze się łudzą,
że do życia wystarczy roślinna pobudka.

Smutna to historya i niekrótka.

Otóż, rodzina wilków zagrożonych wieżą,
infamią, kłów wybiciem i utratą mienia,
taką rzecz postanawia ze swoją młodzieżą.
Mając stek skór złupionych z owiec, tą odzieżą
młode wilczki obszywa i w owce zamienia,
którym tak zapowiada: — „Pamiętajcie, smarki:
w myśli — korzyść, w słowach — cnota!
społeczne motta

głosić! baranom karki
głaskać! a ciszkiem — chyłkiem:
niech ginie hołota!
To róbcie, gdy nie chcecie życia przejść z wysiłkiem
i z czczemi gardły.“

Co rzekłszy, stare wilki westchnęły i zmarły.

Zaczem pseudo-trawożrące
wilczęta
połączyły się ze stadem owiec, następujące
uwarowawszy *pacta conventa:*

Strzygać się mają autochtony,
a zaś przybyszom, latem czy zimą,
wolno mieć kożuch nieostrzyżony:
to jest *pro primo.*
Dalej, ponieważ zowczeni wilcy
mocniejsi w pysku niźli tubylcy,
przeto i zatem
ostatni muszą prenumeratę
na ogólniki uiszczać z góry:
to jest punkt wtóry.
Nakoniec, żeby, w przyszłości, bratnie
zmniejszyć niesnaski,
niech immigranci nazwą się na *ski:*
to jest po trzecie. Zaś po ostatnie:
ma, dla rękojmi złączonych stanów,
sejm ubezpieczeń
istnieć z baranów.
Dan góra Wawel.

Owczarz, swojski Maćkiawel,
wymówił sobie wolność zaprzeczeń,
i donajęwszy kundla-adjunkta
przyjmuje radem
sercem punkta
statutu rzeczy.

I odtąd wszechowczości nastąpiła gala.
Kundle coś wietrzyły zdradę,

ale Maćkiawel przeczy —
przeczy oraz „nie pozwala“;
często bywał też „upity“...

Choć jak tu się nie mylić? Też same nazwiska,
taż sama cnota,
taż społeczno-barania idealność tryska
z mów hipokryty,
co to bij na każdego, kto nie patryota
w gębie, nie stadowiec,
kto nie działa w owczarskiej pozytywki tonie?..
Jakże wśród owiec
poznać krwiożercę,
który w najczystszym głosi żargonie,
że milion kocha
calutkiem sercem,
śni o milionie?..

A owca?.. Owca zmysł ma tępy:
nie wierzyła w podstępy,
nie wierzy i ninie;
więc co i trocha,
to któraś ginie.

Zaskrobał się w łeb owczarz, lecz mówią rabusie,
że zdaje mu się,
albo że — ot, biedna:
namiętnością wiedziona dociekań w naturze,
poszła sama jedna
w gąszcz i że tam ją zaskoczyły burze.

Chodzi owczarz z głupią miną,
a owce giną i giną.

Wilkom raj: syto i miło.
Jak prałaterya, jak gospodynie,
tak to potyło:
każdemu runo w przegubach trzaska.

II.

Raz jakoś adjunkt, na krwawym czynie,
jednego zdybał gdzieś ananaska.
Co? jak? — do sądu: sprawa o mórd i o czary.

Oskarżał Tryk-Tryk baran.
— „Zachodzą fakta“ —
mówił — „nie do wiary,
nad pojęcie wszelkie.
Jak świadczą akta,
i według opinii
biegłych, podsądna tutaj owczyni,
zamordowawszy tę oto, jako dowód rzeczowy
tutaj obecną obywatelkę,
z „takowej“ zżarła
kawał zrazowej.
Owca i mięso bierze do gardła!..
To dziw! to czary!
to wbrew naturze!
Dokąd dążymy?.. Odwieczny
ład tu kona społeczny!..
Chcę głównej kary.“

Tu obrońca wystąpił — wilk w baraniej skórze.
Zaznaczył z początku,
że mało w oskarżeniu zdrowego myślątku.

— „Słyszeliśmy“ — tak zaczął wyć — „wysoki sądzie,
jeżeli nas nie mylą prawa akustyki,
słyszeliśmy o czarach — tym przesądzie,
któryśmy wyrzucili, my, już na śmietniki,
wraz z wszelakiem rupieciem istności nadziemnej.
Czarom, gusłom, poezyom dziś kto wierzy? — ciemny.
Śmieszne dziś cuda, entuzyazmy —
dziś, kiedy byle jagnię wytłómaczy, prymus,
wszystko na świecie, prócz protoplazmy!..
Tu tylko zawsze — *ignorabimus*.
Zaszlim, gdzie można, — i dość! Życia kęsa!
życia wołamy, użycia, krwi, mięsa!
Pragniemy haszyszy,

z obór i stajen, z owczarni i chlewka,
a poezyą nam: wycie, gwizd i pozytywka!..“

Tu przerwał, chłepnął wody łyk — dwa — i wył ciszej:

— „Owca zagryzła owcę. Oto zbrodni
szkielet. Sędziowie godni!
Cielę wie dziś majowe,
że krowa bodzie krowę,
pies psa wywodzi w pole,
krewne dziobią się kury,
że świnia... że wogóle
indywiduum swojskie, tak zwane społeczne,
jedno drugiemu szkodzi.
To jest odwieczne
prawo natury,
a moralność wysoka
ta jest jedynie, co z prawem się godzi.
Kruk tylko — kruk krukowi nie wykole oka.
Ale czyż prawem dla nas solidarność krucza —
ten jakiś tam światek
prawdziwy lecz nieprawy, bo bez prawnych kratek?
Nie tego nas *barania*
moralność naucza.
Wobec niej, tutaj niema podstaw do karania:
oskarżona jest bez zmazy...
Ach — z ofiary jadła pieczeń,
czy tam zrazy!..
niema przeczeń.
Lecz sędziowie przysięgli i obywatele moi!
gatunków rozwój, który stoi
na prawdzie docieczeń,
którego broni mędrców plejada,
zamiast by pchnął nas witać wśród stada,
z krzykiem radości,
owcę niezwykłą, jak mesyasza
mięsożerności: —
my w niej, w tej owcy, widzim li winę.
Czyż to nie boli?
Czyż nazawsze dla owiec jadłem ma być kasza,
przysmakiem — głaz soli?..

Czyż zawsze się będą z owiec baranowie lęgli?..
Ja sądzę, że łaskawszą będzie przyszłość nasza,
i tusząc, że wilkami będą nasze wnuki,
proszę, wynieście werdykt, sędziowie przysięgli,
na sumieniu oparty i prawach nauki."

Dano głos podsądnemu. Ten rzekł:
— „O Minosi!
Jest przysłowie
wśród wilków takie: póty nosi
wilk, aż jego poniosą. Choć, sędziowie,
jeśli
tom rzekł, to nie żeby siebie równać z wilkiem,
tylko — ot mnie ponieśli...
Żyjem, a za chwilkę
śmierć... tfy-tfy!.. pędzi,
śmierć, która nie pyta,
kto tam z krawędzi...
i wyciągasz pazury... tfy-tfy-tfy!.. kopyta.
Tak, tak. Ot i nieboszczka... Jeszcze wczoraj, giezło
jej bieluteńkie prażyło słoneczko,
a dziś — już się jej zczezło,
jak mówi poeta.
O gdzieżeś, owieczko?..
Gdzie ten bieg twój chybki?
gdzie ta żywość, która ci rozwidniala ślepki?
gdzie ten?.. gdzie to?.. gdzie ta?..
jak mówi poeta...
Spotkałem ją sam-na-sam, na rubieży
leśnej. Przywitałem czule.
Rozmowa. Prosi, żeby powiedzieć jej coś o ogóle.
— „Rozczytuję się" — mówi — „w tej waszej bibule,
a kto ogół? gdzie leży?
i kto go stanowi? —
nie wiem, choć mnie tu zabij."
Ten zwrot o zabiciu
podsuwa mi myśl grecką,
zwaną sofizmatem,
i rzekę: — „Ogół — to niby wszyscy, zatem
i ty jego drobiną jesteś, moje dziecko;
a kiedy skręcisz szyję,

po najdłuższem życiu,
to zawsze: ja, ten, tamten, słowem — ogół żyje,
wieczysty,
i ty, jego część, mówiąc stylem finansisty,
masz dywidendę
nieśmiertelnego w ogóle istnienia..."
I tu mnie, własnej loiki rozpędem
zdjętego, takie natchnęły olśnienia,
żem niebogę wyprawił zaraz między bogi, —
na które was zaklinam... Jeśli zawiniłem...
niech się los sieroty
spełni co do nogi... tfy-tfy... co do joty...
Wam, sędziowie, powierzam swój żywot i dolę."

Przysięgli — same wilki — rzekli: — „Wolen! wolen!"

Zaczem w publiczności
szał wybuchnął. Do owcy mniemanej
tłoczą się z objawami czułości barany.
Owce płaczą. Bek. Ciżba: zwarty bok przy boku.
Jagniąt kilkanaścioro
ugnieciono w tłoku...
Ach, oddalibym pióro
społecznym poetom,
radym malować prawno-sercowe rozruchy
i byłaby *la tutta fabula finita*...
Niestety, owczarz krzyknął: — „Nie pozwalam! veto!"
— „Zajrzyjcie" — pies zawołał — „sędziom pod kożuchy...
mam pewne podejrzenia... tu owca podszyta"...
Lecz przysięgli zawyli chórem klątw, zaprzeczeń,
i sprawę przeniesiono na sejm ubezpieczeń.

III.

Sejm. Owczarnia na Wawelu.
Barany. Owce. Maćkiawel. Przy Maćkiawelu
kundle — pachoły
zbrodnia trzymają za poły.

Rajców brak wielu,
ile że w okresie
apelowania, wedle ustaw procedury,
niejedna się biesiada
rozegrała w łesie,
w ogólniejszym celu,
na który się składa:
szczęścia, dobra i wiedzy orgia wśród stada.
Według zeznania wilków, zdusiły pomorki
znów sześć tryków i skopów pięć i trzy maciorki.
Strach padł. Odzywa się już sporo wotów
nieufności
względem każdego z wilczych patryotów,
co to krzyczy o ogóle,
a sam — sam nie pości:
owszem, zjada na boczku smakowne pieczenie.

By uciszyć wrzenie,
tak zagaił sejm baran - marszałek, Rambouillet:
— „Wszem wiadomo tu wobec“ — rzekł — „i po szczególe
każdemu, że owczarni dobro zawiera się
w rasie baranów,
których sprawność
uszlachca mięs i run poprawność.
Bowiem od czubka rogów do spodu kopytek
ideą naszą baranią — *pożytek*.
Z dumnem czołem wyznajmy tę prawdę niemglistą:
każde bydlę z natury jest *pożytywistą*.
Żyć — żuć znaczy; *pracować* — znaczy tworzyć kały.
Raz dajmy wyraz śmiały
naszemu myśleniu!
Niech zdycha, kto w zaślepieniu
tknie w te ideały
wprost czy z ukosa!
Tu, panowie, nie można źdźbła ustąpić, włosa!
I wszelka pobłażliwość tu zgubi owczarnię!..

Nie będziemy rozstrzygać tutaj *in merito*
sprawy. Panowie! Zabito
owcę. O jednostkę zmalała trzoda pracowita.
Kto to zdziałał? Podsądny. Niech przepada marnie.“

Tu, z gestem artystycznym, uderzył marszałek
potępień gałką w dno urny od gałek
i dodał: — „Imć panów radców poproszę o zdania.“

Wstał imć baran Negretti, członek urządzania
zabaw na ogólne cele.
Jego mowa skreślała
znaczenie dobrobytu. — „W zdrowem“ — mówił — „ciele
wszystko; duch wyrasta z ciała
jako z mierzwy zboże, —
duch rasowego, zdrowego barana,
który nie pyta, jak żyć? Wszakże wiemy. Z rana
spacer w ugorze
i *lunch*. Potem drzemka,
wodopój, obiadek w łubinie
i siesta higieniczna, bo przedspoczynkowa.
Są to — ani słowa —
obowiązki i prawie — jarzemka,
ale życie płynie
pełne cnót, wesela,
podobne do święta,
spokojne, bez iksa.
Tutaj hoże jagnięta
grono macior mamczy,
inne uczą się manier u dojrzałych matron;
tam się o indygienat samczy
młodzież tryksa
łbami na wyścigi;
a ówdzie mężów turniej, z którego wynika,
kogo też powołają na tron
rozpłodnika...
Oto jest życie jedynie
godne obywatela,
członka „żurfiksa“
arystokratycznej baraniej ligi;
kto się z tym ideałem nie godzi, niech ginie!“

Tu, na marszałka
gest, do urny upadła druga czarna gałka.

Z kolei wstał don baran, Wielki Rozpłodowca,

znany ze swawoli.
Gdzie tylko była owca
mająca, czy kibić
giętką, czy bujniejsza runem,
czy też wdziękiem beczenia pragnąca się wybić:
on ją pierwszy w świat wyższy „lansował“ piorunem,
i — mówiąc nawiasem, —
gdy chciała minąć kolej,
to ją brał ciupasem;
a tak, mimowoli,
szczęście mnożył *ogólne* i ulepszał rasę.

Łącznem spojrzeniem ojca i ojczyma
trzody, spojrzeniem jasnem, właściwem junakom,
powiódł po sejmie
i rzekł rzecz taką:

— „Płodzić dobytek — to rzeczy jądro,
rerum anima.
Kto wielkiej chętki
wszechsamczej nie ma,
ten sobie cząstkę obrał niemądrą.
Płodzić — a reszta obchodzi mniej mnie.
Co do obecnej tu delinkwentki,
to na nią raz-em
się złasił, ale mnie żgnęła w zadek
niezbyt uprzejmie,
Negretti świadek.
Win puszczać płazem
tych się nie godzi.
Niech ginie każdy, kto samcom szkodzi!“

Tu, na marszałka
gest, do urny upadła trzecia czarna gałka.

Następnie, głosem cichym, drżącym, eunusim,
Skop przemówił. — „Nad słodką płodzenia zabawę,
od której my się nieco zdala trzymać musim,
nie miałem ja milszego w życiu zatrudnienia.
Lubiłem, gdy samicy grzbiet... ach te wspomnienia
nie dają się zatrzeć,

nie mogą zarość!..
Dziś mam nogi — słabawe,
doznaję trzęsienia,
wiek już trochę oskopił moją samczą jarość,
nie mam tego wigoru, tego sił rozlewu...
ale i dzisiaj lubię bodajby popatrzeć,
popieścić się wełną...
Nie będzie to rozkoszą zdrowotną, zupełną,
mais que voulez - vous?
Dzisiaj - em platonik, idealista,
dziś potępiam każdego, kto zbytnio korzysta,
kto skory w czynie...
Podsądny — niech ginie!"

Tu, na marszałka
gest, do urny upadła czwarta czarna gałka.

Piąty głos roztacza
baran wytrawny, cieszący się opinią
ćwika i głowacza,
dla mądrości życiowej nazywany Świnią.

— „Panowie! Ja mniemam,
że dziedzictwo pożytku czyli
pożytywizm, zabawnictwo czyli
zabaweizm, płodzeniostwo czyli
płodzełityzm, oraz idealistyczne
do płci wzdychanie czyli
skopeizm: wszystkie te, dość liczne
kierunki, biegi, prądy czyli
parcia — o słówko rogów nie będziem kruszyli —
słuszne i — mniemam —
ewolucyoniczne.
Nic naprzeciw nie mam.
Zawsze i wszędzie,
taka czy inna moda, szkoła, szkółka
jakowaś być — będzie.
Świat się kręci do koła, gdy chcecie — do kółka.
W sferze polityki:
tryk - wczora, skop - dzisia,
dziś — przewaga barania, jutro — patrzysz — lisia;

wczoraj psów panowanie było, a dziś — kotów.
Z tego zaś wynika:
bądź na wszystko *gotów;*
w życiu codziennie trzeba zmieniać szyki.
Mądrość na gotowości wsparta, na liczeniu się z *gotówką,*
jest najlepszym *izmem;*
nazwałbym go — jeżeli wam chodzi o słówko
tu — *gotowizmem.*
System ten z fanatyzmu (a to nie przechwałka),
z pesymizmu i z innych smutków duszę leczy"...

— „Do rzeczy! do rzeczy!" —
przerwał głos marszałka —
„Proszę, jaka gałka?"

— „Ja za większą większością zawsze głosowałem" —
rzekł Świnia i do urny wrzucił czarną gałę.

Potem inni mówili mówcy, mniejszej mocy,
lecz niemniej czcigodni.
Więc przemawiał Teporóg, dobroduszna dusza:
zaczął coś od etyki a skończył na zbrodni.
Najwięcej — mówił — rznięcia
odbywa się w nocy,
kiedy stróże w objęcia
wpadną Morfeusza;
to jeszcze dosyć ujdzie, lecz przy świetle białem
zarzynać — niemoralnie. Rzucił czarną gałę.

Dalej Trykacz, estetyk, rzekł, że estetryka
może w tłum przenikać:
dość jest trykać, trykać, —
zatrykać szkodnika.

Jeszcze mówił Krzywotrycki,
też o sztuce estetryckiej,
czyli o takiem
umieniu stukania łbem, by dusza rosła.
Sztuka to podniosła,
ale trzeba stukać pod społecznym znakiem:
kto łbem w ofiarną

owcę palnie
indywidualnie —
ma gałkę czarną.

Jeszcze, jeszcze mówili, ale już nie zliczym.
Jedni mówili prawdę baranią,
niektórzy posunęli się aż do oszczerstwa,
zaś mów tłem zasadniczem
była obawa baranożerstwa,
podrzędnem — czary.

Wszyscy chcą — kary!

Przeto kundle chwyciły szkodnika
za bary...
Ten, że tak powiem, nóż mając na krtani,
zawył w głos barani:
— „Gwałt, gwaltu, gwałtu!"

I wtedy, jak chce owa kronika,
z której czerpalim treść całokształtu
bajki, cud taki się stał tu.

Wilki, jako mąż jeden, zrzuciły domina,
i nie zważając: cnota-li to, błąd-li
jest baranina?
mimo *veto* owczarskie, mimo opór kundli —

co do jednego zjadły karmazyna.

Jan Lemański.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

„Modernizm“ i poszukiwacze arcydzieł. — Co to jest „modernizm“? Kto są „moderniści“? Co mają znaczyć te nonsensowe, z berlińsko-kabaretowego żargonu zapożyczone terminy — w zastosowaniu do naszej literatury? Używala-ż u nas tego nazwiska jaka grupa, szkoła lub choćby jednostka literacka? Występowano-ż w obronie jakiej, tak utytułowanej doktryny? Pojawiały-ż się jakie manifesty „modernistyczne“, toczono-ż jakie polemiki, próbowano-ż uzasadniać istotę i wartość takiego kierunku i takiej nazwy? — Nie. Widziadło „modernizmu“ i modne dziś jego imię — podobnie jak poprzednio przeróżne dekadentyzmy, symbolizmy, secesye i t. p. — wymyślili, a raczej splagiowali krajowi rycerze krytyki dziennikarskiej czy „naukowej“, parodyujący don Kichota i walczący uparcie z wiatrakami... KTÓRE SAMI POBUDOWALI — z obcych naturalnie, najczęściej berlińskich, *tanich* materyałów. Raz nakoniec stwierdzić trzeba kategorycznie fakt niesłychanej, tak bezczelnej czy naiwnej, że aż śmiesznej obłudy, która jednak dotąd nie została wystarczająco zdemaskowana i dotąd służy do bałamucenia wierzących w to, co wydrukowane, czytelników.

Gdy lat temu dwadzieścia i kilka, na Zachodzie, nad wyjałowiałą mielizną naturalizmu wezbrała potężnie fala nowej, głębokiej twórczości i wszczął się zdumiewająco płodny ruch odrodzenia literacko-artystycznego, — byli u nas ludzie, którzy, zapoznawszy się z nim dokładnie, bezpośrednio, z pierwszej ręki, mogli i umieli wyróżnić wewnętrzne, twórcze, jedynie wartościowe jego objawy pośród zwykłej zewnętrznej plewy *Sturm-und-Drang*'owych fraze-

sów, póz, haseł, manifestów, swarów, napaści, panegiryków, *cenacle*'ów, kapliczek, plotek i anegdot. Zaznajamiali tedy społeczeństwo własne z istotnemi talentami, z kapitalnemi dziełami, z głębokiemi ideami, ze szlachetnemi formami piękna, wynoszonemi na brzeg przez ten wartki prąd nowy, — *nie biorąc ich zresztą sobie, ani dając innym za wzór do niewolniczego naśladownictwa*, lecz wierząc niezłomnie, iż każda rzecz piękna i głęboka, dla rzeczywistych, krzepkich indywidualności twórczych, podnietą tylko ożywczą, stymulem rozbudzającym być może i musi. *)

Ale tych sumiennych badaczy, tych bezinteresownych zwiastunów piękna nowego było nad wyraz mało, trzech lub czterech zaledwie. Kolosalna większość krytyków krajowych (90%, rzec można śmiało), z godną uwagi pewnością siebie, rozprawiała jednocześnie (i rozprawia do dzisiaj) o „nowych prądach na Zachodzie“, nie mając o nich najmniejszego pojęcia, nie wiedząc, kto je reprezentuje, nie znając bezpośrednio, z dzieł twórczych, ani jednego prawie z wybitnych istotnie autorów, i polegając wyłącznie na plotkach i anegdotach dziennikarskich, na niedołężnych pamfletach doktrynerskich w rodzaju Nordau'owskiego *Entartung* i na manifestach różnych niezdarnych, ale tem hałaśliwszych ciurów i maruderów armii odrodzenia. Sypały się lawiną artykuły, rozprawy, broszury, książki, „Schyłki“, „Rozkłady“, filozofie dekadentyzmów, symbolizmów, instrumentyzmów, a później secesyonizmów i modernizmów. Zdawać się mogło, iż nowy ów ruch literacko-artystyczny nigdzie tylu, co u nas, nie znalazł znawców, analistów i komentatorów. Tymczasem, całe te stosy makulatury dostarczały czytelnikom — obok zdawkowej, wytartej, wszędzie zastosować się dającej i wszędzie nic nie znaczącej frazeologii — tylko kumoszkowskich plotek (o zepsuciu Baudelaire'a, o alkoholizmie i więzieniu Verlaine'a, o zboczeniach płciowych Oskara Wilde'a lub... — oh, jakaż *haute nouveauté!* — Stefana George'a, o satanizmach Huysmans'a i Peladan'a, o kawiarnianych lub kabaretowych posiedzeniach

*) I wiara nie zawiodła, a praca nie była daremną. Znalazło się wprawdzie kilku karyerowiczów czy snobów, którzy niewolniczo jęli naśladować czy to Maeterlincka, czy Heredię, czy Nietzschego, czy Rimbauda, ale były to chwiejne bluszcze, które wogóle cośkolwiek naśladować musiały, czego najlepszym dowodem ich szybkie i równie powierzchowne przerzucenie się ku jeszcze modniejszym rzeczom: swojskościom, rostando-hauptmanizmom i t. p. Na wszystkie rzeczywiste, wielkie talenty ów podmuch z zachodu podziałał wyzwalająco i skrzepiająco, rozwiał zatęchlizny, próchna, pleśnie doktryn i nawyknień, zwrócił ku wnętrzu własnemu, skłonił do pogłębienia się i skupienia — i był pierwszym powodem owych nieoczekiwanych, olśniewających transfiguracyj, na które dziś patrzymy.

cénacle'ów, o komerażach, zawiściach, manifestach i kontr-manifestach) — albo też najbałamutniejszych nonsensów i banialuk literackich i estetycznych (o teoryach Gauthier'a (sic) i Banville'a „nieżądających od poety ani natchnienia, ani wielkiego rozumu“, o *vers-libre*'yzmach Verlaine'a (!?), o zawiłościach i sztucznościach Baudelaire'a, o muzyce wiersza mającej jakoby *zastępować* treść (!!), o „supremacyi“ formy i jednocześnie o zepsuciu języka, składni, wiersza u dekadentów i symbolistów, etc. etc. etc.). W ciągu paplaniny tej, ani jedna cecha rzeczywista nowego zwrotu w literaturze i sztuce nie została wyraziście stwierdzoną i scharakteryzowaną, ani jeden wybitny talent — należycie odczutym, zanalizowanym i ocenionym. Wszystkie owe zwalczane szkoły, kierunki, etykiety, jak były, tak są czemś zupełnie niepewnem, z powietrza wziętem, fantastycznem, widmowem, najświeższe zaś próby ogólnej charakteryzacyi spółczesnego przełomu literacko - artystycznego, jako nowego romantyzmu czy neoromantyzmu, stanowią bezcelową tautologię dwóch niewiadomych (bo naprzód należałoby załatwić się ze sporną do dziś kwestyą *istoty* romantyzmu), oraz rezygnacyę poniekąd, przyznanie się do niezdolności określania inaczej jak przez analogie. Co do poszczególnych postaci — jeżeli dla przykładu weźmiemy literaturę francuzką — któż, przebrnąwszy całą powódź studyów, szkiców i uwag o „nowych prądach Zachodu,“ dowiedział się czegokolwiek o takich pierwszorzędnych pisarzach, jak H. de Régnier, Fr. Viele - Griffin, R. de Gourmont, M. Schwob, Saint - Pol - Roux, A. Gide, P. Fort, K. Mauclair, i t. d.? Gorzej — któż, do ostatnich czasów wiedział coś istotnego o omawianych, a raczej oplotkowywanych tak często w wypracowaniach tych — Verlaine'ie, Mallarmé'm, Villiers de l'Isle Adam'ie, Peladan'ie, Leonie Bloy, Laforgue'u, Rimbaud'zie? Podziwy i zdumienia czytelników, gdy jęły się pojawiać w odpowiednich przekładach niektóre kapitalne dzieła tych wysokich twórców, świadczą najlepiej, iż, po tylu mniemanych „badaniach“ nowych prądów, wszystkie potężniejsze i rzeczywiście przemianę, zwrot reprezentujące talenty zupełną były nowością i niespodzianką. A co do odrodzenia belgijskiego, toć przecież świeżo jeden z tych, co, chcąc okazać wyższość „krytyki“ własnej nad „wielbicielstwem“ innych, zaręczali, iż „do ubóstwiających Maeterlincka nie należą,“ — oświadczył *urbi et orbi*, że „nowa Belgia znalazła swój wyraz *pełny i całokształtny* w Maeterlincku.“ A Verhaeren, Eekhoud, Lemonnier, Demolder, Rodenbach, Giraud, Elskamp, Mockel, nie niżsi bynajmniej talentem od Maeterlincka, a takie zupełnie inne, bardziej snadź jeszcze zasadnicze rysy i cechy „nowej Belgii“ w dziełach swych uwy-

datniający? Ale prawda: żaden z nich nie jeździł, jak Maeterlinck z ostatniemi sztukami swojemi, po całej Europie, żaden przeto „nie wsławił rodu i nie podniósł go do wyżyn wszechludzkiego hołdu i uznania.“ A przytem o żadnym z nich niema gotowej pod ręką monografii...

Tej zwartej ławie dyskutujących *de lana caprina* „krytyków“ solą w oku być, naturalnie, musieli wspomnani wyżej nieliczni znawcy istotni spółczesnej twórczości Zachodu, wyrywający im niejako grunt z pod nóg, demaskujący ich absolutną nieznajomość rzeczy, wykazujący potęgę autorów i dzieł, których oni dopatrzyć się nie mogli, odsłaniający piękno tam, gdzie oni znajdowali tylko ohydy, chorobliwości, karyerowiczowstwa lub śmieszności. Trzeba było zdyskredytować dyskretnie tych niewygodnych koneserów, podkopać znaczenie ich słów, zbagatelizować lub też uczynić podejrzanemi ich wnioski i twierdzenia. I rozpoczęła się komedya, homerycznego śmiechu tem godniejsza, że nikt się na niej nie poznał i nikt się nie śmiał. Ludzie operujący całe życie najbardziej zużytemi liczmanami słów i wyobrażeń wykrzykiwali przed ich wywodami z hamletowskim patosem: słowa, słowa, słowa! „Nierozumiejący z zasady“ zaręczali subtelnie, iż znawców tych może zrozumieć chyba ten, co już „z innych źródeł“ coś wie o rzeczy. Impotenci uwielbienia, czyli warszawsko- lub krakowsko-*naukowi* krytycy, jęli wytrwale, uporczywie, przy każdej sposobności suggerować z protekcyonalnie-wzgardliwym przydechem, iż są to tylko „wielbiciele“ (porównaj filisterski akcent w wyrażeniu: „to poeta!“), t. j., ludzie, którym zbyt gorąca admiracya nie pozwala patrzeć jasno, krytycznie, i każe podziwiać naiwnie nawet dziwactwa, waryacye, blagi i eksperymenty danego autora. Przeszczepiacze najmizerniejszych zagranicznych anegdot reporterskich, występując niby w obronie „krytyki i twórczości samorodnej,“ zarzucać im poczęli niemniej ustawicznie (ufni, że największe głupstwo, stale powtarzane, wreszcie się utrze) — „przeszczepianie idei obcych,“ tak jakby całe dzieje literatury i sztuki nie były ciągłą wędrówką, ciągłą wymianą, ciągłą transformacyą idei, i tak jakby wielka idea, swoja czy obca, stara czy nowa, nie była zawsze płodnym posiewem, o ile — naturalnie — na krzepką, nie bojącą się o „złamanie swej indywidualności“ natrafi duszę. Pacanowscy „światowcy,“ którzy, o ile wyjrzeli za granicę swego powiatu, trafiali odrazu i niezmiennie na „bijące sercem świata“ bulwary albo do pełnego „Sturm-und-Drang'owych“ plotek i meskineryj kabaretu, próbowali „delikatnie“ wyszydzać zaściankowość, parafiańszczyznę „uwielbień“ dla jakichś tam obcych autorów czy artystów, których nie po-

stanowiono jeszcze nazywać prometejskimi. Karyerowicze, wreszcie, i snoby, którzy, dowiedziawszy się o „modnych“ za granicą (jak im się zdawało) przedstawicielach „nowych prądów,“ nie omieszkali pierwsi niewolniczo ich naśladować, naturalnie z najbardziej powierzchownej, manierycznej strony, — uważali za stosowne, zwróciwszy się ze zdumiewającą giętkością ku innym, jeszcze modniejszym bogom, insynuować, gwoli osłonięciu sobie tyłów, iż owi „wielbiciele“ zagranicznych nowatorów są też, we własnych pracach, ich naśladowcami, oraz wrogimi wszelkiej swojskości i samodzielności apostołami ich doktryn i estetyk.

Ztąd był już tylko krok jeden do odnalezienia naszych krajowych, identycznych z zachodniemi, „nowych prądów.“ Skoro mamy wielbicieli, przeszczepiaczy, apostołów i nawet pierwszych naśladowców nowatorstwa zagranicznego, więc muszą być i tacy, którzy uwielbieniu temu porwać się dali, na których przeszczepiane idee się przyjęły, którzy niezwłocznie prozelitami się stali żarliwymi, którzy za pierwszymi naśladowcami hurmą poszli. Więc — mamy własnych, swojskich dekadentów, symbolistów, instrumentystów, secesyonistów, modernistów. Wniosek trochę nazbyt od ogona się zaczynający — bo zdawałoby się, iż, aby módz wydawać syntetyczne sądy o szkołach, kierunkach i zwrotach całych w literaturze czy sztuce, należałoby naprzód przyjrzeć się ich najwybitniejszym przedstawicielom, rozebrać ich cechy zasadnicze — i odszukać najogólniejsze, wspólnie ich wszystkich, pomimo różnic indywidualnych, charakteryzujące rysy. Nic podobnego nie zrobiono. Na owej kolosalnej farsie z zagranicznemi „nowemi prądami“ przekonano się dowodnie, że łatwiej wojować z zewnętrznościami, z anegdotami i plotkami, niż z ideami, które trzeba mozolnie wyczytywać i wyrozumiewać, oraz że wygodniej i bezpieczniej gadać o szkołach, kierunkach, etc., i to, o ile można, nieokreślonych, niż o poszczególnych osobistościach i dziełach, bo wtedy i fantazyować można swobodnie i nie obawiać się żadnych replik, sprostowań i... kompromitacyj. Z tego punktu widzenia, fakt, że w kraju nietylko NIKT nie przystrajał się w te cudzoziemskie etykiety, lecz wogóle NIE BYŁO żadnych grup, szkół, haseł, gromadnych Sturm-und-Drang'ów *), mógł się wydać

*) Nie wchodząc w zbyt szeroką kwestyę powodów oraz dodatniości czy ujemności zjawiska, — stwierdzić tu musimy, iż od najdawniejszych aż po ostatnie czasy nie znaleźć w piśmiennictwie naszem śladów tego tak wybitnie charakteryzującego francuzów (a poniekąd i niemców) *esprit d'enrégimentement et d'étiquettage immédiat.* U nas każdy chodził swojemi drogami, każdy mówił za siebie tylko, a mówił zawsze naprzód dziełami, nie zaś hasłami lub teoryami. Żadnych antycypujących twórczość

tylko nader szczęśliwym i pożądanym. Odbierało to wprawdzie możność zaczepienia się o cośkolwiek w rzeczywistości, ale za to swoboda „twórcza“ żadnych już stanowczo nie miała granic. STWARZANO tedy bez wahania — ściśle, rzecz prosta, według zagranicznych fasonów — WIDZIADŁA różnych „prądów“ i „kierunków,“ a uporczywością i gwałtownością napaści na te „nowinki“ — w imię najświętszych podobno ideałów społecznych, narodowych, życiowych, prometejskich i t. p. — starano się, nie bez skutku, niestety, przekonać] czytelników o rzeczywistości groźnych mirażów. I lat już

---

i gromadnie za sztandar branych manifestów nie znaleźć w literaturze naszej. Walka romantyków z klasykami była u nas, właściwie, starciem osobistem Mickiewicza z krytyką warszawską, a odpowiedź „krytykom i recenzentom“ — raczej ostatnim tej walki etapem, aniżeli zapowiadającym ją manifestem. Próby regionalnych, przynajmniej z nazwiska, wyodrębnień (t. zw. szkół mazowieckich, ukraińskich i in.) również do indywidualnych sprowadzały się wymiarów — i przez twórczość raczej mówić zamierzały, niż przez rewolucyjne napory. „Cyganerya warszawska“ była czemś zupełnie luźnem, terminem raczej towarzyskim, obyczajowym, aniżeli historyczno-literackim. W Murgerowskiej „Boheme“, między nazwiskiem a twórczością uczestników daleko ściślejszy zachodził związek. W ostatnich czasach, artykuły A. Górskiego o „Młodej Polsce“ przedstawiają raczej czysto osobisty pogląd na stany duszne spółczesnych generacyj twórczych, aniżeli dogmatyczne lub apostolskie oświadczenie się w imieniu jakiejś zbiorowości. Przybyszewski pisze swe „Confiteor“ nie jako program, lecz jako syntezę własnych, indywidualnych pojęć o sztuce, jako teoretyczny poniekąd epilog do poprzednio ogłoszonych dzieł twórczych. „Życie“ krakowskie drukuje nie wyznawców tylko, nie członków sekty, lecz od Przybyszewskiego do Sieroszewskiego. „Chimera“ wreszcie — z którą lepiej snadź byłoby zaznajamiać się z niej samej, aniżeli z bezdennie naiwnych czy mizernie wykrętnych insynuacyj o propagowanej „pono“ przez nią sztuce „nieruchomej“, „pozbawionej treści“, „drepczącej po ścieżkach muzealnych“, „wrogiej życiu“, „zamkniętej w wieżach takich czy innych“, etc. etc. — „Chimera“, powtarzamy, przypomniała tylko najgłębsze, niezmienne podstawy sztuki, obowiązujące nawet w epokach dokonywanych w niej „rewolucyj“. Postawiła ona postulaty, niedogodne tylko dla wszelkich surogatów i plew, ale tak szerokie, że każdy talent istotny, każdy twórca prawy, każde dzieło wielkie, swobodnie w nich, mimo różnic indywidualnych, obracać się może. Żądała, aby każdy dawał siebie, tylko siebie, nie powierzchowne wszakże i przemijające swe cechy, lecz swą głąb', swoją istotę, swe ku wieczności zwrócone oblicze. Drukowała płody wszystkich krajów, epok, szkół i kierunków, o ile tylko były to dzieła szczerego, głębokiego natchnienia.

Gdzież są tedy owe wyłączne, doktrynalne prądy, kierunki, szkoły, sekty, kapliczki, których istnienie tak długo wmawiano cierpliwym czytelnikom? Zwrot wielki zarysowuje się wyraziście w całej nowej literaturze. Jest coś, co niewidzialnie łączy ostatnie dzieła Żeromskiego, Kasprowicza, Wyspiańskiego, Berenta, Komornickiej, Reymonta, Micińskiego, Staffa, Lemańskiego i innych, ale każdy z tych autorów idzie tak odmiennemi drogami, że owo dno wspólne, dopiero po głębokiem odczuciu każdego z nich zosobna, odsłonić się może. Że za każdym z tych prawych twórców tłoczy się ciżba snobów i naśladowców, nikt nie zaprzecza. Ale zdawałoby się, że, charakteryzując piśmiennictwo danego okresu, należy brać pod uwagę tylko istotne talenty, nie zaś parodyjące ich zgraje maruderów. Inaczej dzieje literatury zmieniłyby się w historyę głupstwa i grafomanii.

oto dziesięć toczy się walka zajadła z rozmaitemi *-izmami* swojskiemi, prowadzona w ten sam sposób i temi samemi środkami, co przedtem walka z nowatorstwem zagranicznem. Nie zliczyć wszystkich alkoholizmów, zepsuć, bezbożności, niemoralności, perwersyj *), nienawiści do tłumów, tendencyj anti-społecznych, feodalności, okrucieństw, wrogości względem życia, egoizmów, zarozumiałości, sybarytyzmów, bizantynizmów, bezdusznych cyzelerstw, waryackich rozwichrzeń, zdechlackich zblazowań, pesymizmów, mistycyzmów, niezrozumiałości, póz, nieszczerości, nienowości, płytkości, zapędów karyerowiczowskich etc. etc., które spokojnie zapisywano na ich rachunek. Że w tym zdumiewającym konglomeracie różnych rodzajów „zwyrodnienia i upadku,“ jedne przeczyły drugim, cóż to szkodziło? Kropla, często padając, wyżłobi skałę. Czegóż nie mógłby dokonać walący się nieustannie przez lat tyle na miększe mózgi czytelników wodospad codziennych, tygodniowych i miesięcznych anegdot, plotek, zarzutów, oskarżeń, denuncyacyj i fulminacyj, jakiemi różni „obrońcy dóbr moralnych człowieka“, „chowani na świetnych wzorach prometeiści“, monopolizujący wszechwiedzę filozofowie, a za ich przykładem niepoliczeni, wolno praktykujący w literaturze lekarze, księża, adwokaci, reporterzy i t. p., obrzucali — kolejno, lecz niezmiennie — coraz nowych *-istów* i *-entów?* To też nie dziw, iż szerokie warstwy poczęły wierzyć w istnienie jakichś potwornych band, sekt i klanów, dążących do zaguby moralnej społeczeństwa, i patrzyły z uwielbieniem na krytyków-figlarzy, biorąc ich za heroicznych obrońców na ostatnich okopach ideałów i cnót tradycyjnych. Dziwniej uderza, iż nawet świadomi rzeczy i nawskroś rzetelni pisarze dali się porwać temu sztucznie wytworzonemu prądowi — jeśli nie opinii, to języka, i, mówiąc o rzeczywistości, używać jęli terminów, nic z nią niemających wspólnego **). Przyczynił się do tego zapewne fakt, iż do ostatnich chwil owa walka z widmami

---

*) Toć pewien (bardzo podobno poważny i podobno szanujący się) krytyk nie cofnął się przed taką *inqualifiable énormité*, że dekadenci nasi wielbią tak bardzo *Walkirye* Wagnerowskie *jedynie* z powodu zachodzącego w dramacie tym... kazirodztwa!

**) Nawet Chmielowski, którego szczere, gorące pragnienie bezstronności jasnem światłem połyska w tej mrocznej dobie kłamstw umownych, — tu i owdzie posługuje się temi fałszywemi etykietami. Nawet Matuszewski, w swej cennej i świadczącej o szerokich, bezpośrednich badaniach książce: „Słowacki i nowa sztuka“, acz zaznacza wyraźnie, iż „dzisiaj każdy modernista stara się stworzyć *secesyę* na własny rachunek, pragnie wyróżnić się od reszty, zaakcentować swą odrębność i niezawisłość“ (str. 46), czyli — innemi słowy — *że żadnych szkół, sekt, żadnych zbiorowych programów niema*, — na tejże samej wszakże str. używa wyrażenia: „program szkoły modernistycznej“; gdzieindziej (str. 10) widzi nawet wyraźne szkoły tej „odłamy: dekadentyzm, sym-

swojskich dekadentyzmów czy modernizmów sprowadzała się musowo do jednostronnych napaści. Nie bronił się, nie replikował nikt, bo... fikcye są cierpliwe, a rzeczywistych dekadentów czy modernistów nie było. Milczenie to przyjęto jako *tacitum consensum* mniemanych obwinionych. Zapytać, kto mianowicie należy do ich liczby, — jakoś nikomu nie przyszło do głowy.

Ale podczas gdy twórcy - pogromcy różnych *-izmów* odgrywali swe jałowe turnieje z tak czy inaczej poprzebieranemi manekinami szkół, sekt i kierunków, — wielki wiew odrodzenny szedł istotnie przez nasze piśmiennictwo, pogłębiały się duchy, powstawały nowe potężne talenty, transfigurowały się do niepoznania inne, już spokojnie do jakiejś przegródki zakwalifikowane, rodziły się nowe idee, nowe postacie piękna, nowe aspiracye, wizye, tęsknoty, nowe obrazy, nowe ekspresye, język nowy. A działo się to bez hałasu, bez gromadnych wystąpień, bez frazeologij i manifestów, w wieloletnich częstokroć, a tak głębokich wysamotnieniach i skupianiach się w sobie, że nawet jedni z tych przyszłych odnowicieli nic nie wiedzieli o drugich. Aż nadszedł wreszcie błogosławiony zbiorów czas, przeszczodra doba wielkiego dojrzewania, kiedy te najmocniejsze, te predestynowane kłosy i latorośle, niby w zaświatowej jakiejś zadumie, chylą się pod brzemieniem pełnego treści żywotnej plonów bogactwa. Jednocześnie prawie, w ciągu lat kilku zaledwie, pojawił się cały szereg dzieł kapitalnych, światy nowe odsłaniających, epokowych razem i wiecznych, — i nietylko owe mniejszości, z których „zawsze promień inicyatyw świta“, lecz nawet szerokie „ciżby bezkrytyczne“ drgnęły przeczuciem, iż wielkie jakieś dzieje się objawienie, iż staje się Piękno. Stara tradycya urzędowej krytyki, mająca źródło w lenistwie ducha, maskowanem pozorami uwielbienia dla arcydzieł przeszłości, nakazywała zwalczać tych porzucających udeptane szlaki i nowemi drogami ku ostatniej Thule pielgrzymujących wędrowców. Gdy więc, pod parciem rzeczywistości, trzeba było porzucić dziedzinę mar i orzec coś o autentycznych autorach i dziełach, najprostszem i najskuteczniejszem wydało się przystosować hurtem do nich wypróbowane już podczas harców z widmami i zohydzone wystarczająco etykiety. I tryumfalny zabrzmiał okrzyk: „Oto oni! oto ci właśnie, o których mówiliśmy! oto

---

bolizm, prerafaelityzm etc.“; mówi co chwila o „krytyce stojącej poza szkołami i sektami“; zbyt wiele, stosunkowo, wyprowadza wniosków z teoryj (robiąc z nich w ten sposób, jakieś „manifesty“), a zamało z dzieł; wreszcie, w tytule nawet uzupełnia wystarczające aż nadto wyrażenie „nowa sztuka“ dwuznacznym, co najmniej, pod tytułem „modernizm.“

dekadenci, symboliści, moderniści!“ Niestety, radość była krótka — i pożałowano niezwłocznie spokojnych, beztroskich utarczek z fikcyami. Nie o tem nawet mówimy, iż zaprzeczenia jęły padać twarde, stanowcze, bolesne, kompromitujące *). Z niemi można by sobie — taką lub inną metodą — jeszcze poradzić. Gorzej, iż broń anegdot, plotek, denuncyacyj, z takiem powodzeniem w tamtych turniejach używana, tutaj okazała się bezskuteczną. Namiętnie czepiono się krakowskiego „Paona“, później cynicznie uogólniano plotki o Przybyszewskim — ale wszystkiego tego nie na długo starczyło. Mniemani dekadenci czy moderniści nie dawali gawędom i baśniom żadnej strawy, nie wałęsali się po rynku literackim, nie pozowali przed publicznością, nie urządzali żadnych orgij kabaretowych, nie wydawali żadnych manifestów, a jeśli czem się odróżniali, to większą prostotą i naturalnością, niż zwyczajni ludzie. Trzeba było, zamiast życiem autorów, zająć się ich twórczością, ich dziełami, — a wtedy istna już nastała wieża Babel. Sztuczne, ciasne formułki i szematy — ani rusz — nie mogły zgodzić się z rzeczywistością, sądy krzyżowały się, kłóciły, zaprzeczały sobie wzajemnie. Ten przeciwstawiał wszelakim -*izmom* — Kasprowicza, jako zdrową, krzepką, samorzutną, nawskróś swojską, chłopską naturę; tamten, rozbierając ostatnie utwory tegoż poety, odnajdował w nich wszystkie typowe cechy zupełnie wyraźnego dekadentyzmu. Jeden zaznaczał z naciskiem

*) Interesowani przyjmowali je z początku, nader politycznie, głębokiem milczeniem. Na tę specyalnie kwestye i zarzuty ogłuchli chwilowo doszczętnie. Aż znalazł się jeden śmielszej natury i rzewno jął wywodzić żale, iż „najoddańsi przyjacielo i najczystsze odrośle (modernizmu) wypierają się go i wstydzą“, co — według wielkodusznego sędziego—ma być pono małodusznością. Chybione *salto mortale!* Przedewszystkiem, *któregoż* to modernizmu? bo, jeśli sądzić z wyliczonych (podług książki Matuszewskiego) jego „tematów“ (??), musiało być kilka rodzajów tego kierunku czy szkoły. W jednym owe „tematy“ stanowczoby się pokłóciły. Powtóre, gdyby nawet istnieli jacyś przyjaciele jakiegoś modernizmu, mieliby zupełnie „wielkoduszne“ prawo i nawet obowiązek wyprzeć się go z chwilą poznania, że był głupstwem. Wreszcie, czyż może się ktokolwiek wypierać i wstydzić tego, do czego nigdy się nie przyznawał, co zawsze — jak wykazano wyżej — za śmieszność i anegdotyczną uważał mizeryę? Tak, podział na szkoły, kierunki, epoki *jest* zawsze sztuczny, i niema co wmawiać go tym, którzy go zawsze odrzucali. I daremne też będą w piśmiennictwie naszem próby importowania „burz i naporów“, rewolucyjnych rozmachów, „die rucksichtslos die alten Formen sprengen“. U nas czulo się zawsze, iż rzeczą ważniejszą od rozbijania form starych jest tworzenie nowych, iż w zgiełkach i wirach gromadnych „naporów“ powstawać mogą tylko trybuńskie frazesy, malownicze anegdoty i młodzieńczo niedonoszone dzieła, a wielka, prawa twórczość że poczyna się z chwilą, gdy poeta zapomina o rewolucyach, przełomach, epokach, przeszłościach i przyszłościach, skupia się w ciszy i odosobnieniu, zostaje sam na sam ze światem, który mu się w duszy rodzi, i Jakubową rozpoczyna walkę, by „nieskończoność zawrzeć w kształtów cieśni“. To jest żar święty, jedyny; tamto — słomiany jeno ogień, praktyczne — co najwyżej — mogący mieć znaczenie.

iż „podążający piastowskiemi (?) szlaki“ Wyspiański odsuwa się od wszelkich grasujących u nas, a importowanych z zagranicy sekciarstw i szkółek; drugi z największą łatwością wykazywał w nim symbolistę najczystszej wody. Berent był dla różnych krytyków — naprzemian — to okazem typowym sekciarstwa modernistycznego, to znowu nieubłaganym satyrykiem, odsłaniającym bezlitośnie całą „nędzę moralną“ dekadencyi współczesnej. Nawet Żeromski i Sieroszewski — ostatnie reduty, wysuwane najwytrwalej i najzgodniej przeciwko mniemanej nawale „nowych prądów“ — nie uniknęli (zwłaszcza po *Popiołach* i *Jang-hun-tsy)* podejrzeń z tej i owej strony o wyraźne zabarwienie „modernistyczne“. Te bajeczne, kompromitujące sprzeczności w sądach i ocenach, wywołując zamęt nieopisany, zdolny zdemaskować całą ukrytą fabrykę -*izmów*, ostrzegły wkrótce wynalazców owych fikcyj, że tutaj, jak nigdzie, *nomina sunt odiosa,* i że lepiej wycofać się nieznacznie ku poprzednim „bezimiennościom“. Po książce wszakże Matuszewskiego, stwierdzającej wyraźnie — mimo wspomnianych wyżej *lapsus*'ów terminologii — *zwrot* ogólny w całej literaturze i sztuce, ale zarazem *nieistnienie* szkół, sekt, kapliczek etc., — trudno było ciągnąć dalej dawną kampanię przeciwko tym ostatnim, a zwrócić ją naraz otwarcie przeciwko *całej* nowej literaturze (z wyjątkiem kilku niepokalanych, nieszkodliwych, ale też opłakanych mierności) wydawało się nieco ryzykownem. Poczęto tedy operować etykietami ostrożnie, chwiejnie, dwuznacznie, tak, aby czytelnik — wedle chęci i skłonności — mógł poza niemi widzieć bądź jednostronne klany i sekty, bądź całe dzisiejsze generacye twórcze, i aby w ten sposób krytyk miał zawsze otwartą do wymknięcia się furtkę. Niestety, przy lawirowaniu takiem najłatwiej właśnie o jakiś „wypadek nieszczęśliwy“. Oto przykład najświeższy, wystarczająco charakterystyczny. Ze starego, zmurszałego okopu pada hypochondryczne, żółciowe szyderstwo pod adresem „naszych dekadentów“ (= modernistów, symbolistów, etc.), którzy „nowy neoromatyzm ogłaszają jako fenomenalny rozkwit twórczości poetyckiej, jakoby w tej chwili okazalszej, niż w jakimbądź innym kraju i narodzie w Europie“, podczas gdy, według krytyka, w porównaniu z europejczykami „stalibyśmy gdzieś na szarym końcu, pomiędzy ostatnimi z ostatnich“. A z innej znowu czatowni, na Akropolu megalomanii, — wprost odwrotny pocisk: „Modernizm czeka na swego geniusza, — *tak mniej więcej określa swe nadzieje ogromna rzesza dzisiejszych artystów i ich satelitów*“. A nieco dalej: „Modernizm nie ma prawa dowodzić (więc widocznie dowodzi?), że mu genialny wyobraziciel niepotrzebny, i że nie ma w so-

bie ambicyi wydania arcydzieła kierunku". — O kimże mówi ten, a o kim tamten krytyk? Istnieją-ż jacyś „dekadenci", pełni podziwu i uwielbienia dla dzisiejszego rozkwitu literatury naszej, i tuż obok nich inni znów jacyś „moderniści", to wyczekujący swego geniusza, to znowu zrzekający się go, jako rzeczy zbytecznej? Któż są jedni, kto drudzy? Czemuż nie słyszymy o jakichś sporach i walkach między nimi, skoro ich zdania tak biegunowo się różnią? Rzecz prosta: dla tego, że ani jedni ani drudzy nie istnieją; że są to tylko zapożyczone z Zachodu „sposoby wyrażania się" pp. krytyków, do których sami oni zresztą nie przywiązują wagi; że nie o żadne szkoły czy sekty tu chodzi, lecz o coś zupełnie innego: o stare, odwieczne, za każdym razem z tą samą powtarzające się intensywnością, zwalczanie wszystkiego, co nowe, wielkie, arcydzielne, co daje *„un sens plus pur aux mots de la tribu"*, co zmusza duchy leniwe do podniesienia się z wyleżanych barłogów, co w megalomańskich miernościach zawiść budzi i gorycz rozjadłą. Bo na jednym tylko punkcie wszyscy ci panowie się godzą: że dzisiaj jesteśmy ostatnimi z ostatnich, że dzisiejsza literatura to niewyklarowane fermenty lub bigosy amatorskie, że modernizm choruje na niemoc, że umie tylko przywłaszczać sobie dawniejsze lub cudze temata i poglądy, że własnego geniuszu i arcydzieła napewno nie stworzy, o ile sam się nie przetworzy i nie wyszlachetnieje. Wszystko to — pomnijmy — „gada się" w chwili, gdy królewskim, zaiste, orszakiem pojawiają się *Popioły, Na wzgórzu śmierci, Salve regina, Próchno, Klątwa, Achilleis, Chłopi*, liryki Micińskiego i Staffa, cały szereg arcytworów, niosących owo wielkie, wieczne a wiecznie nowe życie ducha, owo życie, „co wzbija się ponad życie". I nietylko gada się, lecz uzasadnia koziołkującemi niezgrabnie sofizmatami o „dwojakim podziwie" dla dzieła sztuki. Nie, uwielbienie, to pierwsze źródło wielkiej krytyki, jest tylko jedno. „Nie widziałoby słońca oko, gdyby nie stało się słońcu podobnem", powiada stary Plotyn; „nie dojrzy Piękna dusza, jeśli piękną się nie stała". A dusza piękną się staje, gdy otrząśnie się z leniwego bezwładu i pozbędzie największej śmieszności człowieczej: miłości własnej. Wtedy nie będzie się ona gramoliła na wierzch oglądanego dzieła, nie będzie mu narzucała żadnego „wymarzonego" mętnie, na podstawie przeszłości sztuki, „wzoru (!!) twórczości", nie będzie czuła obawy, aby się nie poniżyć (!) przez uwielbienie, aby się nie stać giermkiem twórcy jeno, — lecz zjednoczy się z dziełem, podobnie jak twórca jego z bytem, odda mu się bezgranicznie i przez to ogarnie, wchłonie je aż do owych pogranicz, kędy drzemią „wsiane nieświadomie ziarna potęgi", rozświeci wszystkie labi-

rynty tego królestwa piękności, odsloni wszystkie jego tajnie, spełni wielkie zadanie wyświadomienia, zwiastowania światłości, zapłodnienia dusz innych. Praca to już czysto twórcza — i Hello ma słuszność, że w tem znaczeniu „krytyka jest jedną ze Sztuk najwyższych". Tylko tą drogą wypowiada się w teraźniejszości słowa dni przyszłych. Wszelkie inne metody poszukiwania „arcydzieł przyszłości" świadczą tylko, że ród Tersytesów nigdy snadź nie wygaśnie.

Tredecim.

POWIEŚĆ.

M. Komornicka. *Biesy.* Warszawa. Nakł. „Chimery." — Wl. St. Reymont. *Komurasaki.* Warszawa. Nakł. „Chimery." — W. Berent. *Fachowiec.* Warszawa. Gebethner i Wolff.—J. Zeyer. *Król Kofetua.* Warszawa. Nakł. „Chimery." — Bret-Harte. *Ostatnie nowele.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Sand. *Ostatnia z Aldinich.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — H. Zbierzchowski. *Przed wchodem słońca.* Lwów. Księg. Polska. — C. Walewska. *Historya dzieci.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — St Gacki. *Rozdźwięki.* Warszawa. J. Fiszer.

Biesy — przez Maryę Komornicką. — Dzieje wyszarpywania się jednostki z ogólnych szablonów otamowawczych, z których się składają stany rodzinno - społeczno - towarzyskich bytowań. Szczytna swoją aż raniącą szczerością, nieoglądająca się za rozgrzeszeniem i nieobiecująca skruchy ani pokuty spowiedź. Syntetyczny opis golgoty, którą przebywa dusza królewsko - sieroca, gnana pragnieniem zwycięztwa nad swojem *Nie - Ja* i dążąca do przedostania się w swój kraj rodzinny — w dziedzinę królowania najpłomienistszych uzewnętrznień. W *Biesach,* niby melodya oceanicznych falowań, dźwięczy motyw tęsknoty ku dalom niezmiernym, ku głębinowym źródłom marzenia, sztuki, tajemniczych objawień i przeczuć, — ku temu, słowem, co stanowi PIĘKNO, ów najczystszy pierwiastek życia, płynący jak zdrój, pod pokładami widomości codziennej z jej nieruchomemi ustaleniznami i martwotą. Styl *Biesów,* zawrotny, skrótowy, ma wdzięk kobiecej niecierpliwości, pośpiechu i żaru, niekiedy rozgorywa w namiętną aż pulsacyę, niekiedy zdumiewa zimnem jaśnieniem myśli, które są obrazami, i migotaniem obrazów, w tysiączne rozpylających się drgnienia myślowe. Styl ten wytwarza rytmikę wartką, bystrą, czasem prawie że opryskliwą, toczącą się „z szumem wodospadów, w których twór żaden nie ugasi pragnienia, bo są zbyt rwące i szalone prądem ofiarności." Styl ten w niektórych razach ma pozór ostrych cięć, godzących

z jakąś bolesną zaciętością we wszystko, co nie jest *Ja*, co nie jest tą poszukiwaną z utęsknieniem istotą duchową, w którą trzeba jaknajśpieszniej tchnąć królewskie życie, zabarwione przepychem bujności, żądne najszerszego, najnieobjętszego objęcia świata. — Wydanie *Biesów* niesłychanie wytworne: każdy fragment, których jest siedmnaście, ozdobiony inicyałem odpowiadającym treści pod względem liniowego układu i bogactwa.

Komurasaki — przez Wł. St. Reymonta. Winiety Hokusai'a, rysunek okładkowy St. Dębickiego. — Autor burzliwości, kipień, wrzeń, fermentowań życiowych, sprawca zsychlanych sytuacyj; prowodyr zawieruch tanecznych, rozwichrzeń hulaszczych i rozszalałych kochań; badacz sromot i zezwierzęceń przemyslowych; piewca szarug, tumanów skroś przejmujących, ziąbów śmiertelnych, i nadających krwi wrzątku gorącość rozkwitów wiosnowych; retman pędów, rozpędów i popędów natury obfitej, rosłej, bujno-płodnej; bard chłopskiego żywota z jego rozkrzewistością przyziemną, z jego mozołem cierpliwym i pijanem weselem: — w przeciwstawieniu do tych swych rodzajów twórczości realistycznej, stworzył bajkę o *Komurasaki*, małej laleczce japonskiej. W łańcuchu zjawisk bytowych jedne są głośne, rozpanoszone, gwałcicielsko narzucające się patrzeniu, wszerz i wzdłuż rozpościerające swoją brutalność, mocne molekularnie czy też muskularnie, i one to stanowią koloryt plątaniny tej, tego zsypiska bryłowatości, zwanego przez obserwacyę realistyczną „życiem.“ I są inne zjawiska, stojące gdzieś na uboczu, niby dekoracya przez rozgranych aktorów zapomniana, odsunięte w ustronność, trwożne i martwiejące, jeśli je schwycić zbyt obcesowo. Autor, snadź pod przemożnym wpływem masywności, wrzawy i zmysłowego wszechwładztwa zjaw kategoryi pierwszej, nie miał może dość uciszeń, dość chęci oderwania się od natłoku wrażeń, wartkiemi odruchami spychanych w dokonanie, aby mógł zwrócić wyłączniej spostrzegawczość swego talentu na rzeczy owe nie tak rozrosłe życiowo, nie tak dotykalne bezpośredniością, nie tak ważkie bezwładem i nie tak ochotę realnego nasytu podżegające, ale chyba godne, aby je w obręb niemniej troskliwego wziąć rozważania. Są one nikłe, słabiutkie, nietrwałe jak skrzydła efemeryd motylich, rozpierzchliwe jak pył kwiatowy, w odludnej jeno cichości slyszeć się dające, jak drzew szelest modlitewny, nieme, jak płacz kropel deszczowych po szybie spływających, niepoważne jak zabawka, białe jak sad wiśniowy rozkwitły, żałosne jak trwogi i lęki dziecinne... Rzeczy te odczuwane i pojmowane być mogą tylko przy jakichś głębszych, jakby uroczystszych stanach duszy, a przeto, chociażby jako

motyw dla talentu, warte snadź więcej niż dominujące, zwierzchnicze *forte* życiowego gwaru, więcej niż wielmożna „zwierzchniość“ tego, co się na codzień zwie rzeczywistem. W *Komurasaki*, autor, niby władzca, po zdobyciu świata realności, odetchnął, pozwolił sobie na siódmy dzień stworzenny, który wypełnił adoracyą piękna tych właśnie mgnieniowych, wobec hałaśliwości „życia“ nieobronnych, poetycznych przebłysków, mających równoważniki wnętrzne w najwrażliwszych, najczulszych głębinach duszy twórczej. Dlatego to w bajce dźwięczy najczystszy liryzm, oraz dziwnie miękka, opiekuńcza tkliwość w ujęciu doli jestestwa, jak uśmiech dziecinny wdzięcznego, ale i znikliwego; i dlatego w symbolice utworu autor wyrazić musiał rozkruszenie się, pryśnięcie w niwecz marzycielskiej Komurasaki, nostalgicznie spragnionej słońca, kwiecia, woni, lotności, a ginącej śród barbarzyńsko, „życiowo“ obojętnego na jej tęsknotę otoczenia.

Fachowiec — przez Wacława Berenta. — Nieskazitelna sumienność w wyborze środków uzewnętrznienia i podporządkowaniu ich intuicyi artystycznej chronią prawego twórcę od zboczeń sztuce wrogich, chociażby artyzm swój, pod wpływem przelotnych jakichś względów, nieartystycznym w służbę oddał celom. Jakoż, pomimo że autor Fachowca świadomie podjął tezę społeczną, utylitarną, jednakże rozwiązania jej pożytkowego zwolna zaniedbuje i pozwala punktowi ciężkości onegoż w pozaspołeczną, bezinteresowną przesunąć się prawdę. Ruchem tego przesunięcia kieruje tu jakiś przemożny, uporczywy nakaz wewnętrzny — nakaz widzenia rzeczy w ich samoistnie trwających żywych postaciach, bez podpórek i podtrzymywań w sposób, w jaki się winny trzymać zgodnie z wymaganiem tezy. Tę wrodzoną talentowi grawitacyę ku prawdzie artystycznej, ku tworzeniu życia, znać przedewszystkiem w pełnym, wolnym oddechu tam właśnie, gdzie chodzi o istotność samą piękna, o ujawnienie go w ruchu, w linii, w geście bezcelowym a kosmicznie rozległym (świt, przestrzeń widnokrężna, działanie ludzi-mechanizmów i machin prozopopea). Ale nawet i w tych momentach, gdzie tezę, bądź co bądź wiążącą wypadki i rzeczy w *Fachowcu*, należy oświetlać i jakoś o niej stanowić, autor nie rozumuje, nie argumentami przekonywa, lecz takiem ujęciem rzeczy, które ukazuje ich wnętrze, ich wartość bezwzględną. Ujęciem tem jest u Berenta humor niezwykły, bez hamujących podkreśleń, bez umiejscowień, lotny, nieuchwytnie nad całą powieścią polatujący, niby zapach wód głębokich lub wyżyn. Przeprowadzony ściśle auto-objektywizm osoby opowiadającej i powściągliwość autora w szczegółach dają rysunek

bardzo przejrzysty, w którym niezmiernie drobny jakiś punkt nabiera cech koniecznych, przełomowych. Ta refrakcya artystyczna wykazująca złudę najsolidniejszych oczywistości, te hamowane, niepewne — rzekłbyś — swego powabu uśmiechy tworzą dziwną dwoistość: kwiecia rozsianego w warzywie wypadków. Onemu kwieciu, czyli artyzmowi niekrępowanemu żadnemi tezami, dopiero w „Próchnie“ Berent pozwolił rozbujać się i własną, niezależną od wszelkich warzywnych doktryn święcić dał barwistość.

Król Kofetua — przez Juliusza Zeyera. Przełożył Miriam. Przyozdobił Edward Okuń. — „Biada sercu, które tęskni i któremu nie dano tęskności swej ukoić“... „Albowiem tęsknota podobna promieniowi, który wyszedł z gwiazdy i pada wiecznie w przestrzeń nieskończoną, nie spotykając oka, któremuby światłem był“... Cel pragnień powierzchownych daje się osiągnąć, ale im pragnienie rozleglejsze, bardziej duchowe, czystsze, tem wypełnić je trudniej. Przeto „idą tęsknoty głębiami dusz naszych.“ Ciało można złamać, zniewolić, ale duch tylko przed duchem składa berło. Najwyższością woli nie jest jej spełnienie: woli moc to jest moc wyrzeczenia się; największe wyrzeczenie jest najgłębszą tęsknotą, która obejmuje świat cały. A świat dopiero jest wypełnieniem woli jednej, Najwyższej, wszystkie pożądania człowiecze w sobie stapiającej. Poemat Zeyera to przedziwne usymbolizowanie tych wiecznych nieukojności dusz, tych wiecznych pragnień ludzkich: zespolenia się z bytem w jedną bezpragnieniową, świadomą, rozkoszną niepamiętność. Żyjąc, zawsze tylko dotykamy *kształtu* rzeczy; widzimy barw i linij *zjawę* tylko, chociaż najponętniej oko pieszczącą i rytmem chwilowym zadowolić nas zdolną; słyszymy dźwiękowej następczości *odmierzenie* ścisłe; możemy się upajać miąższem rzeczy, posiadać materyalnie, czuć, niszczyć, przetwarzać to, co się nam rzeczywistością być zdaje: — ale duszy, owego tajemniczego znaczenia, treści tych wszystkich otoczek zmysłom się narzucających, nie wiemy, przeniknąć nie możemy. Zostaje to wiekuiste dążenie, przyrywane rzadko tylko przez mgnienia jakieś ekstatyczne, w których się nam całość bytu objawia jak błyskawica, jeszcze bardziej mrok roztęsknienia zwiększająca... Znów pragniemy, szukamy, ujmujemy pozór i mrzemy, jak ów Król, z tęsknoty, u białych stóp widma, które ku nam, jako piękno, z nieodgadnionej przypłynęło dali... Zeyer nazwał swoją opowieść „snem z Rawenny,“ i naprawdę, że to jeden z tych snów, które są tem „czemś najlepszem, co mamy na ziemi.“ Dla niewysłownej linii i dla uduchowionej, cichej a przenikającej świetności barw — w epickiem upostaciowaniu tego snu o tęsknocie —

porównanie znalezćby można chyba w najcudniej, najprzeczuciowiej wizyonerskich zwiastowaniach Rossetti'ego i Burne-Jones'a, — a eolskie, nadziemsko-gędziebne prozy tej falowanie do nielicznych *cudotwórczo* rytmicznych wydźwięków poetyckich policzyć trzeba.

Wydano książkę („edycya komemoratywna w roku drugim od śmierci poety") z wielkim pietyzmem i rzadką wytwornością ozdobniczą.

Ostatnie nowele — przez Bret-Harta. — Dziecko rwące się do życia, energiczne jak dorosły, ku włóczęgostwu skłonne i z karbów tresury chętnie wypryskujące w przestrzeń dziką, poetyczną; mała dziewczynka poskramiająca olbrzymów bezwiedną wiarą w opiekuńczy pierwiastek dobra; gracz zawodowy, wykolejeniec, który dla spełnienia dobrego uczynku, jeśli mu coś do głowy strzeli, życiem swem szafuje równie łatwo jak dolarami wygranemi; fanatyk ewangeliczny, małżeństwem umoralniający aktorkę; kobieta zakochana w bandycie ściganym przez lynch'ystów... Bret-Hart ku podobnym tematom najchętniej się zwraca i najżyczliwiej się z żywiołami nieuspołecznionemi obchodzi, wynagradzając je tem za ciekawsze objawienie mu natury ludzkiej. Ale naturę tę głównie ze strony zewnętrznej, opisowej traktuje, śledząc jej zachowanie się w wypadkach niezwykłych. Malowniczy romantyzm na tle czysto realnem. Dużo humoru i nieco maniery Dickens'owskiej.

Ostatnia z Aldinich — przez G. Sanda. — Jedno ze słabszych dzieł pani Dudevant, dla nas — rzecz prosta — „wyborowe." Romantyczna (typ Musset'owski) kobiecość; pogardliwa duma żarząca się miłością, sarkazm tryskający płaczem, niewinność przybierająca pozory wyuzdania, dziewiczość, która mówi długiemi na pół strony okresami, albo raptem omdlewa czy też dostaje konwulsyj. Typ inny, właśniejszy: wdowa, po śmierci męża zdążająca do zbawienia duszy, w którym to celu grzeszność tyranii nieboszczyka odkupuje cnotami kochanków, aż wreszcie, ucnotliwiona, dojrzewa do zaślubin z młodym chłopcem, co zresztą nie dochodzi do skutku z winy pani, za często płaczem niezabawnej... Śpiew, jeżdżenie gondolami dzienne i nocne, schadzki, arystokratycznej krwi zaćmiona błękitność, pojedynki, szlachetny plebej, powiew lagun bardzo nieznaczny, anemia tła i dekoracyjna płaskość. *A propos.* Gdy inne piśmiennictwa, za ujmę poczytując wszelkie przysparzanie sobie obrzynków, wszelkie tandetne wyporki i wybiórki, dbają o wydania jak najkompletniejsze, — my zawsze mamy tylko „wybór" dzieł „wyborowych," w dodatku jak najhigieniczniej „obranych" i oczyszczonych. Tłómacz, p. K. Kaszewski, w naiwnem poczuciu zasługi, powiada w przed-

mowie, że miejsca, w których autorka napada na obłudę teokratyczną, — *zmodyfikował!* Zaiste, byłoby może lepiej „zmodyfikować“ własny styl i oczyścić go z takich wyrażeń, jak „muzyka nie szła w ład“ i t. p.

Przed wschodem słońca — przez Henryka Zbierzchowskiego. — Anegdociarskie, z facecyami i witzami, poczciwe gawędzenie o szlachetnym przyrodniku śpiewającym *rydy - durki, rycza - łysy* bez wielkiej potrzeby, o dziennikarzu grającym Chopina *nastrojowo* i satanistycznie szczęśliwym do kobiet, o koncypiencie Tabaczkiewiczu, o arystokracie bezdomnym, który w sposób bezwzględny wchodzi w stare spodnie będące własnością pewnego malarza, o tym malarzu, że lubi czarną kawę, o aktorce mającej pobudzać mężczyzn do katalepsyi, o chłopcu, który za wozem biegnie na pasku czas jakiś, o łące dusz, o dzieciach niesfornych, i o samobójczych a raczej zabójczych dla czytelnika „nastrojach,“ w których kwiaty pachną „*intenzywnie.*“ Szczególna, rozlazła niemrawość tonu, sklecanie do kupy rzeczy niewspółrzędnych, nawzajem sobie niepotrzebnych, obrazkowość, nieopanowanie własnych roztkliwień i rzewnostek, i nuda — nuda — nuda.

Historya dzieci — przez Cecylię Walewską. — Właściwym tytułem byłby taki: „Historya maryonetek, Narcyza i Chmurki, i mamusi, i anglika z pledem i z parasolem.“ Wszyscy, zwyczajem przez maryonetki przyjętym, mają pewną ilość ruchomych członeczków, za nitki wedle wymagań przyzwoitości i konwenansu skromnie pociąganych. Maryonetka Narcyz pisuje do maryonetki Chmurki liściki na wskazaniach „Przyjaciela Dzieci“ wzorowane, potem ma krucze jak dwa skrzydełka kędziorki, zostaje doktorkiem, kocha ludzi i Chmurkę. Ale Chmurce maryonetka mamusi każe wyjść za starą maryonetę anglika z pledem i z parasolem, wskutek czego Chmurka z przykrością rodzi (za sceną) małe chmurczątka anglizowane, Mici i Kizi, i nie przestając być maryonetką, wznosi się do wyżyn metafizycznych, myśli „o życiu zagrobowem.“ A Narcyz, choć miał w życiu swem maryonetkowem drobne, ogólnie przyjęte miłostki, jednak zawsze kochał Chmurkę miłością czystą, i zmartwiony, że nie będzie miał z nią, Chmurką, (co byłoby niegrzecznie) małego Narcyziątka, podróżuje, myśląc też „o życiu zagrobowem“ i „o dziwactwach metampsychozy.“ Historya ta jest „wyborowa.“

Rozdźwięki — przez Stefana Gackiego. — Błąkająca się po kawiarniach monachijskich tudzież po kurortach szwajcarskich anemia duchowa, oraz lubieżność, z gotowego, jej celom służącego grosza żywiona, — jeżeli się zbiegną z „secesyjnem“ oczytaniem, z admira-

cyą przyjaciółek i ze zdolnością łatwego, wodnistego pisania, — fatalnie i nieuchronnie prowadzą do grubego tomu „rozdźwięków.“ Brak tu jakichkolwiek usiłowań wyodrębnienia się z szarzyzny przeżutych, przetrawionych i na brud już ogólno - ludnościowy ztyngeltanglowanych psychologizmów, filozofistyczności i artystykalij. Bibulczane kwiaty, wysztywnione drutem pretensyj do Homo - Sapientyzmu. Ckliwość i mazgajstwo — pensyonarskie, Peter - Nansenizujące. Bohater pije szampana, pali, płaci, i dużo mówi o swoich wszechkawiarnianych bólach i o swoich różnolitych związkach z wszechdziewczętami, które są: Hela, Krystyna, Roza, Fanny, Lucya, Franceska i Kätty (dalszy ciąg w Bottin'ie).

J. L.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — S. Goszczyński. *Pisma.* Wydanie kompletne, uzupełnione pismami pośmiertnemi. Tom I i II. Lwów. Tow. Wydawnicze. — J. Karasek ze Lvovic. *Hovory se smrti.* Basnie. Praha. Nakl. vlastnim. — M. Konopnicka. *Drobiazgi z podróżnej teki.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — L. Rydel - St. Dębicki. *Bajka o Kasi i Królewiczu.* Lwów. Tow. Wydawnicze. — H. Salz. *Krzyk niewolnika.* Kraków. D. E. Friedlein. — L. Staff. *Najmłodsza pieśń polska.* Lwów. Księg. Polska. — K. Zawistowska. *Poezye.* Lwów. H. Altenberg.

POWIEŚĆ. — P. Altenberg. *Jak ja to widzę.* Warszawa. J. Fiszer. — A. Gide. *Prometeusz źle spętany.* Lwów. H. Altenberg. — J. K. Jerome. *Dziennik wycieczki do Oberammergau.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Z. Kaczkowski. *Olbrachtowi rycerze.* Część I — VI. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — J. Karasek ze Lvovic. *Lasky absurdne.* Praha. Nakl. vlastnim. — M. Konopnicka. *Moi znajomi.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Wł. St. Reymont. *Chłopi.* (I. Jesień. II. Zima). Warszawa. Gebethner i Wolff. — K. Świetla. *Ostatnia pani Głogowska.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — St. Żeromski. *Popioły.* Tomów trzy. Warszawa. Gebethner i Wolff. — St. Żeromski. *Aryman mści się. Godzina.* Warszawa. Gebethner i Wolff.

STUDYA LITERACKIE I ESTETYCZNE. — J. Karasek ze Lvovic. *Spisy.* Sv. I: *Renaissanczni touhy v umieni.* Sv. II: *Impressioniste a ironikove.* Praha. Symposion. — I. Matuszewski. *Słowacki i nowa sztuka (Modernizm).* Wydanie II. Warszawa. Gebethner i Wolff. — K. Mokłowski. *Sztuka ludowa w Polsce.* Lwów. H. Altenberg. — J. Mortkowiczowa. *Wychowanie estetyczne.* Warszawa. G. Centnerszwer. — R. Muther. *Historya malarstwa.* I. *Trecento i Quattrocento.* Warszawa. Jan Fiszer. — E. Schure. *Dramat muzyczny. Ryszard Wagner. Jego twórczość i ideały.* Warszawa. G. Sennewald. — J. A. Święcicki. *Historya literatury powszechnej.* Tom VII, cz. II. *Literatura żydowska.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — St. Witkiewicz. *Aleksander Gierymski.* Lwów. Tow. Wydawnicze.

HISTORYA. — J. Baczyński. *Dzieje Polski.* Tom I-szy. Poznan. K. Kozlowski.

NAUKI SPOŁECZNE. — Dr. Z. Gargas. *Poglądy ekonomiczne w Polsce XVII wieku.* Wyd. II. Lwów. Tow. Wydawnicze.

NAUKI PRZYRODNICZE. — M. Rudzki. A. Witkowski, W. Natanson, L. Marchlewski, T. Garbowski, M. Straszewski. *Z filozofii nauk przyrodniczych.* Sześć wy-

kładow. Warszawa. Wende i S-ka. — J. Słowikowski. *Znaczenie gur Kopernika i Keplera w przyrodzie, nauce i technice.* Warszawa. Skl. gl. w Księgarni E. Wende i S-ka. — E. Toulouse i L. Marchand. *Mózg i jego czynności.* Lwów. H. Altenberg.

VARIA. — H. d'Alméras. *Małżeństwo u różnych narodów.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — T. Jeske-Choiński. *Syonizm w oświetleniu antysemity.* Warszawa. Skl. gł. u Gebethnera i Wolffa. — R. Erzepki. *Na gwiazdkę.* Poznań. Własnym nakładem. — R. Kipling. *Takie sobie bajeczki.* Wybór. Warszawa. M. Arct. — L. Michaud d'Humiac. *Wielkie legendy ludzkości.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — H. Leuss. *Z więzienia pruskiego.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — T. Roosevelt. *Życie wytężone.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

VARIA

CYPRYANA NORWIDA DZIEŁA ZEBRANE. — O edycyi *kompletnej* utworów tego wielkiego poety mówić dziś jeszcze niepodobna. Wszystkiego, co Norwid napisał (i również — co rysował, malował, sztychował, rzeźbił), a przeto całości — uzewnętrznionego w dziełach twórczych — jego oblicza duchowego — nikt dotąd nie zna. My sami — acz, zabiegając usilnie, zgromadziliśmy znaczniejszą snadź, niż ktokolwiek, ilość bądź rękopisów jego, bądź pierwszych wydań książkowych, bądź rozproszonych po czasopismach utworów — wiemy jednak o kilku większych i niewątpliwie ważkich nader jego pracach, *nietylko rękopiśmiennych, lecz nawet i drukowanych,* których dotąd nie udało nam się odnaleźć. A o iluż — może istniejących — nie wiemy snadź zupełnie! Toć nawet istnienia *Wandy* nikt nie podejrzewał — i arcydzieło to, którego rękopis był własnością bezdzietnej, samotnej i w podeszłych już latach kobiety, mogło łatwo zaginąć z czasem bez śladu — gdyby zamieszczenie w *Chimerze* kilku innych utworów Norwida nie zwróciło było uwagi posiadaczki i nie skłoniło jej do powierzenia nam tej drogocennej puścizny.

Jeżeli atoli o wydaniu zupełnem niema co dzisiaj marzyć, konieczną za to i pilną jest rzeczą — ze względu zwłaszcza na możebność faktów podobnych do wyżej przytoczonego — przystąpić niezwłocznie do jakiejś *édition perpétuelle* „zebranych pism“ poety, która obejmie naprzód to, co do dzisiaj zgromadzić się dało, a później, w miarę napływania nowych materyałów, stopniowo uzupełniać się może. Edycya to będzie niegorsza od dotychczasowych wydań Słowackiego czy Krasińskiego (bo przecież i tych nawet „dzieła kompletne“ są do dzisiaj... nadzieją tylko), a zwróci niewątpliwie uwagę posiadaczy jakichś rękopisów czy druków Norwidowskich i uratuje snadź

wiele z tych ostatnich od możebnego — przy dziedzicznem lub innem przechodzeniu z rąk do rąk — zatracenia się bezpowrotnego.

Do tej pobudki najważniejszej przybywa jeszcze wzgląd inny. Niedawne to czasy, gdy, wymieniwszy Norwida, z obojętnem jeno spojrzeniem lub zdumionem pytaniem spotkać się było można. Dziś, po ogłoszeniu garstki zaledwie drobnej nieznanych utworów, nazwisko jego brzmi już, dla znawców i miłośników prawdziwych, równie pełno, dźwięcznie, śpiżowo, jak nazwiska trzech wielkich romantyków naszych. Ale obok nielicznych „miłujących," podchwyciła to święte imię wyniosłego samotnika, jako *article de luxe,* jako *haute nouveauté,* jako sztandar czy hasło bojowe, cała zgraja snobów i naginaczy, z tą zupełnie inną, z tą *drugą* „czułością," o której z miażdżącą, lapidarną ironią mówi sam poeta:

Czułość bywa jak pełny wojen krzyk,
I jak szemrzących źródeł prąd,
I jako wtór pogrzebny...

I JAK PLECIONKA DŁUGA Z WŁOSÓW BLOND,
NA KTÓREJ WDOWIEC NOSIĆ ZWYKŁ
ZEGAREK SREBRNY.

Każdy nosi się dziś z jakimś fragmentem, z jakąś jedną książeczką czy utworem, ten z „Prometidionem," tamten z „Nad Kapuletich..." — i każdy, nibyto szukając w tym oderwanym szczątku całego Norwida, właściwie „własnych szuka mniemań" tylko i „własne myśli" znajduje. Jakie ztąd wyopacznienia najbardziej zasadniczej treści, jakie wypotworzenia tego niewymownie szlachetnego i wzniosłego oblicza duchowego, jakie podsuwania własnych bezładów i rozwichrzeń pod tarczę wielkiego i bezdennie głębokiego „nadczłowieczeństwa" Norwidowego — trudno wyliczyć i opisać. U progu odrodzin, po tak długiem jak gdyby nieistnieniu, te kolosalne rzeczy, „pisywane na Babilon do Jezuzalem," znowu przedewszystkiem spotykają się z nierozumieniem, przekręceniem i karykaturą. A z drugiej strony — u trzeźwych, spokojnych konserwatystów, nie dających się unosić „nowostkom" — stare, jowialne anegdoty o „elegancie" pośród cyganeryi warszawskiej, o „symboliście z przed 50-ciu latY" (!), stare, śmieszne zarzuty ciemności, niezrozumiałości i pychy nadmiernej, stary ton protekcyonalnej łaskawości, stare wreszcie, kategoryczne dowody, iż się pisarza *quaestionis* nigdy nie znało i dziś nie zna. — Co żywo tym wszystkim, takim czy innym „spotworzeniom" przeciwstawić się godzi, co się tylko dało zebrać z puścizny poety. Wtedy on sam już z łatwością się obroni.

Temi powodowani myślami, postanowiliśmy przystąpić do wydawnictwa *Dzieł zebranych* Cypryana Norwida. Trzy tomy ich już się drukują i z jesienią r. b. kolejno ukazywać się zaczną. Tom I-szy zawierać będzie *Pism prozą seryę pierwszą: Legendy i Nowele* (Garstka piasku, Bransoletka, Cywilizacya, Ostatnia z bajek, Stygmat, Tajemnica lorda Singelworth, Ad leones). Tom II-gi obejmie *Pism prozą seryę drugą: O sztuce i literaturze* (Czarne kwiaty, Białe kwiaty, O sztuce, O Juliuszu Słowackim, „Boga-Rodzica," Milczenie). W tomie III-im zamknęliśmy *Pism wierszem seryę pierwszą: Poemata większe* (Pieśni społecznej cztery stron, Pięć zarysów obyczajowych, O historyi dyalog, Zwolon, Promethidion, Epimenides, Wita Stosa pamięci estetycznych zarysów siedm, Quidam, O wolności słowa). Do następnych tomów pójdą zebrane już po dziś utwory liryczne, dramatyczne, korespondencya poety — oraz to wszystko, co, pod stymulem niniejszej publikacyi, jeszcze, ufamy, da się odszukać. Plan wydawnictwa, w ten sposób, zamkniętemi (mniej więcej) prowadzonego cyklami, usuwa obawę wszelkiej chaotyczności — a zamierzone — na kiedyś — na koniec wydawnictwa indeksy, bibliografie, chronologie, oraz obszerne studyum biograficzne i krytyczne, zapobiegną reszcie możliwych przy stopniowym układzie wadliwości.

Zapowiadając to wydawnictwo, zwracamy się do wszystkich osób posiadających jakiekolwiek szczątki puścizny literackiej po C. Norwidzie, albo wiedzących o istnieniu gdzieś tychże, z najgorętszą prośbą o informacye szczegółowe i — ewentualnie — o komunikowanie nam danych rękopisów czy druków. Chodzi tu przecież o odbudowanie posągowej postaci jednego z największych mocarzy naszego piśmiennictwa. Zwrot materyałów, oraz wymienienie, od kogo pochodziły, zapewniamy. Wszystkie czasopisma — ufamy — zechcą powtórzyć tę naszą prośbę. —

PISM ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO edycya „krytyczna zupełna," przygotowana za zezwoleniem rodziny poety przez p. Tadeusza Piniego, zaczęła wychodzić nakładem Księgarni Polskiej we Lwowie. O ile zamierzono istotnie *wydanie kompletne wszystkiego, co napisał Zygmunt Krasiński,* przedsięwzięcie rodziny czy Księgarni Polskiej powitaćby należało z radością i zapałem, jako wielki, pierwszorzędnego znaczenia wypadek w literaturze naszej. Czy atoli tak jest rzeczywiście, wątpimy raczej. Powątpiewanie to gruntuje się przedewszystkiem na liczbie zapowiedzianych tomów, wskazującej — (chyba, że tomy byłyby olbrzymie!) — iż w skład tego „zupełnego wydania" nie wejdzie zapewne cała korespondencya, która

jednak u Krasińskiego, bardziej niż u kogobądź innego, do rzędu dzieł twórczych zaliczona i w kompletnej pism edycyi nieodzownie uwzględniona być winna. Czy poza korespondencyą nic już pominiętem nie zostanie, również nie bylibyśmy pewni, wnioskując z wyrażenia najlepiej zapewne poinformowanej w tym wypadku *Biblioteki Warszawskiej*, iż będzie to „pierwsze zupełne wydanie krytyczne tekstu, zawierające także *(? ale czy możebnie wszystkie?)* utwory nigdzie dotychczas niewydrukowane."

Mimo dających się przewidywać niezupełności, ukazanie się oczyszczonej z wszelkich błędów i modyfikacyj, krytycznej edycyi pism wielkiego poety, pod egidą poniekąd rodziny, posiadaczki autografów, jest ważnym faktem literackim — i nie omieszkamy nowe to wydanie omówić obszerniej, gdy zostanie doprowadzone do końca... i gdy je sobie kupimy. Recenzyjnego bowiem egzemplarza, rozsyłanego hojnie wszystkim kuryerkom, *Chimera*, właśnie jako zajmująca się specyalnie literaturą, — rzecz prosta — nie otrzymuje.

WSPANIAŁY RYSUNEK MEHOFFERA z kartonów do dekoracyi skarbca na Wawelu, zdobiący okładkę zeszytu 18-go, postanowiliśmy — w skutek zażaleń niezwykle licznych, iż piękna okładka ta niszczy się zbyt prędko — dać raz jeszcze, jako planszę osobną, przy jednym z zeszytów tegorocznych. Objaw wyjątkowego zainteresowania się szerszych kół podniosłem dziełem młodego mistrza krakowskiego z najżywszą stwierdzamy radością.

ZESZYTEM NINIEJSZYM rozpoczynamy seryę trzecią Chimery (tomy VII — X czyli zeszyty 19 — 30), która ukaże się w przeciągu roku — od kwietnia 1904 do kwietnia 1905. Zeszyt następny, podwójny, 20/21 (za maj i czerwiec), obejmujący ściśle podwójną ilość arkuszy oraz plansz, i ozdobiony nową sześciobarwną litografowaną okładką Edwarda Okunia, wyjdzie w połowie czerwca.

CHIMERA.

CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.

22, rue Nouveau Monde, Varsovie.

Sommaire du N-ro 19. — Janvier 1904.

TEXTE: C. Norwid — *l'Hymne „Mère-de-Dieu";* Th. Miciński — *les Pèlerins éternels;* H. v. Kleist — *Sur le théâtre des marionnettes;* Bol. Leśmian — *Légendes nostalgiques;* A. Steenbuch — *l'Amour;* A. Ch. Swinburne — *Anactoria;* M. Komornicka — *l'Allié;* S. Nałkowska — *le Jardin;* Ch. Baudelaire — *l'Etranger, Any where out of the world;* A. Rimbaud — *Après le déluge;* J. Lemański — *le Déguisement.* — Revue du mois: *Glosses, les Romans, Bibliographie, Divers.*

PLANCHE HORS TEXTE: Albr. Dürer — *la Melancolie. Réproduction phototypique d'après l'estampe originale.*

DESSINS DANS LE TEXTE — de Korin, Ed. Okuń, Fr. Siedlecki et Fr. Wojtala.

COUVERTURE — litographie en quatre couleurs de Joseph Mehoffer.

OD REDAKCYI

REDAKCYA prosi pp. autorów o czytelność rękopisów.

RĘKOPISÓW nieprzyjętych, objętości mniejszej niż arkusz druku, nie zwraca się. — RĘKOPISY WIĘKSZE zachowują się do zwrotu w przeciągu pół roku. Zwrot pocztą — tylko za przysłaniem marek na opaskę rekomendowaną. —

RĘKOPISY BEZ NAZWISKA AUTORA i wyraźnego adresu niszczone są bez czytania

REDAKCYA nie wdaje się w żadne dyskusye co do nieprzyjętych rękopisów i nie podejmuje się, na ich podstawie, żadnych ocen talentu, ani ustnych, ani piśmiennych.

WIADOMOŚĆ O PRZYJĘCIU lub nieprzyjęciu otrzymać można w dwa tygodnie po złożeniu rękopisu w redakcyi.

ODPOWIEDZI NA LISTY, czy to do redakcyi, czy do administracyi jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY LITERATURZE I SZTUCE
REDAKCYA I ADMINISTRACYA Warszawa—Nowy-Świat, 22.—
REDAKTOR: PRZESMYCKI ZENON (MIRIAM) przyjmuje w *piątki* od 2 do 4 pp.
ADMINISTRACYA otwarta *codzień* od 2 do 6 pp.
Skrzynka pocztowa Nr. 457.

PRZEDPŁATA NA ROK 1904—(od kwietnia 1904 do kwietnia 1905)
(TOMY VII—X CZYLI ZESZYTY 19—30)

wynosi:	w Warszawie	z przes. poczt.	za granicą
rocznie	**9** rb.	**12** rb. — k.	**35** fr. **27** m. **33** kor.
półrocznie	**5** rb.	**6** rb. **50** k.	**20** fr. **15** m. **18** kor.
kwartalnie	**3** rb.	**3** rb. **50** k.	**11** fr. **8** m. **10** kor.

PRZEDPŁATA na **wydanie wytworne** (na grubym papierze żeberkowym) tylko roczna: w Warszawie rb. **30,** z przesyłką pocztową rb. **35,** za granicą **95** fr., **75** mar., **90** kor.

Cena zeszytu niniejszego rb. 2.

Tomy poprzednie miesięcznika (I do VI) nabywać można po rb. **3,** z przesyłką pocztową po rb. **3** kop. **50;**
tom I-szy sprzedaje się tylko w komplecie z II, III i IV-ym;
zeszyty pojedyńcze—tylko 3, 4/5, 6, 7/8, 9, 10/11/12, 13, 14, 15, 16, 17 i 18—po cenie oznaczonej na każdym.

NUMERÓW OKAZOWYCH się nie wysyła. PROSPEKT na żądanie.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej, i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.



CHIMERA — 20/21

TREŚĆ

TOM VII. ZESZYT 20/21. — MAJ/CZERWIEC 1904.

Litografię okładkową odbito w sześciu kolorach w zakładzie W. GŁÓWCZEWSKIEGO w Warszawie.

Klisze rysunków do tego N-ru wytrawiono w zakładach chemigraficznych TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW oraz B. WIERZBICKIEGO i S-KI.

Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica.“

Składał i łamał JÓZEF PERŻAK. — Odbijali na maszynie: tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę — WACŁAW MUSZYŃSKI. Pod zarządem PIOTRA UKLAŃSKIEGO.

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 іюля 1904 года.

CHIMERA.



Chimera

TOM SIÓDMY. KWIECIEŃ — CZERWIEC 1904.
WARSZAWA. — NOWY ŚWIAT, 22.

FRYDERYK NIETZSCHE.
DYTYRAMBY DIONYZYJSKIE.

Oto są pieśni Zaratustry, które
przyśpiewywał sobie, by znieść
ostatnią swą samotność.

Przekład z pierwszej edycyi zupełnej (Lipsk, 1899, C. G. Naumann — *Nietzsche's Werke,* Band VIII, 399-433), sporządzonej według ostatniego, gotowego do druku i po raz pierwszy w sposób powyższy zatytułowanego rękopisu z r. 1888.

TREFNIŚ JENO! JENO POETA!

Gdy blednie dzienna jaśń
i rosy pocieszenie
na ziemię już się sączy
niewidne i bez szmeru
— gdyż rosa pocieszycielka
cicho się jawi jak wszyscy litośni —
pomnisz, płomienne, pomnisz wtedy, serce,
jak pragnęłoś ongi —
niebiańskiej rosy i niebiańskich łez
znużone, spiekłe pragnęłoś,
a żółtą ścieżyn trawą
wieczorne słońca spojrzenia złośliwe
skróś czarnych biegły koło ciebie drzew,
spojrzenia słońca skrawe, urągliwe.

„*Kochanek* prawdy — *ty? — szydziły one —*
nie! poeta jeno!

zwierzę łupieskie, chytre, pełzające,
co musi łgać,
z wiedzą i wolą musi łgać,
łupu pożądać,
za maską kryć się krasną,
być własną maską,
być własnym łupem,
to — *prawdy kochanek?..*

Trefniś jeno! Jeno poeta!
co od rzeczy gada,
z błazeńskich masek niedorzecznie gada,
po słów się wspina pomostach kłamliwych,
po tęczach kłamstw,
co pośród rajów kłamnych
wałęsa się, tuła —
Trefniś jeno! Jeno *poeta!*

To — *prawdy kochanek?..*
Aza nie cichy, drętwy, gładki, zimny,
sposągowiały
w posąg boga,
co przed chramami stawa
jako boży odźwierny:
nie! takim cnoty posągom tyś wrogi,
milej ci w każdem pustkowiu niż w chramach,
z kocią pustotą
przez każde skaczesz okno
hyc! w każdą przygodę
i każdą wietrzysz knieję,
byś w kniejach praodwiecznych
śród krasnokudłych drapieżców
uganiał krasny i występnie zdrów,
byś pełen żądz,

błogo-szyderczy, błogo-piekielny, błogo-krwiożerczy,
krążył czyhając, łupieżąc i łżąc...

Lub jako orzeł, co długo,
długo w otchłaniach topi wzrok,
w swoich *otchłaniach...*
— o, jak się one
tu w bezdno, w dół,
w coraz to głębszą głąb' pierścienią! —

A potem
nagle
nieścigłym lotem,
drgającym grotem
godzi w jagnięta,
rączy, rozżarty,
jagniąt łakomy,
wszystkim jagnięcym duszom wróg,
wrogi zawzięcie wszystkiemu, co zda się
owczem, jagnięcem, kędzierzawo-runem,
co patrzy głupio, z jagnięcą pogodą..,

Przeto
orle, panterze
są tęsknoty poety,
są twe *tęsknoty pod masek tysiącem,*
trefnisiu ty, poeto!..
Co-ś dojrzał w człeku
boga *i* owcę *społem —,*
boga rozedrzeć *w człeku,*
oraz owcę w człeku,
a rozdzierając śmiać się —

to, to szczęśliwość twoja.

szczęśliwość orła i pantery,
szczęśliwość błazna i poety!..“

Gdy blednie dzienna jaśń,
kiedy już sierp miesiąca
zielony i zawistny
śród purpur się przemyka
i, dniowi wróg,
za każdym krokiem skrycie
girlandy róż wiszące
podcina, aż się zarwą,
aż zbladłe w noc zapadną:

tak jam się niegdyś zarwał
z mojego prawdy obłędu,
z mych tęsknot dniowych,
dniem utrudzony i od światła chory
runąłem w zamierzch, w głębię nocy, w dół,
przez jakąś prawdę
spiekły i spragniony
— pomnisz, płomienne, pomnisz jeszcze, serce,
jak pragnęłoś wtedy? —
iż-em wygnańcem
ze wszelkiej prawdy!
Trefniś jeno! Jeno *poeta!..*

POŚRÓD CÓR PUSTYNI.

1.

„Nie odchodź!“ przemówił wędrowiec, zwący siebie Cieniem Zaratustry, „zostań z nami, — dawna głucha żałość nasza znów nas bowiem ogarnąć może.

Stary ów czarownik już swem najgorszem zadrwił z nas w najlepsze, i popatrz jeno, dobry pobożny papież łzy ma oto w oczach i znów wypłynąć gotów na melancholii morze.

Zaś ci królowie wobec nas wprawdzie gęstą nadrabiają miną, lecz trzymam zakład, że, gdyby nie było świadków, wszczęłaby się i u nich zgubna igraszka,
— zgubna igraszka przeciągających obłoków, wilgotnej melancholii, przysłoniętego nieba, skradzionych słońc, wyjących wichrów jesiennych,
— zgubna igraszka naszego wycia i wołania o pomoc: zostań z nami, Zaratustro! Jest tu wiele utajonej nędzy, co mówić pragnie, wiele wieczoru, wiele obłoków, wiele dusznego powietrza!

Karmiłeś nas tęgą strawą męską, tudzież krzepkiemi

przypowieściami: nie dopuść, aby na wety gnuśne duchy żeńskie znów nas opadły.

Ty jeden czynisz powietrze wokół siebie rzeźwem i jasnem. Zali znalazłem kiedy na ziemi takie dobre powietrze jak u ciebie w jaskini?

A jednak widziałem wiele krajów, nos mój nawykł różne powietrza badać i oceniać: u ciebie atoli doznają nozdrza moje największej rozkoszy!

Dalej więc —, dalej więc —, oh, przebacz dawne wspomnienie! Przebacz mi dawną pieśń poobiednią, którą stworzyłem niegdyś pośród cór pustyni.

U nich bowiem było również dobre jasne powietrze wschodnie; tam byłem najdalej od chmurnej, wilgotnej, melancholijnej starej Europy!

Lubiłem podówczas takowe dziewczęta wschodnie oraz inaksze niebios błękity, żadną chmurą i żadną myślą nieprzyćmione.

Nie dacie wiary, jakie były stateczne, gdy nie tańczyły, głębokie, lecz bezmyślne, niby małe tajemnice, niby uwstężone zagadki, niby orzechy deserowe —

krasne i dziwne, zaiste! ale bezchmurne: zagadki, które odgadywać się dają: takim dziewczętom gwoli usnułem wtedy psalm poobiedni.“

Tak rzekł wędrowiec, zwący siebie Cieniem Zaratustry; i zanim ktokolwiek mu odpowiedział, już ujął harfę starego czarownika i powiódł dokoła wzrokiem mądrym i łagodnym: — nozdrzami zaś wciągał powietrze zwolna i pytająco, jak ktoś, co w nowych krainach nowego kosztuje powietrza. W końcu niby rykiem tak śpiewać zaczął.

2.

PUSTYNIA ROŚNIE: BIADA, W KIM SIĘ ZJAWI...

3.

Ha!
Uroczyście!
godny początek!
afrykańsko uroczysty!
lwa jakiego godny
lub moralnego wyjca...
ale to nie dla was,
przyjaciółki najmilsze,
co-ście dozwoliły
mnie, europejczykowi,
spocząć pod palmami,
u swych stóp. Sela.

Przedziwnie zaiste!
siedzę tu bowiem
blizki pustyni, a razem
taki od niej daleki,
przytem na nic spustoszon:
mianowicie połknięty
przez tę małą oazę
— ziewając, rozwarła właśnie
luby swój buziaczek,
najwonniejszy ze wszystkich buziaków:
i oto wpadłem,
spadłem — między was,
najmilsze przyjaciółki! Sela.

Chwała-ż wielorybowi,
skoro przyjął mile
gościa! — rozumiecie
aluzyę mą uczoną?..
Brzuchowi jego chwała,

jeśli był takim
lubym oazy brzuchem,
jak ten: o czem wątpię.
Niedarmo jestem z Europy,
co sceptyczniejsza od wszystkich żoneczek.
Niech Bóg zaradzi temu!
Amen.

Więc siedzę oto
w maluchnej tej oazie,
niby daktyl jaki,
słodki, brunatny, od złota nabrzękły,
żądny dziewczęcej krągłej buzi,
lecz jeszcze więcej dziewczęcych
ostrych śnieżystych lodowatych
ząbków: tych bowiem łaknie
serce wszystkich gorących daktyli. Sela.

Owocom rzeczonym
podobny, nazbyt podobny
spoczywam tu, a drobne
chrząszczyki wkoło mnie
tańczą, igrają,
oraz jeszcze mniejsze,
niemądrzejsze, złośliwsze
chętki, popędy; —
oblężony przez was,
wy ciche przeczuciowe
dzieweczki-koteczki,
Dudu i Zulejko,
— osfinksiony, *by w jednem słowie*
wiele uczuć zawrzeć
(niech mi Bóg przebaczy
ten grzech gramatyczny!..)

— siedzę tu, chłonąc przepyszne powietrze,
powietrze rajskie, zaiste,
lekkie, świetliste, prążkowane złotem,
najlepsze, jakie zleciało
kiedykolwiek z księżyca;
stało-ż się to przypadkiem
czy też ze swawoli?
jak starzy powiadają poeci.
Ja, sceptyk, wątpię wszakże o tem,
niedarmo jestem
z Europy,
co sceptyczniejsza od wszystkich żoneczek.
Niech Bóg zaradzi temu!
Amen.

Pojąc niem swe nozdrza,
nakształt czar rozdęte,
bez przyszłości, bez wspomnień,
siedzę tu oto,
przyjaciółki najmilsze,
i przyglądam się palmie,
co, niby tancerka,
chwiejna jak trzcina w biodrach się przegina
— kto się zapatrzy, wtórzyć jej zaczyna... —
niby tancerka, co, jak mi się zdaje,
zadługo już, zabójczo długo
ciągle na jednej *tylko stała nóżce?*
— snadź zapomniała przeto, jak się zdaje,
o nóżce drugiej?
Jam przynajmniej próżno
szukał uronionego
bliźniaczego klejnotu
— to znaczy drugiej nóżki —
w świętem pobliżu

jej przerozkosznej, przeuroczej,
strojnej, powiewnej, rozwiewnej spódniczki.
Ach, piękne przyjaciółki,
czy dacie mi wiarę:
ona ją straciła...
Hu! Hu! Hu! Hu! Huu!..
Przepadła,
na wieki przepadła
druga nóżka!
Oh, jaka-ż szkoda lubej drugiej nóżki!
Gdzie też przebywa, smutna, opuszczona,
ta nóżka samotna?
Może drży przed jakim
srogim, płowokudłym
lwem-potworem? lub nawet
odarta już, ogryziona —
mizernie! biada! biada! ogryziona! Sela.

Oh, nie płaczcie-ż, proszę,
tkliwe serca!
Nie płaczcie-ż,
wy, daktylowe serca! Mleczne łona!
Wy, lukrecyowe
torebki sercowe!
Mężem bądź, Zulejko! Odwagi! Odwagi!
Przestań-że płakać,
blada Dudu!
— A może kordyał jaki
przydałby się tutaj
ku serc pokrzepieniu?
namaszczone słowo?
solenna pociecha?....

Ha!

Bywaj, godności!
Dmij-że znowu, dmij,
miechu cnoty!
Ha!
Raz jeszcze ryknąć,
moralnie zaryczeć,
jako lew moralny wobec cór pustyni zaryczeć!

— Gdyż cnotliwe wycie,
o dziewczęta lube,
więcej znaczy, niźli
europejski zapał, europejska żarliwość!
I już jawię się oto,
jako europejczyk,
nie mogę inaczej, dopomóż mi, Boże!
Amen!

Pustynia rośnie: biada, w kim się zjawi!
Głaz o głaz zgrzyta, puszcza chłonie, dławi.
Śmierć niezmierzona żarem śniadym zieje
i żuje —, *żuciem swem istnieje...*

Pomnij, gdyś duszą żądzami wytloną:
Tyś głazem, puszczą, tyś jest śmiercią oną...

OSTATNIA WOLA.

Tak umrzeć,
jako niegdyś umarł on —,
druh mój, co gromy i blaski
bosko w młodości mojej miotał mrok:
głęboki i pusty,
wśród boju *tancerz —,*

pośród rycerzy najweselszy,
pośród zwycięzców najsurowszy,
losem na własnym stanął losie,
hardy, przezorny, łaskawy —:

drżący dlatego, iż *zwyciężał,*
radosny przeto, iż zwyciężał ginąc*:* —

rozkazujący w zgonie swym,
a rozkaz jego brzmiał, by unicestwiać...

Tak umrzeć,
jako niegdyś umarł on:
zwyciężając, nicestwiąc...

POŚRÓD DRAPIEŻNYCH PTAKÓW.

Kto chce zejść ztąd,
jak rychło
chłonie go głąb'!
— Lecz ty, Zaratustro,
snadź otchłań nawet kochasz,
zali jodłę *naśladować chcesz? —*

Ta czepia się wszędzie,
zkąd nawet turnia,
drżąc, patrzy w głąb', —
nad bezdnią się waży,
zkąd wszystko wkrąg
cięży w dół:
pośród niecierpliwej
dziczy usypisk, spadających wód,
cierpi cierpliwie, harda, milcząca,
samotna...

Samotna!
Któżby też śmiał
gościem tu być,
twym *gościem być?..*
Drapieżny chyba ptak,
co wpija się wnet
męczeństwom cierpliwym
radośnie we włosy
i śmieje się błędnie
drapieżnych ptaków śmiechem...

Poco *ta stałość?*
— szydzi okrutnie.
trzeba mieć skrzydła, gdy się otchłań kocha...
nie trzeba zwisać,
jak ty, wisielcze! —

Oh, Zaratustro,
okrutny Nemrodzie!
Niedawno jeszcze strzelcze boży,
niewodzie wszystkich Cnót,
i strzało Zła!
Ninie —
upolowany przez siebie samego,
stałeś się własnym łupem,
w samego siebie się wżarłeś...

Ninie —
sam ze sobą,
rozdwojon we własnej wiedzy,
pośród zwierciadeł stu
samemu sobie zadajesz kłam,
pośród wspomnień stu
niepewny,
każda rana cię wątli,

ziębi cię każdy mróz,
dławią cię własne obieże,
Znawco siebie samego!
Kacie siebie samego!

Poco-ś się spętał
mądrości swej pętem?
Poco-ś się zwabił
do węzów dawnych raju?
Poco-ś się zakradł
w siebie — w siebie?..

I oto-ś zachorzał
od trucizn wężowych;
i oto-ś jeńcem,
co najsurowszy wyciągnął los:
we własnym szybie
pracujesz zgarbiony,
wgłębiony w siebie,
podkopując siebie,
nieporadny,
drętwy,
trup —,
nad tobą brzemion piętrzy się sto,
przywaliłeś się samym sobą,
ty. co wiesz!
coś poznał siebie!
ty mądry *Zaratustro!..*

Najcięższych szukałeś brzemion:
oto znalazłeś siebie —,
nie zrzucisz siebie z ramion swych...

Czaisz się,

chylisz się,
jak ktoś, co prosto nie zdolen już stać!
Zrośniesz się jeszcze z grobem swoim,
ugięty duchu!..

A do niedawna jeszcze taki dumny
na wszystkich szczudłach wyniosłości swojej!
Niedawno jeszcze pustelnik bez Boga,
samowtór z szatanem,
szkarłatny książę każdego zuchwalstwa!..

Ninie —
między dwa NIC
wciśnięty,
znak zapytania,
mdła zagadka,
zagadka dla drapieżnych ptaków,..

— ha, „rozwiążą“ cię one,
one już łakną „rozwiązania“ twego,
wichrząc się wokół ciebie, swej zagadki,
wkrąg ciebie, wisielcze!..
Oh, Zaratustro!..
Znawco siebie samego!..
Kacie siebie samego!..

ZNAK OGNISTY.

Tu, gdzie pośród mórz ostrów stromo wzrósł,
napiętrzony jak ofiarny głaz,
tu pod czarnem nieci sobie niebem
Zaratustra górne ognie swoje, —
dla rozbitków znaki płomieniste,
wici dla tych, co odpowiedź mają.

Płomię ono o podbrzuszu szarem
— w zimne dale pała żądzą swą,
w coraz czystsze wyżnie szyję swoją gnie —
nakształt węża niecierpliwie wspięte:
znak ten oto stawiłem przed sobą.

Moja dusza jest płomieniem owym:
nowych dali wciąż niesyta,
w górę pała, w górę, cichy ogień jej.
Czemuż uszedł Zaratustra od ludzi i zwierza?
Czemuż odbiegł wszystek stały ląd?

Poznał on już samotności sześć —,
lecz mu nawet morze niedość jest samotne,
wszedł na ostrów i płomieniem na górze się stał.
Po siódmą *samotność*
zapuszcza teraz sieć nad głową swą.

Rozbitki błędne! Szczęty dawnych gwiazd!
Morza przyszłości! Niezbadane nieba!
po wszech samotność rzucam oto sieć:
niecierpliwości ognia odpowiedzcie
i mnie, rybitwie na wysokich górach,
samotność siódmą, ostatnią *pojmajcie! — —*

ZACHODZI SŁOŃCE.

I.

Niedługo pragnąć ci już,
spalone serce!
Przyrzeczeń pełna jaśń,
tchnienie nieznanych owiewa mnie ust,
— nastaje wielki chłód...

Raził mnie słońca mojego żar w skwarne południe:
bądźcie-ż mi pozdrowione
nagłe powiewy,
wy popołudnia duchy chłodne!

Tak dziwnie przezrocz drży!
Nie mierzy-ż mnie
kosem spojrzeniem
zwodnicza noc?
Wytrwaj, me serce harde!
Nie pytaj: czemu? —

2.

Dniu życia mego!
zachodzi słońce.
Już lśni złociście
spokojna toń.

Gorącem dyszy głaz:
nie spoczywało-ż na nim o południu
szczęście, ujęte południowym snem? —
Zielonemi skrami
ze śniadej bezdni szczęście błyska jeszcze!

Dniu życia mego!
odwieczerz już!
Żar twej źrenicy
przygasł napoły,
już twoich ros
sączą się łzy,
po białych morzach bieży cicho już
miłości twej purpura,
twa szczęśliwość ostatnia, nierychła...

3.

Radości, złota ma, przyjdź!
Tyś jest śmierci
poprzedniczką najmilszą, najsłodszą!
— Czyli-ż zaprędko biegłem drogą mą?
Teraz dopiero, gdy-m utrudzon już,
dolata mnie twój wzrok,
dopędza szczęście *twe.*

Wkrąg jeno fali pląs.
Co ongi brzemieniem było,
w niepamięć zapadło modrą, —
oto bezczynnie stoi moja łódź.
Jakżeż od żeglug odwykła i burz!
Chcenia, nadzieja pochłonęła głąb',
spokojna dusza i morze,

Siódma *samotności!*
Nie czułem nigdy
bliższej słodyczy spokoju,
cieplejszych słońca lśnień.
Nie tli-ż się jeszcze szczytów moich lód?
Srebrzysta, lekka
wypływa oto w oddal moja łódź..,

ZALE ARYADNY.

Kto mnie ogrzeje, kto mnie jeszcze kocha?
Podajcie gorące dłonie!
Podajcie serca żarzącą się panew!
Powalona, wzdrygnięta,
jak konający, gdy mu grzeją stopy,
wstrząsana, ach! nieznaną gorączką,
drżąca pod ostrzem lodowatych strzał,
przez ciebie, myśli, ścigana!
Nienazwany! Utajony! Straszliwy!
Strzelcze z za obłoków!
Spiorunowana przez ciebie,
szydercze oko, co mnie z mroków śledzisz!
leżę oto,
tarzam się, wiję, dręczona
wszelkiemi mękami wiecznemi,
porażona
przez ciebie, strzelcze okrutny,
nieznajomy — boże...

Ugódź głębiej!
Ugódź jeszcze raz!
Przebij, strzaskaj to serce!
Pocóż te męki
tępemi kłami strzał?
Czemuż znów spoglądasz,
cierpień ludzkich niesyty,
boskich twych oczu szydną błyskawicą?
Nie chcesz uśmiercić,
jeno dręczyć, dręczyć?
Poco — mnie *dręczyć,*
szyderczy nieznany boże?

Haha!
skradasz się ku mnie
o takiej północy?
Czego chcesz?
Mów!
Pchasz mnie, ciśniesz mnie,
ha! to już za blizko!
Słyszysz, jak oddycham,
podsłuchujesz me serce,
ty zazdrośniku!
— i czemu-ś zazdrosny?
Precz! Precz!
poco ta drabina!
chcesz-li wejść
w serce, wtargnąć —
w moje najskrytsze
myśli wtargnąć?
Bezczelny! Nieznajomy! Złodzieju!
Co chcesz wykraść?
Co chcesz wysłuchać?
Co chcesz wymęczyć?

ty dręczycielu!
ty kacie-boże!
Lub mam-li, jak pies,
tarzać się przed tobą?
Z oddaniem, zachwytem bez granic
miłośnie — się łasić?

Daremnie!
Kłuj dalej!
Najokrutniejsze ostrze!
Nie psem — zwierzyną jeno jestem twoją!
najokrutniejszy strzelcze!
twą najdumniejszą branką,
zbóju z za obloków...
Mów wreszcie!
W gromach utajon! Nieznajomy! Mów!
Zawalidrogo, czego chcesz — ode mnie?..

Co?
Okupu?
Jakiego-ż chcesz okupu?
Zażądaj wiele — radzi moja duma!
i krótko mów — radzi ma inna duma!

Haha!
Mnie — *chcesz? mnie?*
mnie — całą!..

Haha!
I dręczysz mnie, szaleńcze jakiś,
udręczasz moją dumę?
Miłość *mi daj — któż mnie ogrzeje?*
kto mnie jeszcze kocha?
podaj gorące dlonie,

podaj mi serca żarzącą się panew,
daj mi, najsamotniejszej,
którą lód, ach, siedmiokrotny lód,
do wrogów nawet,
do wrogów tęsknić uczy,
daj-że mi więc,
najokrutniejszy wrogu,
oddaj mi — siebie!..

Zniknął!
Już mnie porzucił,
mój druh jedyny,
mój wielki wróg,
mój nieznajomy,
mój kat-bóg!..

Nie!
powróć znów!
Z wszystką twą męką!
Ku tobie bieżą
wszystkie me łzy
i serca mego ostatnie płomię
k'tobie się rwie.
Oh, wróć, ty mój
nieznany boże! szczęście ostatnie!
wróć, bólu *mój!..*

Grom. Dionyzos jawi się w szmaragdowej krasie.

DIONYZOS:

Miej rozum, Aryadno!..
Masz drobne uszka, masz moje uszka:
usłysz-że mądre słowo! —
Czyż, by się kochać, nie trzeba wprzód się wzajem nienawidzieć?..
Jam twoim labiryntem...

SŁAWA I WIECZNOŚĆ.

1.

Jak długo siedzisz już
na niedoli swojej?
Bacz-że! wysiedzisz mi jeszcze
jaje,
bazyliszkowe jaje
z długiej żałoby swej.

Czemuż popod górą chyłkiem idzie Zaratustra? —

Nieufny, bolesny, chmurny,
czaił się długo —
aż nagle błysk,
jasny, straszny, aż grom,
rzucon z bezdni w niebiosa:
— zadrżały nawet
wnętrzności góry...

Gdzie grom i nienawiść
stały się klątwą —,
w górach się gnieździ Zaratustry gniew,
jak groźna chmura pełznie szlakiem swym.

Ukryj się każdy, kto się ukryć możesz!
Precz mi do łoża, wy pieszczochy!
Oto się toczą grzmoty po sklepieniach,
oto drżą wszystkie wiązania i mury,
skrzą błyskawice, prawdy siarką dyszą —
Zaratustra klnie...

2.

Ten pieniądz, którym
świat cały płaci,
sławę —,
przez rękawiczki biorę pieniądz ten,
ze wstrętem depcę stopą swą.

Kto chce zapłaty?
Przedajni...
Kto tani, *sięga*
tłustemi dłońmi
po to blaszane dzeń-dzeń świata, sławę!

Chcesz-li ich kupić?
Wszyscy są na sprzedaż.
Lecz dobrze płać!
dzwoń pełnym mieszkiem!
— inaczej wzmocnisz,
utwierdzisz jeno cnotę *ich...*

Oni wszyscy cnotliwi.
Sława i cnota — godzą się.
Odkąd istnieje świat,
paplanie cnoty
brząkaniem płaci sławy —,
świat stoi *zgiełkiem tym...*

Wszystkim cnotliwym
chcę zostać dłużny,
zaciągnąć u nich jak największy dług!
Wobec rozdawców sławy
płazem się duma staje ma —,
pośród nich chciałbym
być najlichszym...

Ten pieniądz, którym
świat cały płaci,
sławę —,
przez rękawiczki biorę pieniądz ten,
ze wstrętem depcę stopą swą.

3.

Cicho! —
Śród rzeczy wielkich — widzę *szczytne!*
mam-li milczeć
lub górnie mówić:
górnie mów, mądrości wniebowzięta!

Podnoszę oczy —
tam drżą światłości morza:
— oh, nocy, ciszo, głucha jak śmierć wrzawo!..
Znak widzę —,

z najdalszych dali
gwiezdna plejada, skrząc się, spływa ku mnie...

4.

Najwyższa gwiazdo bytu!
Wiecznych znamion tablico!
zstępujesz ku mnie? —
Niema twa krasa,
której nikt nie widział, —
jakto? nie pierzcha przed spojrzeniem mojem? —

Tarczo konieczności!
Wiecznych znamion tablico!
— wszakże ty wiesz,
co wszyscy nienawidzą,
co ja jeno kocham:
— iż-eś wieczna,
iż-eś konieczna! —
Miłość moja rozpala się wiecznie
od konieczności jeno.

Tarczo konieczności!
Najwyższa gwiazdo bytu!
— której życzenie żadne nie dosięga
i żadne NIE nie kala,
wieczyste TAK istnienia,
jestem wieczyście twojem TAK:
ALBOWIEM KOCHAM CIEBIE, O WIECZNOŚCI! — —

O UBÓSTWIE NAJBOGATSZEGO.

Minęło lat dziesięć —,
i żadna kropla nie dosięgła mnie,
ni wiatr wilgotny, ni miłości rosa
— zastygły, spiekły kraj...
Więc oto proszę mądrość moją,
by nie szczędziła siebie w tej posusze:
wzbierz przeto sama, sama stań się rosą,
i dżdżem bądź sama zżółkłemu pustkowiu!

Kazałem ongi chmurom
odejść od szczytów moich, —
mówiłem ongi „światła więcej, ciemne!“
Dziś je przyzywam, by przyszły:
mrok mi uczyńcie wymiony swojemi!
— będę was doił,
wy, krowy górne!
Mlekiem mądrości i miłości rosą
słodką zatopię ten kraj.

Precz, precz, wy prawdy
o posępnych oczach!
Nie chcę na górach moich
takich prawd cierpkich, nie chcę niecierpliwych.
Dziś niech się zbliży prawda
uśmiechem ozłocona,
osłodzona słońcem, miłością ogorzała, —
dojrzałą *jeno prawdę z drzewa rwę.*

Dziś wyciągam dłoń moją
po Przypadku kędzierze,
ile że Przypadek
umiem jak dziecko podejść i prowadzić.
Dziś chcę być gościnnym
dla Niepożądanego,
przeciw losowi nawet się nie zjeżę,
— Zaratustra nie jest jeżem.

Dusza moja
wszystkiego dobra i wszystkiego zła
już kosztowała językiem niesytym,
i w każdej nurzała się głębi.
Lecz nakształt korka
wraz wypływała znowu na powierzchnię,
na śniadych morzach igra jak oliwa:
dzięki tej duszy zową mnie szczęśliwym.

Kto jest mi ojcem i kto matką moją?
Nie jest-że ojcem moim książę nadmiar
a matką uśmiech cichy?
Z związku ich dwojga nie zrodził-żem się,
ja, zagadkowy twór,
ja, światłości dziw,
ja, wszech mądrości marnotrawca, Zaratustra?

Dziś tkliwością zwątlon,
jak odwilżny wiatr,
czeka, czeka Zaratustra pośród swoich gór, —
warzon w własnych sokach,
przepojon słodyczą,
siedzi pod *swym szczytem,*
siedzi pod *swym lodem,*
znużony i błogi:
Twórca w siódmej dobie swej.

— Cicho!
Prawda jakaś przeciąga nade mną
nakształt chmur, —
niewidzialnym gromem razi mnie.
Szerokiemi schody
pnie się zwolna ku mnie szczęście jej:
uwielbiona prawdo, pójdź-że do mnie, pójdź!

— Cicho!
To moja *prawda! —*
Drgnąwszy niepewnością,
aksamit jej oczu
raził mnie spojrzeniem
złem i słodkiem jak dziewczęcy wzrok...
Snadź odgadła szczęścia mego źródło,
mnie *odgadła — ha, co ona knowa? —*
W bezdni jej dziewczęcych źrenic
purpurowo przyczaił się smok.

— Cicho! Prawda ma mówi:

Biada ci, Zaratustro!
Wyglądasz jak człowiek,

co połknął złoto:
jeszcze ci wyprują jelita!..

Za bogaty-ś ty,
popsułeś tak wielu!
Za wielu masz zawistnych,
za wielu ubożysz...
Mnie samej światło twoje rzuca cień —,
i drżę od zimna: pójdź precz, ty bogaczu,
zejdź, Zaratustro, zejdź ze swego słońca!..
Chciałbyś rozdać, rozdarować niepotrzebne skarby,
lecz najniepotrzebniejszym tyś sam!
Miej-że rozum, bogaczu,
Oh, Zaratustro, rozdaj wpierw siebie samego!

Minęło lat dziesięć —,
i żadna kropla nie dosięgła cię?
Ni wiatr wilgotny? Ni miłości rosa?
Lecz któż-by cię też kochał,
ty przebogaty?
Twe szczęście wysusza wokół,
w miłość uboży
— zastygły, spiekły kraj...

Nikt ci już nie dziękuje,
ty wszakże dziękujesz każdemu,
kto od ciebie bierze:
poznaję-ć po tem,
ty przebogaty,
ty najuboższy *ze wszystkich bogaczy!*

Oddajesz siebie, dręczą *cię twe skarby —,*
ofiarujesz się,
nie szczędzisz siebie i nie kochasz siebie:

zawżdy cię wielka przyniewala męka,
ból przepełnionych *spichrzów,* przepełnego *serca —*
lecz nie dziękuje ci już nikt...

Chcesz-li być kochanym,
musisz się zubożyć,
mędrcze niemądry!
Ludzie kochają jeno cierpiących,
jeno głodnego darzą swą miłością:
Oh, Zaratustro, rozdaj wpierw samego siebie!

— Jam prawda twoja...

PRZEŁOŻYŁ Stanisław Wyrzykowski.

Józef Mehoffer.
DWA RYSUNKI WITRAŻOWE.





JÓZEF MEHOFFER · FEC ·

„BOGA-RODZICA.“ PIEŚŃ.—ZE STANOWISKA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO ODCZYTANA PRZEZ CYPRYANA NORWIDA. (DOKOŃCZENIE.)

„Szlachetne pragnienie musi się w nas
„zapalić do przyczynienia się także datkiem
„*z własnych zasobów,* aby powiększonym był
„owy bogaty spadek prawdy, obyczajności
„i wolności, który odziedziczyliśmy...“
SCHILLER.

Tekst

NARODZIŁ SIĘ DLA NAS SYN BOŻY,
W TO WIERZYI, CZŁOWIECZE ZBOŻNY,
IŻ PRZEZ TRUD — BÓG SWÓJ LUD
ODJĄŁ DYABŁU Z STRAŻY.
PRZYDAŁ NAM ZDROWIA WIECZNEGO:
STAROSTĘ SKOWAŁ PIEKIELNEGO.
ŚMIERĆ PODJĄŁ, WSPOMNIAŁ CZŁOWIEKA PIERWSZEGO.
JESZCZE TRUDY CIERPIAŁ BEZMIERNE,
JESZCZE BYŁ NIEPRZYŚPIAŁ ZA WIERNE,
AŻE SAM BÓG ZMARTWYCHWSTAŁ.

Wyrażenie, iż Syn Boży *„dla nas“* narodził się, jakimkolwiekbądź tonem określające *wyłączność*, zatrzymywać nie może teologicznej myśli, ale jest ono niesłychanie ważnem dla historyka. — Owszem, wątpię zupełnie, ażali, bez wyrozumienia historycznego tych słów, można jakąkolwiek mieć pretensyę do oświeconego patryotyzmu? który, jeżeli nie jedynym jest celem historycznych prac, to pewna, iż z głównych nieostatnim. Dla Bethleemu, pod panowaniem rzymskiem, i dla Sanhedrynu w Jeruzalem, nietak

zaświtała gwiazda pańska, jako dla wschodnich trzech książąt i mędrców. Inaczej okazał się Zbawiciel na Via-Appia w Rzymie, kiedy już w powietrzu siarczył się pożar miasta i gotowały się początki *Dziesięciu prześladowań krwawych*, ażeby, z tych wyszedłszy jako w purpurze, wywalczał nią na nowo Chrystyanizm u *genialnych impostorów* i u pełnych *talentu* herezyarchów.

Nowy i zupełnie starożytnemu państwu nieznany stopień *posłuszeństwa* trzeba było nadto doskonałemu rzymskiemu przed-stawić *urzędowi*, a skromną *męczeńską niezłomność* pompatycznemu *heroizmowi*. Ze wszech miar wyrobionej *elokwencyi* przeciwstawić zdrowe i szerokie słowo *Ojców Kościoła*, a *attykom* przeciwstawić *apologistów*. Metaforyzm przeto wyrażenia, iż „narodził się *dla nas* Syn Boży...“ w tymto sensie znaczenie ma i osobne i niepoślednie.

Prawda, jako meteor Epifanii nad Arameeńskim starożytnym światem przeszla, objawiła się we wybranem izraelskiem człowieczeństwie; ale, już ona we wszystkie historyczne i cywilizacyjne potęgi od stóp do głów oblekła się była pierwej w sferze grecko-rzymskiej, nim pojrzały na nią i pokłoniły się ku ziemi ludy *pod-pólnocne*, nim *pólnocne* na chwilę osłupiały, na chwilę wyzwały ją na nierówny, lecz szczery i rycerski pojedynek, lub, po rozmyśleniu głębokiem, rzekły jej *„amen.“* — Szwedzki *Olof* na zgromadzeniu ludu, na *Tingu* jeneralnym, na *allshärjarting*, przedstawia kwestyę chrystyanizmu. Rzucone są gałki losu i kwestya na porządku dziennym stawa.

Wtedy podnosi się jeden starzec, w te słowa mówiąc:

„— Usłuchajcie!.. Ty, narodzie, i Ty, królu!.. Wie-„my już wszyscy, iż chrześcijański Bóg spomaga tych, „którzy weń wiarę mają. My dowody tego mieliśmy „i w niebezpieczeństwach na morzu i w innych... Za „cóż to odrzucać, co nam użyteczne być może? lub gdzie

„indziej tego poszukiwać, co samo *do nas* przyszło —?
„Niejeden już z naszych, ażeby o tej religii nowej po-
„wziąć języka, udawał się aż do *Dorstadu* — a przeto to
„wam radzę, ażebyście przyjęli wdzięcznie sługi Tego
„Boga, który wielmocniejszym jest nad wszystkie inne
„którego zachowanie zawsze jest mieć dobrze, skoroby
„się inne bogi sprzeciwnemi dla nas okazały.“

Na mocy tychto słów, ogromnym oklaskiem całego *Tingu* utwierdzonych, rozpoczęła się ewangelizacya Szwecyi.

W *Danii,* cesarz Otton I-szy, pobiwszy Harolda, kładzie możność ewangelizowania narodu za warunek istnienia jego i korony. I miecz odpiera mieczem. W *Norwegii,* świtający jej chrystyanizm tak ze wszech miar groźną i otwartą spotyka postać ludu, iż chrześciański *Jarl-Hakan* nie ośmiela się wiary i celów swoich wyznać na publicznym *tingu.* Owszem, wyciąga rękę ponad sakryfikatorski kubek starców i, dla sumienia swojego, krzyż zakreślając w powietrzu, daje ludowi zrozumiewać, iż czyni *znak młota Odynowego...* Alić tamże *Olof Tryggwason* inaczej rzecz tę rozstrzyga: „...chcecie (mówi do
„zgromadzonych), ażebym jako *Hakan-Jarl* w ofiarowa-
„niu idolatryjnem udział bierał..? czynić to gotów jestem
„i immolować będę nie już podrzędne jakie ofiary niewol-
„ników, lecz naprzykład sześć najwyżej podniesionych głów
„śród szlachetnych waszych przywódzców... temu zaś gwo-
„li, myślę, że idole się uradują!..“ a to rzekłszy, gdy sześciu z pierwszych w tłumie mężów skazał na gardło, pochrzcili się.

Północny człowiek nieinaczej i w *Ultima Thule* z krzyżem się potkał. *Thormod* wylądował w Islandyi, z desek kościół postawił, odprawił mszę. Potem siedmiu klerków z kadzidłami wyszło na przodku w miejscu idolatryjnego zgromadzenia, i obwołanem zostało chrześciaństwo jako

obowiązujące wyspę. Spółcześnie, iż wulkan cisnął był ognie, wróżyli jedni, że bogowie za Odyna czcią się ujmują, drudzy, iż nowy bóg z mocą wziął królestwo. Naówczas *Thorger,* mąż idolatryjnemu prawu wierny, wysłuchawszy te i owe wnioski rzeszy, cofnął się do namiotu swojego i, na głowę płaszcz arcykapłański zarzuciwszy, pozostawał tak, milcząc, jedną noc i jeden dzień. Zaś dnia następnego, podał ludowi prawo, obowiązujące wszech-Islandyę do przyjęcia chrztu i chrześciaństwa z obaleniem posągów i świątyń, i z uderzeniem bannicyą, ktobykolwiek o ofiarowaniu bałwanom był przekonanym. Wielką wszelako nędzę ludu islandzkiego mając na względzie, przyzwolił on pożywać jeszcze mięso konia i eksponować dzieci zwyczajem dawnym.

Rzecz ta gdy przez cały *Ting* jednomyślnie została przyklaśniętą, *Thorger* uchylił czoło i przyjął chrzest.

Moc ubóstwić — męztwo dla samegoż męztwa praktykować i energią dzielności upajać się, — że jedynym było dogmatem walhalicznym, przeto i chrześciaństwo tam nie weszło jak do Aten lub Rzymu, ale raczej *z sądem i z mieczem,* pomiędzy twarde, siwe krocząc skały i pod niebem ciężkiemi chmury osłupionem. Jezeli wszelako to, co *rozsądkiem* nazywa się, może być przyrodzonym i etnograficznym darem, tedy zaiste że tylko *północny człowiek* jest z przyrodzenia *rozsądny.* —

Arameeński mąż, *Heber, Abraham,* na czemś więcej niźli na *rozsądku* osadzał się, kiedy mu przychodziło wyjść z Chaldei, lub na syna własnego ponieść nóż... U *Greka,* rozsądek jest wynikiem estetycznej symetryi, ale żaden grecki bohater przez rozsądek nie słynie pierworzędnie i raczej przez zapał tylko, lub przez dowcip. Rozsądek, nareszcie, Rzymianina zależy na patrycyalnej ciała powadze, na panowaniu nad sobą samym i na dyplomatycznej mierze słowa, jakoby tam nie zapominać umiał szlach-

cic o pontyfikalnym swojego pochodzenia obowiązku. — Zaiste, że te osobliwe geniusze ludów dopiero się w całej posągowej ich nagości, wtedy ogląda, kiedy do nich chrześciańskie światło zbliżyło się, ten a nie inny uwydatniając profil postaci. — I dla tegoto arcy jest godnym rozejrzenia wiersz ten „*Boga-Rodzica,*“ że: „*narodził się DLA NAS Syn Boży.*“ — —

Świadomość ta, iż ze wszechmiar prawomocnie—i nieledwie powiedziałbym, że właściwie i *rozsądnie* — do podpółnocnych ludów ewangelizowanie ich nadeszło,— należałaby do prostego rozglądu samychże historycznych następstw, albo do obecnej o nich wiedzy, i nic w sobie nie miałaby dziwnego ni osobnego. Wszelako jeżeli sam apostoł, na miejscu i w czasie czynności swojej świętej będąc, tak samo o przyjściu chrześciaństwa do Polski powiada i za *nieuniknione koniecznie je uważa,*— tedy, godzi się i można to poczytywać za charakter godziny, w której słowiaństwo polskie do chrześciańskiego ogółu przystępowało. Zaś pracy tej, i po szczególe niniejszego tejże pracy paragrafu, właśnie iż myśl ta celem jest. We wypowiedzeniu albowiem, iż „*narodził się DLA NAS Syn Boży,*“ widzieć chcemy nas samych onejże godziny ku temu zgotowanych. — (Constant. porph. de adm. imp. 63). „We Wiślicy“ (podobno tej samej, w której o wiele potem późniejszy Łokietek miał widzenie Matki Zbawiciela) „*we Wiślicy, stolicy Wiślan,* nad Nidą, rządził *Wyszi-„sław v. Wyszewit,* Βονσεβουτζες, bałwochwalca, który wy-„szydzając chrześciaństwo szkodził onemuż. Do niego „apostoł Metodius te słowa wyraził mówiąc:

„Radzę-ć, synu! *ochrzcij się sam i na własnej zie-„mi* twojej...
„albowiem gdybyś tego nie dopełnił, tedy będziesz „ochrzczonym *lecz na cudzej...*
„I na on czas mnie spomnisz — — —“

(„Krestiti synu woleją swojeją na swojej zemli — da „ne plenen nadmi budieszi kreszczen na zemli czużej... „pomeneszi me!“ — (Method. — u Polewoja).

Nie było to więc ani tajne samymże wiary ś-tej krzewicielom, ani oni tego uważali za niewypowiadania godne, iż do słowiańskiego ludu Chrystus przyszedł w majestacie i w mocy.

„Północ,“ w sensie biblijnym, oznacza stronę mężów i grzeszników — jakoż, dla człowieczeństwa przyszedł Zbawiciel i nie dla niepotrzebujących lekarza, lekarz.

Łatwość przeto tę zapewne bacząc, z jaką słowiańskim dane było ludom przystąpić do chrześciańskiej ogólności, — obwołuje dalej pieśń apostoła, aby nie zapominano, iż

„przez trud, Bóg, swój lud
„odjął dyabłu z straży. —

I staranniej jeszcze kładzie na tem przycisk, aż w *Kościele Cierpiącym* tęż samą treść podnosząc po śmierci:

„Jeszcze trudy cierpiał bezmierne,
„Jeszcze był nieprzyśpiał...“

Podobno, że po wszystkie czasy, u *umiarkowanego naturalnie* temperamentu Słowian, a zwłaszcza i dla tego, Słowian geograficznie *środkowych,* bywało rzeczą łatwą, zyskać ogólne przykłonienie się. Czy to jest dobrze albo źle, tu nie roztrząsam, ale pewną jest rzeczą, iż ostatecznie wszystko za ogólnem przyznaniem od najdawniejszych czasów u nas się rozstrzygało. Samowładztwa nawet najwyższe były z elekcyą razem. Słowianin, zasadę tę, która z natury swojej miała być naturalnym despotyzmu hamulcem, aż do przymusu sam posuwał, — tak dalece jest ona u niego główną. Wybór *„Piasta,“* na końcu bieżącej historyi polskiej, jest tenże sam, co *Piasta kruszwickiego* albo *Czarnego Leszka... (Tratka,* 1279, mówi: „Po Bole-

sławie *przez wybór* nastał *Leszek.*") — I dlatego to *„Piast!"* za ostatniej epoki królów, jako okrzyk zarazem i jako *IDEA* już wybrzmiewa! Podobno, iż narody w kardynalnych kryształach swojego zasadniczego principium nie odmieniają wcale — podnoszą je, rozwijają, doskonalej lub mniej doskonale aplikują, lecz nie zmieniają.

Ku północy i morzu — ku południowi i jego słońcu, opór, jaki stawił Słowianin chrześciaństwu i ewangelizacyi, zapewne był więcej stanowczym i wyraźniejszym. Co do właściwego *„skruszenia bałwanów"* na słowiańszczyźnie środkowej, wiele jest w tem kronikarskiem wyrażeniu do istotnego *odczytania.* Książęta nowo pochrzczeni zamach ten przejęli od braci monarchów, gdzie on twarde granity za cel miewał. *Świątynie* były, wprawdzie, niekoniecznie jak one opisywali *wędrowni kupcy* w swoich bogatych opowieściach, lecz na pośrodkowej słowiańszczyźnie arcy mało w świątyniach tych było do *kruszenia.* Co innego jest symboliczny pierwszy zarys budownictwa, a co innego właściwa architektura. Wyprowadzenie *„komina"* na dach dopiero za Łokietka w powszechne użycie wchodzi, lubo symboliczne budownictwo leży i w posadach *mogił.* Toż samo jest, i co do *pisma,* które zawsze i wszędzie z budownictwem ma związek. *Litera,* w umiejętniczym i obowiązującym jej sensie, niekoniecznie swoje ugruntowanie znajdowała była w umyśle i temperamencie Słowian, lubo, że przedchrześciańscy Słowianie mieli swoje PISANIA, jakkolwiek nieodnalezione dotąd, ja najmniej nie wątpię o tem. Z poszukiwań własnych, gdyby ramy tej tu rzeczy dozwalały, zdołałbym mówić w tym przedmiocie. Najstarsze *„runy"* pisały się w krąg koła (patrz np. *kalendarz Runiczny*) i kreślone były jako wełna strzyżonego barana ofiarnego zwijana w krąg i rozwijana, co dla tego wybrzmiewa: *„Runo wełny..."* Nie uważam także za wieści *„czcze"* i *„podstawy*

niemające“ (według zdania pisarzy naszych), jakoby Bolesław Chrobry kazał był jakieś z czasów pogańskich „*księgi popalić*“ — lubo *deski* te albo ich szczątki nie są znalezione. — — Dzisiejszem zapewne pismem Bolesław „*wydawal edykty*,“ ale jakiemi urobionemi w społeczeństwie drogami i środkami edykty te roznosiły się i na prądach jakiego sposobu publikowania onychże?.. to, z istotną ścisłością, nie jest jeszcze dotąd rozejrzane. Atoli monarcha ów doraźnie i ręką silną *cały jakowyś zborny porządek rzeczy* przełamał i stłumił, skoro tenże, za pierwszem *stanu* osłabieniem, zgarnął się był natychmiast w dawne koła i pod pierwo-słowiańskie *cechy* i *znaki*, za Masława, z którego *kosami* (herb — *kosy*) podniosło się przeciwchrześciańskie od-działanie. I ogół to ten sam, cały odwrócił się przeciw kościołom, który temu *kilkadziesiąt lat tylko* (czyli w historyi jakby *zeszłego miesiąca*) ze świętym Wojciechem całą wiecą narodu „*Bogarodzica*“ śpiewał, a teraz zapewne pierwotny onej rękopis, wraz z „*fundacyjnemi dokumentami i pierwszych przywilejami biskupstw*“ (Długosz II.96), płomieniami pożarów zatracił. Lecz to jest zarówno i tenże sam ogół, który niemniej, skoro po dobie upamięta się, wyraz „*hospodyna*“ (podobno iż jedyny w polskiej poezyi, a w onejże użyty pieśni wielkiej) odpomni na nowo w hozannie dla Kazimierza („A witajże nam, witaj, miły *Gospodynie*“ — *Bielski).*

Tak łatwy to umysłów ogół na względzie mając, zarówno wypowiada święty Poeta, iż „*narodził się dla nas* Syn Boży,“ i zarówno coraz to silniej dodawa, aby pamiętano, „iż przez *trud*... i *przez bezmierne trudy*...“ utwierdzają się w ludzkości owoce *dobrego poselstwa* i dzieło zbawienia gruntuje się.

Wyrażenie „*starostę piekielnego*,“ lubo wobec roz-

bioru treści, który tu podjęliśmy, jest podrzędne, — godzi się wszelako zważyć, jako dowód zupełnie swobodnej wolności słowa i naciskiem żadnym zewnętrznie nieupodejrzliwionej. Godność albowiem starostów jest arcy słowiańska i pierwotnie od powagi wieku samego pochodząca, a którą to po szczególe *przedchrześciańska moralność* do zupełnego doprowadzała despotyzmu, tak, iż starzec starszy rozkazował jeszcze młodszym starcom, i że przeto moralny sens w archeologicznym tracił się wątku. Urzędy z tegoż wprost wyrosłe nazbyt w kwalifikacyach swoich objęły były *prawo przedawnienia.* Zaś chrześciańskie pojęcie o godności wieku na szerszej się uzasadnia prawdzie. Literalnym nadto powodem, iż użyto tego wizerunku „*piekielnego starosty,*" stała się i ta wierność świętemu pismu, jaką, obok filozoficznej i poetycznej twórczości autora, w całym utworze jego ciągle napotyka się. Starosta tu albowiem odpowiada (u Ew. Mateusza XII. 29) Mocarzowi w grodzie obronnym, którego złupić nie może człowiek, „*ażby pierwej związał mocarza onego,*" czyli, jak wyraża pieśń:

„*starostę skował piekielnego.*"

Szczegółem tym jednego wyrażenia — nie oddalając się zanadto od głównego w tej strofie i pogłównie tu rozglądanego poetyckiego sensu we wierszu, iż „narodził się *dla nas...*" — winnniśmy domieścić, iż święto Narodzenia Pańskiego jest „*jedynem świętem Północy,*" pod osobną tą nazwą u wszystkich chrześciańskich znanem wyznań.

Jakoż, gdyby kto w czas wigilii, o tej właśnie mistycznej nocy, podniósł się nad glob na wysokość, z którejby mógł północny jego obejrzeć profil, zobaczyłby, od odległych krańców Kanady, przez Ocean, grupę angielskich półwyspów, Skandynawię, Germanię, Polskę, i przez Pol-

skę aż do niektórych osad Syberyjskich, wielkie jedno koło zapalonych gwiazd ognia radosnego!..

Ludy inne mają i *millenia* swej historyi po za dniem narodzenia Chrystusowego — ale historyczny człowiek północny narodził się rówieśnie...

Arcy historyczny, a jednak poetycki sens tych mówień ażeby pojąć, — trzeba, we *wigilię Narodzenia Bożego,* stać gdzieś na kotwicy, w jakiej zatoce portu idolatryjnych jeszcze do dziś ludów i mocarstw, i od strony jednej uczuwać idące ponad falami resztki odległego tyfonu, a od drugiej słyszeć echa armat chrześciańskich ku uczczeniu święta przez noc całą grzmiące z okrętów... i dymy ich biało się ciągnące ku pagodom miast widzieć samotnie.

Historya albowiem nietylko *była,* lecz i *jest,* i dla tego z pisanych dokumentów udziela się w niektórej jeno *części* swojej. —

Tekst

ADAMIE! TY BOŻY KMIECIU,
TY SIEDZISZ U BOGA W WIECU.
  DOMIEŚĆ NAS, SWE DZIECI, GDZIE KRÓLUJĄ ANIELI:
TAM RADOŚĆ, TAM MIŁOŚĆ, TAM WIDZENIE
TWÓRCY — ANIELSKIE, BEZ KOŃCA!..

TU — SIĘ NAM ZJAWIŁO DYABLE POTĘPIENIE...

Sielskość ma, i mieć zawsze będzie, osobny urok tak dalece, że oto i w jednym z najdonioślejszych pieśni nastrojów czuć się dawa i nie przestaje być wdzięczną. Przyczyna tego arcy głęboko leży, bo jeszcze w niejakim szczątku pierwotnej religijności ludzkiej z tak zwanego biblijnie Patryarchalnego czasu. — Jest uwarunkowaną naturalnie, samem sielskiem życiem, pewna *moralność*... i ta ma zarazem uroczą stronę dawności swojej czyli *pierwotności*, i ma niemniej swoją ograniczoność, jak wszystko, co naturalne jest. *Arkadya* pozostanie żywiołem poetyckim i utęsknieniem tego złotego wieku, który jeszcze pod jej formami nawet proro-

kującemu poniekąd Wirgiliuszowi objawił się — ale zapóźno wejdzie ona w *historyczny interes* Grecyi, ani na czas *Ligi Achejskiej* nie pojmie!.. Naturalnie poniekąd moralnymi pasterze ażeby bywali, to jest im od patryarchalnej podane tradycyi, lecz Zbawiciela światłość na niebiosach poleciła i pasterzom iść do Bethleem...

Naiwne zaś podanie u polskiego ludu przechowywa się, że byli to właśnie pastuszkowie słowiańscy(!).

Wyrys pierwszego człowieka jako *„kmiecia Bożego,“* zasiadającego we wiecy u Najwyższego, mniemam, iż dla każdego czytelnika, który nieco bliżej Homera poznał, zdaje się być jego samego ręką na polskiej ziemi i polskiemi utworzonym słowy. Nic równego niema temu ustępowi pieśni *„Boga-Rodzica“* w całej pięknej literaturze polskiej. —

Sioło też, we właściwem onego rozumieniu, oprócz niektórych szczęsnych momentów u *Izraela,* kiedy każdy pod własną spoczywał figą, — oprócz *pelazgijskich* chwil *Arkadyi* szybko w poezyę przeszłych, — nigdzie na świecie całym tak istotnie bytu swojego nie miało i nie ma jak w Polsce. *Germańska* wieś, od najdawniejszego swego początku i zawsze i do dziś, była i jest *małem miasteczkiem — burgiem.* U latyńskich ludów *wieś* jest *villą*... Tak, iż wsi właściwej nigdy i nigdzie nie było, oprócz w *Polsce.* Przymioty tego osobnego charakteru i ujemne onegoż strony stanowią jedną z najważniejszych tajemnic historyi narodowej. —

Jeżeli zaś tak jest i dotychmiast, jakaż to musiała być wiosenna i świeża młodość, cała kwiaty białemi wonna i pierwotna, za onych dni, w których do pierwszego człowieka śpiewał słowianin: *„Adamie! ty, Boży kmieciu.“*

Poeta też (wedle mojego sposobu rozdzielania *„Boga-Rodzica“* na części dwie) skłania się tu do tej najpierwot-

niejszej głębi ducha narodu i uświęca ją ostatecznemi widzeniami rzeczy niebieskich.

Kadłubek w tym zda się mówić sensie o ś-tym Wojciechu, że „— — *Polaków, jako młodziuchnych we wierze wzmocnił.*“

„Domieść nas, swe *dzieci*, gdzie królują anieli:“

Co do próśb o spółkrólowanie *ze światem anielskim* po błogosławionym żywocie, te zapisywane bywały na grobowcach *królów Jeruzalemskich*, a przeto później od naszej wielkiej pieśni.

„— Mądre tedy jest (kreśli *Skarga*) w tej pieśni wszyst-„kiej wiary wkrótce wyznanie, utwierdzenie nadziei, i nau-„ka pokuty, trzeźwa i roztropna modlitwa.“ — Dalej zaś wymownie dodaje tenże o przymiotach *rycerskich* tegoż utworu, co dało nam myśl do poszukiwań, czyli się on nie z *dwóch* składa części, — i na tem jest rozbiór nasz osnuty.

CZĘŚĆ WTÓRA.

Tekst

NI SREBREM NI ZŁOTEM NAS Z PIEKŁA ODKUPIŁ,
SWĄ MOCĄ ZASTĄPIŁ.
DLA CIEBIE — CZŁOWIECZE — DAŁ BÓG PRZEKŁUĆ SOBIE
BOK, RĘCE, NODZE OBIE.
KREW SWIĘTA SZŁA Z BOKU NA ZBAWIENIE TOBIE.
WIERZŻE W TO, CZŁOWIECZE, IŻ JEZU CHRYST PRAWY
CIERPIAŁ ZA NAS RANY.
SWĄ ŚWIĘTĄ KREW PRZELAŁ ZA NAS CHRZEŚCIANY.

JUŻ NAM CZAS, GODZINA, GRZECHÓW SIĘ KAJACI,
BOGU CHWAŁĘ DACI,
ZE WSZEMI SIŁAMI BOGA MIŁOWACI.
MARYA DZIEWICA, PROŚ SYNA SWEGO,
KRÓLA NIEBIESKIEGO,
ABY NAS UCHOWAŁ ODE WSZEGO ZŁEGO.
WSZYSCY ŚWIĘCI PROŚCIE,
NAS GRZESZNYCH WSPOMÓŻCIE,
BYŚMY Z WAMI PRZEBYLI,
JEZU CHRYSTA CHWALILI.
TEGOŻ NAS DOMIEŚCI JEZU CHRYSTE MIŁY,
BYŚMY Z TOBĄ BYLI,
GDZIE SIĘ NAM RADUJĄ JUŻ NIEBIESKIE SIŁY.

AMEN, AMEN, AMEN,

AMEN, AMEN, AMEN, AMEN.
TAKO BÓG DAJ,
BYŚMY POSZLI WSZYSCY W RAJ,
GDZIE KRÓLUJĄ ANIELI.

Dzieląc pieśń, jak ją dzielą, na *części dwie* — i nietylko dopuszczając, ale budząc, aby kto ode mnie lepiej to arcydzieło pojął i rozejrzał, — wypowiadam myśl swoją, iż *wtóra część* od słów „*Ni srebrem ni złotem...*“ rozpoczyna się, po tej jednowierszowej pauzie:

. . . .

„Tu, się nam zjawiło dyable potępienie!“

. . . .

Która to pauza pomiędzy dwiema całego poematu częściami stanowi przedział, jakoby pomiędzy *Chórami* dwoma w starożytnych lirycznych utworach obrzędowych.

Zaś, o ile cała moralna strona pierwszej części opiera się na pojęciu *pracy i trudów*, o tyle ta druga mówi wyłącznie o *Ofierze*.

Kolorytu sielskiego i kmiecego nietylko w części tej niema, ale założone jest jako główny wstęp nieufanie w *srebro ani w złoto...* Jest to po szczególe *chór rycerski*, chór wyłącznie dla rycerskiego skreślony stanu i towarzystwa. Tak dalece, iż mniemałbym, że naprzód całą *pierwszą część* lub początkową *litanię* śpiewało razem wszystko zebranie głosów, a wtórą część *stan rycerski* intonował, —

że przełamywały się *dwa chóry* pauzą... i zamykało się nareszcie odśpiewanie całego tekstu tą znowu litanią, którą spotykamy w końcu hymnu, ale która już jest ze wszech miar widoczniejsza i w formie i w sensie. — Niema tu już w części tej „*Adamie! Ty Boży kmieciu...*“ ale jest, z osobnym tonem, zagrożenie: „*Ni srebrem, ni złotem...*“ dziwnie o wiele i wiele późniejszemu podbrzmiewające wyrażeniu „*ni z roli ni z soli...*“ Tajemnicze bo jest wzajemnictwo tych szczególnych w Epopejach narodów wierszy, tonów, i wygłoszeń, na których cała harfa wyłącznej jakiego narodu energii stroi się..!

Podział takowy pieśni, o którym dosłownie Skarga nie mówi, zdaje się on jednakże widzieć lub mieć przed oczyma, skoro dwa przyznaje charaktery utworowi temu, *katechistyczny* i *wojenny*. Lubo dwu tych razem pod właściwym stopniem wystosowanie stanowiło *jeden*, albo mało, albo nieumiejętnie dziś czytelny: to jest, charakter *rycerski*. Szczegóły pod tym względem są tak zatarte, jak to bywa i poniekąd być musi z dawnemi arcydzieły, których delikatniejsze zarysy przez czas tępieją i — tylko grubsze gdy są widocznemi — czyni się rodzaj *palimpsestu*, wymagającego odczytania na nowo. Sprawa, o której już w tej naszej pracy mówiliśmy *).

Za czasów blizkich *Arthurowi* albo *Wielkiemu Karolowi* wystarczało rzec wyraz ten: *Rycerstwo — Kawalerskość* — ażeby nie było potrzeby dodawania, iż to stopień jest historycznego kapłaństwa i nabożności. Figurę pamięci na sakramenta miało rycerstwo każde, jako to *Chrztu* w *Łaźni rycerskiej*, *Bierzmowania* w *dotknięciu mieczem*

---

*) „*Postęp twórstwa warunkuje się postępem czytelnictwa.*“ Patrz wyżej, we *Wstępie.*

nagim, przyjęcia w zbór i w uczestnictwo *Ciała zbiorowego* w *uczcie okrągłej* i mistycznego *małżeństwa* w idealnem dla damy uwielbieniu i przeto uczczeniu niewiast... *Inwestyturę* też swoją w pasowaniu czyli zapięciu *pasem bioder* na znak wzięcia się do dzieł rycerskich.

Gotował się też rycerz w duchu do spraw swoich, a tego wielki teolog *Wujek* nie potrzebował za czasów swoich opowiadać i do niego to wyłącznie nie należało, jednym wszakże pióra pociągiem o *„Boga-Rodzica“* powiedział dość, skoro ją:

„KATECHIZMEM POLSKIM“

nazywa.

Dla tychto samych powodów pióra późniejszego duchowieństwa, albo, że tak powiedziałoby się, *niedopasowani* poniekąd pisarze — znajdowali w *„Boga-rodzica“* teologiczno-filozoficzne usterki i niewłaściwości. I dla tejże przyczyny śpiewanie tego arcydzielnego rapsodu zwolna wychodzi z użycia pod epoką, w której *zakonność rycerska* ustępuje z szeregów tak nazywanej po dziś *regularnej armii państwowej.* W sposób, iż z nieodczytanego słowa: *„Rycerskość lub Kawalerstwo“* zatrzymanym naprzód zostawa sens rzeczy, a potem podawanym w podejrzenie i do wyziębionej doprowadzonym obojętności *).

Dobre poselstwo Chrystusowe na cierpliwości, znoszeniu uraz, lubo pogłównie na *nieustannej miłości* oparte, nie dopiero wtedy dotknęło było *sumienność wojskową,* kiedy Ojcowie Kościoła osobnemi traktaty rozstrzygać musieli, czyli *znak honorowy militarny* godzi się chrześcianinowi, albo niegodzi przyjmować i nosić?? (Patrz *„O wień-*

---

*) „Jest to, zaiste, że zupełnie nowy wynalazek, za cel mający... wyniszczać poczucie istotnych potrzeb umysłowych...“ (Patrz wyżej we *Wstępie).*

cu“). — Ani też zagajenia takie, dopiero na osiem wieków przed *„Boga-Rodzica,“* i dopiero—mówię—wtedy, zatrzęsły sumieniami ludzi mieczowych, kiedy już Maksymilian z Medyolanu do Galii z legionami rzymskiemi wchodził i w *Octodur* (dziś *Marigny* dans le Valais) zatrzymał się, kędy mu Dioklecyan zaciężny *legion Tebańczyków* pod Maurycym nadesłał był. Wtedy albowiem już przeszło tysiąc żołnierzy, mieczami wyciętych co dziesiąty z szeregu, uzasadniło było znajomość rycerskiego rzemiosła, taki od reszty legionu do Imperatora pisząc list:

> „Twoimi jesteśmy żołnierzami, o! Imperatorze, ale „wypowiadamy otwarcie, iż jesteśmy i Boga wojskiem. — Powinność wojskowego Tobie oddawamy posłuszeństwa; życia niewinność — Jemu. „Od Ciebie, Cezar! płacę bierzemy, a istnienie od „Najwyższego...“

W odpowiedzi, iż cały legion do szczętu wyciętym został, nietylko już ślad mamy historyczny, że wątpliwości takowe teologiczno-moralne podnoszonemi były, ale że i swoją miały solucyę. Atoli nie dopiero w on czas kontrowers tak wielki i historyczny począł się był i doskonałego rzymskiego legionistę obchodził. Nad Jordanem jeszcze, gdy Jan chrzcił i kazał (patrz u Łukasza Ew. III. 14), „pytali go też i *żołnierze*, mówiąc:

> *„a my, co czynić mamy —?*

„I rzekł im — żadnego nie bijcie potwarzając, ale na „żołdziech waszych przestawajcie.“

Większy wszelako i do rozwikłania w pozornych sprzecznościach swych trudniejszy bezkierunek i zeń idący smętek owładnął był nie owe orły udyscyplinowanego wytwornie żołnierza rzymskiego!.. Całe tam albowiem społeczeństwo, organicznemi członkami ruch przyjąwszy,

nie dawało przez to samo zaciemniać prawd i uczuć, lubo twardziej decydowało i walkę.

Ale ku północy i śród ludów na poniekąd bezorganicznem pospolitem ruszeniu opierających wojenne siły narodu, — czyli przeto tam, gdzie bohaterski osobisty zapał mniej się na świadomem opierał posłuszeństwie,— doktryna chrześciańska *zasmuciła* (wyraz jest historyczny: „*zasmęciła*“) półbóstwo bohaterskie. W *Odyna* ojczyźnie po prostu i twarz w twarz na pojedynek wyzywał *Odynowicz* nowego *boga*... — Znane jest to przesilenie dnia z nocą w Skandynawii, niedostępne do dziś dla historyków, iż tak zamkniętą była na czas.

U Słowian też, ku południowi, wyśpiewywał pobity wojownik smutki swoje...

„*Krugulce święte wypłoszył z gaju,*
„*Sprowadził bóstwo z obcego kraju,*
„*Jednę rai Towarzyszkę*
„*Mieć — na całę ścieżkę*
„*Od* wiosny... *do* Marzanny!“

Czas zaś nie tak prędko przemienia się tam, gdzie organicznie społeczeństwo nie rusza się, lecz pogłównie na uczucia przetworzeniu, albo na ogólnej opinii opiera postęp. Myślę, iż Bolesław Wielki organizacyą *rycerstwa* i wielce się zajmował, i wiele jej dopełnił, skoro i *łaźnię rycerską* (wytłómaczoną nieco po mongolsku przez kronikarzy i pisarzy polskich), jak mógł, tak postanowił. Wszelako — zakon ten rycerski, widoczna, iż nie rozweselił się był jeszcze w *Prawdzie* nowej, i że stary smętek heroicznego zuchwalstwa niezupełnie musiał być za czasów apostolizacyi św. Wojciecha odrodzonym, jeżeli za reakcyi przeciwchrześciańskiej wystąpić i zwyciężyć nie mógł, owszem, jeżeli Masławowi dozwolił podchwycić się kosami gminy. Tudzież — jeżeli jeszcze *Bolesław*

Zuchwały towarzyszów i rycerzy znalazł w zamachu swoim na świętego Stanisława u ołtarza, którzy *„ni srebrem ni złotem...“* — podobno — nie gardzili.

Śród takich-to żywiołów *Ad-Abert,* z rodu i ukształcenia zupełny patrycyusz, a przeto świadomy historycznego rozwoju prawdy chrześciańskiej, lubo — jako apostoł — zupełnie prosty i pokorny sługa, — stał się i *pociechą wojska (woj-ciech).*

We wtórej przeto części hymnu *„Boga-Rodzica,“* która, według mojego rozglądu, zda mi się być pogłównie rycerskim instrumentem, — do uważania jest to, iż nie mówi się już *„człowiecze zbożny,“* lecz tylko *„człowiecze“:*

> *„wierże w to człowiecze“* — i wyżej:
> *„dla ciebie człowiecze“* —

i że po pierwszy raz w całej pieśni użyte jest nazwisko *„chrześcian“* w ogólności:

> *„Swą świętą krew przelał, za nas Chrześciany!“*

Widoki też *przebitych rąk, boku, stóp, krwi lejącej się* i *przelewanej* i *ran* niezamknionych, w zbliżeniu zupełnem pokazywane są w tej części wtórej, która za swą treść ma natchnienie ofiarą, gdy obrazów tychże w *części pierwszej,* która samem streszczeniem jest głównych prawdy tajemnic, wcale niema. Natomiast opiewa ona pogłównie trudy, prace dla tryumfu wiary, tudzież tryumf sam, i zeń spadkobierne dary. —

Jakkolwiek i tu, ze stałą, w ciągu całej pieśni, wiernością pismu świętemu, autor obziera się w tym ustępie także na List *pierwszy św. Piotra apostoła,* PONIEKĄD DO OJCÓW TYCH POLAKÓW PISANY, dla których *„Boga-Rodzica“* skreśloną była... i jest...

— Albowiem, bezpośrednio pisze *Cephas* też same

słowa do *wybranych* PRZYCHODNIÓW, ROZPROSZONYCH PO PONCIE, etc. etc.

(I — 18): — Wiedząc, iż nie rzeczami skazitelnemi, *złotem, albo srebrem,* jesteście wykupieni... (*„ni srebrem ni złotem“* w pieśni).

19. Ale drogą krwią, jako baranka *nienaganionego*... (w pieśni — „iż Jezu Chryst *prawy,*“ — wyraźnie, że *„prawy“ v. „nienaganiony“*).

— Od zamknięcia ustępu pieśni, który właśnie rozebrać staraliśmy się, poczyna się już przyśpieszać rytm, jakoby gotującego się do wielkiej próby męża westchnienie.

Nareszcie stanowcza jakaś nadchodzi chwila — pieśń mówi:

„*Już nam czas!*.. godzina
...grzechów się kajaci,
„Bogu chwałę daci,
„Ze *wszemi siłami* Boga miłowaci...

To, wybicie *godziny* i to *wszystkich sił* nawoływanie niewątpliwie — stanowczą — i nie za wiele powiem, że *przedwojenną* — określa sytuacyę. Co więcej, iż długo jeszcze potem trwał ten sposób prowadzenia wojny i bitwy, iż od dojrzałego, a jedynego uderzenia i ciosu, zależało całej sprawy rozstrzygnięcie. Takowy zaś leżał *w wewnętrznem uczuciu chwili*... doktryna, którą wyraźnie wypowiada Dziewica Orleańska, przed jedną z bitew swoich, podobnież wołając, że: *„już czas!“*

A skoro tu dochodzi *„Boga-Rodzica“* w tej wtórej części pieśni, następuje jeszcze to konieczne niedoufanie

dojrzałości ofiary swojej i ta prostotliwa obawa, która bywa prawdziwego nieraz męztwa towarzyszką:

„Marya Dziewica! proś Syna Swego,
„Króla Niebieskiego,
„Aby nas uchował *ode wszego złego*,..“

A następnie, tak jak na początku, litanijne zamknięcie hymnu:

„Wszyscy Święci proście“

— — — — — — — — —

I dopiero po pierwszy raz w całej tej pieśni, przez ciąg i jednej, i drugiej jej części, *bezpośrednie do Chrystusa Pana* zawołanie — ostateczne i jedyne —:

„Tegoż nas domieści *Jezu Chryste* miły!“

— — — — — — — — — — — — — —

Mistrzowskim zapewne jest to układem, iż na końcu dopiero znajduje się *bezpośrednie słowo do Najwyższego*, i że, przez cały hymnu ciąg, modlitwa idzie *hierarchiami i wstawieniami się*, jakoby coraz we wyższe kręgi niebieskie. Ale śmiałbym uważyć, iż to zarazem okazuje, że niekreślona ona jest o tyle dla bezpośredniego *kapłaństwa ołtarzowego*, ile właściwiej dla chórów ludu i dla *stopnia rycerskiej* pobożności.

Co zaś znaczy po *siedemkroć* wyśpiewywane „AMEN“?.. to, wedle mojego rozpatrzenia budowy poematu, tudzież symboliki pierwo-chrześciańskiej, zdawałoby się, iż dodane to było już po śmierci św. Wojciecha.

A może zwłaszcza w onej bitwie pod *Santokiem* wygłaszane, gdzie (mówi Długosz) Polacy, skoro Pomorzan zwyciężyli, modlili się śpiewając *„in laudem et gloriam“ S-ti Adalberti.* — I że siedem *„Amen“* oznacza *siedem włóczni,* któremi zapieczętował męczeńsko ten święty swoją drogę na ziemi.

Nareszcie, do uważenia jeszcze jest, iż po wyśpiewaniu onychto *siedmiu* „amen“ mówi pieśń:

„... TAKO, Bóg daj,
„Byśmy *wszyscy* poszli w Raj,
„Gdzie królują anieli.“

Inaczej albowiem, cóż znaczyłoby „TAKO“..?

Tu, zapewne, dołączyć należy odniesienie do znanych i częstotliwie cytowanych słów naszego proroka o całości pieśni *„Boga-Rodzica,“* a mianowicie tych, gdzie Skarga świetnie wylicza, czego dopięli Polacy przy pojęciu i rozgłosie tego hymnu. I że przeto „potomkom przykład „zostawili, który jako naśladują, — niech się sami sądzą.“ —

PISAŁEM W PARYŻU 1873 R.
Cypryan Norwid.

KSIĘŻNICZKA KASIA.
(THE COUNTESS CATHLEEN).

„The sorrowful are dumb for the.“

Lament of ***MORION SHEHONE*** *for*
MISS MARY BOURKE.

OSOBY:

SZEMUS RUA, wieśniak.
TEIG, jego syn.
ALEEL, młody pieśniarz.
MAURTEEN, ogrodnik.
KSIĘŻNICZKA KASIA.
OONA, jej niańka.
MAIRE, żona Szemusa Ruy.
DWAJ DEMONI, przebrani za KUPCÓW.
MUZYKANCI.
WIEŚNIACY, SŁUŻBA, etc.
ANIOŁOWIE, DUCHY, STRZYGI, CHOCHLIKI, etc.

Rzecz dzieje się w Irlandyi, za dawnych czasów.

AKT PIERWSZY.

Izba SZEMUSA RUY. W głębi, w środku ściany — drzwi; po prawej ich stronie — okno; po drugiej wisi ołtarzyk z Matką Boską. Na prawo drzwi, prowadzące do komory, na lewo kominek, na nim słaby ogień. Przez okno widać w półmroku i mgle tonący las dębów, jodeł, leszczyny i jarzębiny. MAIRE pilnuje TEIGA, który napełnia garnek wodą. Teig staje naraz, jakby nadsłuchując, i wylewa trochę wody na podłogę.

MAIRE.

Niezdaro!

TEIG.

Matko, pies wyje na dworze
I szara kokosz trzepoce się w kojcu
Przedziwne rzeczy dzieją się na świecie
W tych czasach głodu: na rozstajnych drogach
Pod Tubber-vanach jakowaś kobieta

Spotkała chłopa o kłapiastych uszach,
Które się chwiały nijak błony gacka.

MAIRE.

Szemus się spaźnia.

TEIG.

A pod Carrick-orus,
Przy cmentarzysku, jeden owczarz spotkał
Chłopa, co nie miał gęby, ócz ni uszu —
Twarz bryła mięsa; widział go wyraźnie
W świetle miesiąca.

MAIRE (podchodząc do ołtarzyka).

Spraw, Niepokalana,
By Szemus wrócił zdrów z strasznego boru;
Chroń go od wilków; Szemus jest niebaczny;
A chroń go także od leśnych upiorów,
Co się skradają po drogach i zwodzą
Posępnookie świeżo zmarłych dusze
I tych, co żywi, ale giną z głodu.
Chroń go, Przeczysta Dziewico!

TEIG.

Gdzieś w dali —
Zda mi się — słyszę dźwięki harf i bębny.

(Ktoś puka do drzwi).

MAIRE.

To Szemus wraca.

TEIG.

Chyba lepszą dzisiaj
Przynosi strawę, niż ta chuda wrona,
Którą nam przyniósł wczoraj.

(MAIRE otwiera drzwi, SZEMUS wchodzi z ubitym wilkiem na plecach).

MAIRE.

Późno wracasz;
Nie spieszno-ć było; lubisz pogawędki
Z kimbądź po drodze; wiesz, jakie mnie straszne
Sny niepokoją, jak ciągle się modlę.
A ty od rana legasz na pagórkach,
Lub na przecznicach stajesz, z kim się zdarzy,
I język sobie wycierasz strasznemi
Czasami głodu.

SZEMUS.

Ano kłóć się ze mną!
Macie wieczerzę!

(Rzuca wilka na stół).

Zawsze-ć wilk jest lepszy,
Niż ścierwo wronie. Łaziłem dzień cały:
Myszy i szczury i jeże — to wszystko
Snadź wyzdychało, anim też jednego
Trzepotu skrzydeł nie usłyszał w puszczy,
Choć stopy moje grzęzły po moczarach,
Chociaż w powiędłych topiłem się liściach.
Teraz dopiero spostrzegłem to wilczę
Pod węgłem pustej obory: tym łukiem
Ubiłem zwierza.

MAIRE.

Chwalić świętych Pańskich!

(Po chwili).

Czemu to psisko tak dziś wyje?

SZEMUS.

Czemu?! —
Słyszał, żem wrócił, i węszy jedzenie.

TEIG.

Tymczasem tedy nie zginiemy z głodu!

SZEMUS.

A jakie macie dotychczas zapasy?

TEIG.

Pół worka mąki i pół garnka mleka.

SZEMUS.

I kurę Maiwę.

MAIRE.

Zanim powróciłeś,
Straszne hałasy wyprawiała w kojcu.
Cóż tak łopoce w okno?

TEIG.

Dwa puszczyki
Mignęły w oknie i biją skrzydłami,
Odkąd pies wyje.

SZEMUS.

Cicho! cicho! cicho!

(Nakłada strzałę na łuk i podchodzi ku drzwiom. Naraz słychać odgłos muzyki).

Już ich tu niema. Jakiś pan czy pani
Z harfą i bębnem błąka się po lesie,
Teig, rzuć wilka — tam, na górną półkę,
Potem drzwi zamknij.

(Teig idzie z wilkiem do spiżarni, wraca i zamyka drzwi za sobą).

Siądź teraz na ławce,
I głośno z twarzą narzekaj pobladłą,
I głowę trzymaj zwisłą na kolanach.

(Otwiera drzwi od dworu).

Witajcie, państwo, w moich progach: ongi
Niejedna ludzka deptała je stopa —
Dziś chyba ślimak, lub ptactwo tu wchodzi,
I nasze, z głodu trzęsące się nogi.

(Wchodzą: KSIĘŻNICZKA KASIA, ALEEL z niemiecką prostokątną harfą w ręku, OONA, i grupka fantastycznie ubranych grajków).

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Jesteście głodni?

TEIG (od kominka).

Miłościwa Pani!
Padłem i leżę pod progiem, jak pieniek;
Już od dni czterech skórki-m nie miał chleba.

(KSIĘŻNICZKA KASIA wysypuje z sakiewki pieniądze na stół).

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Dałabym więcej, ale więcej nie mam;
W niejednej chacie byliśmy już dzisiaj;
Jeśli przyjdziecie do mnie jutro rano,
Dam dwakroć tyle; jestem panią zamku
Opuszczonego oddawna w tych lasach.

MAIRE.

A więc to pani jest księżniczka Kasia?

Witam cię, pani, pod mą biedną strzechą —
Ciebie i Twoich; może usiąść raczysz
Tutaj, przy ogniu, ażeby się rozgrzać.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Trzeba nam wrócić do leśnego dworca
Przed chłodem nocy.

(GRAJKOWIE stroją narzędzia muzyczne).

Nie łaj mnie, poczciwa
Moja kobieto, za bęben i harfę.
Przed grozą dni tych rozkaz mam uciekać,
W śpiewie się chronić i słodkiej muzyce,
Jeśli ze smutku nie mam zejść do grobu.
Zmyliłam drogę, a pieśniarz Aleel,
Który powinien znać te ciemne bory,
Bośmy go na ich spotkali okrańcach,
Gdzie się przechadzał i śpiewał, jak szumne
Odmęty morskie,— tak się wśnił głęboko
W sny o straszliwych klęskach naszych czasów,
Że nam pomocy żadnej dać nie może.

MAIRE (podchodzi z nią ku drzwiom).

Za tą leszczyną jest cienista ścieżka,
Która prowadzi do Twojego, pani,
Wielkiego dworca w tych lasach nieszczęsnych.

ALEEL.

Zamknijcie drzwi te, odgródźcie te bory —
Przed półgodziną gdyśmy je rzucili,
Nad głową naszą dwa wielkie puhacze
Puhały wieści o przedziwnych klęskach,
Które nas mają nawiedzić. Graj, harfo!
Bo choć świat cały jednym zda się jękiem,

Wszystkiem, cokolwiek żywie pod księżycem,
Władnie muzyka; a grajcie nam piosnkę:
„Wicher powiewa od brzegów Cummenu.“

(Śpiew).

Ukój się, ukój, serce smagane;
Chowaj przed światem miłości ranę,
Niech pieśń ją skryje dźwięcząca.
Ten, co swą wolą nad wszystkiem włada,
Przywarł drzwi strągi, gdzie gwiazdek stada,
Gdzie widmo błędnego miesiąca.

(Wychodzi ze śpiewem na ustach; z nim razem KSIĘŻNICZKA, OONA i GRAJKOWIE).

MAIRE (zamyka drzwi na rygiel).

Jeśli bogatych i uczonych ludzi
Odbiega spokój, jeżeli się boją
Leśnych widziadeł, to wolno ubogim
Zamknąć na rygiel drzwi i zmówić pacierz
Przy świętym ogniu...

(Szemus liczy pieniądze i dzwoni jedną monetą po stole).

SZEMUS.

Popatrz — Matka Boska,
Ukołysana wiewem nieśmiertelnych
Skrzydeł, zapadła w drzemkę i nie słyszy
Prośby ubogich: byłem u Małgochy
Nolan — od szczawiu gębę ma zieloną
I od lebiody, dziewięć dni tak żyła.
Teraz ją budzą.

MAIRE.

Muszę ją odwiedzić

W najbliższym czasie; chaty naszych ojców
Na temże samem graniczyły polu.

SZEMUS.

Pan Bóg się zdrzemnął razem z Matką Boską,
Pomęczyły ich modły i gromnice;
A za to szatan z dzieży swej głód sieje —
Myślę go prosić, aby stół ten okrył
Czerwonem złotem. Chcesz, abym to zrobił,
Teig!

TEIG.

Ja nie, moj ojcze!

MAIRE.

Szemus, Szemus —
Może twa dusza pomodlić się zdoła
Na przekór ustom twoim...

SZEMUS.

Dwie korony
Pensów dwadzieścia.

MAIRE.

Co to — jarzębina?

SZEMUS (podnosi gałąź ze stolu).

Kołysał mi się na plecach, więc wziąłem
Gałąż jarząbczą, przywiązałem do niej
Zwierza— i takem go przyniósł.

MAIRE (odbiera mu gałąź).

Szemusie!
Chcesz spalić świętą gałąź jarzębiny,

Co moc uroczną ma przeciw złym duchom
I wszelkim zmorom? Ty nie wiesz, czem były
Te dwa puhacze, któreśmy widzieli.
Różne majaki mieszkają w tym lesie,
Mogące przybrać kształty, jakie tylko
Im się uwidzi, a myśmy tej nocy
Nie mieli mleka, aby dobre duchy
Zjednać dla siebie. A zasię Aleel,
Co miał rozmowę z samym wielkim Widem,
Same li dzisiaj przepowiada klęski.

(Kładzie gałąź jarzębiny na stołku).

SZEMUS.

Jabym wieczerzę swoją jadł z tym samym —
Widzisz — humorem, choćby przy kominku
Siedział sam Puka, wił lub ziemnik jaki
I ręce sobie zacierał nad ogniem.

(Dzwoni inną monetą po stole. Szmer kroków za drzwiami).

MAIRE.

Kto tam odgadnie, co-ś za zło wprowadził
W nasz dom, Szemusie. Strach mnie dziwów leśnych.

(Ktoś puka do drzwi).

Nie trza otwierać.

SZEMUS.

Ano dwie korony
I tych dwadzieścia pensów to za mało,
By zapchać dziurę, w której głód się szasta.

(Ołtarzyk spada na ziemię).

MAIRE.

Patrz?

SZEMUS (kopnięciem rozbija ołtarzyk na kawałki).

Matka Boska zdrzemnęła się trochę,
A jej domostwo rozbite na trzaski.

MAIRE.

Zlituj się, Maryo! Matko Boża!

(SZEMUS otwiera drzwi, w których staje DWÓCH KUPCÓW. Mają złote obrączki na czołach, na plecach wory).

PIERWSZY KUPIEC.

Macie
Jakową strawę?

SZEMUS.

Dla tych, którzy dobrze
Mogą zapłacić.

DRUGI KUPIEC.

Bogaci my kupcy,
Chodzim po świecie za towarem.

SZEMUS.

Wejdźcie,
Wejdźcie, szlachetni panowie.

MAIRE.

Nie wchodźcie!
Zaledwie dla nas wystarczy tej strawy.

PIERWSZY KUPIEC.

Toć macie wilczę w spiżarni na półce.

(Wchodzą).

SZEMUS.

Raczcie, panowie, wybaczyć mej żonie —
Nie zna się wcale na godnościach — jest też
Na pół szalona z ciągłej samotności.
A zkąd wiadomo, żem przyłapał wilka?
Przednie jedzenie, chociaż nieco dziwne —
Wiecie — w zapachu.

DRUGI KUPIEC (siada przy ogniu i zaczyna zacierać ręce).

PIERWSZY KUPIEC (staje obok i patrzy na gałąź jarzębiny, leżącą na stołku).

Zostałbym tutaj, noc już nieco chłodna
I nogi bolą — tak się nachodziły
Z kraju do kraju, od ludu do ludu.
Ogień się ledwie tli — dorzuć tę gałąź.

(SZEMUS rzuca galąź jarzębiny w ogień. PIERWSZY KUPIEC siada na stołku. Stołki KUPCÓW znajdują się po jednej i drugiej stronie ognia. Pomiędzy nimi stół. Obaj składają wory swoje na stole. Noc zapada, światło idzie głównie od kominka).

MAIRE.

Co jest w tych workach!

SZEMUS.

Wybaczcie, panowie!
Kobiety nazbyt stają się ciekawe
I lekkomyślne, jako że obcują
Pomiędzy sobą więcej, niż wymaga
Tego ich dobro.

PIERWSZY KUPIEC.

W workach pełno mamy
Złota na kupno towarów.

(Wysypują złoto na stół. Stół pokryty czerwieńcami, lśniącemi w ogniu. MAIRE podchodzi ku drzwiom komory i, nie spuszczając kupców z oka, coś mruczy do siebie).

TEIG.

To jacyś
Wielcy panowie!

PIERWSZY KUPIEC (wyciąga dzbanek kamienny z worka).

Siadajcie przy ogniu!
Mamy tu wino od wszech róż wonniejsze!

DRUGI KUPIEC.

Wino, co umie uśpić drobną walkę
Pomiędzy dobrem a złem, budząc w zamian
Aromatyczny żar, co strzela w górę,
Jako ów spokój, który na dnie serca
Zna ptak drapieżny.

SZEMUS (przynosi kubek).

Ja-ć was nie rozumiem,
Lecz wasze wino budzi mi pragnienie:
Tak je chwalicie, aż wam oczy płoną.
Wolno skosztować?

PIERWSZY KUPIEC.

Owszem, pijcie! pijcie!
Ja daję szczęście wszystkim śmiertelnikom,
Którzy je piją długim i głębokim
Haustem... a zasię w potępieniu u mnie
Są drogi mnichów wysypane solą!

(TEIG i SZEMUS siadają przy stole i piją).

TEIG.

Rzadkie zapewne widzieliście kraje
I rzadkie sprawy.

PIERWSZY KUPIEC.

A co też myślicie —
Jakiemu panu my służymy?

SZEMUS.

Życie
Jest mi ciężarem, bo ja mu nie służę!

PIERWSZY KUPIEC.

Lecz o tem więcej, gdy sobie podjemy;
Lubimy bowiem wesołą wieczerzę,
Skrzący się ogień i pogodne serca.

SZEMUS.

Chodź-że tu, Maire, ugotuj nam wilka.

MAIRE (zbliża się do ognia).

O, woda nie chce gotować się dla was.

PIERWSZY KUPIEC (szepce coś nad wodą).

Już się gotuje.

MAIRE.

Ja nie chcę gotować
Dla was!

SZEMUS.

No, Maire wściekła się zupełnie!

(TEIG i SZEMUS wstają ze stołków i zataczają się).

SZEMUS.

Nie było w świecie zdradliwszego wina.

MAIRE.

Nie chcę gotować dla was; wy nie ludzie.
Dwa-śmy przed wami widzieli puszczyki,

Pies wył na dworze, a język Szemusa
Bluźnił; w tej chwili, gdyście przyszli do nas,
Spadł z gwoździa obraz Przenajświętszej Panny,
A gdyście siedli, tak laliście wino,
Jak skrzaty leśne, kiedy wabią dusze
Precz z tego świata... Po coście tu przyszli?
Nie śmierć-że blizka?

PIERWSZY KUPIEC

Myśmy dwaj kupcowie.

MAIRE.

Jeśliście tedy nie dyabelskie duchy,
Idźcie — i nędzny lud, ginący z głodu,
Darzcie jałmużną. Toć się bogaczami
Zdacie większymi, niż ktobądź pod słońcem.

PIERWSZY KUPIEC.

Jeżeli znacie tu godnych jałmużny,
Zaraz ją damy.

MAIRE.

Idźcie się zapytać
U księdza Jana.

PIERWSZY KUPIEC.

Znane nam złe skutki
Zwykłej litości, przeto wskazać chcemy
Inną, właściwszą drogę: niechaj każdy
Przyniesie do nas to, co ma na sprzedaż.

MAIRE.

Ludzie, ginący z głodu, czyliż mogą
Mieć co na sprzedaż?

PIERWSZY KUPIEC.

O, my kupujemy
To, co ma każdy.

MAIRE.

Kupcowie! Ich świnie,
Bydło, i pola, i wszelkie narzędzie
Posprzedawane.

PIERWSZY KUPIEC.

A jednak nie wszystko
Sprzedane jeszcze...

MAIRE.

Cóż mają takiego?

PIERWSZY KUPIEC.

Dotychczas mają — dusze...

(MAIRE wydaje okrzyk przerażenia. KUPIEC kiwa na Teiga i Szemusa).

Chodźcie tutaj!
Patrzcie! te małe kupki złota! Każda
Z nich to zapłata za duszę... z litości
Płacimy tyle grosza za te biedne
Płomyki... Idźcie i mówcie każdemu,
Że kupujemy dusze ludzkie... Idźcie.

(TEIG i SZEMUS nie ruszają się z miejsca).

Ten stos dla ciebie, a ten zaś dla ciebie.

(TEIG i SZEMUS zgarniają pieniądze).

Głoście na wszystkich rozstajach, na wszystkich
Rynkach i wszystkich uliczkach, że ludzkie
Skupujem dusze, za drogie pieniądze,

A tyle dajem, iż do końca głodu,
Każdy żyć może w szczęściu i weselu.

(TEIG i SZEMUS wychodzą).

MAIRE (klęka).

Dusz niszczyciele! Oby was Bóg zniszczył!

PIERWSZY KUPIEC.

Nie sięgnie klątwa nieśmiertelnych duchów.

MAIRE.

Bodajście zwiędli, jak liście powiędle,
Jak zdechłe gady bodajście zawiśli
Na bramach Boga!

PIERWSZY KUPIEC.

I ty będziesz naszą.
Ten głód bez końca trwać będzie. Lebiodę,
Szczaw będziesz jadła i trawę, osłabniesz,
Że próg ten niski wyda ci się murem,
A gdy na ręku już ciała nie dźwigniesz,
Przyjdziem po ciebie.

(Do DRUGIEGO KUPCA).

Przynieś mąkę.

(DRUGI KUPIEC przynosi z szafy worek mąki).

Spal ją.

(MAIRE mdleje).

Leży zemdlona. Wyjdziemy ztąd z twarzą
Niepodrapaną. Przynieś mi tu kurę.

(DRUGI KUPIEC wychodzi i wraca z uduszoną kurą. Rzuca ją na ziemię. Podczas jego nieobecności PIERWSZY KUPIEC krzą-

ta się koło ognia. Przynosi następnie garnek mleka z komory i wylewa je na ziemię. Wraca, przynosi wilka i rzuca go obok kury).

Dobrego trzeba tu ognia, z tej ławki
I z tego stołka godny będzie płomień.

(Łamie stołek i ławkę).

Tak pan mój słońce zdruzgoce i księżyc,
I gwiazdy zgasi w swej odwiecznej nocy,
I tron wywróci Boga i aniołów.

ZASŁONA.



AKT DRUGI.

Wielka sala w zamku KSIĘŻNICZKI KASI. W głębi ogromne okno, przez które widać las. Po prawej stronie wznosi się mur, odcinający kąt sceny. Kamienne schody prowadzą do wąskołukiej bramy w wystającym murze. Przez bramę widać małą kapliczkę. Sala obwieszona starożytnemi tkaninami, przedstawiającemi sceny miłosne, wojenne i myśliwskie, legendowych Fenian i bohaterów z cyklu „Czerwonego Szczepu.“ Drzwi po prawej i po lewej. Po lewej, przy kądzieli, siedzi OONA, jakby drzemiąc. KSIĘŻNICZKA KASIA stoi nieco w głębi i więcej ku prawej stronie, otoczona grupą fantastycznie ubranych muzykantów, grających wesołe melodye.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Męczy mnie bęben i harfa, przestańcie.

(MUZYKANCI wychodzą. KSIĘŻNICZKA zbliża się ku OONIE).

Drzemka?

OONA.

Nie, dziecko; rozważalam tylko,
Dla czegoś smutna.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Głód ludu mnie martwi.

OONA.

Zim dziewięćdziesiąt żyję już na świecie
I trzy poznałam choroby, na które
Niemasz lekarstwa: miłość, głód, samotność.
Tak, niema na nie innego ratunku,
Oprócz starości i snu... Popatrz, dziecko,
Jak Oisin pędzi w uścisku wzajemnym
Z Niam, jak — spojrzyj — hyrni Fenianie
W ślad swojej sfory gonią po rozłogach;
Hucznie-ć to żyli oni i buńczucznie,
A przecież ludzie marli też! Siądź przy mnie,
O danaańskich zaśpiewam ci hufcach —
Pieśń, którą śpiewał dla ciebie Aleel
Przy wielkiej bramie, nimeśmy go jeszcze
Straciły w cieniu dąbrowy.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Nie, śpiewaj
Śpiew, który śpiewał, gdyśmy go raz pierwszy
Spotkały w cieniu dąbrowy o mroku —
Śpiewaj o królu Fergusie, jak pędził
W śpiżowym wozie wskroś lasów, otoczon
Tłumem tancerzy.

(Klęka na posadzce i składa ręce na kolanach OONY).

OONA.

Daj się ukołysać,

Drogie me serce, pieśni i muzyce
I klechd prastarych urokom. Dla czego
Mają cię martwić klęski i nieszczęścia,
Którym zapobiedz nie możesz? Z uśmiechem
Patrzy Bóg wielki na to, co przeznaczył
Na zgubę. Bądź mi wesołą! On kazał,
By młodość była wesołą, a starość
Mądrą.

GŁOS (z zewnątrz).

Z księżniczką widzieć się nie można.

INNY GŁOS.

Muszę się widzieć.

(Krótka sprzeczka. SŁUGA wchodzi drzwiami po prawej stronie).

SŁUGA.

Ogrodnik chce gwałtem
Pomówić z panią — nie mogę go wstrzymać.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Wpuścić... Witajcie!

(OGRODNIK, człowiek stary, wchodzi drzwiami po prawej. SŁUGA wychodzi).

OGRODNIK.

Raczcie mi wybaczyć
Ten zakurzony strój; niosę nowiny
Tak gorzkie, Pani, że Waszej Miłości
Gorszych nikt inny nie przyniósł.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Czyż mogą

W tych czasach głodu być jeszcze nowiny
Gorzkie czy słodkie?

OGRODNIK.

Szajka wychudzonych
Jakichś włóczęgów, — niech Pan Bóg ich skarze —
Wlazła ostatniej nocy do ogrodu —:
Ani jednego niema już dziś jabłka
Coś na dwudziestu jabłoniach; szparagi,
Grzędy truskawek stratowali na nic;
Na moich bukach, na mych śliwach niemasz
Ni jednej całej gałęzi, z owoców
Już ani śladu! A przytem te łotry
Zabiły jeszcze mego psa — niechże ich
Morówka trzaśnie! — stary, ślepy Finek —
Ten bez ogona — wiecie — padł z ich ręki.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Wiem, jaką-ś codzień otaczał miłością
Te różne grusze swoje i jabłonie —
Jaka ztąd klęska spadła na twe lata,
Nie trzeba mówić. A jednak powiadam,
Że winien tutaj czas głodu, nic więcej.
Nie martw się, stary.

OGRODNIK.

Dzięki, Miłościwa
Pani!

KSIĘŻNICZKA KASIA.

O głodzie jakież macie wieści!

OGRODNIK.

Żółte wyziewy, któremi przesiąkły

Przyszedłem tutaj, a które o zmierzchu
Rozpełzywają się po naszych połach,
Zniszczyły moje płonki, moje drzewka.
Proszę więc Boga, ażeby to przeszło.

(Idzie ku drzwiom; potem zatrzymuje się).

Możebym dostał, Pani, jaki stary
Łuk — przyda mi się —: przykucnę za krzakiem
I będę w nocy pilnował mych gruszek,
A dziurę zrobię każdemu, ktokolwiek
By się pojawił.

KSIĘŻNICZKA KASIA (wskazując na szafarnię).

Tam ci dadzą piwa.

(Ogrodnik odchodzi).

OONA.

Co on ci gadal? Stał z mej głuchej strony.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Skradli mu jabłka... Czas zbiorów i nazbyt
Powolne jabłek i grusz dojrzewanie
Trapią go zawsze.

OONA.

Złóż z powrotem głowę
Na mych kolanach — zaśpiewam ci, dziecię,
Jak Fergus jechał na śpiżowym wozie.

(Śpiewa cienkim od starości głosem).

„Któż to z Fergusem pomknie w dąbrowę
„Przebijać gąszcze śród leśnej mroczy
„I na pobrzeżnej pląsać polanie?
„W górę, młodzieńcze, wznieś ciemną głowę,

„W górę, dziewczyno, wznieś jasne oczy —
„Bojaźń niech minie, nadzieja wstanie!..

Znowu popadłaś w swą smętną zadumę —
I nie słuchałaś.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Śpiewaj, stara Uno!
Ja róg Fergusa w sercu swojem słyszę.

OONA.

Ja nie rozumiem, co pieśń ta oznacza —
Jestem za stara.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Gra, gra róg Fergusa

OONA (śpiewa).

„Przestań o gorzkiej dumać miłości,
„Niech jej tajemnic serce nie bada,
„Fergus na wozie spiżowym płonie —
„On, co dziedzicem leśnych jest włości,
„Nad białopierśnych mórz głębią włada
„I gwiazd zastępy ma przy swym tronie.

GŁOS SŁUGI (z poza sceny).

Księżniczce dzisiaj przeszkadzać nie można.

INNY GŁOS.

Muszę ją widzieć!

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Któż mnie potrzebuje?

SŁUGA.

To owczarz przyszedł z jakąś sprawą.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Wpuścić!

(OWCZARZ wchodzi drzwiami z prawej).

OWCZARZ.

Wybaczcie, Pani, tę zszarganą odzież.
Idę z daleka. Owce mi skradziono
W nocy ze strągi dzisiaj. Wasza Miłość
Gniewać się będzie... Nie wińcie mnie, Pani —
Wina w tych czasach złodziejskich.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Głód winien,
Nie wy.

OWCZARZ.

Na klęczkach dziękuję. Patrzący
W wasze oblicze, Pani, najbiedniejszy
Człek zapomina o biedzie, a bogacz
O swojej trosce.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Cóż słychać o głodzie?

OWCZARZ.

Kiedym przechodził dziś pod Tubber-vanach,
Chłop jakiś starszy siedział z młodym chłopcem
Na kamieniskach, obaj z wycieńczoną
Twarzą od głodu, i obaj, rękami
Wywijający, pletli coś tłumowi
Mężczyzn i kobiet i dzieci, o jakichś
Dwóch niby kupcach, którzy gdzieś w chałupie,
W pośrodku lasów, jakoby dla piekła
Kupują dusze, dając takie ceny,

Że ludzie mogą cały czas posuchy
Żyć sobie bardzo dostatnio. Doliny
Szaleją z głodu — ja bo się raduję,
Że mam swój szałas w górach, bliżej Boga.

(Zwraca się ku wyjściu).

KSIĘŻNICZKA KASIA (wskazując w stronę szafarni).

Dadzą wam piwa i kęs mięsa. Idźcie.
W taką daleką drogę toście chyba
Wstali przed świtem. Trzymajcie się wirchów,
Zdala od świata — ciężar jego grzechów
Na waszych barkach spoczywać nie będzie.

OWCZARZ.

Szczęsny-m, że służę u Waszej Miłości! (Wychodzi).

OONA.

Co on ci gadał? Stał z mej głuchej strony.
O jakichś bardzo, zda mi się, bolesnych
Mówił ci sprawach...

KSIĘŻNICZKA KASIA.

O, smutniejsza jestem
Od starej pieśni. Serce moje, Uno,
Za stokroć głębszym stęsknione spokojem,
Niż go miał Fergus w spiżowym rydwanie.

(Wskazuje na jedną z tkanin, wiszących na ścianie).

Chciałabym dzisiaj — jak owa Adene,
Co w dawnych czasach poszła śladem nuty,
Zwącej o zmierzchu, — zejść między chochlików
I żyć w ich skrzętnym, miodopłynnym kraju.

OONA.

Ściągniesz nieszczęście. Nie mów takich rzeczy.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Młodej Adeny wydzierzgany obraz,
Kroczącej z palcem, wzniesionym do góry,
I Aleela dzika pieśń o wiecznym
Pląsie pradawnych hufców danaańskich,
Którą mi śpiewał dziś przy wielkiej bramie,
Nimeśmy jeszcze straciły go w mroku
Bujnego liścia — to zrodziło we mnie
Bezbożne słowa.

(SŁUGA wchodzi śpiesznie do komnaty, za nim TRZECH LUDZI. Dwaj z nich są wieśniakami).

SŁUGA.

Burgrabia zamkowy
Prowadzi tutaj dwóch ludzi, pragnących
Pomówić z Waszą Miłością.

BURGRABIA.

A mają
Rzec ci, o Pani, rzeczy tak przedziwne,
Że równych dotąd nie było na ustach
Ludzkich.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Tu chleb jest potrzebny; uczeni
Teologowie zapisali w księgach,
Że komu braknie strawy, ten bez grzechu
Zabierać może chleb i kawał mięsa
Tym, którzy mają nadmiar w swych szafarniach.

PIERWSZY WIEŚNIAK.

Przyszliśmy tutaj, by naprawić kradzież.
Ja z trzech jabłoni skradłem pięćset jabłek
I skryłem w jamie, a ten oto tutaj,
Sąsiad i druh mój, skradł ostatniej nocy

Dwie tłuste owce z Twego, Pani, stada
I pod swą strzechą powiesił na belce.

DRUGI WIEŚNIAK.

Prawdę powiada.

PIERWSZY WIEŚNIAK.

Ale od tej pory
Los nasz się zmienił. Wracając ścieżyną
Pod Tubber-vanach, spotkaliśmy w drodze
Szemusa Ruę ze synem, i oni
Wraz mnie powiedli do dwóch wielkich panów,
Którzy kupują dusze — za pieniądze.
Sprzedałem swoją, namówiłem druha,
I ten swą duszę również przehandlował.

DRUGI WIEŚNIAK.

Prawdę powiada

PIERWSZY WIEŚNIAK.

I teraz lud cały,
Niby wrzawliwe stado mew, szarpiących
Szczęt zdechłej ryby, ciśnie się sprzedawać.
Wkrótce nie będzie jednej ludzkiej duszy
Niezaprzedanej — na setkę baronij.

DRUGI WIEŚNIAK.

Prawdę powiada.

PIERWSZY WIEŚNIAK.

Sprzedawszy, jak rzekłem,
Nie znamy bardziej przyjemnego życia,
Jak się rozgrzewać — — spojrzyjcie-no, Pani,
Za te pieniądze oddaliśmy dusze.

DRUGI WIEŚNIAK.

Oto pieniądze!

(Wydobywają z kieszeni pełne garście czerwieńców. KSIĘŻNICZKA KASIA zrywa się w zdumieniu).

A że się lękamy,
Iż możem wisieć za owo złodziejstwo,
Chcemy zapłacić za owce i jabłka.
Ile żądacie?

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Schowajcie pieniądze!
Czyż wy myślicie, że dotknę się złota,
Pochodzącego od złych duchów? Idźcie!
Dwa — trzy — dwadzieściu razy tyle grosza
Co tchu im zwróćcie i wykupcie dusze —
Ja dam pieniądze.

PIERWSZY WIEŚNIAK.

Nie — idziemy teraz
Pić i weselić się.

(Odchodzą).

KSIĘŻNICZKA KASIA (do sługi).

Biegnij za nimi,
Proś ich i spowadź na powrót.

(Do BURGRABIEGO).

Burgrabio!
Ty znasz tajniki tego dworca! powiedz,
Ile mam tutaj w złocie?

BURGRABIA.

Sto tysięcy.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

A ile w zamkach?

BURGRABIA.

Znacznie będzie więcej.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Ile w pastwiskach?

BURGRABIA.

Znacznie więcej.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Ile
Warte me lasy?

BURGRABIA.

Znacznie, znacznie więcej.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Dwór ten zatrzymam, wszystko inne sprzedaj.
Zakup okręty z mąką i ze zbożem
I stada bydła — a śpiesz się! Lecz zanim
Pójdziesz, daj rozkaz, aby wydawano
Złota każdemu, ktokolwiek się zgłosi.

BURGRABIA.

Łaska światłości bożej niechaj spłynie
Na Waszą Miłość! Kraj chcesz zbawić, Pani!

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Śpiesz się, nie zwlekaj, a poleć zamieszkać
W tym domu wszystkim starcom i cierpiącym.

(BURGRABIA odchodzi; wraca SŁUGA).

Co ci się stało? Mów prędko. Pobladłeś.

SŁUGA.

Kiedym się zbliżył, rzekł ten wyższy złodziej,
Że niby niema co mu się przyglądać,
I wręcz odmówił.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Czyliż mi nikt inny
Ich nie sprowadzi?

SŁUGA.

Nikt nie ma odwagi:
Oczy im płoną jako u rozżartych
Ptaków drapieżnych.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Obyż się nad nimi
Pan Bóg zlitował!

SŁUGA.

Uciekłem, bo mają
Jakąś moc w sobie, obcą człowiekowi.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Zostaw mnie teraz; niech się nie odezwie
Żaden głos w zamku i niechaj nie słyszę
Żadnego kroku, niechaj mi nie grają
Żadne narzędzia muzyczne; już umarł,
Umarł mój spokój!

(SŁUGA odchodzi. KSIĘŻNICZKA zbliża się do OONY i kładzie głowę na jej kolanach).

OONA.

Cóż ci tak gadali
Tyle ci ludzie — po mej głuchej stronie?
I zkąd im przyszło tak dużo pieniędzy?
Dlaczego płaczesz? I takiemi łzami!
Takiemi łzami! Patrzaj drogie dziecko,
Jakie ogromne te łzy — te łzy twoje!
O Wierzbo Świata Płacząca, o Erie!
Na tę najmilszą córkę cień Twój pada.
Liście twe szumią naokół jej głowy.
Dziękuję Bogu, żem już taka stara,
Że mnie pochłania sen mych lat wiekowych!

ZMIANA.

Wielka sala w zamku KSIĘŻNICZKI KASI. Północ. W sali niema nikogo. DWAJ KUPCY wchodzą ostrożnie, z próżnemi workami na plecach.

PIERWSZY KUPIEC.

Zkądże ty wracasz, bracie?

DRUGI KUPIEC.

Z dróg rozstajnych
Pod Tubber-vanach. W dziewięciomiesięczną
Przemienion świnkę, siedzę na pośladkach,
Gdy wtem się zbliża ojciec Jan, posępny,
Smutny, swe zwykłe szepczący modlitwy.
Wydało mu się, żem jest z jego chlewka —
Zobaczył ucho brunatne — i brewiarz
Wypadł mu z ręki. Poczyna uciekać
A ja w ślad za nim gonię — za swym łupem.
Padł niedaleko zagrody — nieżywy.
Do worka-m duszę wpakował i wracam.
Nagle, śród drogi — wiesz — jej ręka prawa,
Ręka, co nędzę darzyła jałmużną,
Przedarła worek swoją cnotliwością —
Dusza uciekła.

PIERWSZY KUPIEC.

Z księdza Jana śmiercią
Będziemy jutro mieli dusz aż nadto.

DRUGI KUPIEC.

Mojem zadaniem było zabić klechę,
Ty masz ograbić księżniczkę. Nie bardzo
W tem ci się wiedzie... Siedziałeś bezczynnie,
Zmęczony, z brodą wspartą na kolanach,
Gdy zewsząd ludzkie potępione dusze,
Z pod strzech, gałęzi, z pod poręczy okien,
Jęły się skradać niby nietoperze,
A zaś po lasach płynęły z wiatrami,
Do roztopionych podobne płomieni,
Przerozmaite stwory żywiołowe.

PIERWSZY KUPIEC.

Źle mi się wiedzie. Ta święta księżniczka
Tak nieustannie, żarliwie się modli,
Że bramy zamku i okna, z pobożnym
Przywarte znakiem, urągają moim
Trudom piekielnym. Lecz teraz, modłami
Zbyt umęczona, zasnęła.

(Wskazuje na drzwi kaplicy. Zaglądają do niej ostrożnie).

Spoczywa
Na ołtarzowych stopniach, robotnica,
Wielce strudzona Jego pól uprawą
I dobijaniem się do Jego głuchych,
Zamkniętych uszu — w nadziei, że może
Od gwiazd odciągnie Jego dłoń ku ziemi,
Iżby nam lud ten wydarła.

DRUGI KUPIEC.

Odejdźmy,
Bo gdy się zbudzi i modlić rozpocznie,
Trzeba się będzie udusić.

(Wychodzą bramą po lewej stronie i po chwili wracają znowu, dźwigając pełne wory na plecach).

PIERWSZY KUPIEC.

Prześwietna —
O przewspaniała myśl — moja, tak, moja!
Już przekupywać nam nie będzie biednych,
Mistrza naszego okpiwać nie będzie,
Gdy my w tej leśnej grzęźniemy chałupie,
Gdzie próg porasta trawą, gdzie ślimaki
Po zachwaszczonej pełzają podłodze.
Dokąd to, bracie, śpieszy ten rój karłów,
Ci człowiekowi wrodzy wód mieszkańcy?

DRUGI KUPIEC (otwiera wielkie okno i patrzy na wierzchołki drzew).

Nie do nas idą... Precz ztąd uciekają,
Niechętni dla nas pracownicy.

PIERWSZY KUPIEC.

Zaraz
Ja ich przywołam.

(Woła przez okno).

Chodź tu, wodny ludku,
Elementarne chodźcie tu zastępy,
Porzućcie fale nabrzmiałe — niech surmy
Wzdętych bałwanów grają sobie samym —
Zrzućcie z swych włosów te morskie oploty
I chodźcie do nas.

(Po chwili).

Słyszę jakieś szumy,
Jak bicie wałów o dalekie brzegi —
Teraz bogunki, niby wiry świetlne,
Zaroiły się po ścieżkach dąbrownych.
Trawy i liście chylą się przed niemi,
A owo wielkie i powiędłe dęby
Z stóp ich sunących pieszczą się szelestem.

DRUGI KUPIEC.

Prosta jest dusza tych stworzeń zielonych —
Ni dla aniołów ona ani dla nas;
Z śmiechem się budząc z topielnej pościeli,
Ni ku dobremu wstają ani złemu.

CHOCHLIK.

Niechętnie idziem, bo ta, której złoto
Mamy do leśnej unosić chałupy,
Droga jest wielce naszemu plemieniu.
Tam, ponad morzem, śród wielkiej doliny,
Stu owczaryszków jej owce wypasa,
A gdy zapadnie zmrok, u drzwi szałasu
Stawiają dla nas sto dzbanków białego
Mleka maciorek, ażebyśmy mieli
Czem się pożywić, wracając o zmierzchu
Z pląsów z chochłami lądowymi

PIERWSZY KUPIEC (czyniąc znak w powietrzu).

Słuchać!
Lub będzie kara.

CHOCHLIK.

Jakieś znamię złego
Serca nam pali, więc słuchamy.

(Tłum krasnoludków gromadzi się naokoła okna i z wielkiego worka każdy z nich zabiera po małym woreczku. Jest ich około sześćdziesięciu, kobiet i mężczyzn, w zielonych strojach i czerwonych czapeczkach, ozdobionych muszlami).

PIFRWSZY KUPIEC.

Teraz
Idźcie!

(Odchodzą).

Kazałem im odejść; gwarliwe,
Wiatrem podszyte stworzenia; me uszy
Ogłuchły niemal z ich morskich szczebiotań.
Trzeba po więcej pieniędzy iść. Bracie!
Tęsknota gna mnie ku naszej dziedzinie,
Chciałbym już ujrzeć twarz naszego władcy.

DRUGI KUPIEC.

Trud mnie umęczył.

(Wychodzą i wracają, jak poprzednio, z naładowanemi workami).

DRUGI KUPIEC (wskazując na kaplicę).

Jakby tę niewiastę
Pozyskać jednak dla naszego pana?
Ta perła cudna, ten turkus, wsadzony
W jego dyadem, świeciłby światłością,
Jak blaski Tego, którego imienia
Nie ośmielamy się wymienić. Teraz,
Gdy hufców naszych pełne są przestworza,
Czyby nie zabić jej, nie unieść duszy,
Zanim się zerwą zastępy aniołów?

(Kilka woreczków wypada z sakwy skórzanej).

PIERWSZY KUPIEC.

Kto rozdarł sakwę?

DRUGI KUPIEC.

Palec księdza Jana,
Gdy z niej uciekał. Że to duch był stary
I niepokaźny, więc myślałem sobie,
Iż dziura będzie bez znaczenia.

PIERWSZY KUPIEC.

Widzisz:

To ztąd pochodzi, że kradniemy dusze,
Które nie całkiem są nasze. Jeżeli
Ten turkus piękny chcemy dla naszego
Pozyskać władcy, musi on do piekieł
Zejść z własnej woli.

(Nadsłuchuje).

Hałas zbudził służbę.
Podczas, gdyś mówił, słyszałem ruszanie
Krzeseł i odgłos ludzkich kroków... Mamy
Czas — oni w dalsze odejdą komnaty.
Przywołaj teraz strzygi i upiory.

DRUGI KUPIEC (podchodzi do okna).

Niema... Zmęczone... Pierzchły... Pracownicy
Są nam niechętni.

PIERWSZY KUPIEC.

Zaraz ich tu ściągnę.

(Woła przez okno).

Chodźcie tu, dusze potępionych ludzi,
Co w śnie pijanym zmarli, co zginęli
Jeden od ręki drugiego, dziś dla nas
Wyhandlowani przez Szemusa Ruę.
Do nas tu, do nas wszystkie chodźcie strzygi,
Gorzko śród własnych żałujące grzechów,
Zaklęte w zwierząt i gadów postacie —
Wy z żądz piętnami na obliczach, do nas
Chodźcie, upiory, rzućcie rokiciną
Zarosłe bagna i grząskie wądolce —
Wy, błędne ognie, coście ongi były
Duszami ludzi, a dzisiaj jesteście
Nędzą znikomą...

DRUGI KUPIEC.

Nie chcą iść.

PIERWSZY KUPIEC (czyni znak w powietrzu).

Upiory
I strzygi, chodźcie!

DRUGI KUPIEC.

Słyszę, jakby szelest
Rozkołysanych burzą trzcin... Upiory
I strzygi wstają, by wyziewy z ziemi;
Liście i trawy łamią się i giną —
Niezwykły wiatru lodowego podmuch
W nic je rozwiewa.

PIERWSZY KUPIEC.

Zniszczenie z nich idzie:
Wiądy i szały, grad, pioruny, susze.

(Ciemnia napełnia się powiewnemi postaciami, niektóre z nich mają kształty zwierząt, inne wyglądają, jak ludzie, a inne znowu do mgławych podobne świateł).

Chodźcie tu wszyscy — wy i wy — zabierzcie
Te worki złota.

UPIÓR.

Myśmy zbyt gwałtowni —
Z postaci więcej podobni do burzy.

DRUGI KUPIEC.

Chodźcie tu wszyscy — wy i wy — zabierzcie
Te worki złota.

STRZYGA.

Myśmy nazbyt słabi —
Nikli, bez życia.

PIERWSZY KUPIEC.

Chodźcie wy tu do mnie,
Coście pomarli ostatni i ludzką
Wciąż macie postać — postać siły...

(Wchodzą obaj ZŁODZIEJE z poprzedniej części aktu. Twarze ich wymęczone).

Nuże,
Nuże, bez swarów, zabierzcie te worki.

PIERWSZY WIEŚNIAK.

Ej! ej! niechętnie, bo ta, której złoto
Precz unieść mamy na tych naszych plecach,
Żywi w swem sercu litość nieskończoną
Dla potępionych wszystkich dusz. O, nieraz,
Gdy w pełną lęku wpadamy zadumę,
Mignie nam w wnętrzu wspomnienie jej lica:
I ból, przez poły uciszon, dosięga
Szczytu — i potem zawodzimy gorzko...
Musimy słuchać, bo oto niejedna,
Dziś na niebiesiech wyniecona gwiazda,
Jak piętno złego, pali nasze serca.

PIERWSZY KUPIEC.

Gdy ten ostatni worek złota w leśnej
Spocznie chałupie, palić was przestanie...
Idźcie...

(Odchodzą, z nimi razem znikają widma i ogniki).

Kazałem pójść im; samotnicze
Są to istoty, gdy kogoś żywego
Zobaczą, zaraz zawodzą.

(Wskazując na kaplicę).

Cyt, bracie,
Szmer jakiś słyszę, który mnie przestrasza.

DRUGI KUPIEC (podchodzi ku drzwiom kaplicy i zagląda do wnętrza)

Księżniczka to się ruszyła, szepcząca
We śnie urwane swoje Ojcze-nasze.

PIERWSZY KUPIEC (podchodzi do drzwi i staje).

Znowu jest cicho.

PIERWSZY KUPIEC

Wielki plan mi błysnął
W duszy — nie dziwy: wszak-ci z dziewiątego,
Najmożniejszego wywodzę się piekła,
Kędy są wszyscy jako króle... Ze snu
Zbudzę księżniczkę i w koło jej myśli
Myśl jeszcze jedną wtrącę — myśl służenia.

(Woła przez drzwi).

Pamiętaj o mnie w swoich modlach, Pani!

(KSIĘŻNICZKA KASIA budzi się i zbliża ku drzwiom kaplicy. KUPCY schodzą do sali. KSIĘŻNICZKA KASIA stoi na najwyższym stopniu kamiennych schodów).

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Czego żądacie?

PIERWSZY KUPIEC.

Jesteśmy dwaj kupcy.
Z obcych idziemy krajów — z nowinami.
Wybacz nam, Pani, żeśmy tutaj weszli
Tak niespodzianie: wielka brama zamku
Była otwarta — weszliśmy, by spotkać
Twarz jakąkolwiek.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Brama dworca mego

Zawsze otwarta, by przyjąć gościnnie
Lud, mrący z głodu, i wszystkich, co pragną
Przed tym straszliwym schronić się tu czasem.
Jakież, kupcowie, macie wy nowiny?

PIERWSZY KUPIEC.

W łąkach Allańskich spotkaliśmy człeka
Ledwie żywego, któremu kazałaś
Skupować bydło, a zaś niedaleko
Fair Head twe statki widzieliśmy w ciemnej,
Bezwietrznej nocy: stały nieruchome,
A nieruchome, jak statki, płonęły
W milczącem morzu światełka ich latarń.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Dziękuję Bogu, Maryi i aniołom,
Że mam tu jeszcze dosyć worków złota
Na kupno mąki, którą w swych spichlerzach
Nagromadzili kupcy, aby zyskać
Na głodzie biednych. Jesteście zdaleka,
Świadomi znaków czasu: kiedyż wreszcie
Po naszych polach czołgać się przestaną
Żółte wyziewy? Kiedyż ta zabójcza
Przejdzie posucha i kiedyż znów trawa
Zielone swoje ujrzy źdźbła?

PIERWSZY KUPIEC.

Dni idą,
A zmian nie widać; zboże wyniszczało,
Chudoba padła lub pada, wyziewy
Wciąż jeszcze wiszą nad ziemią, choroby
Niosąc i paląc spiekotą.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Powiedzcie:

Co słyszeliście w świecie o demonach,
Zakupujących dusze?

PIERWSZY KUPIEC.

Jedni mówią,
Że to są twory z wilczemi głowami
I że ich członki mają szybkość burzy,
W przeustawicznym wysuszone ogniu.
Inni dowodzą znów, że są postaci
Niskiej a grubej; ten i ów zaś twierdzi,
Że mu się zdali czemś więcej, niż ludźmi,
Że są wysocy, smagli, z piętnem znoju,
Tak, jak my, Pani. Lecz wszyscy się godzą
W jednem: że wzrok ich taką ma potęgę,
Iż łamie ludzi i sieć im zarzuca
Na te ich dusze, i że wszyscy ludzie
Gotowi sprzedać swe biedne płomyki,
Swe wątłe dusze, tylko że ty, Pani,
Umiesz je swojem przekupywać złotem.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Dziękować Bogu, Maryi i aniołom,
Żem jest bogata... Dlaczego sprzedają?

PIERWSZY KUPIEC.

Owi demoni płacą sto i więcej
Koron za jedną niepokaźną duszę,
Podobną duszy człowieka, co leży
U bramy zamku, w izbie odźwiernego.
Licha to dusza, nie warta stu groszy.
Ale za dusze równe Twojej, Pani,
Słyszę, że płacą pięćkroć sto tysięcy
Koron i nad to.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Jak można za kupę
Złota oddawać duszę? Czyż mogiła
Jest czemś tak strasznem?

PIERWSZY KUPIEC.

Jedni ją sprzedają,
Ponieważ pieniądz się błyszczy, a inni
Ponieważ czują przestrach przed mogiłą;
Inni dla tego, że ich sąsiadowie
Sprzedali przedtem; inni, że jest pewna
Radość w rzuceniu nadziei, w utracie
Wszelkiej radości, w zbyciu się oporu,
W otwarciu ramion płomieniom wieczystym,
W puszczeniu na wiatr wszystkich, wszystkich żagli.
Gdy się wyczerpie twoje złoto, Pani,
Z radością wielką wszyscy pojdą w targi.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

We waszym głosie słyszę coś, kupcowie,
Co mnie przeraża. Kiedyście mówili
O onych ludziach, którzy swoją duszę
I swego Boga oddają za złoto,
Źrenice wasze płonęły, odrazu
Znikło też dziwne zmęczenie, widoczne
Na waszej twarzy. Przebaczcie, kupcowie,
Ale mówiący, że marnem mem złotem
Służę ludowi, mieliście, zda mi się,
Uśmiech na twarzy.

PIERWSZY KUPIEC.

Tylko z grzechów ludzkich
My się śmiejemy. Tyleśmy widzieli
Krajów i tyle rozmaitych ludzi —
Cóż w tem dziwnego, że wszystek ten ludek

Zawisnął sobie, niby na sznureczku
Od niewieściego trzewika, nad stosem
Wiecznych płomieni?!..

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Jest w was coś takiego,
Co w lęk mnie wprawia, coś, czego my, ludzie,
Nie posiadamy. Może pochodzicie
Z najodleglejszych jakichś części świata?

(DRUGI KUPIEC, który nadsłuchiwał pode drzwiami po prawej stronie, podchodzi ku przodowi sceny, a podczas tego, po lewej, słychać głosy i kroki ludzkie).

DRUGI KUPIEC (na stronie do PIERWSZEGO).

Są już u wejścia. Idźmy ztąd. Gotowi
Jeszcze nas poznać i serca nam zmrozić
Swemi zdrowaśki lub skórę nam spalić
Święconą wodą.

PIERWSZY KUPIEC.

Żegnaj nam. Musimy
Niejedną milę przebyć przed porankiem.
Wierzchowce nasze już tam biją ziemię
Z niecierpliwości,

(Odchodzą na prawo. W tej samej chwili wchodzi przeciwnemi drzwiami grupa wieśniaków).

KSIĘŻNICZKA KASIA.

A czego wy chcecie?

WIEŚNIAK.

Pani, kucnąwszy przy watrze i stare
opowiadając klechdy, słyszeliśmy

Naraz jakowyś brzęk, jakby na ziemię
Upadł czerwieniec. Szukamy, daremnie.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Zbyt wy strachliwi, ja nic nie słyszałam.

STARY WIEŚNIAK.

Tak, my strachliwi, bo jedno człowieka
Możnego słowo może nas wyrzucić
Z naszej zagrody, a miesiąc posuchy
Spalić doszczętnie wszystkie oziminy
Na naszym płonym gruncie: wichrów, gradów,
Burz i powodzi myśmy niewolnicy;
Na targowiskach strach nam skręca łokcie
I tuż za nami siada przy kominku.
A złe przeczucia tak są nieodstępne
Od nas, jak kucie w drzewie od dzięciołów.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

O złych przeczuciach nie mówcie w tym domu.

(OONA wchodzi drzwiami z lewej strony).

OONA.

Ktoś się nam włamał do skarbca! nieszczęście!
Drzwi są otwarte, a złoto skradzione!

(Wieśniacy zaczynają lamentować).

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Nie lamentujcie!

(Płacz ustaje).

Widział tu kto kogo?

OONA.

Że też ma dobra pani utraciła
Wszystko swe złoto! Nieszczęście! Nieszczęście!

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Wy trzej po mojej prawicy, dosiądźcie
Koni i cwałem w drogę! Dam zagrodę
Temu, kto schwyci złodzieja.

(Podczas jej słów wchodzi na scenę człowiek z kluczami u pasa).

ODŹWIERNY.

Zaprawdę,
Niesamowite dzieją się tu sprawy —
Złe duchy były! Siedziałem przy bramie
W mojej kamiennej budce, gdy tuż obok
Dwa przeleciały puszczyki, szepczące
Ludzkiemi głosy.

STARY WIEŚNIAK.

Bóg zapomniał o nas.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Stary człowieku, nigdy On nie zawarł
Bramy, jeżeli nie otworzył drugiej.
Jestem w rozpaczy, bo budzi się we mnie
Plan wielce smutny: ale ja mam wiarę — —
Przestańcie płakać, starzy moi ludzie —
Nie zapomina On świata, lecz ciągle
Lepi go w glinie, lepi na swój obraz
I podobieństwo. Wieki za wiekami
Glina buntuje się przeciwko Jego
Palcom, bój ciągły tocząc o swój stary,
Ciężki, ponury i bezkształtny spokój...

Czasem się skręci i skurczy, i wówczas
Lud jakiś pada — dziś się wykręciła
W stronę przeciwną i powstały hufce
Duchów piekielnych.

(WIEŚNIACY się żegnają).

Zostawcie mnie samą,
Bo smutna jestem — słyszę jakieś wrzenie,
Jakby się zbliżał piorun.

(Schodzi od drzwi kaplicy na dół).

Nie, zostańcie
Jeszcze chwileczkę. Gdy się znów spotkamy,
Obym wam dała zapomnienie klęski!

(Do OONY).

Weź te dwa klucze — ten jest od śpichlerza,
Ten od szafarni.

(Do STAREGO WIEŚNIAKA).

A wam, mój staruszku,
Daję ten kluczyk. Otwiera komorę,
Gdzie leżą zioła lekarskie: rumianek,
Babka, żywokost, tysiącznik i inne —
Na górnej pólce książka z przepisami.
Znacie się na tem: niegdyś leczyliście
Kozy i bydło.

STARY WIEŚNIAK.

Cóż to znaczy, Pani?!
Czyżbyście we śnie widzieli swą trumnę?

KSIĘŻNICZKA KASIA.

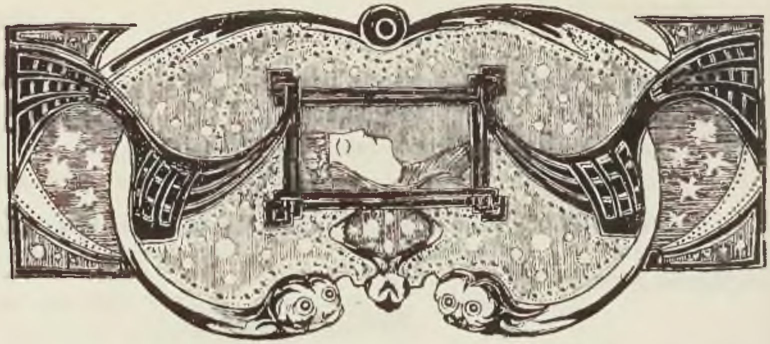
Nie, nie! w mem sercu smutny plan się budzi:
Wielki słyszałam płacz w rozlicznych chatach —

Muszę, tak, muszę iść, choć nie wiem, dokąd.
A wy się módlcie za ten naród biedny,
Ginący z głodu, módlcie się, wy dobrzy
Moi sąsiedzi.

(WIEŚNIACY klękają. KSIĘŻNICZKA KASIA wchodzi znowu w bramę kaplicy i, odwróciwszy się, stoi chwilę bez ruchu, potem wybucha krzykiem).

Królowo Anielska,
Żegnaj! Żegnajcie, hufce hufców świętych!

ZASŁONA.



AKT TRZECI.

Izba SZEMUSA RUY. OBAJ KUPCY siedzą przy jednym i drugim końcu stołu. Przed nimi zwoje pergaminów i wielka ilość małych sakiewek z pieniędzmi.

PIERWSZY KUPIEC.

Już nas ta pani okradać nie będzie —
Niema nic więcej, prócz myszy, w jej skrzyniach.

DRUGI KUPIEC.

Ostatniej nocy, przedzierzgnięty w sowę,
Na Donegalskie pofrunąłem turnie
I tam, na stromem usiadłszy urwisku,
Ujrzałem statki, wiozące ludowi
Zboże i mąkę. Za pięć dni tu będą.

PIERWSZY KUPIEC.

Ja szarej sowy wziąwszy na się postać,
Mknąłem i mknąłem w mrokach ku wschodowi
I tam spostrzegłem, jak sto ciężkich wołów
K'nam żelaznemi poganiano kijmi.
I one, bracie, za pięć dni tu staną.

DRUGI KUPIEC.

Pięć dni na handel.

(Podczas ich rozmowy weszli do środka wieśniacy, prowadzeni przez Teiga i Szemusa, którzy, stanąwszy po obu stronach drzwi, czynią porządek w tłumie, od czasu do czasu dodając ludziom odwagi gestami i szeptami).

Cisną się i cisną...
Od dnia posuchy tak się tu gromadzą,
Jak liść jesienny, który głuche wiatry
Zwiewają w kupę...
Handel! handel! handel!

PIERWSZY KUPIEC.

Któż z nami zechce pohandlować?

SZEMUS.

Panie,
Brak pożywienia obrał ich z odwagi,
Prócz czterech, pięciu... Masz tutaj jednego —
Czas i na innych przyjdzie, że nabiorą
Ducha.

MĘŻCZYZNA W ŚREDNIM WIEKU.

Ja — owszem, lecz za dobrą cenę.

PIERWSZY KUPIEC (czytając w pergaminie).

Dżon Maher, człowiek bogaty, o zmysłach

Tępych, spokojnych, uległego serca.
Pewnym jest w oczach aniołów... Dam dwieście,
Dwieście za duszę, marne tchnienie wiatru.

MĘŻCZYZNA.

Chcę trzysta koron... Czytaliście właśnie,
Iż żadna klęska nie uczyni ze mnie
Waszego sługi.

PIERWSZY KUPIEC.

Tu coś więcej stoi.
„Często po nocy budzi się z przestrachu,
Aby nie zostać biednym“... To jest twoje
Niedomaganie... Dwieście koron?

(Mężczyzna liczy pieniądze i odchodzi).

DRUGI KUPIEC.

Handel!
Zdaje się niemal, że niema w was duszy —
Chyba jedynie na wiarę parafii.
Handel! hej handel!.. Czy wolicie umrzeć?
Żyła tu przedtem kobieta, nie chciała
Iść z nami w targi i zmarła — w czerwonych,
Spoczywa kwiatach, ze świeczkami wokól,
Powtykanemi w butelki.

KOBIETA.

A jaką
Dacie też cenę za moją?

PIERWSZY KUPIEC.

Ej, piękna,
Wdzięczna i młoda — sądzę, że nie dużą.

(Czyta w pergaminie).

Listy miłosne chowa w małym dzbanku,
W górze, na murku, pomiędzy klepsydrą
A garnkiem pieprzu.

KOBIETA.

Przeklęty pergamin!

PIERWSZY KUPIEC (czyta)

Chowa je pilnie przed oczyma męża,
Który pojechał zakupywać konie
I nie powrócił... Jesteś pewna! damy
Koron pięćdziesiąt.

(KOBIETA zabiera się ku wyjściu).

Damy setkę.

(KOBIETA bierze pieniądze i znika w tłumie).

Handel!
Handel! hej handel! Tylko z miłosierdzia
Zakupujemy te dusze. Tysiące
Przeróżnych grzechów oddały je w ręce
Naszego Pana, nimeśmy tu przyszli.
Snadź gotowiście umierać, dopóki
Jeszcze wam kości świecą poprzez skórę.
Chodźcie na handel — albo czyż wolicie
Żyć pokrzywami, szczawiem i jarmużem?
Lub czy mniemacie, że głód się wyczerpie?
Zdrów on i czerstwy, nasz on i naszego
Przemocarnego władcy! nie ustąpi,
Dopókąd swego nie dobieży celu.
On to pokrywa żółtemi wyziewy
Te wasze pola wyschnięte, zatraty
On je strasznemi napełnia widziadły
I coraz groźniej z każdą rośnie chwilą.
Patrzcie, jak ściemnia światło dnia... Czyż spokój,

Drapieżnym ptakom znan, jest czemś tak strasznem?
One — i wszystkie naszemu władyce
Posłuszne dusze, i te, które żyją
Z tym drugim wielkim duchem, osiągnęły
Cel swego bytu, spokój, kiedy wami
Jak gdyby jakieś rzucało wahadło.

(Wchodzi ALEEL z potarganemi u harfy strunami).

ALEEL.

Weźcie mą duszę; jestem nią umęczon!
Nie chcę zapłaty!

PIERWSZY KUPIEC (czyta).

Pieśniarz... On sam jeden
Miał umysł zwrócon ku strzygom i chochlom,
Ku opowieściom o przebojach Fenian,
Ku onym królom Czerwonego Szczepu,
O życie ludzi wzdyć się nie troszczący...
Dziś się to wszystko zmieniło...

ALLEL.

Ponieważ
Nie odstępuje mnie jej lico blade,
Księżniczki Kasi lico... Smutek świata
Siadł na jej czole: nazbyt mnie krępować
Poczęły więzy jej skargi, dla tegom
Porwał te więzy!.. Zabierzcie mą duszę!

PIERWSZY KUPIEC.

Wziąć nie możemy, bo należy do niej.

ALEEL.

Weźcie ją! weźcie!.. Pomódz jej nie mogę,
I to mnie dręczy...

PIERWSZY KUPIEC.

Nie, nie, my nie chcemy.

ALEEL.

Czyż tak już nikłą ta wasza potęga —?
Wszystkie dni moje dźwigać mam ten ciężar?
Niechaj was moje pochłonie szyderstwo!

PIERWSZY KUPIEC.

Weźcie go precz ztąd; on mi na zawadzie!

(TEIG i SZEMUS wyprowadzają ALEELA pomiędzy tłum).

DRUGI KUPIEC.

Wzrok jego, bracie, napełnił mnie dreszczem
I strasznym lękiem.

PIERWSZY KUPIEC.

Nachyl się, pocałuj
Tę moją obręcz, na której spoczęły
Wargi naszego Mistrza oną chwilą,
Kiedy nas słał tu... Odzyskasz znów spokoj.

(DRUGI KUPIEC całuje złotą obrączkę, okalającą głowę pierwszego kupca).

SZEMUS.

Nazwisko jego Aleel, stracił zmysły
W ostatnich czasach, lecz niemasz w nim złości.
Szał jego minął, można być z nim razem
I tak go wodzić jak dziecko.

PIERWSZY KUPIEC.

Hej! handel!
Handel! hej handel! Czyście wy pogłuchli?

SZEMUS.

Opowiadają, żeście zbyt zniżyli
Cenę za ową kobietę...

PIERWSZY KUPIEC.

Więc teraz
Ofiarowuję wielki grosz — zważajcie:
Dam tysiąc koron za starą kobietę,
Co brzydką była przez całe swe życie.

(STARA WIEŚNIACZKA staje na przedzie sceny, a on rozwija pergamin i czyta).

Mało jest tutaj o niej napisano:
Kradła czasami drób, jeśli ją żniwa
Kiedy zawiodły — lecz dwakroć na tydzień
Szła do kaplicy, gdy się poszczęściło,
I tam składała ofiarę... Bierz pieniądz.

STARA WIEŚNIACZKA (z ukłonem).

Bóg wam błogosław, panie!

(Zaczyna lamentować).

Panie! panie!
Ból straszny czuję.

PIERWSZY KUPIEC.

Imię, które-ś rzekła,
Dla potępionych jest jak ogień. Precz ztąd!

(Wieśniaczka odchodzi).

Patrzcie, jak płoną te złote czerwieńce!
Handel! Czyż lęk wam, że ta wiedźma stara
Nieco narzeka? Czyście wszyscy tchórze!?

WIEŚNIAK.

Nie jestem tchórzem, chcę sprzedać pół duszy.

PIERWSZY KUPIEC.

Jakto pół duszy?

WIEŚNIAK.

Pół moich widoków
Pójścia do nieba.

PIERWSZY KUPIEC.

Napisano tutaj:
Człek ten we wszystkiem szedł pośrednią drogą —
Zajął sam środek wahadła. Nikt odeń
Nie doznał złego ni dobrego... Odejdź!
Nie chcę nabywać twojej duszy.

DRUGI KUPIEC.

Handel!
Handel!

PIERWSZY KUPIEC.

Co? chcecie wstrzymywać nas zdała
Od naszych włości? Od wiecznej rozkoszy?
Hej! skończcie handel, a my do naszego
Odejdziem Pana... Handel! handel! handel!

KRZYK WIEŚNIAKÓW.

Księżniczka Kasia! Jest Księżniczka Kasia!

KSIĘŻNICZKA KASIA (wchodzi)

Wciąż handlujecie?

PIERWSZY KUPIEC.

Tobie na przekorę!
Po co tu przyszłaś, szafirowooka
Święta?

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Chcę moją zaprzedać wam duszę
Za wielką cenę.

PIERWSZY KUPIEC.

Jeśli warta ceny?

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Lud ginie z głodu, dla tego się tłoczy
Ku wam. Słyszałam jego krzyk i krzyk ten
Wciąż mi brzmi w uszach — dzień i noc: chcę koron
Pięćset tysięcy, aby ich wyżywić,
Póki nie przejdzie czas posuchy; nadto,
Jeśliście znęcić umieli te biedne
Dusze czerwieńców swych brzękiem, ja pragnę
Wykupić wszystkie i zwrócić je Bogu.
Swoją chcę sprzedać wam duszę!

WIEŚNIAK.

Przenigdy!
Nie czyń nam tego. Dusze biednych ludzi
Nie mają ceny tak wielkiej przed Bogiem,
Jaką ma, Pani, twoja dusza. Pani!
Cóżby bez ciebie czyniły niebiosa?

INNY WIEŚNIAK.

Patrz, jak im szpony kurczą się w skórzanych
Tych rękawicach.

PIERWSZY KUPIEC.

Pięćkroć sto tysięcy!
Damy tę cenę! Jest złoto! Gdy z nami
Rozmawiasz, Pani, dusze się zwracają
Ku wysokościom, bo oblicze twoje

Wielką rozsiewa naokoło światłość,
Migotliwemi napełnia blaskami
Serca tych ludzi, a dzięki tym blaskom,
Mogłaby zmarnieć nasza ciężka praca —
Ponad głębiami On by się mógł ruszyć
I nam odebrać te dusze. Do dzisiaj
One naszemi były-li przez poły,
Gdyż przenikały je na wskroś twe jasne,
Promienne oczy, rabując im szczęście
Zadowolenia.—Lecz podpisać musisz:
Taką kupując duszę, jak twa, Pani,
Formy pominąć nie możemy. Podpisz
Tem oto piórem — pochodzi od kura,
Co zapiał ongi, kiedy Piotr się zaparł
Swojego Mistrza. Kto zaś pióra tego
Użył, ten w piekle w wielkich jest honorach.

(KSIĘŻNICZKA KASIA nachyla się, aby podpisać pergamin).

ALEEL (wpada na przód sceny i wyrywa jej z rąk pergamin).

Wielkiego wodza zaznać masz miłości —
Gromada dzieci winna igrać, Pani,
Wokół twych kolan! Zostaw tych wieśniaków
Stworzycielowi niebios!..

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Jam bez myśli — —
Krzyk tylko słyszę — krzyk tych biednych ludzi.

ALEEL (rzuca pergamin na ziemię).

Miałem widzenie pod kępą dzikiego
Bzu i leszczyny: że mamy usłyszeć,
Jak Archanioły toczyć będą próżną
Czaszkę szatana grzbietem gór!

PIERWSZY KUPIEC.

Precz! precz z nim!

(TEIG i SZEMUS wypychają go tak szorstko, że ALEEL pada w tłumie na ziemię).

KSIĘŻNICZKA KASIA (podnosi pergamin i, podpisawszy go, zwraca się do tłumu).

Bierzcie pieniądze; teraz chodźcie ze mną.
Zdala od tego skażonego miejsca
Dam z was każdemu czerwieńców do syta.

(Wychodzi; tłum wieśniaków otacza ją i całuje po rękach. ALEEL i OBAJ KUPCY pozostali sami).

DRUGI KUPIEC.

Skończone tedy dni naszego trudu.

PIERWSZY KUPIEC.

Kosztowny dzisiaj zdobyliśmy klejnot
Dla dyademu szatana.

DRUGI KUPIEC.

Musimy
Iść ztąd i czekać, dopóki nie umrze,
Ponad jej zamkiem w postaci puszczyków
Czuwać będziemy jeszcze rok niejeden
I strzedz naszego klejnotu, aż przyjdzie
Chwila zabrania jej duszy.

PIERWSZY KUPIEC.

Nie. Po co?
W powietrzu tylko zawiśniemy nad nią,
Bo na minuty liczy się jej życie.
Gdy tu przybyła, spostrzegłem w jej oczach
Pomrok mogiły, i stopy jej ciężkie,
Niby obute w trzewiki z ołowiu;

Wzrok jej tkwił w ziemi, jak gdyby robactwo
Już ją wzywało ku sobie; a kiedy
Podpisywała swe imię, jej serce
Jęło się łamać... Cicho!.. Cicho... Słyszę
Bramy piekielne skrzypiące w zawiasach:
Idzie k'nam odgłos wieczystej biesiady,
By nas pokrzepić.

DRUGI KUPIEC.

A teraz na skrzydłach
Wzbijmy się, bracie, w powietrzne przestwory,
By śród nich w szpony pochwycić jej duszę.

(Ulatują w górę. ALEEL czołga się w środku izby. Zapadł mrok, i ciemność na ziemi wzrasta stopniowo. -- Słychać daleki grzmot i odgłos zrywającej się burzy).

ALEEL.

Bramy spiżowe otwarte na oścież —
Balor na grzmiącym zjawia się rydwanie,
Demoni ciężkie podnieśli powieki
Nad źrenicami, które w dniach pradawnych
W głazy zmienili bogowie. Zdradziecki
Jawi się Barach i chutnego rodu
Idzie Kaiitin, on, co druidyczny
Przekwit i zanik spuścił był na dziecię
Sualtamowe i Dektery (pierwszy
Król Hell go znowu wywyższył, zabiwszy
Naisiego i srogo złamawszy
Serce Deirdry), — a wszystkie ich głowy
Ku tejże samej zwracają się stronie,
Za życia bowiem zwalczały z uporem,
Z niehamowaną, chytrą zaciekłością,
Piękno i spokój.

(Wchodzi OONA; zatrzymuje się jednak we drzwiach).

ALEEL (podniósł się w połowie do góry, kolanem i ręką opierając się o ziemię).

Klęknij, stara czaplo,
Zdala od ślepej nawałnicy.

OONA.

Gdzież jest
Księżniczka Kasia? Gdzie? Przez dni te wszystkie
Była tak blada, a ręka jej — czułam —
Drżała, spotkawszy przy kądzieli moją —
I teraz nie wiem, dokąd poszła.

ALEEL.

Innych
Ma już Księżniczka przyjaciół — tak, innych,
Przemieszkujących w tym straconym świecie.

(Wskazuje na dół).

Oto Orchila, naprzód; blada, piękna,
Lice jej żyje, a ciemna jej postać
Do mgieł podobna, gdy się nagromadzą
W porze jutrzennej, bo tej, co umiała
Rozbudzać żądzę, serce li się krwawi,
Podczas gdy drudzy konają. Naokół
Mgławą ma ciżbę kobiet, głośnym śmiechem
Przywabiających szatany, za sobą
Straszne wypary krwi, zmienionej w grzechy,
Tylko te wszystkie, białe jak gwoździki,
Drobne paznogcie wyrosły w ogromne
Szpony.

(Chwyta OONĘ, ciągnie ją na środek sceny i gwałtownym ruchem wskazuje na dół. Szum wiatru).

Już swoje zaczynają pieśni —
Wciąż na ich wargach brzmi jakaś melodya.

OONA (rzuca się twarzą na ziemię).

O Twórco Świata! chroń ją od demonów!
A jeśli trzeba zginąć jakiej duszy,
To zabierz moją!

(ALEEL klęka obok, ale zdaje się słów jej nie słyszeć; wzrok utkwił w ziemię, jakby chcąc ją przebić. Wieśniacy wracają. Niosą Księżniczkę Kasię i kładą ją na ziemi pomiędzy Ooną i Aleelem. Leży jak umarła).

OONA.

Że też tyle naczyń
Z surowej gliny trwa, a porcelana
Pęka na dwoje.

(Całuje ręce KSIĘŻNICZKI KASI).

WIEŚNIAK.

Byliśmy pod drzewem,
Tam, gdzie się skręca droga, gdy Księżniczka
Zbladła i nagle zasłabła. A gdyśmy
Nieśli ją tutaj, czarna nawalnica
Przyćmiła przestwór, prawie z nóg nas waląc.
Trzeba zasunąć zaporę, bo żaden
Śmiertelny człowiek nie oprze się czarnej,
Oślepiającej, groźnej, nagłej burzy.

(Jeden ze stojących bliżej zasuwa zaporę).

OONA.

Sza! sza! zbudziła się z omdlenia.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Ludzie,
Trzymajcie, proszę, trzymajcie mnie mocno,
Bo nawałnica porwie mnie.

(OONA bierze ją w ramiona. Jedna z kobiet zaczyna zawodzić).

WIEŚNIAK.

Sza!

INNY WIEŚNIAK.

Sza!

WIEŚNIACZKA.

Sza!

KSIĘŻNICZKA KASIA (nawpół się podniósłszy).

Do stóp mi złóżcie wszystkie worki złota!

(Kładą jej woreczki z pieniędzmi pod stopy).

Idźcie, starego sprowadźcie Neala,
Niech on, gdy umrę, każdego wysłucha
I sprawiedliwie rozsądzi i rozda...
On was ziołami leczy, wie najlepiej,
Kto jest w największej pośród was potrzebie.

WIEŚNIACZKA (na tyłach tłumu).

A czy mi dosyć wydzieli, bym mogła
Wyżywić dzieci, aż przejdzie posucha?

INNA WIEŚNIACZKA.

Królowo niebios i wy wszyscy święci,
Zgubcie nas wszystkich, byle tylko Księżna
Mogła ocaleć.

KSIĘŻNICZKA KASIA.

Nachylcie się ku mnie,
Ty, moja Uno, i ty też Ałeelu:
Spoglądam na was jako ta jaskółka
Na swoje patrzy gniazdo pod okapem,
Nim ponad grzmiące wód uleci tonie...

Przestańcie płakać tak gorzko, wszak tutaj
Została jeszcze na wielkim ołtarzu
Niejedna świeca, choć jedna upadła.
Aleelu, bracie! Ty, który śpiewałeś
O dawnym rodzie, nieznającym troski
Naszego świata, mającym li tchnienie
W swoich powiewnych kształtach, bądź mi zdrowy!
Żegnaj mi, Uno, coś len przędła ze mną,
Słodka, jak sen ich po skończonych pląsach:
Burza mi siadła we włosach, czas odejść.

(Umiera).

OONA.

Podajcie mi tu zwierciadło.

(Jedna z wieśniaczek przynosi jej lusterko z izby. OONA trzyma je nad wargami KSIĘŻNICZKI KASI. Cisza na chwilę — potem przytłumiony okrzyk OONY:)

Umarła.

WIEŚNIACZKA.

Była na świecie wielką, białą lilią.

INNA WIEŚNIACZKA.

Piękniejsza była ode gwiazd pobladłych.

STARA WIEŚNIACZKA.

Złamane kwiecie, które tak kochałam!

(ALEEL bierze zwierciadło z rąk OONY i rzuca je o ziemię, rozbijając na drobne kawałki).

ALEEL.

Rozbiłem ciebie, bo niema już lica,
Co napełniało cię pięknością: zamrzyj

I ty, me serce, albowiem już poszła
Ta, której słowo, nasycone smętkiem,
Czyniło z ciebie żyjącego ducha,
Podczas gdy dzisiaj jestem już zmartwiałą
Gliną pożądań. A ty, dumna ziemio,
I rozpienione ty morze, zagińcie!
Nie usłyszycie już więcej jej błędnych,
Samotnych kroków, zostaniecie same
Wpośród głośnego boju archaniołów
Z hufcem szatanów.

(Wstaje, reszta klęczy, atoli na ziemi taka panuje ciemność, że nie można rozeznać ich kształtów).

A ja, który płaczę,
Ja was przeklinam, ty, Czasie! ty, Zmiano!
Ty, Przeznaczenie! i żadnej nie żywię
Innej nadziei, prócz tej, abym wielkiej
Doczekał chwili, kiedy was na głowę
Strącą w bezdenne przepaście.

(Błyskawica, w ślad za nią grom).

WIEŚNIACZKA.

Niech klęknie,
Nim jego klątwa ściągnie nam na głowy
Łyski i gromy.

ALEEL.

Anioły i czarty
Walczą w przestworach; to miecze spiżowe
Tak o spiżowe uderzają hełmy.

(Błyskawica, w ślad za nią grom).

Szeroki oszczep, wyrzucon z rzemienca,
Na wskroś tam przekłuł źrenicę Balora,

I ciemny zastęp rozpierzchł się, jęczący,
Jak ongi pierzchał z brzegów Moytury.

(Pochłaniająca wszystko ciemność).

STARZEC.

Wszechmoc, za nasze rozgniewana grzechy,
Zatraca świat nasz, i wnet już pomrzemy,

(Widziadlana światłość rozprasza ciemności. Wieśniacy zdają się klęczeć na skalistem urwisku góry; mgły nawałnicowe, od czasu do czasu przerzynane światłem, otaczają ich i płyną po za nimi. Nawpół w świetle, nawpół w mroku stoją aniołowie w zbrojach. Zbroje ich stare i zużyte, miecze ich czarne i poszczerbione. Stoją, niby w szyku bojowym, i surowo patrzą na dół. Wieśniacy rzucają się na ziemię).

ALEEL.

Przestańcie patrzeć na te wpół otwarte
Wierzeje piekieł, mówcie raczej do mnie,
Którego serce tak przejęte Bogiem,
Że już o ziemskich nie chce myśleć sprawach —
Mówcie mi o tej, która tutaj leży.

(Chwyta jednego z aniołów).

Nie prędzej wrócisz w krainę wieczności,
Aż gdy przemówisz.

ANIOŁ.

Światłość pada na dół —
Bramy perłowe otwarte na oścież,
A ona poszła w przybytek pokoju;
Maryja z sercem posiedmkroć przebitem,
Pocałowała jej wargi, a święte
Włosy spłynęły na jej twarz; pobudki
Rozważa Światłość Światłości, nie czyny —
Mrok Mroków tylko z czynami się liczy.

(ALEEL puszcza ANIOŁA i klęka).

OONA.

Powiedz chodzącym w przybytkach pokoju,
Że pragnę umrzeć i odejść już do tej,
Którą tak kocham; lata, niby wielkie
Czarne bawoły, stąpają po ziemi,
Bóg niby skotarz pogania je z tylu,
A mnie ich ciężkie zdeptały kopyta!..

(Coś, jak gdyby głos surmy, dobywa się z wnętrza światłości. Widzenie rozpływa się powoli, w ciemnościach słabo się rysują postacie klęczących wieśniaków).

ZASŁONA.



PRZEŁOŻYŁ
Jan Kasprowicz.

William Butler Yeats.

PRZYPISKI AUTORA DO „KSIĘŻNICZKI KASI.“

KSIĘŻNICZKA KASIA (The Countess Cathleen). W poemat niniejszy włączyłem legendę, tak jak ją podają „Baśnie i podania ludu irlandzkiego“ („*Fairy and Folk Tales of the Irish Peasantry*“), na wiarę, że jest to rodzime, starodawne podanie irlandzkie. Potem słyszałem jednak, że rodowód jej jest późniejszy.

Wydawca *Folklore*'a zwrócił się w swem piśmie z prośbą o informacye co do waryantów, pochodzenia i t. d. tego podania, lecz bez skutku. Jedyne znane mi podanie, do mego podobne przedmiotu, znalazłem w Larminie'go „*West Irish Folk Tales*“ (Podaniach zachodnio - irlandzkich) — o matce, która na lat siedm poszła do piekła, aby odkupić duszę swego syna, a potem została jeszcze lat siedm dla odkupienia innych dusz.

ADENE (Etain). Słynna królowa legendarna, którą uprowadzi Meder, król chochlików.

BALOR, dowódca ciemnych zastępów w wielkim boju Dobrego i Złego, Życia i Śmierci, Światła i Ciemności, stoczonym na wybrzeżach Moytury w pobliżu Sligo.

BARACH (Borrach). Barach wywabił FERGUSA na biesiadę, aby w jego nieobecności pomordować synów USNY. Fergus, związany przysięgą, że nigdy nie odmówi udziału w jego ucztach, zmuszony był pójść — wbrew swojej woli.

CAILITIN. Druid Cailitin i jego synowie zwalczali Cuhoollina czarnoksięską sztuką.

CONHOR (Concobar) był królem Wszechirlandyi w okresie królów „Czerwonego Rodu.“

CUHOOLLIN, wielki bohater z cyklu „Czerwonego Rodu.“

DANAAN (Tuath de Danaan) oznacza Ród Bogów Danu. Były to potęgi światła, życia i ciepła, i walczyły z FOMOROHAMI, t. j., potęgami nocy, śmierci i zimna. Z czasem, gdy je przestano

czcić i składać ofiary, malały stopniowo w wyobraźni ludu, aż w końcu zeszły do kategoryi chochlików etc.

DECTERA (Dechtera), matka CUHOOLLINA.

DEIRDRE, bohaterka jednej z najpiękniejszych legend gaelickich. Kochał ją Concobar, ona uciekła od niego z Naisim, została jednak w zdradziecki z powrotem ujęta sposób. Jest to smutna a piękna kobieta z cyklu „Czerwonego Rodu," tak jak GRANIA jest smutną a piękną kobietą z cyklu o Fenianach.

FENIANIE, wielki zakon rycerski, na którego czele stał FINN.

FERGUS — pieśniarz cyklu „Czerwonego Rodu," tak jak OISIN cyklu legend o Fenianach. Był królem Wszechirlandyi i, jak opiewa podanie, opracowane przez Samuela Fergusona, zrzekł się tronu, aby módz swobodnie polować po lasach.

HELL (Piekło). W dawniejszych podaniach irlandzkich piekło zawsze jest zimne, być może dla tego, ponieważ Fomorohy, potęgi zła, były władcami północy i zimy. Chrześciaństwo starało się, o ile możności, zastosować do wierzeń swoich, w Irlandyi tak samo, jak i gdzieindziej, symbole pogańskie, a poeci irlandzcy, śpiewający o „zimnej posadzce piekła," powtarzali symbole pogańskie. W opowieściach ludu i w Keating'a opisie piekła spotykamy się, mimo to, także ze zwykłym symbolem ognia.

MAIVE. Słynna królowa z cyklu „Czerwonego Rodu." Według podania, pochowana została w kamiennym grobie na Knocknarea. Ferguson mówi o „muszlowym grobie Maivy na szczycie Knocknarei," grób ten atoli jest z kamieni.

ORCHIL. Fomoroh i czarownica, o ile dobrze sobie przypominam. Zresztą, zapomniałem wszystko, com o niej wiedział dawniej.

POOKA, duch, który przedzierzga się raz w psa, raz w konia, raz w osła lub orła.

SUALTAM, ojciec Cuhoollina.

USNA, ojciec NAISIEGO, kochanka Deirdry, oraz Ardana i Ainlego, jej przyjaciół. Cudny lament Deirdry nad ich zwłokami przetłumaczył pięknie Samuel Ferguson.

Legendy tęsknoty.



II. BŁĘDNY OGNIK.

Wśród ksiąg, do których najczęściej zaglądam, jest jedna, bardzo stara, w pergamin oprawna, przechowywana od niepamiętnych czasów w naszej rodzinie. Jeszcze będąc dzieckiem, patrzyłem na nią, jak na wszechmocną księgę czarów. Nikt nie wie, do kogo należała. Pełno w niej malowideł wyblakłych, rysunków o liniach szlachetnych, subtelnych, jak cienie, rzucone wiotkiemi skrzydłami przelotnych myśli. Najwięcej — akwarel podobnych do tych, które malowano dawniej na szkle, lub na blasze.

Są tu widoki z dalekich podróży, trzymane we mglistym nieco i niewyraźnym tonie, jak samo wspomnienie, w którem krajobraz pozostawia niby tylko swoje ostatnie, na pożegnanie wyszeptane słowo, — jedną barwę, jedną linię, jeden ruch, zaledwo dostrzegalny.

Są tu postacie kobiece, w strojach bufiastych, wydętych jak dzwony, postacie o kształtach prawie nierzeczywistych, wydłużonych, niby łodygi kwietne, wybujałe ku słońcu. Bufiaste stroje uwydatniają tylko ich kibić, cieńszą od kibici motylej.

Są tu pałace z różowego marmuru, falami bluszczów zalane, umyślnie niedokończone, raczej niedopatrzone, tak, jak się je widzi we śnie — chwilę jedną, zbyt krótką chwilę, aby je można dokładnie odtworzyć w pamięci.

Są tu wreszcie sadzawki, pleśnią utajemniczone, wodotryski, wyrzucające ze swej głębi widziadła z pyłów srebrnych usnute, lasy palmowe i ogrody dziwaczne.

Bezimienny artysta szkicował tu zapewne w godzinach zadumy zbłąkane marzenia, zatrzymujące się nieśmiało i niechętnie u progu wcieleń. I księga ta była dlań zwieciadłem marzeń, zwierciadłem, które odbija przedmioty oddalone lub nieistniejące. To też biorę ją teraz do ręki z uczuciem uwielbienia dla tej duszy tęsknej, co gardziła możliwością, rozpraszającą wszelakie czary, podstępnem sprawdzaniem cudów, walczących ze skończonością ziemskich wszechzgłębień, i wreszcie tą nałogową, ślepą, bałwochwalczą wiarą w potężną rzeczywistość, wiarą, która się rozczula, upaja, odurza lada widokiem, przekonaniem, myślą, że to lub owo jest „tak podobne do życia“ i że „tak naprawdę bywa na ziemi!..“

Gardziła tem wszystkiem i pragnęła piękno, przez naturę stworzone, raz jeszcze stworzyć, raz jeszcze zmienić, rozszerzyć, roztajemniczyć!

Biorę do ręki starą księgę i w zamyśleniu przewracam powoli jej karty.

Pożółkły, jak bursztyn, papier wydziela woń ostrą, narkotyczną, — woń przekwitłych stuleci. Zawsze mi się zdawało, że pradawnemi czasy włosy kochanek, nawet ich klejnoty i stroje, ich lektyki i listy miłosne, powietrze i kwiaty, całe parki (w wyobraźni bezszumne) i piasek, złocący się w cieniu alej, — słowem świat wszystek przesiąknięty był taką wonią.

Szczególniej — jaskry i klejnoty.

Przewracam karty starej księgi — sen za snem, marzenie za marzeniem.

Ze wszystkich malowideł najbardziej lubię wpatrywać się w jedno, napozór proste i zwykłe, ale jest ono jakgdyby oczekiwaniem cudu, pierwszym akordem tajemniczej symfonii, której ostatni akord...

Wciąż myślę o tym ostatnim.

Dłoń moja wprawna natrafia bezwiednie na to malowidło. Znowu mam je przed oczyma. Wpatruję się w nie uporczywie.

Wciąż myślę o tym ostatnim..

Obszerna komnata pałacowa. Nagie malachitowe ściany. Zresztą — żadnych zegarów starożytnych lub portretów przodkow. Zwraca tylko uwagę zbyt widoczna nieprawidłowość oświetlenia. Sufit sklepiony jarzy się, niby zalany światłem słonecznem, podczas gdy za oknem przewiewa zmierzch różowy. Podłoga zaś pogrążona w cieniu. Trudno rozróżnić, czy marmurowa, czy

z granitu. Prawdopodobniej — z czarnego marmuru. Patrząc na to oświetlenie — niemożna określić pory dnia, ani godziny.

Godzina marzeń...

W ubocznej ścianie tkwi okno, wysokie, podłogi sięgające i na oścież rozwarte. Za oknem — aleja lipowa, zbryzgana niedbale złotawem kwieciem i zróżowiona zmierzchem. Ale barwy na starem malowidle wyblakły, aleja wygląda raczej, jak rozemknięty miraż, który się za chwilę w dwie strony świata rozwieje. Ze snu powstała i w sen się obróci...

Przy oknie siedzi młodzieniec w fotelu hebanowym, głowę wsparł na ręku, rękę na poręczy. Pogląda w aleję, pełen wyczekiwania i tęsknoty. Obleczony jest w płaszcz szkarłatny, złotobrzeżny, spadający na ziemię fantastycznemi fałdami. Fałdy ścielą się jeszcze wzdłuż po podłodze i już ściemnione tworzą dokoła bogatą i zawiłą falę.

Młodzieniec ma włosy przedwcześnie osiwiałe. Lub raczej nie!.. To barwy na starem malowidle wyblakły i dlatego właśnie młodzieniec stał się srebrnowłosym.

W głębi — drzwi niezwykle wązkie, wrzynające się w samo sklepienie. Część dolna — w cieniu, górna, większa — w świetle. Koło drzwi stoi pachołek. Postać jego niewyraźna, widzi się ją, niby przez umyślną mgłę. Rysów twarzy — nie dojrzeć.

Komnata czyni wrażenie owej siódmej alkowy, do której w baśniach niewolno wchodzić królewnom i królewiczom. Do wszystkich innych mogą zaglądać, tylko nie do tej. Podobną jest do innych, ale posiada niepochwytną prawie odrębność. Gdy się z niej w myśli usunie to, co ma wspólnego z resztą komnat, wonczas coraz wyraźniej i jaskrawiej widzi się tę utajoną odrębność, tego smoka, który się tu czai: jestto przeznaczenie, tak starannie w innej części pałacu osłonięte przepychem jedwa-

bi, brzemieniem złota i spienionemi falami serdecznego śmiechu!

Zaczynam marzyć. Wczarowuję spojrzenie w samą głąb' starego malowidła. Pomijam w malachitowej komnacie tony i barwy, nietylko do niej należące, i staram się pochwycić jej wyłączną właściwość, duszę, znak, obnażający tajemnicę wnętrza...

Jest pusta, zimna, obojętna dla postaci ludzkich, w niej zawartych. Obydwie wydają się chwilami, jak nieobecne. Zaś jedna z nich — pachołek — zawsze niewyraźna, przez mgłę widzialna. Prócz tego, malachitowa komnata nie porozumiewa się ze światem, poza nią istniejącym. Ma własne oświetlenie. Zmierzch różowy nie przenika do jej głębi pomimo, iż okno jest wysokie i otwarte. Drzwi są tak wązkie, że wejść przez nie może tylko jedna osoba: komnata lubi gości samotnych.

Zdaje mi się, że znam już historyę srebrnowłosego młodzieńca i jego pachołka.

Młodzieniec jest poetą. Czarem swych pieśni niepokoił serca kobiece. Całował i pieścił, szalał i wielbił. Szukał obłąkania i potęgi — w miłości. Ale nie znalazł. Przeklął miłość, przeklął życie, i milczeniem odpowiadał na słowa ponęty, na wołania rozkoszy, płynące z ust koralowych i z piersi księżycowem światłem dławionych. Ostatnia jego jasnowłosa kochanka, z oczyma pełnemi

błękitnego pytania i żądnemi nieznanej, świat cały ogarniającej odpowiedzi, zlękła się jego milczenia i opuściła go na wieki.

Od wielu już lat młodzieniec pędzi w pałacu żywot samotny, i tworzy pieśni mgliste, drgające niepokojem tajemnych oczekiwań, przeczuć i nagłych objawień.

Pachołek niedawno dopiero wrócił do swego pana. Miał zawsze duszę niezwykłą, zamyśloną, przenikliwą. Gnała go po świecie żądza zmian, potężniejsza od żądzy miłości, zbrojna żaglem rozpiętym ku wylądom zaświata. Zwiedził kraje dalekie. Zna gór szczyty i mórz głębiny. Badał wiedzę tajemną. Napawał ducha misternym obłędem białej i czarnej magii. Był uczniem sławnego czarownika i z nim razem dumał nad wynalezieniem eliksiru wiecznego żywota. Wreszcie wrócił do pałacu swego pana, aby tam w samotności i zdala od zgiełku świata wcielać nowe marzenia, wykrywać nowe tajemnice.

Zastał swego pana w smutku — w tęsknocie — w rozczarowaniu. Szeptał nad nim zaklęcia o słowach, powiązanych w kołowrotne, rozbieżne akordy, kreślił w skupieniu kręgi tajemnicze, wywoływał trzykrotnie w pustym pałacu imię jego duszy, aby trzykrotnem echem ocknąć ją do życia, do wesela. Wszystko — nadaremnie! Młodzieniec srebrnowłosy pozostał smutnym, jak dawniej.

Lecz niespodzianie, wczoraj o północy, pachołek wyczytał w gwiazdozbiorze Oryona, że dziś właśnie stanie się jakowaś zmiana, uwidoczni się przeznaczenie, objawi się cud, niepokojący jego pana.

Stoi więc wśród mroku, w oczekiwaniu cudu, koło drzwi, wrzynających się w samo sklepienie.

Teraz oczy moje, wpatrzone w oścież starego malowidła, zachodzą mgłą zmęczenia, ślepną jakby świadomie... A gdy na nowo wzrok odzyskuję, — spostrzegam zmiany. Aleja za oknem porusza się bezszumnie. Woń lipowego kwiecia przepełnia komnatę, a z komnaty wpływa do moich piersi. Szkarłatny, złotobrzeżny płaszcz młodzieńca układa się w pośpiechu marzeń — w nowe, coraz bogatsze fałdy. W oddali — zmierzch zapada zwolna. Za chwilę noc już nadbiegnie.

Srebrnowłosy młodzieniec odwraca głowę od okna i, niby ciągnąc dalej przerwaną ongi rozmowę, zwierza się pachołkowi:

— „Sam siebie nie pojmuję! Tyle zim, tyle wiosen... Kiedyż dopełni się moja tęsknota? Czy też jest ona tylko poczuciem nieskończoności doskonałej? Wierzyłem niegdyś w miłość. Tyle zim, tyle wiosen błąkałem się po duszach kobiecych, jak po ogrodach zaklętych, myśląc, że tam właśnie biją gorące źródła czarów, szczęścia i natchnienia! Byłem tułaczem widnokręgów: obchodziłem zdala ziemię, nie wkraczając do nieba. Jestem jednym z tych, którzy upadają w chwili, gdy inni się wznoszą... Nie wolno mi być kochanym! One wszystkie — te czarnowłose i jasnowłose — wzbogacały pustkę swej duszy — skarbami mojej. Upajały się mą pieśnią, jak winem, aby potem opróżniony puhar cisnąć do morza — w rusałczane śmiechy! Ciekawe i łakome chłonęły potajemnie najzłotsze sny moje, marzenia i myśli, nie pozostawiając mi

nic, prócz nieustannego lęku i poczucia własnej niemocy. I nie lubiły tego lęku, ani tej niemocy. Miłość ich była zbrodnicza! Drętwiały mi wargi, pozbawione pieśni, a z bezsilnych dłoni wypadała lutnia złotostrunna. Zaprzedawałem swą duszę, traciłem siebie — w miłości, pętałem skrzydła wonnemi włosami zemdlonych, nie wiedząc o tem, że ich zemdlenie jest udanym snem czającego się gadu. Aż dnia pewnego zerwałem te pęta i wyzwoloną dłonią trąciłem o struny zaniedbanej lutni! I znowu jestem sam, nikomu niedostępny, sobie tylko wiadomy!“

— „Czegoż ci brak do szczęścia?“ — pyta pachołek. Postać jego wciąż jest niewyraźna, wciąż przez mgłę widzialna.

— „Do szczęścia?“ — powtarza srebrnowłosy młodzieniec. — „Nigdy go nie zaznałem! Czekam na nie. Zdaje mi się, że ono przydzie tą lipową aleją, w lektyce złocistej, niesionej od czterech cieni, z których każdy będzie moim własnym. Nie wiem jeszcze, jak ono wygląda. Podobne jest do miłości i zarazem różne od niej. Nie jest — tylko miłością... Bardziej od życia oddalone, bardziej do śmierci zbliżone! Wszakże nie jest ani życiem, ani śmiercią. Czekam na nie i na jego cztery cienie...“

— „Każdy ma na własność swój sen, lecz nikt nie ma na własność swojej rzeczywistości!“ — szepcze pachołek. — „Szczęście przychodzi tylko do umarłych lub wyzwolonych, a ty — spojrzyj w siebie — pragniesz jeszcze kochania!“

— „Pragnienia moje!“ — woła młodzieniec — „są modlitwą tysiąca i jednej nocy do tyluż tęsknot, czczonych na gwiazdach! Pragnienia moje — to zwłoki przyjaciół, wrzuconych do morza z pokładu oddalających się okrętów! Pragnienia moje — to miecze, którym na ostrzach wykwitają róże bezimiennych pożądań!“

— „Rozumiem cię“— odpowiada pachołek—„usta twoje radeby śmierć ucałować, oczy twoje radeby gwiazdami się rozpłakać, pod płaszczem szkarłatnym ukrywasz rany — siostry twych pieśni, — a przeznaczeniem twojem jest — tęsknota, aż do śmierci!“

— „Tęsknota, aż do śmierci!“— szepcze młodzieniec.— „Od tylu lat nie zapytałem nikogo, czy mnie kocha, i nikomu nie wyszeptałem tego słowa. Samotny w tej komnacie, spędzam długie wieczory i próżno nasłuchuję, próżno czekam... Nikt nigdy do drzwi moich nie zapuka!..“

I oto nagle słychać pukanie do drzwi, jakby nie dłoń, lecz sama chęć, sama tęsknota dotknęła zardzewiałych rygłów. Drzwi się rozwarły w głąb' stającego się cudu. Do komnaty wpłomienia się postać kobieca, w szacie gwiaździstej, rozetlonej błękitnawym blaskiem. Twarz piękna, widmowa, koloru księżyca, włosy tegoż koloru, rozwiane, jak smugi świetliste.

Komnata zamigotała majaczącem, błękitnem olśnieniem, w którem złotobrzeżny płaszcz młodzieńca wybucha ogniście — purpurowym żarem. Rozwidnione, malachitowe ściany zdają się teraz, niby obojętne, nic nie odbijające zwierciadła.

Zjawiona podbiega do młodzieńca. Jest zdyszana. Tchu braknie jej w piersi. Mówi przerywanym szeptem, przypominającym drzew śpiewne szumy.

Mówi:

— „Po lasach, po łąkach biedz muszę bez spocznienia. Znużyłam się... Już czas, abym ci wszystko wy-

znała. Po lasach, po łąkach, jak obłąkana... Widziałam ciebie w wielkiem oknie... Zapragnęłam pokochać, ale tylko zapragnęłam...“

Młodzieniec srebrnowłosy stoi chwilę, oślepiony jej pięknem. Potem wyciąga dłonie i woła:

— „Jesteś tą, o której śniłem, — tą, która, dając miłość, nie odbiera samotności... kocham cię, jak własny sen!“

— „Nie wolno mi kochać“ — szepcze Zjawiona.

— „Nie wolno mi być kochanym...“ — mówi, jak odmienione echo, młodzieniec.

— „Już czas, abym ci wszystko wyznała. Moje dotknięcie, mój pocałunek, — śmierć niosą! Mieszkałam wówczas w borze, ponad jeziorem... Wysłuchaj mojej spowiedzi! Miałam kota czarnego — kota ulubieńca. Nigdy go nie pieściłam. Raz tylko chciałam się zabawić skrami, wytlonemi z jego czarnych puchów, — i pogłaskałam. Pogłaskałam — i padł martwy. — Mieszkałam wówczas w jarach, wśród strumieni... Miałam rumaka złotego — rumaka ulubieńca. Po nocy błyskał w mroku, jak widmo ogniste. Nigdy go nie dosiadłam. Raz tylko objęłam za szyję! Objęłam i padł martwy... Mieszkałam wówczas, — gdzie — już nie pomnę! Miałam kochanka...“

Tu Zjawiona milknie...

— „Miałaś kochanka,“ — szepcze młodzieniec.

Zjawiona nie odpowiada.

Wtedy z piersi jego wyrywa się jęk, jak ze strun harfy pękniętej:

— „Całuj mnie! Jeżeli miłość i śmierć pragną się spotkać w naszym pocałunku — niech się spotkają!“

— „Niech się spotkają...“ wtórzy Zjawiona i zbliża się ku niemu, jak płomień. Zarzuca mu ręce na szyję i, przegięta w tył, przysuwa jego wargi ku swoim.

Czarowna jasność wlewa się do duszy młodzieńca i na mgnienie rozpowietrza ją w nieskończoność...

Chwilę tak trwają oboje — w ogniu błękitnym. Potem Zjawiona odbiega, płonąc, jarząc się od stóp do głów...

— „Wszakże nie umarłem“ — mówi młodzieniec — „a tu na ustach mam twój pocałunek!“

Jakaś nadzieja opromienia mu czoło. Ale Zjawionej już niema, wysunęła się przez drzwi, znikła, unosząc ze sobą jaśń rozwiewną. Ciemność zgęszcza się w komnacie malachitowej. Nie widać nikogo, jeno słychać głosy. Noc już nadeszła.

— „Wszakże nie umarłem“ — powtarza młodzieniec i zapewne podchodzi do okna. Aleja lipowa — pogrążona w mroku nocnym. Młodzieniec widzi Zjawioną, jak biegnie szlakiem alei — i u jej wylotu migoce, błękitnieje, wabi w ciemnościach...

— „Dokąd ona idzie?“ — myśli młodzieniec — „idzie w stronę cmentarza.“

A teraz słychać głos pachołka:

— „Idzie w stronę cmentarza...“

— „Podpatrzyłeś moje myśli“ — szepcze młodzieniec.

Znów słychać głos pachołka:

— „Jest baśń, jest prawda, jest podanie, że z domu, gdzie nazajutrz ktokolwiek ma umrzeć, w przeddzień śmierci wychodzi ognik błędny i dąży na cmentarz, aby tam dla gościa nowego najpiękniejszą wybrać mogiłę...“

Ciemność panuje w komnacie malachitowej. Nikogo nie widać i nie słychać już niczyich głosów. Jeno ostatnia myśl młodzieńca wywiera się jeszcze z głębi mroku:

„Jakto, — więc tyle lat czekał tylko na to, aby módz ukochać ognik błędny?“ Lecz i ta myśl już ginie... Ciemność...

Nagle jakaś zmiana staje się dokoła. Chwila — a na tle ciemności występują powoli dawne kolory starego malowidła, niby rumieńce na obliczu zmartwychwstających.

Znowu się wyłaniają malachitowe ściany, złotobrzeżny płaszcz, aleja zbryzgana złotawem kwieciem, i drzwi wązkie, wrzynające się w sklepienie. Postacie zajmują dawne miejsca, — młodzieniec przy oknie, pachołek w głębi.

Przypomina mi się znów ta siódma alkowa, do której w baśniach niewolno wchodzić królewnom i królewiczom. Do wszystkich innych wolno im zaglądać, tylko nie do tej... Podobna jest do innych, ale posiada niepochwytną prawie odrębność. Gdy się z niej w myśli usunie to, co ma wspólnego z resztą komnat, wonczas coraz wyraźniej i jaskrawiej widzi się tę utajoną odrębność, tego smoka, który się tu czai: jest to przeznaczenie, tak starannie w innej części pałacu osłonięte przepychem jedwabi, brzemieniem złota i spienionemi falami serdecznego śmiechu.

Zamykam starą księgę. Już nigdy jej nie otworzę, już nigdy nie będę zaglądał do tych wyblakłych malowi-

deł. Zmuszają one do marzeń, a marzenie jest doliną błędnych ogników. Ostatnia myśl srebrnowłosego młodzieńca niepokoi mą duszę. Więc nie każdemu wolno kochać? I nie każdemu wolno być kochanym? Więc śmierć i miłość...

Lecz to — nie to, jeszcze nie to... Są inne smutki!

Wieczny odpoczynek racz dać, Panie, wszystkim samotnym! Wieczny odpoczynek i najpiękniejszą mogiłę!..





III. Z DZIEJÓW CZARNEGO GRODU.

Aeternus — książę Czarnego Grodu, władający snem i marzeniem poddanych, zwołał na ucztę gości w noc, kiedy Maj wonnością przepaja rozpowietrzone srebro gwiazd przekwitłych.

Zamek jego kryształowy a przejrzysty, wypełniony wewnątrz światłem jarzącem, zdawał się zdala zbiornikiem zgęszczonego w sennem skupieniu ognia.

Stał ów zamek na wzgórzu, nad jeziorem, a w jeziorze zwisało wydłużonemi smugami odbicie jego złote,

bezcielesne, stłuc się gotowe od uderzeń fali. Do zamkowego odbicia wsnuwały się rusałki, niewidzialne, przenikliwe, jak dreszcz, pozostawiający po sobie tęsknotę i wspomnienie wonnego ciała i znikomych ramion... Całe jezioro omdlewało w tych dreszczach...

Książę Aeternus, wraz z gośćmi, siedział koło stołu i przez kryształowe ściany, jak przez sen, widział najdalsze swoje komnaty, najdalsze aż do ostatniej, gdzie, niby wzruszenie skamieniałe, tonął w niejasnych, ledwo widocznych zarysach posąg bogini Tęsknoty.

Książę starał się rozeznać białość marmuru i ruch podniesionej dłoni, dzierżącej liść aloesu.

A uczta wrzała i krążyły puhary.

Mówiono o łowach na dziwaczne pantery, którym w potwornych pręgach czernieje na grzbiecie nieznane dotąd imię śmierci, wtóre imię śmierci, wyklęte z języka ludzkiego!

Mówiono o szkarłatnych dyamentach, co, wdrążone w oczodoły ślepców, dają moc widzenia zbrodni krwawych a ukrytych.

Mówiono o różach złotych, wyrastających z włosów zmarłej kochanki, w noc, kiedy Maj wonnością przepaja rozpowietrzone srebro gwiazd przekwitłych.

Mówiono o wszystkiem, tylko nie o tem, co trwogą przejmowało każde serce! Bo książę Aeternus zwołał na ucztę gości, aby winem upoić ich trwogę i zamglić oczy, zbyt wpatrzone w czyhającą zewsząd tajemnicę.

I wrzała uczta i krążyły dokoła puhary.

Aż nagle jeden z gości, bezrozumny od żaru upojnego wina, z radością długo tłumionego a wyrywającego się przez gardło strachu, zawołał:

„Niech będzie przeklęta chwila, w której gród nasz wyłonił się z nicości!“

Bladość zmogilniła oblicza obecnych. Z jarzących

świateł jadowitemi kroplami zdawała się sączyć utajona w nich ciemność. Drętwy, beznadziejny niepokój — poza myślą i czuciem — dławił piersi ucztujących, jak potwór bezkształtny i niedotykalny, ale obdarzony zmysłem dotyku...

Wiedział bowiem każdy z obecnych, że Czarny Gród, w którym przebywa, — party potęgą niepojętych losów, powoli od wieków posuwa się i dąży ku Północy, ku otchłaniom zguby i śmierci!

I o tem wiedział każdy z obecnych, że jutro właśnie, jutro, a nie kiedyindziej, owo dążenie dosięgnie kresu i Gród Czarny runie w bezdeń nicości!

I umilkła uczta i przestały krążyć puhary!

Wówczas wstał książę Aeternus i, spojrzawszy wkoło wzrokiem, nawykłym do oglądania snów ostatecznych, rzekł spokojnie, dobitnie:

— „Cokolwiek jutro stać się może, — będzie Wiekuiste!“

A potem ściągnąwszy dłonie ku posągowi, bielejącemu wśród majaczeń kryształowych, wyszeptał:

— „Niechaj bogini Tęsknoty piersią, stężałą w marmurach, broni nas przed napaścią tajemniczego Jutra!

I, mówiąc te słowa, książę Aeternus, przyobleczony w czarne aksamity, wolnym krokiem podążył ku Bogini, która, według zwyczaju, mieszkała z nim w jednym zamku, dzieląc z księciem władzę nad snem i marzeniem poddanych.

Widziano go, jak szedł przez najdalsze komnaty, przez najdalsze, aż do ostatniej, — i z poza szeregu ścian kryształowych, jak z poza lat tysiąca, wysnuwała się jego postać, podobna teraz do cienia, co radby się przypiął do stóp pierwszej topoli nad brzegami najsmutniejszego jeziora!

I goście opuścili komnaty zamkowe.

Posąg Bogini stał na wyniesieniu skaly poszarpanej. Jej oblicze, natężone ku najdalszemu pięknu, zdawalo się w marmurowem obłąkaniu oddalać w bezkresy. Dłoń ściskała liść aloesu, rzeźbiony w złocie, jakoby zerwany przed chwilą w niewiadomym ogrodzie, z nieziemskiego drzewa.



Książę Aeternus, z założonemi na piersiach rękoma, poglądał na posąg i szeptał ni to modlitwę, ni to hymn, ni to skargę:

— „Zlituj się nad Jutrem naszego grodu i oddal to, co się zbliża! Choć tchniesz w nas tęsknotę, sama przed nią się nie korzysz, bo masz szczęśliwość bogów, nieznających utrapień człowieczego serca, — ani śmierci, ani niewiadomości! W tajemnicy przed ludem zachowuję twoją zbrodnię boską i niepojętą, gdyż oczarowałaś mnie podstępnym cudem nieskalanego oblicza! Twoja to moc, zaryta w głębiach marmuru, wlecze nasz gród ku otchłaniom nieznanej ciemności! Pohamuj szaleństwo oderwanego od ziemi mia-

sta! Ono pełznie, wciąż pełznie, i wciąż ku Północy, ni to gad, zniewolony magnetycznem zaklęciem twych oczu. Otom przed tobą, jako cień, nieznający swego drzewa, a stęskniony do jego szumu i kwitnienia... Broń nas od nicości! Opuszczają mię siły. Marzenia bolą mnie, jako rany, broczące złotem i myrrą. Oczy nie dowierzają powiekom, a powieki promieniom gwiazd i słońca. Spoczynku pragnę i zatrzymania się w jakiejkolwiek przystani! Pragnę tego, co ty od wieków posiadasz!..“

Tak mówił książę Aeternus, i sen go zmorzył u stóp posągu. A gdy się ocknął, — nie było już Bogini na skale poszarpanej. Spojrzał dokoła i stanął przerażony: posąg przeobraził się w trupa młodej i pięknej dziewicy.

Leżała naga, upojona śmiercią, i jakoby nowa dla siebie samej, i sobie samej nieznana. W dłoni dzierżyła liść aloesu, na którym zczerniałe skazy ułożyły się w słowa.

I czytał książę Aeternus:

— „Spoczynku pragnę i zatrzymania się w jakiejkolwiek przystani. Tęsknotą byłam, w posąg zastygłą w chwili, kiedy cisza minionych wieków, przechodząc po liliach i różach dnia dzisiejszego, znajduje w nich te same wonie i barwy, co dawniej. I każdego kwiecia dotknie i żadnego nie zerwie...

Posągiem byłam, czującym kamienną rozpacz bezowocnego istnienia. O, ty nie wiesz, jak wszystkie posągi pragną przeobrażenia się we zwłoki cielesne, aby spocząć w mogile i zapomnieć nawet o własnej niepamięci! Wybiła godzina czarownej przemiany! Śmierć zbolałemi wargi wpiła się w marmury mych piersi i wyssała z nich wszystką kamienność! Śmierć czarnym jadem nieziemskich zbrodni kreśliła na liściu aloesowym moje myśli przedzgonne, słów unikające. Trupem jestem, spragnionym pogrzebu. Pochowaj mnie o wschodzie księżyca, za bramami miasta, które wraz z ludem opuścisz, bo już sta-

nęło nad brzegami otchłani! A zwrócisz się ku Południu, w stronę przeciwną tej, dokąd gród wasz podąża..."

I tu liść aloesu zwężał się ku końcowi.

Książę Aeternus, przeczytawszy te wyrazy, zwołał lud wszystek na pogrzeb Bogini. Przyoblekł jej ciało w szaty, utkane z włókien mirtowych, okrył je całunem szkarłatnym i złożył w trzech trumnach: kryształnej, złotej i malachitowej. Tysiąc rumaków, tających w sobie dusze dawno zmarłych wojów, wprzągł do rydwanu, na którego szczycie, ginącym w obłokach, złożono trupa Bogini, trupa Tęsknoty!

A kiedy księżyc wyotchłanił przerażone niezwykłym pogrzebem niebiosy, cały orszak wyruszył z miasta ku Południu, — a prowadził go książę Aeternus, władający snem i marzeniem poddanych.

I, gdy orszak oddalił się od bram tajemniczego grodu, dusze i oczy widziały, jako Gród Czarny, ziejący pustką i martwotą, runął bezgłośnie w przepaść, od której odwraca się wzrok Boży i nie śmie tam zabłądzić powtórnie!

Orszak szedł dalej, nie patrząc za siebie. Rumaki, tające w sobie dusze dawno zmarłych wojów, jak widziadła czworonożne, ciągnęły rydwan żałobny, co sięgał obłoków! I zdawał się ów rydwan, niby zgroza, piętrząca się ku niebu, zgroza, której nie mogła pomieścić w sobie przestrzeń ziemska!

Idąc a idąc, ujrzał książę Aeternus gaj samotny, co zrzucił do strumienia własne odbicie, niby szatę za dnia spyloną. Tu zapragnął pochować Boginię i dał znak, aby się zatrzymano. Lecz nie zatrzymano się, bo siła nieprze-

zwyciężona, ukryta we władnym trupie Bogini, w trupie Tęsknoty, wlokła wszystkich w dal — ku Nieznanemu!

I po raz pierwszy rozkaz księcia, władającego snem i marzeniem poddanych, nie był spełniony!..

I nikt nie mówił o tem, co się stało, — i nie myślał o tem, co stać się może. I nikt nie pytał, dokąd idzie i gdzie odpocznie. Bo wspólna żałoba po zmarłej Bogini i wylękłe porozumienie się dusz, partych w bezpowrotność, natchnęły wszystkich jedną jedyną odpowiedzią! A przed zmorą tej odpowiedzi księżyc nie mógł się bronić swoją tarczą srebrzystą!

I szedł orszak dalej w kraje dziwne, nawpół istniejące.

Szedł przez bory potworne, gdzie zamiast drzew, wyrastają z ziemi i wiją się za wiatrem stugłowe gady, rozgałęzione we wstrętne i ruchliwe konary.

Szedł przez stepy jałowe i piaszczyste, gdzie niegdyś szumiały lasy i, umierając, pozostawiły po sobie swe szumy. I słyszano szum leśny, nie widząc lasu.

Szedł przez krainę, gdzie pełno było ptactwa o złotych dziobach, zwróconych wiecznie w stronę marzeń, w stronę, której dłoń ludzka wkazać nie umie. A czekała owa kraina na trzecie kury złote, które miały zwiastować wesele nowego Poranku. Aż wreszcie, potworniejąc w posępnym ogromie swego majestatu, wtoczył się rydwan żałobny wraz z trupem, nieświadomym swej potęgi pośmiertnej, na pustynię bezbrzeżną, gdzie nie było już nic znanego oczom ludzkim, ni myślom, ni przerażeniom.

I wędrowcy uczuli nagle, że nie po ziemskiej stąpają powierzchni, że nie głębię niebios mają nad głowami! Bo w tej głębi czerniał księżyc hebanowy i przytłaczał pustynię ciemnością wiekuistą, która już nie światłem, ale czarem i zgrozą rozwidniała dokoła widzialne i niewidzialne przedmioty...

A nie zdążyli jeszcze mieszkańcy Czarnego Grodu zagłębić się w tę otworzystość widmową, w tę noc, potępioną wschodem Czarnego księżyca, gdy już każdy z osobna i wszyscy naraz postrzegli w milczeniu, że orszak ich zwiększył się w liczbie i w tęsknocie. Bo zewsząd i znikąd zjawione bezszumnie szły tuż koło nich, tuż za rydwanem Bogini posągi marmurowe, i złote, i z bronzu, i z granitu, szły ruchem powolnym i jakoby nierzeczywistym.

Odtąd orszak wciąż zwiększał się i zwiększał, w liczbie i w tęsknocie!

I przyłączyły się do niego, zwabione wielkim Pogrzebem, upiory wszystkich zmarłych, zaniepokojonych w mogile śmiercią grzebionego bóstwa. Cienie ich mżyły w przestrzeni, niby ulewa nieustanna, poza którą nie widać ni świtu, ni nadziei!

I wonczas, wyrzucone z czeluści mroków, nagłe i ogromne, z wizyą prastarych świątyń w rozszerzonej źrenicy, poszły za Pogrzebem procesye zawsze samotnych bogów, których czczono wyraźnie lub niewyraźnie — w obłędach, skonach i przekleństwach.

I orszak zolbrzymiał i zapełnił całą nieskończoność!

Wtedy książę Aeternus ujrzał, iż był pyłkiem wśród tego ogromu, i pojął, że nie on jeden sprawił ów Pogrzeb uroczysty, ale ktoś poza nim jeszcze i jeszcze, aż do tych bogów, poruszających się na widnokręgach!

I pojął, że nie on jeden umęczon jest tęsknotą i nicością, ale ktoś poza nim jeszcze i jeszcze, aż do tych bogów, wpatrzonych w Czarny księżyc ponad sobą! I pojął, że tam — na padole ziemskim — ludzie, snem rozjaśniając oczy, widzą czasami ten pogrzeb tajemniczy, ten

pochód wiekuisty ku Nieznanemu! Widzą, i budzą się, i przypomnieć nie mogą, i nie przypomną, aż w godzinie, kiedy się sami przyłączą do tego orszaku!

A wiedział już książę Aeternus, i dwór jego, i lud wszystek, że oddawna zrzucili powłokę ziemską, i że kroczą, jako mary i widma, kroczą do nikąd, pozbawieni wszelkiej pomocy i pozostawieni własnej tęsknocie.

Bo zrozumiał już książę Aeternus, i lud jego, i dusze wszystkich zmarłych, i bogowie, których czczono wyraźnie lub niewyraźnie — w obłędach, skonach i przekleństwach, — zrozumieli wszyscy, że nigdy i nigdzie nie pochowają trupa Bogini, trupa Tęsknoty!

Gdyż niema tej przystani, coby na nią czekała, ani tej mogiły, coby ją przyjęła, ani tego kamienia, którymby można było ją przywalić!

A czarny księżyc zwolna zapadał w coraz groźniejsze otchłanie...



Bolesław Leśmian.

Z CYKLU: CIRCENSES.



EXEGI MONUMENTUM.

W szczycie ze skały ściąłem wspaniały
Śnieżny marmuru łom —
Żeby w Astarte wkuć, co wydarte
Mym łzom, mym snom.

W niebo zuchwale, w słońca hejnale,
Dymił kamienny pył.
Białe wkrąg płaty tryskały w kwiaty,
War sił mych bił.

Seledynowe na moją głowę
Szły pocałunki hal, —
Z za sinej rzeki ten, mój, daleki
Wiał żal w plusk fal. —

Wzniosłem — i w noce, w gwiezdnéj pomroce,
Z mych widywałem skał:
Światy szalały za ciałem białej!
Jam znał ten szał...

Jednak dlaczego w ducha mojego
Noc taką — w sabath ten —
Z mroków Gehenny szary, jesienny
Mży sen? — — — —

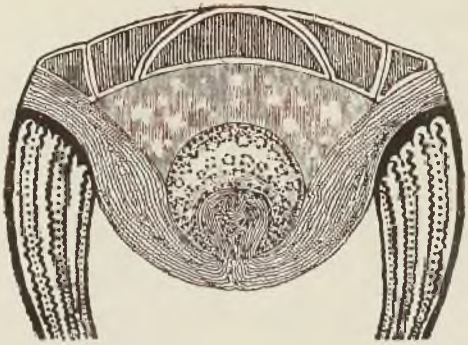
Łono Astarte pleśnią pożarte,
Deszcz zmywa uśmiech z warg,
Wichru ją jęki w mech walą z wnęki —...
Drży park mych skarg — —

DLACZEGO?

Dlaczego ja nie mogę być jak ta bezdenna rzeka,
Co pęd swych wód w oddale gna, choć niesie je zdaleka?
Napróżno krwią chcą zburzyć toń mostowych latarń tętna —
W nieznaną dal w spokoju fal przepływa obojętna.
Na mostu słup, co pierś jej drze, pluć pianą tonie gardzą — —
Dlaczego rzeką nie być mi?—A chciałbym bardzo—bardzo!— —

Dlaczego ja nie mogę iść z księżyca, — jak poświata,
Co włosów smug w srebrzystą nić nad ciemnią fal rozplata,
Rozpuszcza je, rozsnuwa je, błyszczące hen — po toni,
I srebrem tych rozplotów swych po cyplach wieżyc dzwoni,
Co kładzie w mrok całunków czar na szyby — srebrnolica —
Dlaczego ja nie mogę być poświatą — jak z księżyca!..

Dlaczego ja tam muszę iść — na miasta spiekłe wargi! —
Ich jady pić, ich szałem żyć i płonąć wraz z ich skargi —
Tam muszę iść, na miasta pierś — tam — marzyć na wulkanie!
Na szpony rąk me serce kłaść na męki, rozszarpanie —
Tam krwawy wzrok w głąb' życia wbić strasznego,
[zachłannego!
Tam muszę iść! — tam muszę być! dlaczego — co? dlaczego?



ŻAL.

A wszędzie płyną na mnie te zamknięte oczy —
Te sine plamy powiek, — a z pod czarnych rzęs
Wypełzła łza i toczy się, toczy — — —
I na mą duszę pada jak zabita gwiazda — — —

Boże! niechaj zaginą te zamknięte oczy! — —

I z pieczar,
Z najdzikszych pagod grzechu wykutych w podziemi,
Poprzez rzezane stołby, smoki kapiteli,
Wzdłuż ścian, które mi szatan runy straszliwemi
Pokrył dłutując w granicie, —
Płynie wprost na mnie — płynie twarz jak martwe słońce
Skrzepła w bólu —
A te zamknięte oczy takim żalem zioną,
Tęsknią za swem — TO MOJE — co padło w otchłanie! —
I srebrne łzy się toczą, nazawsze się toczą! —

Boże! niechaj zaginą te zamknięte oczy!

Bo jeśli ta twarz blada podniesie powieki —
Jeżeli spojrzy na mnie straszną głębią oczu, —
Tą, którą-m ja w nich odsłonił! — — —
— — — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — — — — — —
A ona taka blada — ja już na wieki
Patrzeć się będę na nią
I jej łzami do Ciebie modlić się — Daleki! —
I tęsknić za otchłanią
Mojego grzechu — —
I będę musiał te łzy pić! — —
A z nich każda, kiedy się na mą duszę stoczy,
Grzmieć będzie po przepaściach, jak zabita gwiazda.

Boże! już nie zaginą te zamknięte oczy — — —
— — — — — — — — — — — — — — —
Na zawsze...
— — — — — — — — — — — — — — —

OREMUS.

Pójdź — będziemy się modlić.

— — — — — — — — — — — — — — —

Nad kłęby fabrycznych dymów,
Nad chmury kurzów ulicznych,
Z drżących ogników złotych gazów,
Z stalowej mgły lamp elektrycznych,
Przez żalny jęk miedzianych drutów,
Tam — nad promienie księżycowe —
Będziemy się modlić.

— — — — — — — — — — — — — — —

O pójdź, bo szatan wokół nas rozepnie skrzydla nocy
I w aksamitne głębie swe nam dusze pootula,
Na dyademie bladych czół zawiesi żal sierocy,
W ból dumny nas okryje, —
W szkarlat króla! —
Tak —
Ażebyśmy w sobie uczuli te światy,
Te, które On rozrzucił tam —
Patrz — tam — w górze —
O pójdź, bo szatan będzie nam nawiewał czas skrzydlaty
I bezkreśne widnokręgi,
Iżbyśmy brali je w siebie —
A na lazurze —
Poprzez gwiazdy w nas wpatrzony,
Długich — długich lat miliony
Milczący, jak ścichłe burze,

Stałby — On —

— — — — — — — — — — — — — — —

Nad kłęby fabrycznych dymów,
Nad potworne cielska miast,
Nad promienie księżycowe,
Nad ognie dalekich gwiazd
Będziemy się modlić — cicho —

Nic — że z ziemi płynie dreszcz
Niby dech zmęczonych mórz —
Rzężenie olbrzymów —
Nic — że niebo wrzaskiem zórz
Jego nam zasłania —
Cicho — nic to, że słońc roje
Szpadami wściekłych promieni
Tną na światy serce moje —

Skrzydłami ciszy wzniesieni
Ponad nieba oceany
Modlić się Panu nad Pany
Będziemy — — —

O płaszcz szkarłatny — upokorzeń —
O berło mocy, że — oplwane —
O nieb koronę, tę — cierniową —
O każdą będziem modlić ranę —
O siły — ukrzyżowanego —

Modlić będziemy się o Niego — —
Milczeniem — milczeniem.

OCZEKIWANIE.

Południa szarą upalną godziną
Czekam na ciebie.

Zżółkłe rzek pasy tak powoli płyną — —
Dławią je wirów podwodnych obręcze — —
Już ledwie dźwigam południa godziną
Pragnień naręcze —

W słońca promieniach jak w szuwarach brodzę, —
Syczą — wężowe, wiją się — zdeptane,
Pasy rzek w słońca iskrzącej pożodze
Płoną — miedziane,
Fatamorgana sinieją po niebie —
Czekam na ciebie.
— — — — — — — — — — — — — — —
Tam — za rzekami — pośród pustyń — w skwarach —
Prastarych świątyń zwisają ruiny
Na karyatyd skamieniałych barach — —

Czekam, — a może we wrota pylonów,
Jak w gong, nadbiegłszy z zapustynnych dali,
Głową uderzy najkrwawszy z cyklonów — — —
— — — — — — — — — — — — — — —
Uderzył?! — brzmi gong — świątynia się wali!
— — — — — — — — — — — — *Idziesz?!*
— — — — — — — — — — — — — — —



RAPSODYA.

Na jaśń mdłych pól padł szmer, padł cień,
Jak oddech z pod woali.
Tss — to dreszcz brzóz na brzask, na dzień
Ku świtającej dali.

I szedł już blask przez skraj nad mgły,
Nad kobaltowe chmury, —
Aż trysł w snop tęcz, w wir krwi, w słońc skry,
W seledyn wwiał purpury.

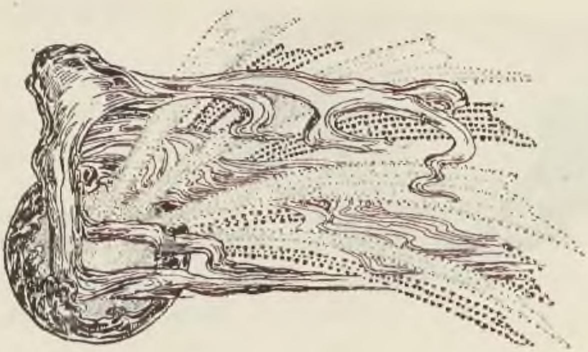
Już dzień — — — a więc, — żar nieb pierś pól
Pożogą szarą spali
W miał grud, w piach wydm, w skurcz mąk, w ten ból —
Ból roztopionej stali.

Przez dzień — szał słońc, a żal pod noc
Fiolet chmur gryźć będzie
Na czerń, na zgon! — — a gdzież ta Moc,
By mrok — (ten z nas) — zlać wszędzie?! —

SERENADA.

Zimne noce pustych ulic, grudniowe noce! —
Gdy zawieja na latarnie zarzuca ręce, —
Do gotyckich skalnych tumów, do wrót łomoce, —
Śniegu szmaty drze ze świętych na muru wnęce, —
I płacze — Boże! zawodzi —
I łamie ręce — — — — — — — — — — — —

Zimne noce — o męczeńskie, mroźne rozpacze!
W lodowatę maskę bólu stężałe lica, —
W brylantowe skry zakrzepłe me łzy tułacze, —
W śniegowy całun spowita drżąca tęsknica, —
Co kona pod twojem oknem, —
Liliowolica! — — — — — — — — — — —



SONATA.

Poszum dzwonów wieczornych oplótł nas wokoło —
Drży cisza zapatrzona w zmierzchu szare oczy.
Poszum dzwonów nas oplótł, czy sen twych warkoczy?
Ty mi to drżące chylisz ust róże na czoło,
Czy cisza drży wieczorna na różach witraży?
Poszum snów twych warkoczy oplótł nas wokoło — —
W szarych to zmierzchu oczach, czy w twych — cisza marzy?

Z wież — ponad chóry — ponad naw tonie
Z zamilkłych dzwonów mrok płynie,
Płynie ponury, zczernia się w łonie
Naw — czy w twych oczu głębinie?

Milczenie falą kiru zsuwa się na czoło,
Milczenie — — Jesteś przy mnie? powiedz, że tak! powiedz!
Oczy twoje pod kiru skryły się grobowiec —
Noc — milczenie bezdenne — oplotły nas wkoło —
Jesteś przy mnie w milczeniu? — nie wiem — powiedz —
[powiedz!

REMEDIA AMORIS.

Miękkie fałdy ametystowej togi — —
Leżę cichy w szarym marmurze ławy.
Tam, wśród gajów, śnieżne majaczą bogi,
Liść skrzy się rdzawy.

Drzewa złotym pyłem z gałęzi proszą,
Złotą ścielą w dal dla mych spojrzeń drogę,
Złote wokół płyną uśmiechy głuszą...
Patrzeć nie mogę!

Gdy zaś wzrok swój wieszam na drzew czerwieni
Lub w lazurów topię dalekie morze, —
Park więdnący boli mnie, bo się mieni
W poranne zorze.

Więc zamykam oczy — w mrok lecą światy —
(Czoło zimny ściska mi wąż opaski)
Mżą miraże, szumi ich wir skrzydlaty —
Cienie, a blaski...

...Pocałunków mgła purpurowa spada...
...Na ołtarzach kwiaty więdnieją w pysze...

... Patrzy na mnie twarz — jakaś smutna, blada —
... Płaczą Jowisze?! — —

— — — — — — — — — — — — — — — —

Kroki... tak — tak, — lśnią pretoryanów zbroje.
Wolno chylę jady do ust lokuście —
Centuryonie! nieś pozdrowienie moje
Boskiej Auguście — — — —

TY! —

Słyszysz — ty — piękna, jęk ziemi w ciemnej nocy?
Jak ją skuł straszny lęk w drżący kłąb —
Patrz — jak się tuli pod nieba w swej niemocy!
Pod wiszące, krągłe niebiosa — —
Patrz, jak się chowa — tam — w głąb' —
I zasłania się niemi jak tarczą —
Wielką tarczą herosa —
Nabitą gwiazd srebrnemi ćwiekami, —
Zasłania się od wieków, co w przestrzeniach warczą,
Niby śmiertelnych strzał bełty
Puszczane Boga silnemi rękami — —
— — — — — — — — — — — — — — — —
Słyszysz? ty, piękna — — Tylko oczy lśnią się,
Woale nocy nakryły twe lica,
Tylko szept cichy otacza nas w pląsie —
Nic nie słyszałaś?!! — pod twemi ustami
Gaśnie mej duszy każda błyskawica! —
— — — — — — — — — — — — — — — —
Odpadły — huczą znów w przyłbicy czoła
Grzmoty mych myśli, jak surmy bojowe;
Ha! — to śpiż dzwonu do Pana mnie woła!
Oby ci jego jęk nie padł na głowę! —
Słyszysz? ty — piękna! — —

AMOROSO.

Wszak ze mną szłaś! miłością byłaś cała,
Przy boku mym wtopiona w mroczną noc — —
Czemuś mych łez, ty moja, nie widziała!
Nie czułaś-że, jak gnie mnie ducha moc?

Jam w bólu śnił jesienny zmierzch szarawy,
Te skiby pól, jak toną w brudnej mgle,
Te błota dróg, pożółkłe ściernisk trawy,
Ten wiatru jęk, gdy dal go dalom śle.

Nad rowów brzeg rząd wierzb wychynął długi
I czernią pni o szare chmury bił,
Na skraju — hen — konały blasków smugi,
Szła długa noc — deszcz będzie mżył — mżył — mżył —

A w taką noc, — gdyby miast iść przy tobie,
O! gdyby módz przy wierzby upaść pniu,
I w błoto ról zatopić ręce obie,
I płakać tam o słońcu i o dniu — — . . .
— — — — — — — — — — — — — — — —
I krzyczeć, wyć, ażby mi pękła pierś!



KATADYOMENE.

W brunatnych chaszczach włosów opar mglistej maski.
To pejzaż satelity słońc strasznych, nieznanych.
Żaden, żaden podróżnik światów niezbadanych
Nie zgwałcił puszcz tych splotów przez swych spojrzeń
[wrzaski.

Welony kryją-ć twarz —
Przeczysta! —

... I doryckich konturów surowość dziewicza —
I zasłonne, fałdziste, miękkie dymy znicza —
I ten łuk z turzych rogów dla tryumfatora — —
O! jakże się bezsilność mych dłoni z nim pora.

Tęsknotę wściekłą znasz?
Mefista! —

Dla niej śmierć! — i sęp ducha u stóp gwiazdy skona.
Zostaniesz Katadyomene — osłoniona —



SARKOFAG.

W pieczarach dusznych miażdżącą rozpaczą,
Pod okruchami skał mą miłość grzebię.
A nad nią tron zbuduję sam dla siebie — —

. . . .

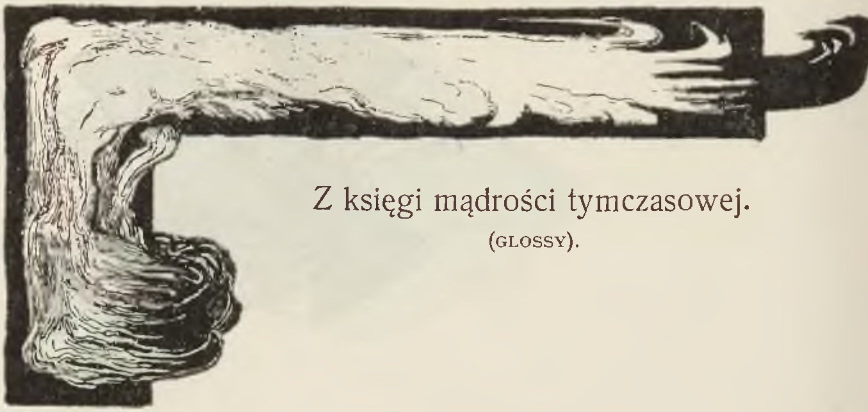
Czemuż nade mną stalaktyty płaczą?

I czemu tam w sklepieniach huczą echa,
Niby po bruku zmarzniętym karawan, —
Czyżem miłością swą niedość napawan,
Że zmierzchły ból znów do mnie się uśmiecha?

Łzy lodowate wciąż ze szczytu płyną — —
A tron mój rośnie z męki krwawej — w trudzie —
I kamienieję ja na nim w ciemności.

O — jeśli kiedyś włamią się tu ludzie,
Obyż z nas kuli sfinksa z twarzą siną,
By stał na progu świątyni Miłości. —

Kazimierz Wroczyński.



Z księgi mądrości tymczasowej.

(GLOSSY).

I.

„Du bist nicht, was du nicht nennst

. . . .

„Du bist nicht, was du dich wähnst“
R. Wagner („Siegfried“).

Cechą charakterystyczną żywej całkowitości jest wszechsympatya *bezżądna*. — Gdyż jak profil rysuje współcześnie fragmentaryczność rzeczy i tej fragmentaryczności uzupełnienie; — jak szarpanina brzegu naznacza również linię morza; — tak żądze nasze są wymową naszej niezupełności, kreślą wyrwy w naszej pełni i linie bijącego o jej brzegi morza uzupełnień ostatecznych.

Cechą żywej, bezżądnej całkowitości jest *niezmienność*. Żądze nasze są symptomatowemi na duszy naszej piętnami tych tkani, co się przemieniać muszą. Pożądać znaczy reagować; reagować, to — ulegać; — być podległym władzy zdolnej nas zmienić. — Znaczy zatem nie być niezmiennym.

Jesteśmy podlegli, jesteśmy niewolnikami tego, co w nas budzi żądzę i jej objawy magnetyczne: zawiść, niechęć, upojenie.

Zatem pożądamy w danem zjawisku pewnej formy lub stopnia siły, których nie posiadamy — gdyż pożądamy tego, czego nie mamy.

* * *

Lecz i odwrotnie: nie mamy, czego pożądamy.

Zatem pierwszy warunek praktyczny posiadania: nie pożądać.

Jak nie pożądać tego, czego się pożąda? — Nie zgadłeś jeszcze, studencie najwyższej medycyny? — Wszelka choroba leczy się jak ospa: nią samą. Chorobę żądzy leczy się żądzy kwintesencyą: WOLĄ.

Chciej tego, czego pożądasz, a zniknie pożądanie. Gdyż jesteś tem, co nazwiesz, — a Wola jest panią imion.

Więc wniosek praktyczny: — nazwij przedmiot swojej żądzy.

Lecz jak nazwać? — o ty, którego uczyć trzeba! — Czy Jula zwie się twa kochanka modrooka? — Nie! ona się zwie: *modre oczy*.

Tak nazywaj wszystko, co cię, z gmatwaniny otoczeń drugorzędnych, harmonii zwodniczych, magnetyzuje własnego dopełnienia profilem: — wyosobnij z rozkwitów rdzeń, — z rudy zjawiska wytapiaj istotę swych pożądań.

Gdyż rzeczy i osoby pożądane są tylko ukrytemi w zawojach złudzeń, uzewnętrzniającemi się mozolnie potrzebami własnej istoty pożądającego.

Rozpoznaj w tych chaotycznych masach własny ujawniony w nich *brak* — i ten uzupełnij.

Brakiem tym zaś okaże się zawsze jakaś w tobie niedostateczna siła umysłu lub duszy.

* * *

Jak stać się czemś, czem nie jesteśmy? — O, wiecznie pytający! nie jestżeś Mikrokosmem?

Zkąd zatem żądza, czyli wyraz tego, czem nie jesteśmy?

O Mikrokosmie! *Wszechzarodzie!* To, co *może być,* chce się w tobie stać i pożąda! — Od wiedzy twej i woli zależy rozwój zarodów. — Żądza jest krzykiem poczęcia — i zmilknąć powinna, gdy Wola na to życie w łonie swem się zgodzi.

Istota lub rzecz pożądana jest nam więc tylko sposobem uświadamiającym nasze możności; — zwierciadłem, w którem Przyszłość - Możliwa się pojawia; — okazem wtajemniczającym na wielkim atlasie naukowym Świata.

Odczep więc od tego szematu pokazowego macki swego pożądania. Ona ci nic dać nie może prócz tego, co ci dała: — wyobrażenie, przykład. — Ale to dała ci — więc weź.

Weź — i za to, co ci dano, umiej miłować bezżądnie. — Weź — i to, co ci dano, — zużytkuj. — Wejdź w swój Sezam nieprzebrany i znajdź w nim wołający zaród swego upragnienia. — Nie pragnij — *posiadasz* przecie. — Poznaj — ożywij — spotęguj — *nazwij,* — a to, coś pożądał — pożądać przestał — coś umiłował — znalazł w sobie — nazwał — wyhodował —: będzie Tobą - Samym.

Udręcza cię np. cudza przenikliwość? — oznacza to, żeś gęstszy od niej: dla tego cię przenika. Więc się wysubtelniaj —

Oszołamia cię, katuje upojeniem cudza żywiołowość? — znaczy, żeś od niej mniej intensywny. Więc się streść... A najtreściwszym objawem życia jest — milczenie.

Przygniata cię cudza piękność, potęga, geniusz? — o, uczniu! — zejdź w siebie — głęboko, głęboko; — tam, u źródła wszystkich rzek żywota czuwają w tobie piękność, potęga, geniusz — czekając na Wolę, co je z podziemi wyprowadzi do Słońca.

II.

Na dni melancholii zbyt subjektywnej myśl „gorzka i zbawienna“ *).

Po toś przeszedł klasyczną szkołę niedoli i upadku, po to przechodzisz moralną mękę wszechpręgierza, — by nie było jednej nędzy, którąby nie była kością twoich kości; — ani jednego grzechu, na który cisnąćbyś mógł kamieniem; — abyś po dzień zmartwychwstania czuł się tych padołów synem; — aby ci własne miłosierdzie na skalane czoło wróciło zmywającym chrztem —

A jeśli cię, mimo to, jeszcze krzyżuje litość dla samego siebie... to niech cię do świętszego krzyża przygwoździ ta, boleśniejsza, myśl: — Że tym samym nędz odwiecznym szlakiem, na którym niestarte jeszcze ślady twoje, — kroczyli, kroczą, kroczyć będą, muszą, — inni; i wstrzymać ich niema sposobu — wstrzymywać byłoby zbrodnią; bo ślepi szałem gnają — nieświadomie — do przejrzenia; szukając rozkoszy, szukają trzeźwiącego bólu, — i w uścisku szatana uczą się tęsknić za Niebem —

III.

Myśl o starości? o suchotniczo kaszlącej żądzy? o lubieżnie szalejącym uwiądzie mózgu?

Lecz, czyż wyrzekając się Bytu dla Życia nie gotowałbyś sobie jeszcze straszniejszej — w pętach nałogu? — Żądze człowiecze, dobre jak złe, są nienasycone, rosną z zaspokojeniem. — Lecz tylko dobre znoszą szturm starości i śmierci.

---

*) Cypryan Norwid.

A choćbyś nawet w starości, w znędznieniu, oszaleć miał, niegodny, nikczemnym żalem, —

miałożby to stać się pobudką czynu dla twej dzisiejszej jędrnej siły? — Obawa zgrzybiałej skargi miałaby otumaniać twoje młode męztwo, — bełkot możliwego zidyocenia dyktować prawo rozkwitowi, choćby znikomemu? — Czyliż nie zawołasz, bohaterze: „jakakolwiek przyszłości mej nędza, — bywaj, Wielkości!“

IV.

— Wyrzekłaś się, mówisz, świata, — wionął Szept — i dzień ów wyroczny zowiesz Wielką Godziną... — Tworze małoduszny! w tej — tylko tem wielkiej, że pierwszej — Godzinie, wyrzekłażeś się bodaj jednej rzeczy, która ci nie była odjętą? — lub od której nie odpadła twa wstrętem syta żądza? — Wyrzeczenie twoje było zgodą Musu, — było odrzuceniem łachmana, co strzępami ciało twe opuszczał.

„Życie znam — nic warte; więc dalej w Wieczność — choćby i ona nic nie była warta. Będzie to przynajmniej nicość jeszcze niepoznana...“ — Takim był język twych wyrzeczeń. — Ah, było to tylko całopalenie unicestwionych złudzeń, całopalenie starości! I dało ci tylko prawo nowych złudzeń, — prawo Błądzenia... Lecz prawo Odnalezienia okupuje się inaczej! *Wtórą* okupuje się godziną!

Wówczas, wypoczęte, czyli na nowo w tobie, z groźniejszych niż pierwotne żywiołów poczęte, — ocknie się z lwią siłą, z siłą podwójną młodości i rozpaczy — Pragnienie; i barwiąc spłowiałość powszedniego świata orgią blasku i purpury, chwyci cię w korowód rozśpiewanych syren, faunów, bluszczów winnych... I wtedy trzeba się

będzie wyrzec — inaczej! — Wyrzec się nie jednej Nicości — znanej — dla drugiej — niewiadomej —, — lecz Raju dla Nieba! — Podeptać żywe, drgające kwiecie, rozpędzić tłum czarowny, złamać pojący czar, przeciwstawić lubieżnej skrętości węża — skrzydła archanielskie; purpurowym drgawkom pokusy — płomienny Zapał; — ponętom zwodniczym rzeczywistości — świat swej wyobraźni tak wyiskrzony, tak świetnie jasny, tak przepysznie bogaty, tak bosko kształtny, by w jego łunach zczerniała łuska smocza; — przeciwstawić rzeczywistości — Prawdę; rozkoszy — miłość; przepaści — Otchłań; szatanowi — Boga —

Jakże przepotężnem będzie musiało być twe poczucie Istotności, by kipiącą płomiennie czarę strzaskać z pogodną wzgardą, by przez wybuch kwietnej urody — dawny, stary Wyrzeczeń szkielet odnaleźć, rozpoznać; — jakiego Miłosierdzia trzeba ci wtedy zostać wybrańcem, by, w tej najwyższej wagi godzinie, śmiercią nie zamrzeć najnędzniejszą, — by wtedy wybrać prawdziwie! I *nie mòdz* wybrać inaczej!

I pierzchnął Szept — jak wiatr, co, roztrąciwszy liście, znika w ich szumie, a nie złowisz, o jakiej chwili, i czy to on jeszcze, lub tylko liście szemrzą.

— O Wietrze — drżały długo w noc rozkołysane liście — czemże jest to, żeś mi to powiedział? — Czy nie owym, nad wybrańcami, cudem Miłosierdzia?...

V.

Tam, gdzie ci błyska panterzy wzrok pokusy, — tam czyha na ciebie i panterzy skok niebezpieczeństwa. — O, ta pokusa! jak ona się czai! przybiera najniewinniejsze lub najwznioślejsze pozory — ubiera się w niezbęd-

ność, w prostotę, w piękność moralną... — Ale ten cały bukiet nie zdoła stłumić wężowego błysku puginału, który w nich skryty. — W koronach kwiatów, jak chytrze oczy zamyka, jak tłumi szyderczy puls czekająca, zdradna, cierpliwa, — o, jak złowieszczo cierpliwa pokusa! Lata cale trwać może cierpliwość — *takiej* pokusy! A ztamtąd czeka grom! tam dom obrała sobie twoja myśl złożądna, twoja nieuchwytna, drzemiąca zbrodniczość, kosy wzrok węża twojej duszy. W domu twego zbawienia czai się zagłada twoja...

* * *

Przychodzi u Chcących moment rozwoju, gdy żadna pokusa *znana już* — niezdolna jest podejść znienacka; lecz wszedłszy na ich terytorya (jak szambelan w „Axelu"), tym samym faktem oznajmia nam swe przybycie, jakby jej stopy naciskały na system podziemny sygnałów elektrycznych.

Niekiedy bawi się w arogancyę i wysyła nam parlamentarzy lub dziewosłębów, — lub lokaja z biletem wizytowym, jak można dama - intrygantka, gardząca podejściem znanej jej czujności naszej, lecz ufna w czar złotej kolasy, zatrzymanej u jaskini pustelnika. — Może gospodarz sam wyjdzie do dygnitarki z gołą głową i poda jej rycerskie ramię. — Jechała spacerem i uderzyła ją malowniczość groty. Turystę przyjąć godzi się. — Oto królowa Saba przyszła sprawdzić cuda głoszone o Salomonie. — Odys się związał przed Syrenami, — Syrena przychodzi do Odysa. Czy jest fortepian? — Nie? to bez akompaniamentu zaśpiewa. — Albo wytchnąć na matach przed jesiennem ogniskiem... O, tak! — jak dobrze w jaskini... słodki smutek wspomnienia... Karolu!.. odbierasz rękę?.. lubiłeś dawniej me ramiona... Dawna kochanka nic nie żąda... O przeszłości pomarzyć... „Ty mogła-

byś drzemać“ *)... — Nie, nie... Bądź pan spokojny... To była tylko chwila... zapomnienia... Umiem milczeć, uśmiechać się, choć serce... Czy pan wiedział kiedykolwiek, co to serce?... — Więc... co się z panem dzieje? Nic? Niewinność i mądrość obie nie mają historyi? — — Czy ci nigdy... nigdy nie żal, nie tęskno... do historyi? — Nie?.. Nie?.. o, nie odwracaj oczu... usta... usta... daj...

VI.

Straszny, sam się pożerający egoizm, dzikie cierpienie żądzy niemożliwej, żądzy wyłączności bezwzględnej, — ohydna męka, grzech, za który modlić się niewolno.

A jednak z niego wypływa moc, która go zabije.

Bo oto w katuszach, które ten potwór sprawia, budzi się przeciwko niemu opór. Na potępieńcze cierpienie żądzy posiadania jedynem wyzwoleniem jest *Wyrzeczenie.* — A im bezwzględniejszą była żądza, tem bezwzględniejsza będzie abdykacya...

Lecz jest to wciąż jeszcze Egoizm: instynkt Zniszczenia zastąpił instynkt Zaboru... Kochanek, nie mogąc posiąść, zabija. I nie może dobić jej w sobie!

Lecz oto w pomoc nieszczęsnemu przychodzi Los... *zabraniem* mu perły skarbów nieposiadanych. O bólu piekielny! o niebiańska ulgo! — Oto po straszliwym piorunie robi się długa — długa cisza. — Egoizm znikł, zaspokojony negatywnie, — ah, zaspokojony aż do śmierci! Znikła perła — opadły kajdany — z kraty rozżarzonej wstaje męczennik piekieł; szczęśliwy, lekki lazzaron, bez

*) Mickiewicz.

trzosa, bez kryjówki na swe trzy grosze, bez obawy o kryjówkę...

O perło, perło! bezcenny okupie cnoty!

I wtedy, przed nędzarzem ogołoconym z ostatniego łachmana — zwolna — zwolna — rozsuwa się niebo nocy...

VII.

Harmonia! wewnętrzny sojusz części w imię całości całkowitej, — i czujność idei jednościowej nad dobrobytem czynników, których jedynie wzrost równomierny może uskutecznić trwałe, istotne spotęgowanie całości.

Harmonia! ustanie walki o byt, namiętności sprzecznych, wyprowadzenie ich krętych manowców w proste szlaki świetlne — promieniujące się w jedno ognisko wspólnego boskiego przerobu!

Harmonia! rzucenie mostu między sądem i litością, śmiałością i pokorą, miłością i spokojem. — Ta grecko-cicha MIARA, która z hartu powstaje i hart stwarza.

Tysiącznie z sobą spleciona, zazębiona, wzajem z siebie wynikająca, siebie wzajem uskuteczniająca, żyj w nas, o Trójco nierozdzielna WAGI, potęguj się w miarę naszych wysileń dookolnych!

VIII.

Jednym z rezultatów upadku hierarchii, i, tem samem, w łańcuchu deterministycznym, jednym z czynników coraz głębszego dziczenia społecznego jest odpatryarchalnienie, zdemokratyzowanie, zmieszczanienie Rodziny.

Przyczynę jej upadku należy widzieć w poprzednich pokoleń barbarzyństwie, które z „Głów rodziny“ uczyniły *Pięści* Rodziny. — Światła Władza stała się ciemnym uciskiem, dręczącym przeżytkiem dawnej istotności patryarchalnej, przeciw któremu z konieczności zbuntowała się przyrodzenie „wolna“ młodzież. — Korona rodzicielska spadła: obezwładnione „Głowy“ straciły do reszty wiarę w samych siebie, aż do „mea culpa“ na wyrzut czyniony im przez absurdowe mózgownice dzieci: „Nie prosiliśmy was o życie...“

I korona rodzicielska leży w kurzu. — Rodzina, dawwna świątynia świeckich wtajemniczeń, upadła aż do stania się „związkiem solidarnych interesów“; upadła jeszcze niżej.

Zbuntowana i zwycięska progenitura, zdemoralizowana tryumfem, odrzuciwszy ostatnie strzępy zmartwiałej tradycyi, wniosła w Dom swój coraz „indywidualniejszy“ egoizm i coraz szerszą „swobodę.“ — Dziś te „jaja“ społeczne są, zaiste, tylko zapowietrzonemi zbukami. — Rodzina stała się wczesnym rozsadnikiem zawiści, brutalności i trywialności, — zamieniła się w koszary najwstrętniejszego „laisser aller,“ w oazy prostaczego „deboutonnage'u,“ w obory, gdzie na „swojskim“ gnoju przewalają się w najroskoszniej ordynarnej „swobodzie“ leniwe, łakome i gadatliwe bydlęta. — Tak ginie, w tych towarzystwach-wzajemnego-znoszenia-gnuśnego-niechlujstwa, reszta spękanego oddawna kulturalnego lakieru, rozrasta się owo zjadliwe i brutalne prostactwo, które potem rozpościera się po ulicach i miejscach publicznych chamstwem i arogancyą.

Ojcowie, zdemoralizowani porażką, rywalizują z synami w nierządzie i cieszą się ich koleżeństwem. — Matki, niepamiętne swej prawie kapłańskiej godności, czują się szczęśliwe, gdy je w domu znoszą jako klucznice, o ile

nie zazdroszczą córkom „flirtowania“ i nie ćwiczą się w modnem „oku“ podczas przychylnej fazy konkurentów i narzeczeństwa. — Dzieciom ani zaświta w głowie świętokradczość i hańba ich synowskich lekceważeń. — Szał zrównania we współzawodnictwie dokoła koryta „używania“ ogarnął starych i młodych, — i trudno już rozróżnić, kto stary — kto młody, — tak niedostojnie skrzą się zwiędłe oczy, — tak zwiędło zwisają młodzieńcze lica. — Uwiąd, hańba, zwyrodnienie!

Odbicie w „komórce“ społecznej straszliwego stanu narodu —

„Starzy“ — zdruzgotani despoci. — „Młodzi“ — rozpasani niewolnicy na swobodzie. — „Najmłodsi“... spędzone płody!

Przerażający w swej piorunowej konsekwencyi proces wynaturzenia spełnia się...

Spędzone płody, nad któremi sieroco płaczą znieważone Królowe Znicza domowego, Panie łaski pełne, — Matrony - klucznice!

IX.

Zawrotny czar tej „ZDOLNOŚCI,“ prażywiołu, tego „twórczego łona“ Myśli, Ducha. — Ona jest śmiercią, ona jest snem, ona rozkoszą, ona kształtu potwornością i cudem, ona marzeniem, intuicyą, wolą; — ona kamiennym uściskiem olbrzymki piekieł, — i ona majestatem Królowej Niebios, ona — Erosa matka, Beatrycze i Gorgona —

Potworna, straszliwa, unicestwiająca, — i słaba, grzeszna, błądząca, — i promienna, *łaski pełna*, nieomylna...

Niedocieczona, przedziwna, BEZŚWIADOMA! — oczyma zachwycona i zachwycająca, — wiekuiste niczemu

nic nie dziwiące się zdziwienie — zorza nieśmiertelna — Brzask!

X.

Troska jak Janus jest dwulica i uśmiecha się skrycie za twarzą własnego posępu —

*
* *

Tułają się mgły pytań, prostują się w słupy zagadek przewodnich, — a gdy chcieć się na nie wedrzeć, rozkłębiają się nieuchwytnie i znów się po stepie tęsknoty włóczą — włóczą — włóczą —

*
* *

Ludzkie rozumowanie: — „To dziwne: o nic nie dba, *a jednak* ma dobre serce...“

*
* *

Pytałam w formie obojętnego zagadnienia o sprawę palącą mi serce. Odpowiedź przeczyła memu pragnieniu. Zasępiłam się — choć to powiedział osioł...

*
* *

Gdy upadamy zbyt nisko, — życie, nieznoszące w nas nikczemności, wytyka nam ją reakcyą bliźnich.

*
* *

Życie ma niekiedy uśmiechy ironiczne pełne finezyi Uczę się je kochać, choć spoczną na mnie —

*
* *

Nikt mnie nie zna: czy nie dla tego, że trudno znać to, czego jeszcze niema?

* * *

Recepta na podobanie się ludziom: wyglądać, jakby się nam oni podobali.

Ale na ów wygląd receptą jest: by się nam podobali istotnie — i w tem sęk.

* * *

Niewinność dzieci — tak pełna przyszłego grzechu!

* * *

Wszystko mi dałeś, co wziąć mogłam, Panie!

Wszystko mi wziąłeś — czego ci sama dać nie byłam w stanie.

* * *

Pozwólcie ludziom być smutnymi!

* * *

Piękność w samobałwochwalstwie gaśnie, jak wywrócona świeca we własnym wosku.

* * *

Na szczytach metafizycznych pokusa nazywa się: SZTUKĄ.

* * *

To, czego się wyrzec nie możem, zostaje nam odjęte, by się spełniło Wyrzeczenie Zupełne. — Lecz ponieważ owa niemożność była wskaźnikiem zasadniczej POTRZEBY owej rzeczy, — przeto w innej formie zostaje nam po akcie abdykacyi zwrócona.

* * *

Kocham — cierpię. I raduję się, że kocham, — bo ta miłość jest mojem zbawieniem; — i raduję się, że cierpię, — bo w tem cierpieniu jest nieśmiertelność mej miłości.

*
* *

W swych urąganiach świat rzuca nam bezwiednie przykazania naszych przeznaczeń, i policzkuje nas — własną naszą samozdradą.

*
* *

„Co się stało?!“ — „Cud się stał!“

*
* *

Dyskrecya obowiązuje — przedewszystkiem względem samego siebie.

*
* *

Czynem miłosierdzia jest: pomagać; nie zaś: dogadzać.

Formuła mądrego miłosierdzia jest pewnego rodzaju średnią między własnym a cudzym egoizmem. Ci kochani bliźni! tyleż warci, co i my sami... Bądźmyż Salomonem dla tych dwu stron hultajskich.

*
* *

Myśl dręcząca: że jak fizyczne wspomnienie kolorów wywołuje ich barwy dopełniające, —

tak wspomnienia duchowe są tylko — dopełnieniem Przeszłości.

*
* *

W szafowaniu niektórych Ideałem jest naiwna natarczywość baby, częstującej wszystkich pigułkami z chleba, które ją wyleczyły z newralgii —

*
* *

Tajemnicza solidarność płci rozmieszcza w nowej przed naszym wzrokiem proporcyi niezmienną sumę energii wspólnej, wytwarzając nową harmonię. Z nadwątlonych rąk panów berło przechodzi do wypoczętych niewolnic; — „nieświadome lilie“ zmieniają się w „myślące róże“ *).

* * *

Tłum jest zawsze w stanie hypnozy, nie może w nim nie być. — Chodzi więc o to, by sugestya, której ma podlegać była najbezinteresowniejsza, najczystsza, najwznioślejsza. — Trzeba odsugestyonować jego dzisiejszą „wolnomyślność“, która jest tylko *wolnogminnością*, i narzucić mu *cześć* tego, co dlań pozostać musi *Niepojmowalnem*, a co mu zasugestyonowano jako *Nieistniejące*. Zdjąć zeń czar szatański „persifflage'u,“ wrócić mu jego dawną, jego odwieczną, wiecznie w nim czuwającą prostotę dziecka - olbrzyma.

* * *

Klęska otacza twój dom. Czyha na cię zzewnątrz — wszędzie. Tak: *lecz tylko zzewnątrz*. — Pewnego rodzaju oblężenie bierne, areszt domowy. — U twego progu zaczyna się — i kończy. To jest podwójna granica: niedoli i spokoju.

A niedola, która ma granice, — nie jest niedolą. — A klęska, która zna poszanowanie progu, — jest tylko: nauką mądrości.

Szyldwach broniący twej twierdzy: oto prawdziwe znaczenie twej niedoli...

* * *

Dziś już zapóźno dla nas, weteranów srogiej szkoły,

---

*) Krasiński.

na radosne brykanie po pastwisku szczęścia. Czar za słaby.

A gdy bezistotna zbliża się pokusa — dość w nas hartownej pogody, by strzaskać w kawały czarę, co spoić nas chciała niegodnie.

* * *

W najwytworniej dumnej kobiecie nawet — jest pewna uprzejmość stręczycielska, pewna czujna usłużność, pewna pohopność służalcza, która niepokojąco rozświetla jej pochodzenie — niższe.

* * *

Ból, na który jest rada, — nie jest bólem. — Więc — niema bólu.

* * *

Jak ogień — nietykalny jestem tem — że płonę.

* * *

Duch, gdy chce, wszystko może. Lecz są rzeczy, które duchowi hańbą jest chcieć.

* * *

Gatunek męki: — nieumiejętnosć chwytania Chwili — w jej możnościach zasadniczych.

* * *

„Żem tu“ — znaczy: „J'aime tout.“

* * *

Sposób na niegadanie z ludźmi: — pokłócić się.

* * *

Skazanam na samotność jak owoc na ogień słońca, — i jak owoc na słońcu mdleję i dojrzewam —

* * *

Myśl, gdy jest usilna, zastępuje doświadczenie. — Przeżywamy tylko to, czegośmy przemyśleć nie byli zdolni: — metoda poglądowa dla kretynów.

* * *

„Panie!“ mówi *Dziecko,* gdy *Ojciec* zjawi się — groźnym majestatem — jego nędzy — — Biedny „naturalny“ syn z oficyny...

* * *

Męski charakter, czyli męstwo, zdobywa się tylko przez męskie doświadczenie, czyli przez doświadczenie męstwa...

XI.

Drogi synu mych wnętrzności, jeżeli nie chcesz tuż przy starym brzegu osiąść na nieodwołalnej mieliźnie, odczytaj sobie codzień, co następuje:

Nie dawaj się brać na plewy swemu pokątnemu doradcy, a pilnuj się przed nim najczujniej wtedy, gdy udaje, że się składa z urzędu, lub (symptomat jeszcze groźniejszy) gdy wśród hołdów lennych prosi cię o dyplom na adwokata przysięgłego.

Zaczem pamiętaj, i to nietylko i nietyle na pamięć, ile na nerwy, że logika obowiązuje nadewszystko czcicieli Srogiej Prawdy; — że przeto najromantyczniejsze niekonsekwencye są w tobie tylko absurdem, a przytem znoszą piach na twą i tak mozolną drogę, która oby się nie

upiększyła twym nadgrobnym obeliskiem, jeżeli zważyć żółwiość twego po niej chodu.

Gdy się nie jest zdolnym do t. z. miłości, absurdem jest tracić czas nad jej mirażami. — Kto nie umie kochać, powinien miłość zostawić w spokoju: — gdyż tknąwszy ją, — niszczy, psuje. — Ty kochać nie umiesz: umiesz tylko grzeszyć, zamieniać ją w bezrząd płci lub wyobraźni. — Gdy zaś czemś żyć nie umiemy, gdy coś, zamiast rozwijać się i nieść właściwe w rękach naszych owoce, zwraca się ku złemu, — jest to symptomat, żeśmy z tego wyrośli: — inaczej nie gwałcilibyśmy przebytego okręgu, — chcąc go rozszerzyć — to jest *przemienić*.

Rozszerzyć bez rozsadzenia, przetworzyć bez spotwornienia, można zaś tylko w wyższych laboratoryach. Zatem jazda. Winda czeka — „zwei Treppen."

Rób, jak robi ten właśnie pogodny i roztropny windziarz: — każdą pogrobową drgawkę parterowego człowieczeństwa przenieś wyżej; — chwyć ją w jej zenitowym punkcie, wduś ją w obraz lub melodyę, użyj jak pary do kotła swej lokomotywy. W ten sposób uwiecznisz nawet (jeśli ci o to chodzi) to znikome, zużytkujesz to szkodliwe, uradośnisz to dręczące, zaprzęgniesz do swego rydwanu, uwięzisz w swym żaglu siły przekorne. — Wyrwij swym i tak już bezpłodnym chęciom ostatnie szczęty pylników i słupków, czyli bezsilne żądła urzeczywistnienia; zamień je w boleść wyrzeczenia: ból to krótki w twem klasycznie niewiernem sercu; — a boleść, w samej iskrze pierwszej krwi wtryśnij w swój chemiczny elaborat. — Tak mniej więcej powstaje talizman złotoprzemienny.

I już nie na Niebo ni zbawienie, lecz — na honor! — przestań się rozrzewniać na melodramatach! — to dobre dla ubogich duchem, dla których jest królestwo niebieskie. — Ty, który co najmniej sięgasz po czerwone, — wiesz dobrze (o ile cię nie tumanią wonne zresztą opary wio-

sennych otchłani), — że tragedya jest — jak komedya — złudzeniem tylko. — Wszelcy Zygfrydzi i Edypowie czarują parter tem, że giną; — loże zaś — tem, co z nich zostaje. — Prawda nie jest radosna ni bolesna, prawda jest PRAWDZIWA. — Niech ci to... wystarcza.

O ty, srogi i twardy na podobieństwo Prawdy, którąś wziął za Patronkę! — jak ona — nieubłaganie niewierny, ile razy Serce kusi ją, by wierną była samozdradzie! — niech cię grzechem nie straszy twa niewierność, twardość, srogość! — To twe niebotyczne szczyty! — Zostaw wierność, miękkość, ustępliwość, kochankom — — — Ty, hermafrodytyczny Don Juanie prawd, które wiodą do Prawdy, — ciebie jedna obowiązuje tylko wierność, — ta, która jak jedność poradza wielość, jest matką twoich zdrad: WIERNOŚĆ IDEI. — Wmieszaj się w maskarady, wdzieraj się do haremów i alkow monogamicznych; zdzieraj maski w czułem „tête à tête,“ poznaj kształty prawd wszelkich! — Odkrywaj, obnażaj! — To twoja rola, Don Juanie! —

Albo lepiej, mądrzej — na myśl o Komandorze — o Don Juanie! — zostaw haremy, alkowy i maskarady i całą twą donżuaneryą, która jest nietylko szukaniem drogi, ale i lubowaniem się w przydrożach, — i jednym lotem padnij przed tron swej Bogini, w której wszystkie maski promień swój niosą na oślepiający blask ognistej maski Ostateczności Niepoznawalnej.

Drogi uczniu, synu kościanej babki i niedorodka! — Ile razy, jednem słowem, rozogni ci policzki tuman pustynnych mirażów, — tyle razy użyj trzeźwiącej prostoty ZIMNEJ WODY! — Nie mówię tu o pomyjach rynsztokowych, które nazwano sceptycyzmem. Nie, mówię o zimnej, krynicznie kryształowej wodzie Myśli, co mroźną (a raczej tak nadogniście płomienną, iż biedna dusza, przywykła do stref umiarkowanych, niewie, zali ją dotknął lód czy la-

wa?) kaskadą spływa z mózgu na serce, odwiecznie skłonne do prostaczego cudzołóstwa. — Mówię o stalaktytowych kroplach, spadających z granitowych sklepień ducha, — gdy na nich osiądzie zbyt obfity opar piwniczny. — Niech do serca wraca to, co z serca... Pozwól mu cierpieć nad odtrąconym darem... Pozwól mu cierpieć: to jedyne prawo, które mu zostało z dawnych przywilejów feodalnych.

Lecz i tego prawa mogłoby nadużyć — to zasadnicze nadużycie, którem jest Serce. — Więc, gdy zbyt długo łkaniem (nawpół umyślnem) mącić będzie pożądaną zawsze przez mędrców ciszę, — poklep je ojcowsko po ramieniu. — Ono cię tak kocha! — cóż mu innego zostaje do roboty? (ostatni lokaj, z którym czas skracało flirtem opuścił służbę). Poklepane, ucichnie, zrozumiawszy wszystko, znalazłszy w tej jędrnej pieszczocie wszystko, co pragnie wiedzieć, czyli że je kochasz, zatem że jest kochane. — Pozwól mu cieszyć się chwilę, między dwiema chwilami rozpaczy... Gdy żona się cieszy pokornie, mąż może wrócić do preferansa.

Marya Komornicka.



LUDOWE BALADY SZKOCKIE.

SROGI BRAT).*

Trzy panny w piłkę graly śród trawy,
— HEJ-ŻE HO! GRA WESOŁA —
W lot ją pochwycił dworzanin żwawy.
— PIERWIOSNEK ZAKWITŁ PIĘKNIE. —

Najstarsza była piękna i wzniosla,
Ale najmłodsza wszystkie przerosła.

Średnia — twarz miała pełną pogody,
Najmłodsza — bóstwem byla urody.

Wszystkim się skłonił z czcią niezrównaną,
Lecz przed najmłodszą ugiął kolano.

*) *CHILD, English and shottish popular ballads. I, № 11.*

Ona skręciła główką na stronę,
On rzekł, że chce ją pojąć za żonę.

Spłonęła niby krasna jagoda
I rzekła: — Panie, jeszczem za młoda. —

— Panienko, daj mi twe ręce obie,
Władczynią moich włości cię zrobię. —

— Chcesz, abym ciebie widziała rada,
Rodziny mojej prosić wypada. —

Skłonił się o nią ojcu, macierzy
I prosił o nią sióstr, jak należy.

Wszystką rodzinę grzecznie objechał,
Jednego brata Jana zaniechał.

Aż weselnego dnia i wieczora
Szedł pannę młodą odwieść ze dwora.

Wielu rycerzy i panów wielu
Było na pięknej panny weselu.

Każdy się dziwił wielkiej urody,
Wzdychał: bogdaj-mi być, gdzie pan młody!

Ojciec po schodach wiódł ją w tej dobie,
W dole ją siostry żegnały obie.

Do wrót ją wiodła matka rodzona,
Tam ją posadził brat Jan na konia.

Ona do niego z siodła się schyli,
By pocałować w rozstania chwili.

On wyjął sztylet długi i ostry,
Ugodził w serce swej pięknej siostry…

Jeszcze pół miasta nie przejechała,
Gdy krew serdeczna suknię zbryzgała.

— Jedźcie powoli — rycerz powiada, —
Coś panna młoda chwieje się blada. —

— Wieźcie mię lekko na owo wzgórze,
Niech tam ostatnią wolę ułożę. —

— Co pozostawisz ojcu drogiemu? —
— Siwka, co wiózł mię ku miejscu temu. —

— Co pozostawisz dla lubej matki? —
— Jedwabne stroje, złociste szatki. —

— A co zostawisz siostrzyczce swojej? —
— Te krwawą suknię, niech się w nią stroi. —

— A co zostawisz swojemu bratu? —
— Niech głowę jego oddadzą katu. —

— A co zostawisz siostrzyczce brata? —
— Tę puszczę, niech w niej zejdzie ze świata. —

Do grobu piękną panią złożono
I wiele za nią mszy odprawiono.

Ale się nie da wyrazić słowy,
Jak tam pan młody rwał włosy z głowy.

LADY ALICYA *)*.

Lady Alicya w zamkowej wieży
Do snu warkocze plecie,
A w tem spostrzega zwłoki młodzieńca
Najpiękniejszego w świecie.

— Co to niesiecie, mości panowie,
U stóp mego krużganka? —
— Niesiemy ciało Dżyla Kollinsa,
Wiernego wam kochanka. —

— Złóżcie go lekko, mości panowie,
Na tej zielonej runi,
Jutro wieczorem lady Alicya
Ułoży się do truny.

Grzebcie mię w Panny Maryi kościele,
Tuż przy moim kochanku,

---

*) *CHILD, IV. № 85A.*

Splećcie mi wieniec z kwiecia tymianu,
Z ruty i z majeranku. —

Ona spoczęła od wschodniej strony,
Z zachodniej jej kochanek,
Róże, co rosły na jego grobie,
Oplotły jej kurhanek.

Ksiądz, co tamtędy mimo przechodził,
Próżno rozdzielał kwiecie.
Nie było równie wiernych kochanków
I niema w całym świecie.

HIND HORN*).

Żył w świecie junak szkockiego rodu,
Hind Horna mianem zwał się za młodu.

Listy do króla słał raz i wtóry,
Prosząc za żonę królewskiej córy.

Przyniósł jej srebrną rózeczkę w dani,
Siedem skowronków siedziało na niej.

Ona mu pierścień cudnej roboty,
Siedm dyamentów w oprawie złotej.

— Skoro ten pierścień spełznie i zbladnie,
To znak, że miłość moja przepadnie. —

Gdy raz poglądał w jasność pierścienia,
Ujrzał, że pełznie i barwy zmienia.

*) CHILD, I. № 17.

Przejechał morze, na ląd wysiada,
Pierwszego spotkał żebraka dziada.

— Jakie nowiny, dobry człowiecze? —
— Skąpe nowiny, — tak żebrak rzecze.

— Nowin nie dużo, nowin niewiele,
Córki królewskiej jutro wesele.

Weselne gody w królewskiem mieście
Sprawiać się mają przez dni czterdzieście... —

— Pożycz mi swojej żebraczej szaty,
Zamienię z tobą moje szkarłaty.

Pożycz mi swojej laski żebraka,
Zamienię z tobą mego rumaka.

Pożycz mi swojej czapki zgniecionej,
Niechaj przykryje mój włos trefiony. —

Żebrak na koniu skoczył do młyna,
Hind Horn, gdzie dworska siadła drużyna.

Żebrak na koniu przejechał w cwale,
Hind Horn szedł pieszo w zamkową salę.

Szedł, gdzie siedzieli w zamku panowie:
— Pozwólcie wypić Hind Horna zdrowie! —

Królewna niosła złote puhary,
Wypił i pierścień wpuścił do czary.

— Czyliś go dostał, czyliś go kupił,
Czyś go na martwym człowieku złupił? —

— Nie mam go z kupna, ani z rabunku,
Z twego własnego mam podarunku. —

— Zrzucę ja swoje szaty z bisioru,
Pójdziemy żebrać z dworu do dworu.

Szkarłatne szaty zrzucę ja z siebie,
O wyżebranym będziem żyć chlebie. —

— Nie będziesz rzucać swych szat z bisioru,
Panią cię zrobię licznego dworu. —

* * *

Pan młody z panną młodą brał śluby,
Lecz do łożnicy wiódł ją jej luby.



LUDOWE BALADY SKANDYNAWSKIE.

*ŻONA KRÓLA ELFOW *).*

(ELVE KONGENS BRUD.)

Malfred przy matce
— KOWA ZAZULA —
Siadła w komnatce
— KOWA POD BALKONEM.
A MALFRED W GAJU ŁZY LAŁA,
ZAWODZIŁA W ŚWIETLICY.

— Córeczko moja, co się to stało,
Że ci rumiane liczko zbielało? —

— Nie wiem, co mogło stać się mej krasie,
Możem za mocno ściśnięta w pasie. —

— Inne dziewczęta wszak się ściskają,
A przecież lica jak róże mają. —

---

*) *GRUNDTVIG, Danmarks gamle Folkeviser,* № *37.*

— O matko moja, nie bądź mi sroga,
Już ja ci wszystko wyznam, nieboga.

Już nie ukryję swojego sromu,
Za królem Elfów jam poszła z domu.

On mię przywabił, wiarę ślubował,
I wiele razy ze mną obcował.

Królowi Elfów przez ośm lat
Powiłam ośmi synów jak kwiat.

Przy piersi jeszcze dziewiąty mały,
Przez niego tak mi lica zbielały. —

— Ejże Malfredo, córko przeklęta,
Gdzieś spowijała swe niemowlęta? —

— Jedne-m powiła w górnej alkowie,
Drugie-m powiła w dole na trawie.

Na miękkiej darni rodziłam łatwo,
Król Elfów mieszka w górach z mą dziatwą. —

— Więc skoro taka twoja sromota,
Przeklęta córko, precz mi za wrota!

Skoroś Elfowi uwieść się dała,
Już matki we mnie nie będziesz miała. —

Myślały obie, że były samy,
Król Elfów słuchał, stojąc za drzwiami.

I uderzył ją wicią zieloną:
— Ruszaj do domu, Elfowa żono! —

I podniósł na nią Elfową kiść:
— Natychmiast w góry masz mi iść!

Patrzaj, Malfredo, małżonko miła,
Dlaczego-żeś mię matce zdradziła?

Gdyby się śluby twe nie wydały,
Czas przy niej mogłaś bawić niemały. —

Modry płaszcz dumna Malfreda wzięła,
W progu ojcowskich komnat stanęła.

— Bądź zdrów, mój ojcze, matko, bądź zdrowa,
Siostro i bracie, niech Bóg was chowa!

Żegnajcie, drużki, na całe życie,
Już mię tu więcej nie obaczycie.

Niech wam da Chrystus radości wiele,
Moi druhowie i przyjaciele!

Bywaj mi zdrowe, wszelkie stworzenie,
Indziej mię pędzi me przeznaczenie!

Łzy jej spłynęły na lica gładkie,
Że już musiała porzucać matkę.

Biła się dłońmi w lica jak zorze
I szła płaczący ku onej górze.

Dumna Malfreda szła między skały,
A tam ją dzieci wszystkie witały.

I podawały jej lica krasne,
I szły za matką w te góry ciasne.

Puchowe krzesło przyniosły dla niej
I podsuwały pod nogi kamień.

Stanęła córka, smukła jak trzcina,
Trzymała w ręku srebrne naczynia.

Z miodem dzban jeden, z winem dzban wtóry:
— Witaj nam, matko, z powrotem w góry! —

— O, gdybym była umarła raczej,
Niż tu w tęsknocie żyć i rozpaczy. —

Dumna Lidselil rzekła do sług:
— Przynieście winem nalany róg.

Nalejcie winem puhar rogowy,
Wrzućcie do wina kłosek elfowy.

Napij się do mnie, mateczko miła! —
— Choćby to woda, z tobąbym piła. —

A wtem król Elfów we wrotach stanie:
Malfreda biegła na powitanie.

On ją po twarzy pogłaskał dłonią:
— W tych naszych górach witaj mi, żono! —

Król Elfów wziął ją w swoje ramiona:
— Tu twoje berło, tutaj korona. —

Usłano dla nich szkarlatne łoże
— KOWA ZAZULA —
Lecz Malfred zmarła w północnej porze
— KOWA POD BALKONEM.
A MALFRED W GAJU ŁZY LAŁA,
ZAWODZIŁA W ŚWIETLICY. —

PODSTĘP NIKSA*).

(NOKKENS SVIG)

Kościelny ogrodziec rozbrzmiewał tanem,
POD LIPĄ
Tańczyły dziewczęta z włosem rozwianym.
ZDA MI SIĘ, SŁYSZĘ TĘTENT KONIA.

Pląsały z rozwianym włosem dziewice,
Królewna pląsała za przodownicę.

Tańczący rycerze miecz w górę nieśli,
Królewna przed nimi nuciła pieśni.

Dumnie wyglądała panna w tym tańcu,
Aż Niks ją usłyszał na morskim krańcu.

Wychynął się z wody i strój brał złoty:
— Przyjmie-ż piękna panna moje zaloty?.. —

---

*). GRUNDTVIG, Dg. F. № 39.

Wziął na się rycerską postać i minę,
Przedzierzgnął Alfastem, królewskim synem.

Konia lepił z wody jasnego blasku,
A siodło i cugle z białego piasku.

Koń był barwy kruczej, a zdał się białym;
Na złoconem siodle Niks pognał cwałem.

W ogrojcu rumaka wiązał u płota,
Obszedł kościół wkoło, wstąpił we wrota.

Kiedy się ukazał z tej kruchty białej,
Wszystkie się obrazy poodwracały.

Rzekł kapłan, odprawiał mszę u ołtarzy:
— Co to jest za rycerz nieznanej twarzy? —

Rzekł kapłan, przy świętej bawił ofierze:
— Niech was Bóg od tego obcego strzeże! —

— Nie obcy przychodzę tutaj w gościnę,
Ale z Anglii jestem królewskim synem. —

Królewna do siebie tak powiadała:
— Bogdajbym rycerza tego dostała! —

On przeszedł przez stołek jeden i parę:
— Słuchaj, dumna panno, przysiąż mi wiarę.

Słuchaj, dumna panno, kochaj mię, proszę,
Oto ci koronę złotą przynoszę.

Oto ci przynoszę złote manele,
Nie kładłaś podobnych, jak lat masz wiele. —

— Mój rodzic jest królem wielkich obszarów,
A nigdy mi równych nie dawał darów.

Mój rodzic jest królem tu wywyższony,
A nigdy mi równej nie dał korony.

Ale jakże z tobą wyjdę z kościoła,
Gdy mię tyle oczu strzeże dokoła?

Ojciec, matka mię strzeże,
Pilnują mię rycerze.

A mój narzeczony krócej mię trzyma,
Nieustannie za mną wodzi oczyma. —

— Niechajby cię strzegła cała rodzina,
Powędrujesz za mną, nic cię nie wstrzyma. —

Rzucił im na oczy takie tumany,
Że przez środek tłumu szedł niewidziany

Rzucił jej błękitny płaszcz na ramiona,
Wyszła z nim z kościoła niepostrzeżona.

Podeszli do konia, co stał przed wroty.
Rumienił się na nim ten czaprak złoty.

Koń był ujeżdżony, uległy w ręku,
Niks pannę przed sobą sadzał na łęku.

Pognał z nią przez pola, pognał przez niwy,
Jak pędzi szalenie wicher gniewliwy.

Cwałował na koniu ziemią i lądem,
Cwałował wprost siebie wodą i prądem.

— Posłuchaj, kochanku, Alfaście drogi,
Skroś dzikiego morza, gdzie szukasz drogi? —

— Nie jestem ja Alfast, twój ukochany,
Tu moja siedziba śród morskiej piany. —

— Boże, nad mym ojcem miej zmiłowanie,
Nie wodził mię nigdy w takie otchłanie.

Lituj się, mój Boże, lituj mej matki,
Nigdy mię nie wiodła w takie upadki.

Niech kochanka mego twa ręka broni,
Teraz on po ścieżkach dzikich nas goni. —

— Było baczyć wprzódy, co ci przystoi,
Nie byłabyś dzisiaj we władzy mojej. —

Wtem na środek morza koniem przebrnęli,
Tam się z nią pogrążył w głębi topieli.

I długo słyszano nad morskie fale
POD LIPĄ,
Jak się rozległy królewny żale. —
ZDA MI SIĘ, SŁYSZĘ TĘTENT KONIA.

RUNY TIDEMANDA *).

W starych się czasach działo,
I dziś przyklady mamy,
Że zniewalała miłość
Dziewki i dworskie damy.
DZIEŃ ŚWITA POD LIPĄ.

Był pan Tidemand,
Siadł przy szerokim stole,
Stare dziwne zaklęcia
Powiadał w druhów kole.

— Nie mogę małej Blide
Prośbami dostać w ręce,
Wypiszę modre runy,
Na pokład ją przynęcę. —

---

*) GRUNDTVIG, Dg. F. № 74.

Wyrzucił ku wybrzeżu
Czary pisane runą,
One dziewce Blidelil
W same ręce pofruną.

Była dziewka Blidelil,
Wyszła ci na brzeg biały,
Obaczyła dwie róże,
W stronę lądu leciały.

I podniosła dwie róże,
Schowała za pazuszką,
Zaniosła do alkowy,
Ukryła pod poduszką.

Ocknie się mała Blide
W samą północną porę,
Pocznie głośno powiadać
Swoją przemożną zmorę.

— Nie wiem, co mię przymusza
I ciągnie z całej mocy
Do pana Tidemanda,
Co go nie znam na oczy. —

Ozwała się piastunka,
Ozwała przez pokoje:
— Śpij-że cicho, Blidelil,
Co ci to dziecię moje? —

Śni jej się strój jedwabny
I śni płaszcz jak bławatki.
Radaby choćby we śnie
Kłaść takie piękne szatki.

Porwie się mała Blide,
Czemprędzej się przybierze,
Wstaje w nocy i biegnie
Na pomorskie wybrzeże.

Wstąpiła mała Blide
Na pomost okrętowy,
Tam czekał pan Tidemand,
Witał ją temi słowy:

— Witaj, piękna Blidelil,
Witajże u mnie w gości!
Niema to już rycerzy
Pośród ojcowych włości? —

— Są giermki i rycerze,
Są w mego ojca ziemi.
Że ci przychodzę w ręce,
Czynisz runami swemi. —

Rozżaliła ją mowa,
Oczy trysnęły łzami,
Rzuciła krzyżyk w wodę,
Sama skoczyła za nim.

Była dziewka Blidelil,
Rzuciła krzyżyk w morze,
Mały zielony kamień
Wciągnął ją w wodne łoże.

Długo stał pan Tidemand,
Patrzał, czy nie wypłynie,
Zrzucił z siebie odzieże,
Przepadł w modrej głębinie.

Na złe były pisane
Runy te i na szkodę:
Straciły przez nie życie
Dwa królewięta młode.

DZIEŃ ŚWITA POD LIPĄ.





LUDOWE BALADY NIEMIECKIE.

ULINGER I HANNA).*

Wyjechał rycerz z ciemnych kniej,
Zanucił głośną piosnkę — hej!
Na trzy ją nuty śpiewa,
Las echem rozebrzmiewa.

Hanusia słyszy go z balkonu
I mdleje od piosenki tonu.
— Bodaj zaśpiewać taki śpiew,
Dałabym moją cześć i krew! —

— Piękna panienko, wyjdź z pokoja,
Spodoba ci się piosnka moja,
Piosnka potrójnej nutki,
Co ją zna las całutki. —

---

*) *ERK-BÖHME, Deutscher Liederhort,* № 42, *b. c. d.*

Ujął za pas, za złote godło,
Za siebie wsadził ją na siodło
I pocwałował w dobry czas,
Aż wjechał w nieprzebrany las.

Podjechał pod leszczyny krzak,
Turkawka siedzi, śpiewa tak,
Tak śpiewający biada:
— Dziewczyno, czeka cię zdrada. —

— Łżesz, wraże przeklęty ptaku!
Pędź, nie ustawaj mój rumaku,
Pędź aż do zimnej studnie,
Tam krew rozlana chłódnie. —

Rozłożył płaszcz swój na murawie
I usiość prosił ją łaskawie:
— Siądź, panno, tu na wrzosy,
Muskaj mi płowe włosy. —

Za każdym włoskiem, który muśnie,
Na twarz jej łza rzęsista pluśnie.
Rycerz jej spojrzy w oczy:
— Jaka cię troska tłoczy?

Czy ci żal twego ojca włości,
Czy ci żal krasy i młodości,
Czy jesteś takiej pychy,
Że ci się zdam za lichy? —

— Ni mi żal mego ojca włości,
Ni mi żal krasy i młodości,
Ni jestem takiej pychy,
Byś mi się zdał za lichy.

Jeno na sośnie tej wysokiej
Widzę jednastu panien zwłoki. —

— Hanusiu, serce moje,
Dwunaste będą twoje. —

— Jużem tu życie dać gotowa.
Pozwól mi jeszcze rzec trzy słowa. —
Pierwszy się raz ozwała,
Na ojca zawołała.

Drugi się raz ozwała,
Mateczki swej wzywała.
Gdy ozwie się raz trzeci,
Do brata głos doleci.

Przy chłodnem winie siedział brat,
Gdy siostry głos przez okno wpadł.
— Słyszycie, co się dzieje?
To siostra woła z knieje. —

Jeszcze się z ławy nie porwali,
Już rycerz stał w gospodnej sali.

— Czemu trzewiki twe rumiane,
Jak gdyby były w krwi zwalane? —
— Jakże nie mają krwawe być,
Gołąbka w lesie ubiłem dziś. —

— Gołąbek, coś go zamordował,
W mojej się matki domu chował,
Na winie i na mleku,
Śród nas najmłodszy z wieku. —

Ciało Hanusi pięknie chowano,
Ciało rycerza kołem łamano;
Pięknej Hanusi dzwoniły dzwony,
A po rycerzu krakały wrony.

SÜDELE *).

Miał jeden król córeczkę,
W siódmym roku Haneczkę.

Usiadła raz u strużki
I zbierała kamiuszki;
Szedł kramarz od granicy,
Rzucił jej kłębek nici;
Gdy wzięła za jedwabną nić,
— Teraz już musisz moją być. —

Wziął królewnę z nad wody,
Zaniósł ją do gospody:
— Przyjm do służby przybłędę,
Karczmarko, niech jej zbędę. —

— Czemu wziąćbym nie miała?
Będę pięknie chowała. —

---

*) L. TOBLER, *Schweizer Volkslieder*, I. p. 112.

A gdy minęło siedem lat,
Wyrosła piękna niby kwiat.
Jechał dziedzic korony
W kraj obcy szukać żony.
Skoro w gospodzie stanął pan,
Hanusia niosła wina dzban.

— Wyjdź karczmarko z pokoja:
Czy to córeczka twoja,
Czy żona twego syna,
Czyli cudza dziewczyna? —

— Ni to moja dziewczyna,
Ni żona mego syna;
To jest biedna Südele,
Mym gościom łóżka ściele. —

— Karczmarko, pozwól ino
Zabawić się dziewczyną. —
— Tak długo, jak życzy pan,
Südele niech służy wam. —

Czekał wieczornej pory,
Wiódł ją do swej komory,
Na pańskie wiódł posłanie,
Pytał, czy z nim zostanie.

Prosił ją przy sobie ledz,
Położył w środku złoty miecz:
Tak ma zostać do ranka,
Hanuś nie straci wianka.

— Obróć się do mnie główką
I przemów jedno słówko;
Opowiedz mi do woli,
Jaki cię smutek boli,

Zkąd wzięłaś się tak gładka,
Kto ojciec twoj i matka? —

— Królem rodzica zową,
Matkę moją królową;
Mam ci jednego brata
Bóg wie kędy śród świata. —

— Prawdziwe-li twe słowa,
Że twa matka królowa,
Poznaj królowej syna,
Siostrzyczko ma jedyna. —

A gdy zaświtły zorze,
Karczmarka już w komorze:
— Wstawaj, dziewko niecnoto,
Śpiesz się gościom z robotą. —

— Już Hanusia jest panią,
Sama odrabiaj za nią. —

Ujął ją w pół stanika,
Posadził na konika.

A gdy wjeżdżał w podwórze,
Wyszła matka w tej porze:
— Niech cię, synku, Bóg strzeże
I to dziewczątko świeże. —

— To stracone twe dziecię,
Płakane długie lecie. —

Prosili ją, by siadła,
Kładli rybę, by jadła,
Suli złote pierścieńce
Tej królewskiej panience.

PIĘKNA HANNELE *).

Topielec zapragnął żony,
W książęcym domu zrodzonej
PIĘKNEJ HANNELE.

Kazał brukować złotem most,
Tamtędy miała przechodzić wprost.

Ledwie zrobiła krok i drugi,
Jużci zapadła w modre strugi.

Ledwie zapadła w modre zdroje,
Topielec porwał ją jak swoję.

Mieszkała w głębi siedem lat,
Siedm dzieci miała jak sam kwiat.

*) (ŚLĄSKA.) ERK-BÖHME, 1a.

Stała nucący nad kołyską,
Gdy usłyszała dzwony blizko.

— Topielcze mój, topielcze drogi,
Pozwól mi wejść w kościelne progi! —

— Gdybym pozwolił do kościoła,
Nie powróciłabyś mi zgoła. —

— Zkądżebym wzięła tej ochoty?
Któżby tu karmił me sieroty? —

Gdy weszła na kościelny cmętarz,
Kłaniały się jej drzewa w pas.

Kiedy w kościelne weszła dźwierze,
Kłaniały pany i rycerze.

Niósł ojciec ławę, żeby siadła,
Matka poduszki dla niej kładła.

A gdy msza wyszła do ostatka,
Brali ją z sobą ojciec, matka.

Za stół ją wiedli, żeby siadła,
Stawiali rybę, żeby jadła.

Kiedy wtem byli śród obiada,
Jabłuszko jej na łono spada.

— O matko, żal się mojej głowy,
Wyrzuć to jabłko w żar ogniowy. —

— Chcesz mię w ogniową rzucać spiekę,
Któż naszym dzieciom da opiekę? —

— Podzielmy dzieci na oboje:
Ja wezmę czworo, ty weź troje. —

— Ja wezmę troje, ty weź troje,
Siódme rozdzieli się na dwoje:

Ja wezmę pół i ty pół ciała,
Żeby nam krzywda się nie działa. —

— A masz ty krajać me pacholę,
Już ja pod wodą zostać wolę,
PIĘKNA HANNELE! —

PRZEŁOŻYŁ Edward Porębowicz.



RÓŻANY OBŁOK

Z gór mówię białych przy zachodzącem słońcu.

Mroczknieją głazy olbrzymie, idą na wasz gród.

Nie oszczędzą sadów, ni minaretów.

Złote wieżyce legną w ruinach, na dywanach smyrneńskich pokrwawią się głowy.

Nałożnice w plusku fontann usłyszą z poza wysokich ścian ogrodu huk ciężki zstępujących olbrzymów.

Miasto, jak garść brylantów migocąca w marmurowej misie, rozbłyśnie tysiącami ogni tych, co zbudzeni będą pytać i zmilkną.

— — — —

Ale On patrzy na obrady geniuszów w sali mrocznej, gdzie sądzą.

On słucha w ukryciu.

Jego niech się trwoży serce Twoje.

Miecz twój niech błyszczy rosą Imienia.

— — — —

Fontanny zamarzły, ptactwo ucichło, krzyk i śpiew

skamieniał — dzieci przytuliły się do kwiatów, na których wiszą nieruchome pszczoły.

Czarna gazela moja wyszła z grobowca, ku morzom, gdzie płyną góry lodowe.

Widziałem Widmo i nie wzbroniłem odejść za baszty skał, aby nie była w dzień mojego sądu:

gdy mię przywiodą skutego w łańcuchu i Bóg z obrzydzeniem nastąpi nogą na mój rubinowy dyadem.

Gdyż wybrał mię swoim prorokiem, lecz dusza moja płynie na lodowej górze, szukając nadaremno po modrych otchłaniach Tej, która wyszła z mojego serca, czyniąc je zimnym grobowcem.

Bóg jest! mówią to skały, wstrzymane w biegu z gór ogromnych, które opasały miasto.

Bóg jest: pachną Imieniem Jego żółte owsy w ogrodach i dojrzałe brzoskwinie — i laki szkarłatne, i pstre begalie, i chińskie fioletowe róże.

Bóg jest: gruchają gołębie, i ptactwo świegoce w bujnych topolach, i niebo błękitnieje, słońce zachodząc przyklęka na kaszmirski purpurowy dywan —

a gwiazdy już poczynają wyśpiewywać Jego imię z kryształowych czarnych minaretów.

Bóg jest! powtórzyłem, stojąc na płaskim stepie, który pokrywał zielenią górę, i czując, jak morderca pełznie wśród traw.

Zorza wieczorna złotym przepychem rozkrzewia się nad górą podobną do trumny — niebieskie trójkąty przedzierają się przez jej złototkany szal.

Gwiazda miłości wystąpiła pierwsza na jasne przejrzyste lazury.

Cmentarz, nagrobki w turbanach i spisach — dają mi wspomnienie, że byłem królem narodu, który wyginął.

Nie żal mi jego i nie wyciągnąłbym rąk do berła nad nim.

Bóg mię uczynił prorokiem pustyni i nie kazał mówić do mrówek z miast.

Zejdą się olbrzymy przed namiot nieba mojego — zanurzą swe ramiona we krwi i będą kiełzać chmury pełne skrzydeł.

— — —

Wyjechałem ku miastu wyrytemu w skałach, gdzie już niema żyjących.

Koń biały unosił mię lekko jak obłok mgły między wyschłemi ziołami.

I gdzie padła piana z jego uździenic, — tam zakwitały ametystowe łany krokosu.

Jechałem do grobu Jej, aby przyzwać Widmo, i do łoża mego chciałem Ją unieść.

W bramie umarłych ujrzałem stojącą niewiastę młodą i drobną, niezmiernej piękności.

Jakoby latarnie czarnych dyamentów okryte jedwabiami rzęs — świeciły jej źrenice, twarz i postać zdały się żywym płomieniem.

Czułem pocałunki jej spojrzeń na moich opuszczonych powiekach, imię Jej było Dalita.

Podałem dłoń mą zamiast strzemienia, gdy siadała ze mną na Mlecznego, i ostrożnie zwolna zjeżdżałem z wielkiej stromości ku dolinie, gdzie srebrnym wężem wybły-

skała rzeka i drzewa gajem czarnym, pełnym cienia, zapraszały do swoich świątyń.

Droga zwęziła się nad przepaścią i skała stromo sterczy ku niebu, a głęboko w dole zasnuły się wąwozy mgłami.

— — — —

Tam w nieskończone dale idę, w nieskończone dale idę smętny sam.

Wrota gór rozwarte przede mną, a za niemi morze. —

☆

☆ ☆

Kiedy opadł żar południa i chłodny wietrzyk odświeżył niebo, które było rozpalonym piecem — używszy kąpieli pachnącej siarką w kłębach olbrzymich tęczowej piany — pod ręką wysmukłego persa — — otwarłem furtę do ogrodu niezmiernego, który się rozciągał na stokach wielu gór przerytych bezdenną skalną czeluścią.

Tu, znużony myślami, których żar nie dał się ochłodzić sorbetem i zimnym krwawym owocem indyjskich kaktusów, — patrzyłem na góry, gdzie kołyszą się jasno-zielone łany traw i brązowe skaliste grody pełne sykających świerszczy i zapachu czombrów.

I zmierzając ku skałom, widzę na ich porytych sarkofagach zamierzchłe legendy: Prometeusz skuty słucha Oceanid, głowa ścięta Meduzy płynie po falach, Jutrzenka sięga ręką do przełęczy nowych zórz, okrutne bożyszcze na ołtarzu ze splecionych ciał — — — a wodospady

cicho szemrzą w wąwozach, i trzciny bambusów nad stawem poruszają się od przechodzącego ibisa.

Księżyc blady jak niedojrzały pąk, muszki zielone wirują w napowietrznych jeziorach —

serce moje było ciche, lecz niemocne.

Sycilem się rubinowym szkarłatem lilij, fale złotawych mietlic kołysaly się —

i byłem znużony jak posąg świętego, co już stoi od lat tysięcy w starej świątyni, z rozwartemi oczyma na tłumy wielbiących, a bardziej tajemniczych, niźli bożyszcze, dusz.

Gdzie jesteś? bóle moje się zagoiły, żądze umknęły jak szakale z miejsca ogniów.

W duszy mej świeci głowa Matki Boga z przymkniętemi oczyma, gorączka męki już przestała ją palić, łzy wyschły, niebo już osiągnięte i otwarte, Syn króluje wśród gwiazd i otchłani, żołnierze rzymscy dawno rozsypali się w mogiłach, lampa kadzilna płonie rubinowem pełgającem uwielbieniem — i tak smutno — monotonnie — bezdźwięcznie w tych niebiosach, gdzie trawy się kołyszą, błękit bez chmur, i tylko orzeł niedosiężnie przelata — unosząc w szponach obwisłe zakrwawione koźlątko. —

☆

☆ ☆

☆ ☆ ☆

☆

Przepaści wężem złowrogim przeryły ogród, żlebem kamiennym zapadają w głębinę piekieł.

Potok to rwie się huraganem piany, to wypełnia milczeniem zimne bezdenne jeziora.

Potworne ropuchy i kameleony, gnieżdżące się w wilgotnych jamach, gadały ze sobą.

Księżyc przyświecał przez stare tysiącoletnie lasy cedrów.

Z baszt jarzyły się ognie.

Na szczycie niedostępnej góry migotał zamek łuską gwiazd.

Słuchałem bębnienia ropuch i szeptu kameleonów, które obsiadły w leju skalistym mgławe jeziora.

Myślałem o tych, co błądzą zamknięci w pieczarach.

Sam byłem — księżyc już zapadł za góry — chłodne milczenie nastrajało swój instrument przerażenia i rozpaczy.

Myślałem — jakie są tajemnice Boga, kiedy je ukrywa przed sobą samym? —

☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆

Przyległszy twarzą do granitowych wschodów świętego stawu — przysiągłem Tobie, Boże nieogarniony — —

Ty jeden usłyszałeś!

Czemuż przerywam milczenie?

Na górze upiornej, z pod całuna lodów mroczą się granity — i niebosiężne twierdze z białych marmurów — i stacza się błękitny lodozwał, jakby płaszcz olbrzyma

Tu karmią się u źródeł rzeki szalone i nieokiełznane, co trą głazy na miałki żwir — a im bliżej morza, ciche i głębokie.

Ja, król, wisiałem nad przepaściami, i nie miał mi nikt sznura dorzucić, nie było nikogo z żywych — prócz sępów, co się ważyły na tle śnieżnej straszliwej piramidy.

Pisałem sztyletem Imię Twe na bryle kobaltu, czekając rychło mi omdleje ręka i runę w otchłań, z której wiatr mroźny podnosił moje włosy do góry.

Ujrzałem kosodrzew i, wbijając szpony w ścianę, dociągłem się do drzewiny i przy niej ległem omdlały — złote ogniste zasłony otuliły oczy moje — a ptaszek lecący mógł mnie muśnięciem strącić tam w otchłań, gdzie ryczący potok tu zaledwo zdał się wężykiem srebra.

I począłem się zsuwać jakby z murów piekielnego grodu. — Teraz, gdy słońce zaszło, ja, minąwszy otchłanie, ucałowałem ziemię szmaragdową od traw — i spoglądam w obłoki płynące, które przyszły do gór tych na spoczynek nocny — patrzę ku morzu nieba, które się staje wciąż głębszą świątynią gwiazd i wtajemniczeń —

i wznawiam śluby moje z Tobą, o Niedosiężny — Straszny i Najmędrszy.

Jestem obłokiem zwiewnym, który przyszedł ku nieruchomym nadziemnym wyżynom, i wiatr poranku zwieje mię, dokąd Ty mu rozkażesz.

Gwiazdy gromnicami rozetlą się nade mną śniącym, dusza ma jak tchnienie kwiatu będzie się tuliła do Twoich ran, o Góro, z nizin umarłego stepu

wznosząca się śnieżną Allelują w nieprzejrzane Milczenia niebiosów.

Tadeusz Miciński.

LWY. TRAGEDYA ZWIERZĘCA W CZTERECH AKTACH. Z PROLOGIEM I EPILOGIEM.

Mors sola fatetur, quantula sint hominum corpuscula *(qui vivi cupiditates animorum explere nequeant.)*

JUVENALIS. SAT. X.

COMMENTARIUS RUPERTI.

OSOBY:

LEW STARY, ojciec (bas 1).
LEW MLODY, syn (bas 2).
GAZELA, pokusa (sopran).
POGROMCA, kara (tenor).
CHÓR DYSZKANTÓW.
CHÓR KONTRALTÓW.
CHÓR VOX HUMANA.
CHÓR VOX BESTIALIS.
REŻYSER, baryton.

Uwaga. Chóry śpiewają niewidzialne.

PROLOG.

1.

Kurtyna wyobraża maskę tragiczną. Przez jeden oczodziur patrzy oko minutę, potem znika.

REŻYSER, wyłażąc z pod kurtyny i klaniając się.

Panowie i damy!
Zaraz zaczynamy:
Tylko dwa-trzy zdania,
I rzecz się odsłania,
Panowie i damy!
Choć łatwiej być zwierzęciem niżeli aktorem,
Ale robić aktora zwierzęciu nie łacno;
Gdy więc moi artyści jakie głupstwo pacną,
Ja na siebie należną im przyganę biorę,

Żem nie umiał im dodać uczeńszej wyćwiki.
Co się tyczy zaś głosów rejestru i brzmienia,
Darujcie, gdy znajdziecie coś do przyganienia:
To trudno — lwy nie mogą ryczeć jak słowiki.
Nawet rola pokusy, którą gra gazela.
Jest to raczej partycya koźla niż aniela.
Co do chóru, wiadomo: przy najlepszej modle
Solistów czy najgorszej — chór-tłum ryczy podle.
Zatem, mniejsza o śpiewy: treść jeno niech strzela
W was, ku temu się kwapię i o to się modlę.

Widząc oznaki zniecierpliwienia, głosem szybkim:

Panowie i damy!
Sekunda — i gramy,
Panowie i damy!
Lecz pomimo najlepszych modłów mych i życzeń,
Nieodrazu schwycicie wątek kozłopieśni;
Więc starym obyczajem opowiem wam wcześniej,
Jakowa treść tych śpiewnych będzie wyjęzyczeń.
Opiany tutaj będzie los lwa, libertyna
Starego: jak go żądze wwiodły do niewoli;
Jak się kuglarstw nauczył, oraz dalsza kolej:
Jako z woli pogromcy spłodził w klatce syna,
Dawszy się rodzicielskiej opanować rui;
Jako syn ten zwyrodniał, acz ćwiczon od dziecka;
Jako przeciw staremu raz wystąpił lwu i
Jak go do uciekania podjudzał bez skutku.
To wam wszystko obwieści ta kozłopieśń smutku,
Zwana przez stylistyki tragedyą z grecka.

2.

Kłania się i chowa za kurtynę wciąż spuszczoną. Słychać kilka akordów chóralnych, falujących *piano*. Z tła ich wynurzają się kolejno śpiewy.

CHÓR DYSZKANTÓW.

Kraj zimny jest wyzuty
Z gorących barw i kras.
Po wszystek, wszystek czas
Maj lepszy był niż Luty.

CHÓR KONTRALTÓW.

Zwierz jeden, pojman raz,
Od pęt jest jako struty,
I będzie wył dopóty,
Aż czmychnie, czmychnie w las.

CHÓR VOX HUMANA!

A inny zwierz — jak płaz:
Choć będzie bity, pluty,
Tresunku czci statuty
I lgnie do ludzkich mas.

CHÓR VOX BESTIALIS.

Niech, niech nie dziwią was
Z ust bestyj ludzkie nuty:
Zwierz zewsząd, zewsząd szczuty,
W kadłuby ludzkie wlazł,

RAZEM.

Za winę są pokuty,
Lecz rzadko, by w sam raz:
Niejeden zły się spasł, } *bis.*
Dobremu brak na buty. }

Koniec prologu. *Zasłona idzie w górę zwolna i uroczyście.*

AKT I.

Połowa sceny (lewa) przedstawia pokoik dziewiczy wraz z dziewiczą Gazelą. Ściany pokoiku stanowi krata, której pręty zamaskowane są liśćmi. Druga połowa sceny (prawa) przedstawia las dziewiczy.

I.

GAZELA, oskubując liście mordką.

Czy kocha jak słodki sok traw
Mój Gazel mnie?

Czy lotny, rączy i żwaw
Ku innej mknie?

Zamyśla się i żuje liść ze smutkiem.

CHÓR VOX BESTIALIS.

Może się objadł i leży gdzie?

GAZELA.

Kochanku, zjawże się, zjaw.

CHÓR VOX HUMANA.

Że nie żył cnie,
Przeciął mu dnie
Strzał snadź?..

CHÓR VOX BESTIALIS.

Pif!.. Paf!..

CHÓR KONTRALTÓW.

O lesie, zbaw ty go, zbaw!

GAZELA, skubiąc listek za listkiem.

O liściu, ach, powiedz ty mi,
Nadzieją mnie nakarm zieloną:
Kocha?.. Nie kocha?.. Tak?.. Ni?..
Dużo?.. Cokolwiek?.. Nic pono?..

CHÓR DYSZKANTÓW.

On jej nie kocha, nie kocha,
Nie kocha wiele, ni trocha!

CHÓR KONTRALTÓW.

Być przez milego wzgardzoną,
O jakże los taki łzaw!

Słychać ryk lwi.

GAZELA, drżąc.

Co za złowieszczy to traf!

Czekać Gazela tu mam,
Gdzie krąży Lew, brutalny cham...

CHÓR KONTRALTÓW.

O dolo! zbaw ty ją, zbaw!

Ryk potężnieje.

GAZELA, drży i klęka.

Miłości, zbaw ty mnie, zbaw!..

Wstaje.

Czekać czy uciec?.. Jeżeli
Tu swej nie znajdzie gazeli
Gazel mój, zwierzę kochane?..

Namyśla się.

Czekać czy uciec?..

Stanowczo.

Zostanę.

CHÓR KONTRALTÓW.

Miłość lękliwych ośmieli,
Zrobi heroinę z gazeli.

CHÓR VOX BESTIALIS.

A z heroiny znów — matkę.

CHÓR DYSZKANTÓW.

Miłość — cne czucie i rzadkie.

Ryk zbliża się coraz bardziej.

GAZELA, z determinacyą.

Żeby tam nie wiem co, nie wiem....
Swemu miłemu nie skrewię.
On przyjdzie, to się obronim
Ucieczką w step chyżolotną;
A gdy lew zje mnie samotną,
To z myślą, z myślą zje o *nim*.

CHÓR KONTRALTÓW.

Choć przejął lęk ją do trzewi,
Ale miłemu nie skrewi.

CHÓR VOX HUMANA.

Miłość gazelę i króla
Znieczula na śmierć, znieczula.

2.

Wchodzi Lew stary i zatrzymuje się przed pokoikiem, nie dostrzegając zamaskowanych prętów. Gazeli też nie widzi.

LEW STARY, czkając.

Wiele dziś jadłem...

Czka.

Tak, wiele...
Żyje się, czem się brzuch naćka:
Nad wszystko dbajmy o maćka.

Rzuca okiem we wnętrze pokoiku.

Co widzę?..

Podchodzi bliżej.

Widzę Gazelę.

Oblizuje się.

Kpy mówią tak: cudzo-nie-łóż,
A ja: co widzisz, spotrzebuj.
Tego mnie uczył pa...

Czkając kończy wyraz.

...peusz.

Do Gazeli, która, dygocząc, dyga.

O wiotka, nie bój się, nie bój.

GAZELA, dygając.

Wybacz mi, puszcz potentacie,
Że jestem celem twych źrenic.
Przejdź, proszę, i nie rób mnie nic.

LEW STARY, z udaną srogością.

Zawsze mi tu się szwendacie,
Kusidła?.. Małe wam stepy?
Kogóż to czekasz?

GAZELA, rumieniąc się.

Gazela.

LEW STARY, przechodząc w żartobliwość.

Coś mu nie pilno wesela...

Obrzuca Gazelę wzrokiem.

Musi być chyba przyślepy.
Tylu powabom gazelim
Pozwalać więdnąć czekaniem!..

Surowo.

Bardzo mu, bardzo to ganię.

GAZELA, skromnie.

Tak się niedawno widzielim.

LEW STARY, jakby do siebie.

O naiwności dziewicza!

Wprost do Gazeli.

Patrz, ty mu dajesz kwiat wszystek,
A on lumpuje gdzieś chłystek...

Nagle i ogniście.

Chcesz? — ukarzemy panicza?..

Z natarczywym umizgiem.

Wszak on powinien niesytą
Łapą otoczyć biódr wzgórze,
W gardło kły wrazić, w ust róże
Całować...

Obłapia ją.

GAZELA.

Puść!..

LEW STARY.

Gazelito!..

CHÓR DYSZKANTÓW.

Ach, on ją zabałamuci!

CHÓR VOX HUMANA.

Pocóż budziła w nim chuci?

LEW STARY, całując Gazelę.

Smacznaś jest...

GAZELA.

Ty, okrutniku!

LEW STARY.

Mów... mnie podnieca błaganie.
Mów jeszcze...

GAZELA.

Błagam... tyranie!

LEW STARY.

Niezłą masz krewkę...

Zagryza Gazelę.

Po krzyku.

CHÓR DYSZKANTÓW.

Zagryzł Gazelę, o biada!

CHÓR KONTRALTÓW.

Kto zbytnio ufa, przepada.

3.

Wchodzi Pogromca i z trzaskiem zasuwa kratę. Lew porzuca niedogryzioną Gazelę i uderza łapami o pręty klatki, rycząc.

LEW STARY.

O piekło! — Wszędzie mur żelaz!..

Znam tych kraciastych moc budek...
A tom się złapał jak dudek!

POGROMCA, trzaskając batem.

Do cudzych gazel byś nie lazł!

Uderza Lwa po łapach. Następnie staje w pozie, z atletycznie wypiętą piersią, zwrócony do widzów.

Jak cenię dolar, niezłą mam gratkę.
Pocóżeś, królu, żądze rozpasał?
Zamiast pustyni będziesz miał kratkę,
Pod moim batem będziesz ty hasał.

CHÓR VOX HUMANA.

Żeby był nie był żądzy rozpasał,
Teraz by sobie po stepie hasał.

POGROMCA.

Choć i ja kocham, kocham Dolores,
Ale mi obca jest chuć zwierzęca:
Dolar mię, dolar więcej przynęca,
Więc mam trzos pełny i czyste *mores*.

CHÓRY, unisono.

Ten ma *dolores*, który ma żonę,
Ale ma *mores* nieuszkodzone.

Zasłona spada.

AKT II.

I.

Wnętrze wielkiej klatki cyrkowej. LEW STARY drzemie.

POGROMCA, wchodząc szybko i z trzaskiem.

No, dalej, królu, *auf!* — hop w środek obręczy!
Allez, allez, go, vorwärts!

LEW STARY, pokornie.

Ach, jak mię to męczy!..
Głodnym...

POGROMCA, pokazuje mu kawał jelit.

Głodnyś?.. *Post labores*
Dostaniesz ten tu ochłap.

LEW STARY.

Nie łżesz?

POGROMCA.

Na Dolores!

Lew skacze przez obręcz, ale, oburzony na siebie, mruczy z gniewu. Pogromca bije go i mówi:

A, jeszcze nie możemy pożegnać się z pychą!
Skacz mi tu przyzwoiciej!.. Ani mru-mru — cicho!

Bije go znowu.

LEW STARY, skacząc.

O, rab jużem, rab!

POGROMCA, rzuca mu ochłap.

Na, królu, *atrappe!*

Lew chwyta mięso, pożera je i zlizuje ślad krwi na podłodze.

2.

CHÓR VOX HUMANA.

A przecież był to śmiały lew:
Gazele przed nim drżały...

CHÓR KONTRALTÓW.

A... a... a... a... a... ch!

CHÓR DYSZKANTÓW.

A... a... a... a... a... ch!

CHÓR VOX BESTIALIS.

A... a... a... a... a... ch!

CHÓR VOX HUMANA.

W łakomym zwierzu
Serce zajęcze.

CHÓR VOX BESTIALIS.

Lwa uczy skakać
Głód...

CHÓR DYSZKANTÓW.

Przez obręcze.

CHÓRY RAZEM.

A... a... a... ch!

POGROMCA.

Dość, królu, nie należy
Zlizywać z talerzy.

LEW STARY, z bolesną ironią.

Dobra lwu i kropla...

POGROMCA.

Skacz no jeszcze! — hopla!

LEW STARY, skacząc.

Przeklęty cyrk twój!

POGROMCA.

Ruhig!

LEW STARY.

Licho pal to!

POGROMCA bije go i nadstawia obręcz.

Ani mi słówka!

Lew skacze.

Jeszcze jedno *salto!*

Lew skacze. Pogromca klepie go.

All right! Aż miło — lwy dobrze ćwiczone.

Rzuca lwu mięsa więcej. Lew pożera je.

3.

POGROMCA.

Zgadnij, com ci zgotował?

LEW STARY z namysłem.

Rostbeef?

POGROMCA kiwa głową zaprzeczająco.

LEW STARY.

Schnitzel?

POGROMCA, jak wyżej.

LEW STARY.

???

POGROMCA.

Żonę —
Poczciwą, hodowaną u mnie z niemowlątka
W cnotliwej, mocnej klatce... Bo najlepsze lwiątka
Są wyedukowane w kratkowanym stanie.

LEW STARY, uradowany.

Brawo! Bylebym śniadanie
Tylko miewał sutsze,
Możnaby *klown*'a bytem, bez troski o jutrze
Radować lica...
Gdzież jest ta lwica?
Już mi jej głodno.

POGROMCA, wychodzi i po chwili wprowadza lwicę, a zwracając się do Lwa:

Ślubuj - że miłość w następstwa płodną.

Wychodzi.

Lew przygląda się lwicy i postępuje ku niej z oznakami rui. Zasłona spada. Słychać chóry.

4.

CHÓR VOX HUMANA.

A jednak był to śmiały lew:
Gazele przed nim drżały!..

CHÓR VOX BESTIALIS.

Z gazeli rączych, wiotkich ciał
Uciechę lew ten stary miał.

CHÓR KONTRALTÓW.

Dziś padło mu rozgrzewa krew.

CHÓR DYSZKANTÓW.

Ach biedny, padły lew!

RAZEM.

A... a... a... a... a... ch!

Milczenie. Do następnego aktu upływają dwa lata.

AKT III.

1.

Inna klatka. Wnętrze jej, tam i z powrotem, gorączkowo przemierza

LEW MŁODY, bijąc się po bokach ogonem.

M!..........

CHÓR VOX HUMANA.

Szczęsnej lwa doli lwica jest metą.

CHÓR VOX BESTIALIS.

A nieszczęśliwej — zapomnień Letą.

CHÓR VOX HUMANA.

Jeno nieszczęsny lew niech pamięta,
Że w hecy sam — do hec rodzi lwięta.

LEW MŁODY, jak wyżej.

M!..........

CHÓR KONTRALTÓW.

Chodzi syn w klatce, niby wahadło:
Życie mu gorzkie, niesmaczne jadło.

CHÓR VOX BESTIALIS.

Prozy czczość wszystka, od *a* do *zeta,*
Dręczy go. Schudł, osowiał... Poeta!

CHÓR VOX HUMANA.

Tak to na świecie tym, pełnym chuci:
Ojciec się cieszy, a syn się smuci.

LEW MŁODY, jak wyżej.

M!..........

2.

POGROMCA wchodzi i klepie lwa po ramieniu. Lew wzdryga się.

No, *amigo,* co słychać? Rośniemy? Mężniejem?

Spostrzega mięso niezjedzone.

Czemu nie jesz?

LEW MŁODY, chmurnie i mrukliwie.

Nie jem.

POGROMCA.

Cóż to za ascetyzmy? Nie znoszę tych wstrętów.
Jedz.

LEW MŁODY.

Powiedz, czy na świecie, prócz żelaznych prętów
Nic nie rośnie innego?.. Czy na tym obszarze,
Który zowiesz areną, tylko gminne twarze
Burżujów!..

POGROMCA.

Mów — publiki: to nasza Golkonda.

LEW MŁODY.

Jeżeli chcesz, bym jadł, to mów, jak świat wygląda
Tam... hen...

POGROMCA, biorąc obręcz.

Świat?.. Tej okrągłej przypatrz się obręczy
I skocz w nią, to ci powiem.

Lew skacze.

Obręcz ci nastręczy
Sposób urozumienia świata. Świat jest, jako ona,
Okrągły...

LEW MŁODY.

Czy i płaski?

POGROMCA.

Nie — w kształcie balona.

LEW MŁODY.

A więc świat jest okrągły, nadęty i pusty?

POGROMCA.

Gadajże do biskupa! O głowo kapusty!
Świat posiada masywność — masywność dolara.
Dzieli się zaś na części: naprzód idzie stara
Część, kulturalna. W tej arystokratce
Wszystkie drapieżne zwierzęta, — w klatce.

LEW MŁODY.

Rozumiem... tak, rozumiem... No, a w innej części?

POGROMCA.

Prawo Lynch'a: stryka, pięści,
Kto mocniejszy, ten jest górą,
Nic nie pyta, łupi, grabi,
I to się zowie — naturą.

LEW MŁODY.

A więc u was górą — słabi?

POGROMCA, bezwiednie potrząsa batem.

No tak... nie... tak... Widzisz... zrozum —
My za siłę mamy rozum,
Systematy, sąd, tresurę,
Spekulacye, podręczniki,
Zoologie, botaniki...

LEW MŁODY.

Co to?

POGROMCA.

Streszczam ci kulturę.
Co w naturze rośnie dzikiej
W niebo: u nas — w książek pliki.

LEW MŁODY.

A...
Proszę cię miłośnie,
Cóż tam rośnie?

POGROMCA.

Rosną puszcze,
Gdzie są tłuszcze
Dużych, dużych drzew.
Tyle zwierza
Z mięsa, z pierza:
Taki ryk, gwar, śpiew...

LEW MŁODY, porykując.

M!..

CHÓRY RAZEM.

m... m... m... m...

POGROMCA.

Pni, gałęzi
W lian uwięzi
Mur... Chcesz iść, to tnij.
Małp, żmij — ajaj!..
Łap, oswajaj
I na targi szlij.

LEW MŁODY, porykując mocniej.

MM!!..

CHÓRY RAZEM.

mm... mm... mm...

POGROMCA.

Panter, słoni
Nikt nie broni —
Bierz... Tam wolna dzicz.
Rysia, żbika,
Pumę — w łyka
Wiąż, głódź, tresuj, ćwicz!

LEW MŁODY, rycząc coraz groźniej.

MMM!!!..,

CHÓRY RAZEM.

mmm... mmm...

POGROMCA.

Co gazeli
W pustyń bieli
Tych gorących stref!..

Kóz, łań — mrowie;
Chwytaj, łów je...

LEW MŁODY, zgrzytając.

Któż ich królem?

POGROMCA, nie widzi groźnej miny Lwa.

Lew.

LEW MŁODY, ze strasznym rykiem.

MMMM!..........

Rzuca się na Pogromcę i zagryza go.

Chóry wydają jeden ztonowany okrzyk i cichną, potem —

3.

CHÓR VOX HUMANA.

Ginie, kto żądzmi swemi nie władnie.
Lew stary — w pętach, bo cudzołożył.

CHÓR DYSZKANTÓW.

Pogromca byłby do śmierci dożył,
Gdyby nie śpiewał Lwu był tak ładnie.

CHÓR VOX BESTIALIS i CHÓR KONTRALTÓW.

Któż to przeczuje, któż to odgadnie?
Ten jutro w górze, kto dzisiaj na dnie.

CHÓR DYSZKANTÓW.

Wprzódy Pogromca jego batożył —

CHÓR KONTRALTÓW.

Teraz Lew jemu wgryza się do żył.

CHÓRY RAZEM.

Dziś leży martwy ten, co się srożył.
Któż to wie, jaki komu los padnie?

AKT IV.

1.

Wnętrze klatki LWA STAREGO, który z trudem ogryza kość. Drzwi klatki otwarte.

LEW MŁODY wpada wzburzony.

Ojcze!

LEW STARY, nie wypuszczając kości.

No, czego?

LEW MŁODY.

Zrodziłeś mię!

LEW STARY.

Bzika.

LEW MŁODY.

Gdzieindziej się otwiera świat, a tu — zamyka!..
Gdziendziej kwitnie radość, a tu plon — żółć, piołun!..
Zrodziłeś mię, mój ojcze, na wstyd, srom publiczny!
Oddaj mi, pustyń żar mój, step mój bezgraniczny —
Step, gdzie rosną gazele, jak mówił ten kloun...
Któregom zamordował...

LEW STARY, porzucając kość.

O synu nieszczęsny! —
Ten, z któregośmy żyli łaskawości mięsnej!..

LEW MŁODY.

Ojcze, tyś zepsiał!..

LEW STARY.

Ha, kto nie zepsieje,
Gdy za byle złe *salto* po dniach całych nie je.

LEW MŁODY, wskazując na otwarte drzwi.

Uciekajmy!

LEW STARY.

Zwaryował!

LEW MŁODY.

Toż klatka otwarta!
Hej w pustynię, w pustynię, gdzie stada gazeli!..

LEW STARY.

Hm... gazeli?..

Po namyśle.

Nie, na nic! Sprawa dyabła warta.
Uciekamy. Cóż dalej?.. Anibym zipnęli,
Jużby nas upolował lub pojmał myśliwiec —
In primis sobie, synku, zanotuj to i wiedz,
Że, jako cyganerya — mówię ci otwarcie —
Nie mielibyśmy, przyznaj, czem płacić za żarcie.
I zdechnięcieby z głodu czekało nas jeno.

LEW MŁODY, zapalczywie.

To zdechniem! Chodź! pomyśl — zdechniem za areną!

LEW STARY.

Posłuchaj, znośmy jakoś więzy społeczności:
W cyrku życie nie lekkie, lecz cięższe, kto pości.

LEW MŁODY.

Chodź... Słyszałem, są lasy gdzieś majoratowe.
Chodź!.. zaczniemy pielgrzymie życie z postem,— nowe!

LEW STARY.

Nie... Jam przywykł do cyrku... Lubię oklask, tłumy...

LEW MŁODY, z gniewem.

O ty padlinolubie! O ty, lwie bez dumy!

LEW STARY, spokorniały.

Lecz z myślą o jutrze.

LEW MŁODY, z furyą.

Haniebnem...

LEW STARY, jak wyżej.

Wierz mi, nie żałuj tych stref,
Tam, gdzie...

LEW MŁODY, groźnie.

Co tam gdzie?

LEW STARY, wstydliwie.

Gdzie bydło chudsze...

LEW MŁODY, groźniej.

Ale gdzie...

LEW STARY, z wahaniem.

Co gdzie?

LEW MŁODY, ryczący strasznie.

Gdzie Królem — lew.

Rzuca się na lwa starego i zagryza.

2.

LEW MŁODY.

Tak, śmierć pomiędzy mną i tem sadłem!

Chce wybiedz i zatrzymuje się w progu klatki.

A jeśli złapią?..

Po chwili wahania.

Ha, to — przepadłem!

Wybiega. Za sceną słychać grzmot wystrzałów i okrzyki zwiastujące śmierć ojcobójcy.

3.

CHÓR VOX BESTIALIS.

Rodzinne z ojcem zerwał ogniwo:
Tresurą wzgardził, więc zginął ckliwo.

CHÓR DYSZKANTÓW.

Lewkowi obrzydł tresury nałóg:
Każdy młodzieniec stroni od nauk.

CHÓR KONTRALTÓW.

Płaczem młodego lwa, płaczem czule:
Kędy się zwróci — krew, rany, kule.

CHÓR VOX HUMANA.

Ani ja, ani ja go nie winię,
Że nad publiczność kochał pustynię.

RAZEM.

Gdy w chuci siejba — w płakaniu żniwo,
Ale któż sieje chuć w ojce, matki?
Jednych w pustynie a innych w klatki?

Wielkim głosem.

Uchodźmy! — chodźmy z miejsc tych co żywo!

Słychać, jak za sceną hałasując i tupiąc chóry wybiegają.

Zasłona spada.

EPILOG.

Zasłona odchyla się nanowo.

REŻYSER.

Damy i panowie!
Jeszcze dwie, trzy gamy,
Że się tak wysłowię,
Panowie i damy.
Lew młody, postrzeleniec, jest postrzelon kulą.
Stary zginął. Gazela, wzorek wiernej żony,

Zżarta. I Pogromca na śmierć pogromiony.
Tyle zgonów! Niech czuli teraz się rozczulą.
Temu zaś, co nie wzruszy się, co łez nie roni,
Lecz koniecznie aluzyj użytecznych szuka,
Temu powiem, że sens tu leży jak na dłoni.
Stary tu lew to *proza* jest, a młody — *sztuka.*
Lew - rozpustnik to *życie* skaczące w żądz kole;
Cyrk, Pogromca — *światowych* nałogów symbole;
Lew młody to *poezya,* która z życiem zrywa,
Mruczy na ten sprosnością przepełniony światek,
I tresurą hecarską nękana do żywa,
Gryzie się i wyzwala z tych życiowych kratek.
Panowie i damy!
Skończone. Żegnamy.

KONIEC.

Jan Lemański.

Nieznana rycina Jana Ziarnka.

I.

„Sztuka sztycharska w miedziorytach“ powiada E. Rastawiecki we wstępie do swego *Słownika rytowników polskich* — „sięga u nas końca XV, a samych początków XVI wieku“. Wyrażenie „u nas“ jest tu, co najmniej, nieścisłością. Mieliśmy wprawdzie w owym czasie artystów, równie urodzonych w kraju, jak sprowadzonych z obczyzny, którzy i w dziedzinie sztycharstwa chlubne zdobyli sobie imię, — ale prace ich w tym kierunku bynajmniej nie u nas powstawały. Z trzynastu znanych rycin Wita Stwosza, dwie lub trzy zaledwie noszą pono datę krakowską; reszta była niewątpliwie owocem norymberskiego okresu twórczości mistrza. Przyzwany przez Zygmunta Starego J. J. Caraglio, znakomity sztycharz na miedzi, u nas jedynie jako medalier oraz *gemmarum incisor* ślady czynności swej pozostawił. Po za tem, w ciągu dalszym XVI wieku, jak konstatuje, sprzecznie z pierwszem twier-

dzeniem, sam Rastawiecki, „nie zdarzy się natrafić jakiejkolwiek, choćby luźnej, tamtocześnie sztychowanej u nas ryciny, niema śladu nazwiska jakiego sztycharza“. Dałoby się to wytłómaczyć, dla owej epoki, wszechwładnem panowaniem drzeworytnictwa, które zagarnęło u nas na wyłączną swą własność nietylko nader bogate pod ten czas zdobnictwo książkowe, lecz nawet luźnie wychodzące „kontrefekty“ wydarzeń, budowli i osób.

Ale i w XVII wieku nieinaczej poniekąd się działo. Luźnych rycin mamy już tutaj obfitość; nawet w książkach miedzioryty poczynają wypierać drzeworyt; posiadamy słynnych na cały świat sztycharzy swoich i z zagranicy sprowadzanych; — a jednak, mimo to wszystko, niepodobna rzec, aby sztuka miedziorytnicza *u nas* się rozwijała. Że dla sztycharzy zagranicznych pobyt w kraju naszym był tylko epizodem w życiu i twórczości, to łatwo zrozumieć. Przyzwani bądź przez króla, bądź przez którego z magnatów czy patrycyuszów, osiadali u nas na czas pewien, przynosząc obcą kulturę artystyczną; wykonywali mniejszy lub większy szereg prac, stanowiących w każdym razie cząsteczkę tylko ogólnego ich dorobku rytowniczego; potem wracali do ojczyzny, dokąd, prócz uczuć osobistych, ciągnęły ich zapewne — większy ruch artystyczny, oraz większe, a niekiedy i wdzięczniejsze, dla prac sztycharskich pole. Bardziej zastanawiającym i charakterystycznym jest objaw, że nawet swojscy rytownicy przejściowo tylko bawili w kraju i większość sztychów swych tworzyli za granicą. Unaoczniają to w całej rozciągłości daty biograficzne oraz cyfry katalogowe choćby samego Jeremiasza Falcka. Z dwudziestu dwóch lat jego twórczości, sześć zaledwie (1647—1653), i to przerywanych ciągłemi wyjazdami do Szwecyi, przypada na pobyt w Gdańsku; reszta dzieli się między Paryżem i Holandyą (1641—1646), Szwecyą i Danią (1654), Holandyą

i Hamburgiem (1655—1663). Klasyfikacya sztychów artysty, według przedmiotów oraz miejsca powstania, niemniej wymownemi uderza cyframi. Sztychy gdańsko-polskie obejmują tylko 92 numery, podczas gdy paryzkich znamy 173, szwedzko-duńskich 36, a holenderskich i hamburskich 129. Ogromne te różnice przestaną nas dziwić, gdy, przejrzawszy szczegółowo katalogi prac Falckowskich, przekonamy się, jak szczupły właściwie był zakres działalności jego w kraju. Portrety królów, magnatów, patrycyuszów gdańskich i mężów uczonych, w ograniczonej, z natury rzeczy, liczbie, oraz niezbyt również liczne karty tytułowe do wydawnictw bibliopoli Foerstera — oto prawie i wszystko. Zagranica, oprócz tych samych tematów, dawała mu nadto chętnych i licznych wydawców na oryginalne kompozycye mitologiczne, historyczne, biblijne, alegoryczne (głównie Paryż), oraz na ryciny z obrazów wielkich mistrzów flamandzkich i włoskich (Holandya i Hamburg). Czyż dziw, iż, skoro w kraju nie miał co robić, siedział między obcymi, dbale jeno i często zaznaczając swe pochodzenie?

Jeżeli taką miał dolę mistrz wielkiej, europejskiej sławy, o ileż trudniejszem musiało być położenie mniej rozgłośnych jego rówieśników, np. owego tajemniczego a tak bardzo interesującego akwaforcisty Macieja Morawy, a bardziej jeszcze takich, jak Jan Ziarnko, prekursorów sztycharstwa polskiego, występujących w epoce zupełnej u nas przewagi drzeworytu! Dla nich stanowczo już w kraju miejsca nie było. Za młodu ciągnęły ich nieodparcie wielkie ogniska ruchu artystycznego we Włoszech, w Paryżu, w Holandyi, w Niemczech, a gdy, wyrobiwszy się tam i doszedłszy do sławy i uznania, powracali w strony rodzinne, brak odpowiedniego pola działalności zmuszał ich bądź do utrudnionych przez odległość stosunków z umiejącymi cenić nawet obce talenty

wydawcami zagranicznymi [*]), bądź do ostatecznego już tym razem wyniesienia się gdzieś na zachód czy na południe. Wędrowne takie żywoty mogły mieć i dobrą stronę. Przyczyniały się niewątpliwie do rozszerzenia twórczej indywidualności artystów, obdarzały ich kulturą wysoką, jakiej u siebie w domu osiągnąćby nie zdołali, roznosiły wreszcie po świecie sławę polskiego imienia i zdolności. Jednocześnie wszakże, stała emigracya najwybitniejszych talentów uniemożliwiała na miejscu wszelki istotny, następczy rozwój danego odłamu sztuki. Z drugiej zaś strony, była ona w znacznej mierze powodem zatracenia się dzieł tych wysiedleńców i nawet samej ich pamięci. W kraju, niemającym jeszcze wyraźnych pragnień i potrzeb artystycznych, zapominano rychło o nieobecnych, a zagranica, acz widocznie i niekiedy gorąco interesująca się zdolnymi przybyszami, nie mogła, z natury rzeczy, mieć dla nich tego pietyzmu, co dla odpowiednich talentów miejscowych. Ztąd — gdy w pierwszej połowie ubiegłego stulecia rozpoczęto z niezwykłą gorliwością inwentarzować przeszłość sztuki wogóle i grafiki w szczególności — ani swojskie, ani obce opracowania w tym kierunku nie mogły zdobyć się na jako tako wystarczające wiadomości o takich wysokich i ze wszech miar zajmujących artystach, jak Jan Ziarnko i Maciej Morawa. Morawę odkrył dopiero G. K. Nagler (Kunstlexicon, IX, 451), natrafiwszy na pięć jego rycin w zbiorze hr. Sternberg-Manderschied'a,— ale, ponad wyliczenie ich, oraz kilka słów uznania dla „szerokiego stylu tych kwasorytów", nic rzeczowego o artyście do powiedzenia nie miał. Jan Ziarnko wcześniej znacznie przy-

---

[*]) Gw. Pawlikowski miał pono jakieś dane, że Ziarnko, po powrocie do Lwowa, ztamtąd jeszcze wykonywane blachy przesyłał do Paryża wydawcy swemu Janowi le Clerc le jeune, który je tamże odbijał. *(E. Rastawiecki, Słownik mal. pol., III, 83).*

pomniał się pamięci znawców i częstszych później był poszukiwań przedmiotem. Pisali o nim — H. R. Fuessli (jeszcze w XVIII w.), J. Piwarski, J. Gw. Pawlikowski (po dwakroć), Nagler (po dwakroć), H. Szmit, wreszcie E. Rastawiecki (po dwakroć). Mimo wszakże tej względnie bogatej literatury, wiemy o nim bardzo mało, tyle zaledwie, ile potrzeba do rozbudzenia żywej ciekawości i uprawomocnienia nader pochlebnych przypuszczeń. Badacze polscy, idąc za zdaniem Naglera, który nie mógł sobie dać rady z różnemi przekręceniami nazwiska artysty (Zianko, Ziarnko, Ztaruko etc.) i radził, w kraju (in Warschau) „den Schleier lüften", wydobyli istotnie z lwowskich akt miejskich cały szereg danych biograficznych i genealogicznych, stwierdzili identyczność różnych podpisów naszego rytownika, rzucili sporo światła na sytuacyę jego w mieście rodzinnem, określili wreszcie mniej więcej datę jego wyjazdu za granicę. Prac jego za to nie o wiele więcej od Naglera odkryć zdołali. Z dzieł malarskich nie odnaleźli ani jednego; rycin, wykonanych z jego obrazów lub rysunków przez Vanderheydena, Kl. Mellana i Halbecka, skatalogowali ogółem sześć tylko numerów (plansz 29); własnych jego wreszcie, oryginalnych sztychów zebrali zaledwie numerów 15 (plansz 40) — i to niezawsze pewnych. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż jest to tylko drobna cząsteczka puścizny po Ziarnku, a nie odkryto więcej dla tego, że, wogóle, zawierzając zbytnio trafowi, nie prowadzono poszukiwań dość systematycznie, z należytym obmysłem i planem, w szczególności zaś, że, trzymając się rady Naglera, położono w nich nacisk główny na kraj, podczas gdy, według tego, co udowadnialiśmy powyżej, uwagę zwrócić należało przedewszystkiem na Paryż. Musiał być Jan Ziarnko, jeszcze przed wyjazdem zagranicę, nader znanym i cenionym w rodzinnem mieście artystą, skoro akta i przywileje, do-

tyczące lwowskiego cechu malarskiego, bardzo często wymieniają go i odznaczają, jako jednego z pierwszych tego bractwa magistrów. Jako taki, próbował snadź i drzeworytnictwa, o czem zresztą wiadomości nie mamy. Ze sztycharstwem na miedzi zaznajomił się niewątpliwie dopiero we Włoszech, gdzie trafił na schyłek świetnej w dziejach rytownictwa włoskiego epoki obu Carraccich (Annibala i Augustyna), Marcantonia Raimondi i Jerzego Ghisi. Właściwy atoli okres najdojrzalszej i najpłodniejszej jego twórczości, równie malarskiej jak rytowniczej, przypada na dwadzieścia i kilka lat spędzonych bez przerwy w stolicy Francyi. W krótkim bardzo czasie doszedł on tam do zadziwiającego, jak na cudzoziemca, rozgłosu i wziętości. Widzimy go w stosunkach ze sferami dworskiemi i urzędowemi, na zamówienie których, zapewne, wykonywa sztychowane portrety królów, widoki miast i fortec, oraz wizerunki posiedzeń rad miejskich i Stanów Jeneralnych. Rytownicy miejscowi najbardziej znani i rozrywani (że wymienimy tylko Klaudyusza Mellan'a) sztychują jego obrazy i rysunki, i to nawet takie, które z tematu mniejby mogły Francuzów zajmować, np. owo „Męczeństwo Jana Sarcander, xiędza zamęczonego przez kalwinów w Morawach“, albo „Zdarzenie chłopa podającego rzepę królowi“, gdzie Ziarnko chciał pono uplastycznić kronikarską opowieść o Bolesławie Śmiałym w puszczy Niepołomickiej, a co Francuzi brali jakoby za wypadek z życia Ludwika XI. Wydawcy (Jean le Clerc, Jean Petit-Pas, A. de Sommeville i inni) ubiegają się o jego kompozycye alegoryczne, o karty tytułowe do dzieł, zwłaszcza na wielką skalę zamierzonych albo przez znakomite osoby napisanych, o ilustracye wreszcie do apokalipsy lub o sztychy z obrazów na tle biblijnem osnutych. Zainteresowanie takie podniecą z jednej strony artystę, a z drugiej coraz nowej wymaga od niego strawy. Nie ulega też

najmniejszej wątpliwości, że Ziarnko, w paryskiej epoce, malował, rysował i rytował nader wiele, a w każdym razie znakomicie więcej, niż to, co do nas doszło. Wszystkie zaś te utwory, wobec rozgłosu artysty, musiały być z pewnością rozchwytywane przez miejscowe sfery kulturalne. Ztąd wniosek nasz, wyżej wypowiedziany, że dzieł Ziarnka przedewszystkiem we Francyi szukać należy, nieograniczając się naturalnie do zbioru rycin przy Bibliotece Narodowej, lecz przepatrując troskliwie inne jeszcze muzea paryskie i prowincyonalne, a zwłaszcza niesłychanie liczne i bogate zbiory prywatnych osób, i nie cofając się nawet przed pośrednictwem jakiegoś *Intermédiaire des chercheurs* albo innego czasopisma w tym rodzaju. Tą drogą dałoby się nader prawdopodobnie wykryć nietylko dalsze, nieznane dotąd ryciny Ziarnka, ale nawet jego rysunki i obrazy, co umożliwiłoby dopiero wszechstronną ocenę jego talentu. Szczęśliwi będziemy, jeżeli krótkie powyższe uwagi przydadzą się komuś, kto będzie miał możność takie szerokie i systematyczne przedsięwziąć poszukiwania. Zanim to nastąpi, uważamy za obowiązek swój podać krótki opis i ocenę niezanotowanej dotąd nigdzie ryciny artysty naszego, którą wystawiła na sprzedaż antykwarnia Ludwika Rosenthala w Monachium i która, dzięki łaskawemu pośrednictwu p. Wacława Berenta, dostała się w nasze ręce, — dziwnym trafem, tej samej prawie chwili, gdy w zbiorach Medyki oraz p. Bartynowskiego odnaleziono dwie, nieznane ani Naglerowi, ani Rastawieckiemu, akwaforty Macieja Morawy.

II.

Nieznana ta kompozycya, odbita na wielkim arkuszu (39 cent. wys. × 31 szer.) żeberkowego papieru, z wod-

nym znakiem, składającym się z godła w postaci dzwonu i z nieczytelnego, niestety, napisu, — wyobraża sabat czarownic. Wielkość ryciny samej wynosi tylko $24^1/_2$ cent. wys. × 30 cent. szer. Resztę miejsca zajmują: u góry tytuł „Description et figure du Sabbat des sorciers", oraz uwaga „Il faut mettre cette Figure au Discours 4 du 2 Livre, entre les pages 118 et 119"; u dołu zaś — objaśnienia poszczególnych części obrazu, powiązane z niemi za pomocą odnośników literowych, które jednak, na szczęście, nie wybijają się zbytnio z tła obrazu. Uwaga powyżej przytoczona zdaje się wskazywać, że była to ilustracya do jakiegoś dzieła, traktującego o demonomanii i czarownictwie. Do jakiego, trudno powiedzieć bez poszukiwań specyalnych. Początek XVII wieku był chwilą najwyższego, najfanatyczniejszego interesowania się temi sprawami. Od dzieł o czarach, czarownicach, sabatach, demonomaniach, demonolatryach i t. p. mrowiło się poprostu, a książki te widocznie tak były rozchwytywane, że edycye i przekłady różnych Boguet'ów, de Lancre'ów, Bodin'ów, Del Rio'ów, ze zdumiewającą na owe czasy zjawiały się po sobie szybkością. Ktoś siedzący w Paryżu—mając już drobną wskazówkę, że dzieło poszukiwane ma się dzielić na księgi a księgi na dyskursy — mógłby zająć się przepatrzeniem w bibliotece Arsenału całej tej literatury. Praca nie byłaby snadź bezowocna, gdyż okolnemi drogami prowadziłaby może do odkrycia nowych Ziarnka śladów.

Wizerunek sabatu, z uwzględnieniem wszystkich jego scen i nawet uprzedniego momentu jazdy nań, o ile nie ma rozpaść się na szereg odrębnych, wnętrzną tylko myślą powiązanych obrazków, i o ile każda scena równie wyraziście ma się przedstawiać oku widza, — znakomite artyście nastręcza trudności. Dlatego, przedewszystkiem, uderza nas pomysłowość i nawet pewna brawura, z ja-

kiemi Ziarnko wywiązał się z kompozycyi ogólnej. Mamy przed sobą pustynny, posępny stok wzgórza, wysoko, pod samym górnym brzegiem obrazu, zarysowujący wyniosłem żebrem swem linię horyzontu, a u dołu przechodzący w mokradle, jaskinie i rozpadliny. Na pierwszym planie, u stóp wzgórza, prawie pośrodku kompozycyi, trzy wiedźmy, otoczone plującemi ropuchami i fantastycznemi płazami, gotują w kotle czarnoksięzkie wywary, „*soit pour faire mourir et maleficier les hommes, soit pour gaster le bestail*". Buchające z kotła opary szeroką, zwichrzoną, dymną smugą przecinają do samej góry cały środek obrazu, a w skłębionej, fantastycznej tej chmurze wiruje, miota się, szaleje widziadlany, olbrzymi wyraj na sabat, jakby z dziejących się poniżej praktyk czarnoksięzkich wylęgły. Czarownice na miotłach i ożogach, dyabły, inkuby, larwy, strygi, potworne płazy i owady, z wyciem, świstem i klaskaniem w ręce, gnają, niby huraganem wściekłym niesione, ku jakiejś odległej Łysej Górze, którą jedna z czarownic, w odwianym dymów szmacie na olbrzymim koźle ujeżdżająca i już, już docierająca do celu, rozhukanym jakimś, przerażającym wita porykiem. W ten sposób, artysta zdołał dać nawet scenę poprzedzającego sam sabat zlotu, wizyjne mu jakieś w skotłowanym tumanie wyziewów guślarskich nadając kształty. Po obu stronach tej upowijającej niejako przeszłość zawieruchy, roztaczają się, dotykalniejsze, wyrazistsze, teraźniejsze, kolejne sceny sabatu. Na prawo od strony widza, u samego szczytu wzgórza, wysterczając ponad jego żebro i hieratycznie rysując się na zwichrzonem tle nieba, dominują nad wszystkiem wyniosłe trzy trony. Na środkowym, najwyższym, w kształcie kazalnicy, on, szatan, gospodarz uroczystości, w postaci brodatego kozła o pięciu rozłożystych rogach, z których środkowy płonie ogniem mającym rozniecić wszystkie światła, wszystkie pochodnie i ogni-

ska sabatu. Po prawicy pana i władcy — tryumfująca, ukoronowana królowa sabatu; po lewicy—druga, nie tak łaskami ciesząca się, i przeto *dolorosa*, posępna, w mnisze jakieś spowita welony. Nieco poniżej młoda, naga czarownica z rozwianemi włosami, w towarzystwie fantastycznego dyabła o motylich skrzydłach, klęcząc przed tronem, przedstawia szatanowi dziecię, które z sobą na sabat przywiodła. Jeszcze niżej, ku prawemu skrajowi obrazu wielkie koło taneczne demonów i czarownic, okrążające w prysiudach wyuzdanych pień drzewa przeklętego. Na samym dole, w tworzącej się przez załamanie wzgórza zacisznej rozpadlinie, ohydna uczta sabatowa, przy której biesiadnicy rozkoszują się wszelkiemi padlinami, ciałami wisielców, sercami dzieci niechrzczonych oraz wszelakiem ścierwem zwierząt nieczystych i przez chrześcian nieużywanych. — Po lewej stronie chmury dymów, na równi z tronem szatana, wrzaskliwa i razem zawodząca muzyka sabatowa. Przygrywać się ona zdaje zarówno wspomnianej już grupie pod drzewem przeklętem, jak i rozpętanemu, histerycznemu wirowaniu koła nagich czarownic, tuż przy muzykantkach. Poniżej zbestwionej tej sarabandy, znaczna grupa bogato, po wielkopańsku strojnych, a przytem zamaskowanych lub zawoalowanych kobiet i mężczyzn, w poważnych jakichś zatopiona rozprawach. Są to możni i bogacze, omawiający wielkie sprawy sabatu, a niechcący być poznanymi. Pod nimi, w lewym dolnym kącie obrazu, nad wspomnianą już wyżej mokradlą, szereg zbrojnych w kije i pręty małych chłopaczków, z których każdy pilnuje ropuszego stada tej, co go na sabat przywiodła. W pośrodku, pod najbliższemi kotła kłębami dymu, szarzeje niewyraźnie, z czarnej jaskini, skonwulsyonowana najwyższem przerażeniem na widok tych scen piekielnych, postać jakiegoś przypadkiem w złowrogie to miejsce zbłąkanego pasterza czy wę-

drowca o zjeżonych lasem włosach i krzykiem przeraźliwym rozdartych ustach.

Cała ta kompozycya, acz tak złożona, jest niesłychanie prosta, wyrazista, naturalna, i wiążąca się w jedność. Każda z poszczególnych scen ma swój odrębny, silnie zaznaczony charakter, tu hieratyczny, tam rodzajowy, ówdzie sielsko idyliczny, gdzieindziej brutalnie zmysłowy, jeszcze indziej przejmująco uczuciowy albo baśniowo fantastyczny, ale całość powleka i przepaja jakiś wspólny ton posępu i tajemniczości, dający wrażenie, że patrzymy na pogranicze rzeczywistości i obłędnych jakichś sfer dusznych, które skutkiem masowej autosugestyi przybierają niekiedy rzeczywistości pozory. W tem specyalnem zabarwieniu, z niesłychaną wyrazistością występuje ogromna rozmaitość wprowadzonych przez artystę typów ludzkich, oraz przedziwne bogactwo wyrazów twarzy, póz, ruchów i wogóle wszelkich indywidualnych odcieni w uzewnętrznianiu się stanów dusznych. Niewielki i na pozór szematyczny wizerunek sabatu, z jednej strony, odsłania nam perspektywę na daleko szersze warstwy i słoje życia w tej przełomowej między 16-to i 17-towieczem epoce, z jej różnicami stanowemi, zwyczajami — i kostyumami nawet; z drugiej zaś strony, przebiega całą gamę uczuć i namiętności ludzkich. Łatwo było naprzykład wpaść w monotonię, rysując obok siebie kilkadziesiąt czy choćby kilkanaście sabatujących czarownic. U Ziarnka każda z nich odrębnemi, osobistemi uderza cechami: jedna rozhukaniem zmysłowem, druga obłędnem jakiemś w dal zapatrzeniem, trzecia owieczkowatością pokorną, czwarta odrętwieniem ponurem, inna jeszcze rysem przewrotnej ciekawości jedynie. Z całego rysunku trzy tylko pierwszoplanowe wiedźmy przy kotle mniej nieco mają wyrazu. Reszta, bez wyjątku, drga całą pełnią i tęgością wzmożonego, niby przez narkotyki, życia uczuć i namiętności. O przeboga-

tej świadczą też wyobraźni, i Goyę poniekąd przywodzą na pamięć przeróżnorodne fizyognomie dyabelskie. Ziarnko jest prawdziwym majstrem w oddawaniu ekspresyi uczuć. Zna on magiczne tknięcia rylca czy ołówka, wywołujące całą duszę na twarz danego osobnika, i to z jakiemiż odcieniami i subtelnościami! Oto, naprzykład, owa czarownica jadąca na grzbiecie kozła, a z drugiej strony— postać wyglądająca z jaskini. Oboje mają zjeżone włosy, odrzucone w tył czoła z wytrzeszczonemi oczami, i szeroko rozdarte przeraźliwym krzykiem usta, a jednak w pierwszej jakaż wściekła żądza wyjąca, a w drugiej jakież okamieniające i do szpiku lodowacące przerażenie! A z wyrazem twarzy łączą się zawsze odpowiadające mu najściślej drgnienie postaci, ruch członków, skurcz muskułów. Rysunek, powiedziałbym, impresyjny, dążący przedewszystkiem do uwidocznienia ogólnego rytmu postaci czy ruchu, i przeto śmiały nader, niekiedy aż przesadny, niekiedy znowu pozorną łudzący niedbałością, ale gdzie trzeba zdolny do spokojnej, szlachetnie akademickiej harmonii linij i płaszczyzn.

Oprócz wszystkich tych zalet artysty wysoce twórczego, jeszcze jedno uderza nas w tej nowoznalezionej rycinie. W doskonałym doborze wynikających z samego tematu szczegółów, w nader umiejętnem, jedynie odpowiedniem ich ugrupowaniu, w syntetycznem wreszcie opanowaniu koncepcyi, świadczącem o ujęciu nietylko cech zewnętrznych, lecz i najgłębszej treści przedmiotu, wychodzi na jaw człowiek myślący, pełny żywej, nieszablonowej erudycyi, interesujący się gorąco prądami umysłowemi swej epoki, umiejący dotrzeć do ich głębi i własną drogę sobie pośród nich utorować, jednem słowem, człowiek wysoce kulturalny. Potwierdza to tylko, zresztą, wnioski, jakie z poprzednio znanych o Janie Ziarnku szczegółów wyprowadzić było nietrudno. O niektórych jego obra-

zach, zastanawiających poniekąd samem podłożem ideowem, wspominaliśmy już powyżej. Teraz dodamy tylko, że działała tu może i dziedziczność, albo też pierwsze wychowanie domowe, cała bowiem rodzina Ziarnków, o ile sądzić z wydobytych wzmianek biograficznych, była, zda się, niezwykle inteligentna i twórcza. Z ojca, Marcina, zamożnego mieszczanina, stolarza (mensator) z zawodu, pochodzą, oprócz naszego artysty, drugi z rzędu syn, Marcin, również malarz (i to „sławny“—jak mówi spółczesny lwowski *Liber resignationum)*, oraz trzeci, Józef, dominikanin i profesor teologii we Lwowie, roku 1611. Zresztą, w owej epoce szeroka inteligencya i kulturalność nie były u artystów plastyków zjawiskiem tak rzadkiem jak dzisiaj, niestety. W każdym razie miło jest stwierdzić, że jeden z pierwszych pionierów naszej sztuki jawi się odrazu z takim szlachetnym oblicza duchowego zarysem.

Z. P.



POWIEŚĆ TAJEMNA.

WIZYA.

...Potrząśnięty gwałtownie za ramię,
Siadłem, potem oblany, na łożu
I ujrzałem w miesięcznem przestworzu
Twarz w turbanu djamentowej ramie...

Oliwkowa, smutna niewymownie,
Jakby życie z niej dawno wyciekło...
Czarny zarost... brwi czarne, jak piekło...
Oczy — czarnopłomienne dwie głownie...

...Słyszę w duchu rozpaczne wołanie,
Jakby wzywał ratunku tonący...
Patrzę w czarnych płomieni otchłanie,

Jak słup lodu, ze zgrozy mdlejący,..
Pali duszę wzrok sfinksa płonący
W djamentowym błyszczącym turbanie...

SFINKS.

...Jak baśniowe sezamy zielonego złota,
Lśnią tajemnie w księżycu świątyni pylony...
Patrzę w Otchłań, w twarz Sfinksa, Ramzete Szalony...
W sercu, jak Nil, wylewa bezbrzeżna tęsknota...

Chciałbym w gwiazdy ulecieć tęsknemi ramiony...
I Wiecznościbym czarne chciał przekroczyć wrota...
Moją duszą królewską Tajnia w prochu miota...
Lśnią tajemnie w księżycu świątyni pylony...

...W świątyni Izys ciemna śni w krepie zasłony...
Niema, mroczna, sfinksowa — tajemnie migota
Brylantowym sezamem Golkondy przyćmionej...

Lśni pustyni, piramid baśń zielonozłota...
W sercu, jak Nil, wylała bezbrzeżna tęsknota...
Lśnią tajemnie w księżycu świątyni pylony...

CZARNY SEZAM.

...W lśniących galeryach, w czarnym wykutych krysztale,
Płoną szkarłatnie-złote weneckie latarnie...
Ciężkie stropy, filary połyskują czarnie...
Lśnią w purpurze lamp czarne kryształowe sale...

W dyamentowe podwoje tłum śklniący się garnie
Złotych karłów, koboldów, płynący omdlale
W czarną paszczę Molocha, gdzie złote Baale
Lśnią tęczami brylantów, zwisłemi ciężarnie...

...Złote karły, koboldy, karlice powabne,
Niemych złotych potworków umizgi niezgrabne
Nikną w czarnej pagodzie, błyszczącej tajemnie...

...A co które z widm złotych na migi zagabnę,
Jak w malignie, w popłochu ucieka ode mnie,
Pogrążając się w czarne kryształowe ciemnie...

IKAR ASTRALNY.

...W czarnej kamiennej masce, w łusce z zielonego złota,
Wpełzam śpiący po gzemsach czarnej sfinksowej katedry
Na jedną z wież potwornych, co śnią, jak potężne cedry,
Jak do magów-gwiazd ślepa, czarna, kamienna tęsknota...

Jak zwinny tygrys, gnę się złotozielonemi biedry,
Żeby nie runąć w mroki, gdzie gród Sfinks sennie migota
Chińskich księżyców tęczą, lampami żądz Astarotha,
Czaszką ślepego Edypa, lśniącą przepaską Fedry...

...Po stromej tafli głazu wpełzłem na czarny szczyt wieży,
Zielonych szponów dyamentem ryjąc błyszczące rysy...
Kołuję sennie na palcach... pode mną życie leży...

...Pokłon dają gwiazd magom tajnej pomroki Eblisy...
Eterem, pyłem kosmicznym kołuję coraz szerzej...
Maska mi pękła!.. Runąłem w tęczowe Sfinksa abyssy...

ZWIERCIADŁO SZATANA.

...Jak szlifowany kryształ, piekielny, ognisty,
Płonie w czarnej mgle krwawe magiczne zwierciadło...
Zatopiłem wzrok chciwy w głębię nieodgadłą,
W rozświetlonych perspektyw lśniące ametysty...

...Nagle zadrżałem... lico śmiertelnie mi zbladło...
Z przymgleń wybłysł Duch w szacie zielonej, falistej...
Po nim z harfą płomienną błysł upiór psalmisty...
I z kindżałem, wepchniętym w pierś, czarne widziadło...

...Z lśniącej głębi mahatmów krwawego Ogrójca
Płynie w ogniu zwierciadła tajemnych widm trojca,
Patrząc na mnie z oddali ze smutnym wyrzutem...

...Chłonę widok ich, ducha własnego zabójca,
Z raną w sercu, z sumieniem na wieczność zatrutem,
Smagany Czarnéj Jędzy ołowianym knutem...

TADEUSZOWI MICIŃSKIEMU
ten cykl przypisuję.

Wacław Wolski.



KAKTUSY.

Siedzieli przy fortepianie.

Ona grała. Grała wszystko, co jej na myśl przyszło, preludya o łaskocących pluskach, nokturny pełne bezsennej zadumy, mazurki opływające lekkiemi falami melodyi tragiczne dreszcze duszy.

Bawiła się klawiszami, jak się bawią dzieci sznurkami pereł — czasem umyślnie ciskała dysonans, by popsuć przędzę dopiero wywołanego nastroju; czasem nagle wpadała w tempo pogrzebowego marsza, — ach, ale wtedy miała łzy w oczach...

Twarz miała oprawną w rozwiewny puch jasnych włosów — oczy świecące w niej, jak krople rosy w pilśniach złocistych mchów.

Twarz jej była jak harfa pajęcza, drżąca pod powiewami snów miłosnych...

Gdy dostrzegała, że jedyny jej słuchacz, mężczyzna o licach Fauna, zbyt silnie odczuwał groźne chwilami zawodzenia strun — wypuszczała z rąk klawisze białe i prze-

suwała mu po twarzy dłonie miękkie, kołysanek pełne i wonne.

On wtedy zatrzymywał oddech i był jak człowiek usypiający...

Potem dalej grała, usypiając i budząc swojego Fauna naprzemiany.

Ze ścian nakrytych szafirami jedwabnych makat patrzyły na nich ciekawie ibisy, wypukło złotem haftowane; na wielkim dywanie, w pośrodku salonu, szeptał marmurowy Neptun swe ciche pacierze — srebrnemi kroplami fontanny...

Twarz brodatą na piersi pochylił i patrzał w wilgotne zwierciadło wody...

W rogach komnaty stały ogromne kaktusy, o kształtach długich, śliskich ryb, powiązanych pletwami, najeżonych pancerzem kolców. Inne, jak młode delfiny, stające na ogonach obok posągów klasycznych piękności z marmuru, wspinały się na kamienne ściany. Zimne, zielone i mięsiste człony kwiatów miały w sobie coś tak brutalnego, że oczy Fauna, ledwie ich dotknąwszy, przeskakiwały co prędzej na ibisy złote, a z ibisów na krople rosy dyamentowe, świecące w pilśniach złocistych mchów — na oczy harfiarki...

Odjęła ręce od klawiszów białych.

Faun rzekł, jak umiał najciszej:

— Mówmy o miłości.

— Dobrze — odparła żartobliwie czarodziejka.

I poczęli mówić o miłości.

Faun mówił:

— Z kosmatej piersi zsunęło się serce moje pod stopy twe, serce w postaci purpurowego ptaka. Co zrobisz z niem, królowo?

Ona odparła:

— Nie wiem.

— Ogrodnik mówił mi, że ten kaktus o białym pączku rozkwitnie tej nocy, — wtedy pokochasz mnie.

— Może.

— Ogrodnik mówił mi, że ten kaktus o białym pączku okwitnie tej nocy, — wtedy porzucisz mnie ..

— Słuchaj, noc nadchodzi...

— Weź serce moje, serce w postaci purpurowego ptaka.

— Oto je biorę — ptak usnął mi w dłoni...

— O zawieś na ustach dyademy milczenia i patrz wraz ze mną w misteryum rozkwitu — oto nazywa się ten pączek królową jednej nocy...

— Cisza mnie pochłania...

— Królowa jednej nocy nie doczeka świtu — miłość twoja jest jak ta królowa — kochasz mnie, wyrosłaś na potwornych płatach mego życia — ono jest kaktusem — ty — kwiat kaktusa biały... — Co będzie jutro? ibisy zobaczą płaszcz podarty królowej, a purpurowy ptak spadnie na niego martwy. — Przemów!..

— Unosi mię fantazyi zwierciadlany świat, moja postać odbija się stukrotnie w srebrzystych szybach, a każde odbicie ma inną twarz.

— Szybujesz po uczucia drodze mlecznej, jak płocha gondola, — gdzie port twój, gdzie twój port, królowo?

— Czy widzisz — kwiatek rozchyla rąbki białe?

— Więc kochasz Fauna!

— Fantazya błędnych gwiazd zawiodła mnie przed oczy twoje.

— A one tylko spojrzeniami śpiewać umieją, — zaklęć zawiłe tajemnice leżą na ręku kapłanów. — — Nie mogę zakląć ciebie...

— Uwodzisz mnie, Faunie!

— Należysz do mnie, królowo jednej nocy.

— Bogatsze, niż myślisz, są usta moje.

— Wypalę ci na nich niestarte piętno pocałunku.

— Młodość moja wróci im urok świeżości...

— O kwiecie cudowny, stój, oto dosiągłeś wyżyn swej krasy...

— Pieśni twoje piękne, upajasz mnie haszyszem słów...

— Pieśń płynie z ciebie, ja jestem tylko twem echem stukrotnem...

— Wykradłeś tajemnicę trzcinom modrego jeziora...

— Ty jesteś niewidzialną dłonią, która je trąca...

— Przybierasz postać anioła, jakim byłeś dawniej...

— Wezmę znów postać Fauna, skoro okwitnie miłość twa.

— Smutek twój zjednywa ci serce moje...

— Ibisy zadumane stoją...

— Przycicha Neptun w melodyach srebrnej fontanny...

— Widziałem cię, gdyś była kwiatem.

— Nikt nie śmiał spojrzeć na mnie...

— Roje motyli tęczowych klęczały u twoich stóp.

— Byłam królewną zamkniętego ogrodu.

— Twoje ciało kwitnęło na wonnej grzędzie.

— Miłość moja kwitnie dziś na płatach kaktusa.

— Wytrysnęłaś ze mnie, jak źródło ze skały.

— Powrócę w głębiny skał odrodzona.

— Zatrzymaj pogoń gwiazd, niech noc zatrzyma swój oddech przyśpieszony...

— Nie w mojej mocy kreślić planetom metę.

— Patrz, jak w twych rękach drży mego serca purpurowy kwiat...

— Truje go oddech przedświtu, królowa jednej nocy rozwiewa biały płaszcz... Oto zasmucił się pierwszy jej listek.

— Na twarzy Fauna połóż twoich dłoni pieczęcie senne.

— Sen ci oszczędzi rozpaczy konania...

— Na ustach skazanego na krótki szał złóż pocalunek, kaktusów królowo...

— Niechaj ci starczy...

— Mdlejące listki poprzez sen czuję...

— Niechaj me usta sny twe ukołyszą...

— Ibisy stoją nieme, wielbiąc czar twego ciała. Neptun odrzucił muszlę od ust.

— Pij pocałunków mych ostatnie krople...

— Mdleje miłości twej kwiat... królowa mdleje...

— Szyderczy świt zagląda w oczy twoje...

— Czy widzisz, patrz, ten biały kwiat... miłości twojej znamię... rozpadł się w biały gruz — a purpurowy ptak upadł nań martwy — ibisy przerażone na płaszcz podarty królowej patrzą. Faun musi patrzeć w przepastny serca grób.

Czarodziejka zaśmiała się żartobliwie, a Faun rzekł, jak umiał najciszej:

— Przestańmy mówić o miłości.

Ona odparła:

— Dobrze...

Wróciła do klawikordu i grała wszystko, co jej na myśl przyszło; preludya o łaskocących pluskach, nokturny pełne bezsennej zadumy, mazurki opływające lekkiemi falami melodyi tragiczne dreszcze duszy...

Kiedy widziała, że jedyny jej słuchacz, mężczyzna o licach Fauna, zbyt silnie odczuwał groźne chwilami zawodzenia strun — wypuszczała z rąk klawisze białe i przesuwała mu po twarzy dłonie miękkie, kołysanek pełne i wonne...

On wtedy zatrzymywał oddech i był jak człowiek usypiający.

Potem grala dalej, usypiając i budząc swego Fauna naprzemiany...

Kazimierz Lewandowski.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

Walka o ideę. Dziś, gdy posucha w dziedzinie publicystyki naszej staje się jawną nawet dla najgorliwszych jej przyjaciół, gdy na tych polach wysychają stale, choć powoli, wszystkie źródła głębszej myśli,—hałasy wszczynane w dziennikarskich młynach mają, zda się, na celu wyłącznie już tylko uspokojenie sennych i opieszałych, że mogą i nadal drzemać spokojnie, bo choć siewców zbraknie, młynarz przecie czuwa.

Ale i siewce są przecie!.. Oto jest jeden wielki i tylu mniejszych, — numery: *pierwszy, drugi, trzeci* i *dziesiąty;* lub, jeśli kto woli: jeden niewielki oraz tamci inni: *zero, dziesięć, trzy, dwa* i *jeden.* — Gdy, mimo posuchy ogólnej na jałowych piaskach mazowieckich, młode siejby w estetycznych „ogródkach" wschodzą tak bujnie, strzelają tak wysoko, któżby się troskał o przyszłość, ktoby myślał o tem, aby siejby one wykłosiły się ziarnisto, bogato i zasiewnie dla tych innych „ogródków", które w sumie tworzą „ogródek" polskiej kultury. Są przecie, są talenty! można je przestawiać, przekładać, tasować. Zgoła dla każdego temperamentu i wieku da się ułożyć stosowny szereg. Więc po co się troskać o przyszłość? po co aż hen zdaleka sztuczne nawozy sprowadzać? (Po co nam np. „tłomaczenia! ciągłe tylko tłomaczenia!" i rozprawy o zagranicznych

autorach? Wszakże nie brak utworów własnych, „oryginalnych“, talentów „z rozmachem“ o warszawskiej kulturze?) Ważniejszą stokroć rzeczą jest *ruch umysłów* wywołany polemiką dziennikarską, oraz deliberacye, na czyje to lekkie barki mają złożyć czytelnicy kuryerków dziedzictwo najstarszej literatury słowiańskiej. Wszakże nigdy nie było takiej obfitości kandydatów do stanowisk czołowych, buław przodowniczych oraz godności hetmańskich. Wczoraj zaledwie zdetronizowano, a już nazajutrz o świcie, pierwszego dnia demokratycznej republiki w literaturze, odczuto piekącą potrzebę restauracyi monarchicznej. Dawniej...

O, dawniej było co najmniej tyleż pługów i lemieszy na duchowych niwach, ile talentów. A że i borów jeszcze nie trzebiono, więc i rzeki były szersze, i strumienie bardziej bystre, i rosy żyźniejsze, i deszcze obfitsze. I oracze nawet byli czcigodni, i karczownicy niebyle jacy.

Ale młynarza nie znano!

Ztąd nieład... Niejeden siewca przeszedł niepostrzeżenie, niejeden rzucił swe ziarna między zielsko, niejeden dłoń szczodrą nad bagniskiem otworzył, nierzadki w trzęsawisku zatonął. Tamci w śmiertelnym uporze obsiewali skały, inni wreszcie, mając pełne sakwy płodnego zasiewu, imali się wprzódy karczy i chwastów i, zamiast być gospodarzami przyszłych spichlerzy, zasłużyli sobie zaledwie na wspomnienie wyrobników.

Ponieważ młynarza nie znano!

Nie było publiczności — szerokiej, oraz sławy — dziennikarskiej, brakło żywego zaciekawienia ogółu, tego *ruchu umysłów* (czy też w umysłach), co, uprzedzając dostały owoc życiowej pracy, kontroluje przydrożnie ruchy i gesty swych wybrańców, baczy pilnie, czy są aby dosyć moralni, wypłacalni i płciowo grzeczni, łechce ich próżnością, popycha do kabotynizmu, wreszcie szczuje do „szlachetnego“ współzawodnictwa. Nie było zgoła tej rozpróżniaczonej myślowo gawiedzi, która bez dziennika myśleć nie umie, bez polemiki zapłonąć do niczego nie potrafi, zaś w dzienniku i w polemice gubi rychło skąpe ziarenka idei i widzi już tylko grymasy oraz ułomności *własne* na twarzach swych popularnych znanych lub sławnych.

Nie było tego *speculum miraculosum* prasy, co tak przedziwnie schlebiać potrafi, tego czarodziejskiego zwierciadła Sheherezady, w którem pospolity jurnik widzi się nagle na Parnasie w świąteczny dzień rui olimpijskiej w miłem towarzystwie panów poetów;

pospolity szakal czuje się równie groźnym, równie zagadkowym i „etycznie monstrualnym“ jak — europejski poeta, którego wizerunkiem schlebia mu zwierciadło; pospolite nic, pospolita płytkość i sobkostwo polskiego filistra dostrzega, że z jego bezkształtnego ducha dała się wykroić mocno narysowana postać „Połanieckiego“; już się widzi z nim razem w zwierciedle: rączka w rączkę, serce w serce, już sobie weksle wzajemnie protestują, już dzięki temu kochanemu Połanieckiemu czuje się polski filister spokrewnionym z całym szeregiem posągów, zgoła z całą tą dawniejszą, wielką i szczerą twórczością bohaterskiego epika...

Dzięki wytrwałym i celowym wysiłkom prasy nastąpiło wreszcie upragnione zbliżenie między popularnymi i sławnymi oraz tymi, co popularność i sławę rozdają, między twórcami a „naszą publicznością“, zbliżenie w wartości i godności wzajemnej, zadzierzgnięcie serdecznego węzła ludzkich ułomności i płaskości życiowych.

Wszystka pognębiona życiem mierność, głucho przetrawiająca w sobie bolesną świadomość, że gdzieś po za duszną atmosferą jego życia i myśli jest oddech szerszy, pierś wolniejsza, lotność ducha większa, — cała ta pełna żalu, goryczy i nieświadomej zawiści większość została nagle wprowadzoną w niebywały *ruch umysłowy*, — gdyż oto poeci sobie wymyślają, dziennikarze się biją. „O co im idzie?“ — zainteresował się wreszcie filister. — „o poezyę?“ I w danych okolicznościach wnioskując zupełnie słusznie, czuje się filister wprost powołanym do roli arbitra, nieomal wezwanym do wyrzeczenia ostatniego słowa, do tworzenia mierników wartości duchowych.

I oto nastała dla niego chwila odwetu.

Głośne a natarczywe hołdy oddawane wszelkiej wartości uznanej i opieczętowanej przez powszechną sławę, przy równoczesnej, złej, a zjadliwej niechęci wobec wszystkiego, czego jeszcze powszechne uznanie nie broni, — stanowią, według Szopenhauera, nietylko dowód nieudolności sądu, lecz wprost *wymowne świadectwo nienawiści* do wszystkich bez wyjątku objawów duchowej kultury. Zemsta mierności, zatamowana w jednym kierunku, składa tem gorliwsze hołdy i czołobitności w jedną stronę, z im większą pasyą zamierza uderzyć w inną. Są to dwie strony tego samego medalu — a w dziejach naszej publicystyki zwie się to *walką ideową*.

. . . .

Wolnemi kroki wlokła się dawniej sława za duchowym czynem. Wędrowała długiemi szlaki skupienia od furty do furty klasztornej, od dworu do dworu szlacheckiego, przechodziła z ust cichych

do uszu samotnych, z gorącego serca do niespokojnej myśli, z celi i księgi mniszej w hardą głowę pana i w kamienną głąb' jego zamczyska. Z tej wyży roznosiły ją wszerz niespokojne duchy, ludzkiej myśli landsknechty wędrowne; o tę pochodnię na skale zapalał się duch lotny, niósł błyski a olśnienia w owe tajemnicze mroki średniowiecza, co w tak pulsującem, gorączkowem natężeniu oczekiwały nowych tajemnic i nowych objawień.

I promieniała myśl ludzka bardzo powoli, lecz coraz to silniej, coraz to goręcej, coraz to jawniej... Już nie pielgrzymowała boso, a żebrem od furty do furty, od pana do pana, już ramiona opiekuńcze gdzieś znalazła, już miecze gdzieś ukuła, już światowym potęgom niewidomy wróg na granicach stawał. Spalona na stosie, zmartwychwstawala w potępieńczych norach tajemniczych magów i wiodła żywot upiorny przy tyglach, księgach, czerepach przedpotopowych i krwi niemowlęcej, w których tkwi magiczna władza niezniszczalności. I niosla ze sobą ta myśl upiorna czyścowych mąk truciznę, gdy osiadała zwątpieniem na białych czołach niemych zamyśleńców, co w południową ciszę i święty chłód katedry z myślą własną borykać się chadzali.

Bo ciche były i samotne te krwawe poboje i śmiertelne zwycięztwa walk ideowych. Tylko pod błogosławieństwem wielkiego skupienia opadało z każdej myśli to wszystko, co w nią wszczepił żywot codzienny: wszelka małość, przyziemność, wszelki fałsz bezwiedny i wszystek brud ludzki. Tylko to światło, co się przesączyło przez barwne witraże, przez okna marzeń i tęsknot, nieciło w myślach ruchliwy niepokój; tylko te cienie głębokie w dalekich mrokach naw kościelnych dawały przeczucie tajemnic nieznanych; tylko wiara w moc szczerego wysiłku, a nienawiść wszelkiej obłudy duchowej, wszelkiego fałszu zyskownego, ta wiara i nienawiść przepalająca trzewia dawala niewzruszoną pewność nowych objawień; zaś ta strzelistość potężnych kolumn hen aż pod ostre łuki gotyckiego sklepienia rzucała ducha wzwyż, a myślom w ekstazie serdecznej aż pod to sklepienie wybujałym przesyłaly ramiona krzyża błogosławieństwo pokory wraz z mniszym żarem poświęceń. Bo na szczycie prawego skupienia rodziła się w on czas myślom ta pewność, która graniczy z objawieniem, oraz ten poryw bezgraniczny, co krzyża swego woła.

A taki zamyśleniec albo posadami katedry wstrząsnął i wiekową myśl ludzką pod stopy sobie obalił, albo sam runąć musiał... Lecz zanim się wawrzyn na jego krzewie uliścił, już czaszka w gro-

bie dawno zbielała: stała się dość czystą, w miarę dostojną, aby na białe czoło przyjąć — i wtedy jeszcze zbyt kruchy — wieniec sławy.

W dziejach ducha ludzkiego zwie się to: *walką o ideę*.

Tredecim.

POWIEŚĆ.

K. Tetmajer. *Na skalnem podhalu. I i II.* Geb. i Wolff. — W. Gomulicki. *Miecz i łokieć.* Geb. i Wolff. — E. Orzeszkowa. *Przędze.* Geb. i Wolff. — M. Konopnicka. *Moi znajomi* Geb. i Wolff. — J. Weyssenhof. *Za błękitami.* Geb. i Wolff. — J. Weyssenhof. *Zaręczyny Jana Bełzkiego.* Geb. i Wolff. — W. Morris. *Wieści znikąd.* Lwów. H. Altenberg. — B. Jaxa Ronikier. *Promienna toń.* Bibl. Dz. Wyb. — *Nowele amerykańskie.* Bibl. Dz. Wyb. — A. Mieczník. *Historya o królewiczu Milanie.* Jan Fiszer. — F. Brodowski. *Chwile.* Geb. i Wolff. — J. K. Jerome. *Dziennik wycieczki do Oberammergau.* Bibl. Dz. Wyb. — P. Altenberg. *Jak ja to widzę.* J. Fiszer.— Conan Doyle. *Pies Baskerville'ów.* Bibl. Dz. Wyb. — A. Miecznik. *Cztery dni.* Bibl. Dz. Wyb. — Vera. *Jedna dla wielu.* J. Fiszer. — M. Domańska. *Cicha moc.* Bibl. Dz. Wyb — E. Jeleńska. *Z miłości.* Geb. i Wolff. — Ire ad Sol. *Głód życia.* Skł. gł. w Księg. Nauk. — W. Weresajew. *Na bezdrożu.* Lwów. H. Altenberg.

Na skalnem podhalu — przez Kazimierza Tetmajera. Chociażbyśmy rzeczywistość mieli przed oczyma najbliżej, mało co dojrzymy, jeśli dusza gdzieindziej polata, albo i zgoła drzemie; i naodwrót: wyobraźnia, owa dusza twórcy, tęsknotami widzenia rzeczy takiej a takiej podżegana, dojrzy ją nawet w ciemnościach, nawet po przez pyły realne i szare. Poety niezadowalnia rzeczywistość nigdy. Jest on jak morze w dal jakowąś śpieszące, rozkołysane; a jeśli na spoczynek się złasiwszy, wpełznie w jakowy przesmyk płytki lub na mieliznę, wtedy tęchnie i butwieje; aż znów pragnieniem czystych głębin targnięte, porzuca miałkości brzeżne i w rozfalowaniu górnem szumi a śpiewa. Takim powrotem ku niezadowoleniu, takim oderwaniem się od szarzyzny i zdawkowości życiowej, taką ucieczką w czyste powietrzne turnie i we wirchy smrekowe wyobraźni *som je* — jak mówi góral — oba cykle: *Na skalnem podhalu.* Jest to wspaniałe uchwycenie wizyj błąkającego się po trzebieżach dzisiejszych, zamierzchłego eposu góralskiego. Pod twórczem tchnieniem poety „zaumarłe“ wstają: krzepkie juhasy, śmigłe a lotne, co idąc perci pod kyrpcami nie czują; „robsice“ gibkie, w lesie rozmiłowane, a leśnego śrutem po kolanach częstować rade, albo go mrówkom na pożarcie związanego dawać; zbójniki harde, zbyć życia dla honorności gotowe; zbójniczki żebra chłopom łamiące z kochania albo ich, jako orlice ścierw, między siebie rozszarpujące; lasy wybujałe,

w „plątowiska“ „zbutwieliny“ i „spróchlizny“ opatulone i wystrzelające ku chmurom a „przihlebne ku tobie, jako basy ku gęślom“... Wszystko to dyszy żywicą, na mchach z miłości omdlewa, hula, morduje, gra na „fujerach“ i skrzypkach, tętni wolnością, rozrostem się pręży, nieokiełznaniem kipi — dzikie, wyniosłe lub zaprzepadłe, jak doliny, jak hale, jak uplazy, jak przepaście górskie. — Autor miłuje Tatry i miłuje też słowo je malujące. Pieści się niem jak malarz farbą, której kolor i zapach olejny wchłania, zanim ją nałoży; dba i troska się o to, aby, co malować chce, pachniało namalowane; i sypie obrazami z bogatej fantazyi czerpanemi, aż spiętrzy się, nakształt gór, linia opowieściowa i — czaruje, albo się jak las ugina szumiący, albo jak woda źródlana bulka i szemrze, albo jak wicher się po halach i żlebach szamota.

Miecz i Łokieć — przez Wiktora Gomulickiego. Obrazy dworu króla Zygmunta III-go, z niziołkami, saltami, krotochwilami wesołemi i tragicznemi, z astrologią, z włoskością, z jezuityzmem, z inkwizycyą, z modlitwą i z cichą rozpustą jako też jawną; obrazy starej Warszawy, z jej architektoniką ulic, placów, wież, baszt, murów i kamienic; obrazy sejmu, z marszałkowskiem oczyszczaniem miasta, wyznaczaniem gospód, pychą, bogactwem i warcholską buńczucznością szlachty, ustanawiającej prawo i tuż je gwałcącej; obrazy mieszczaństwa, które aczkolwiek złotem i krwią obywatelską syciło organizm ojczyzny, wycieńczany kosztownem tuczeniem benenatów, przez tych ostatnich na równi z paryasami było poniewierane; obrazy nieładu i rabuśnictwa społecznego, gdzie szlachta łączyła się z motłochem; obrazy starć bratoswarnych (rokosz Zebrzydowski) i obraz bitwy Chocimskiej (na pociechę). Wszystkich tych obrazów barwność przesuwa autor z wielkiem poczuciem artysty rozmiłowanego w zabytkach epoki. Dlatego snadź tło wypadków oddane jest doskonale, doskonalej może niźli sama intryga powieściowa, a szczególniej niźli batalistyczna część powieści. Dzięki jednakże takiemu ustosunkowaniu, o ile powieść traci cokolwiek na militarności, o tyle zyskuje jako pełniejszy daleko wizerunek epoki, w której przecie nie same jeno szable i kielichy dzwonią, ale jeszcze coś niecoś i z poezyi i z cywilnych obyczajów, bodaj że jeno wśród mieszczan, warte. Tylko te ustępy, w których autor przestaje niby rzecz sam widzieć, przybiera ton dobrodusznego, nauczającego lub moralizującego gawędziarza i wyrywa nas niejako z zaczytania, z zapatrzenia — ustępy takie musimy do ujemności zaliczyć.

Przędze — przez Elizę Orzeszkową. Zawiódłby się, ktoby chciał w *Przędzach* szukać dawnej świetności stylu Orzeszkowej, —

tego stylu, co z bacznym objektywizmem, z przenikliwą troską w wyborze szczegółów, z zapomnieniem o sobie najzupełniejszem, oddaje się rozpatrywaniu realnego życia, aby z niego syntezę obrazową, która czytelnika duszę sama przez się porusza i zachwyca, wydobyć, — tego stylu, który, fantazyi za rylec służąc, giętkiem jest wizyjności jej twórczej narzędziem. Wprawdzie i tu czasem autorka swoim pietystycznym względom dla realnego życia umie dać przekonywającą formę, umie to życie jakąś duchową owiać atmosferą, która zwątpiałego o realizmów dostojności może z niemi na pewien czas godzić; tu i ówdzie zdarzają się momenty wyższego znaku nawet, w których autorka wznosi się nad onemi realizmami, usposabia nas do spoglądania na nie z góry a miłosiernie i przebaczająco; niekiedy realizm niby kamień drogi z umiejętnością i powagą rznięty zapromienieje; niekiedy fantazya błyskami żyjącą wizyę prawdy uwypukli: ale są to chwile już, które w zmęczonej szarości krótko migocą. Jej realizm *(Z pyłów przydrożnych)* zazbyt już przepoetyzowany; jej fantazya poetyczna *(Z fantazyi)* za mało już realna. Tylko pozostał język czysty, ale zwiędły jakoby i blado poruszający się na temat zakochanych i szlachetnych szwaczek, mebli spróchniałych w schludnie maglowanych pokrowcach, empire'u zbutwiałego i ślepych słowików. Melancholia izby czeladnej *(Cień)* smutna jest, ale nie wzrusza, jakby tego autorka chciała. I trudne też już kwestowanie z czytelnika rzewności dla prawno-etycznych zagadnień *(Chochlik - Psotnik)*, tak, jak ją się za czasów Mejera Ezofowicza z dużym wdziękiem dla rasowo-społecznych pytań kwestowało.

Moi znajomi — przez Maryę Konopnicką. „... wy, proste dusze, com was znalazła, jak się *skarb* znajduje“, — mówi autorka do *swoich znajomych.* Są to przeważnie osobistości odszukane przez nią w skarbach własnych wspomnień — wspomnień z tych czasów, kiedy to się chwyta wrażenia jak dziecko barwy i zabawki, jak winna jagoda słońce; chwyta się je i chowa, niby w skarbnicy własnej, nikomu niewiadomej — w zapomnieniu. A potem, wśród „zawieruch życiowych“, kiedy dnem duszy tęsknica burzliwa zakołysze, wtedy z jej głębi wypływają na wierzch i dzwonią te wibracye pozapominanych, potopionych wrażeń chmurnych i radosnych, cierpkich i słodkich. Poezya je chwyta i utrwala i daje im zdolność rozkołysywania dusz im pokrewnych. A zdolność ta nie w samym objekcie wspomnienia leży, tylko w tej najsubjektywniejszej, najbardziej indywidualnej, egoistycznej potrzebie widzenia rzeczy taką, aby oczywistość jej równała się życiu, temu samemu życiu, co w skarbnicy nieświadomej zaumarłe leżało. Dlatego w tych opowiadaniach,

gdzie autorce, bądź z pobudek tendencyjnych *(W Winiarskim forcie)*, bądź z *chęci* „zrobienia“ rzeczy wzruszającej *(Martwa natura, Urbanowa, Morze, Ksawery, Józik Srokacz)*, — o przedmiot sam chodzi, o fabułę, o temat, o zdarzenie: tam wskrzeszane to życie nie wskrzesa. Natomiast — gdzie Konopnicka daje się unieść czystemu ukochaniu prawdy, tej prawdziwej, bez samobałamutnych udawań t. z. serca, bez obłudnej czułości, bez sztucznego humoru, bez patosu i deklamacyi: tam wszędzie poetyczne piękno wcielone daje, i z niem już bez wszelkich pobocznych uwag autorskich, bez wskazań i dopowiedzeń, bardzo przyjemnie obcować możemy. I obcujemy: i z *Młynem starym*, i z *Moją cioteczką*, i z *Maryśką*, i z *Banasiową*, i z *Anusią*, i z *Lalkami moich dzieci* (nadzwyczaj przyjemne obcowanie), i z *Cmentarzem*, który autorka kwiatami słów ślicznie umaiła i na samym go (jak przystoi cmentarzom) położyla końcu.

Za błękitami — przez Józefa Weyssenhoffa. Autor umiejętnie i z dobrym smakiem zaszczepia swojej powieści owo pogodne, wyrozumiałe i grzeczne usposobienie, przy którem się ze spożywczych dóbr ziemskich najlepiej korzysta i przy którem wiara w te dobre rzeczy rośnie, rośnie. A rzeczy dobre w społeczeństwie są. Są dobre włości ze staremi ogrodami, gdzie trafiają się i modrzewie; jest dobra mlodość, „ładnie ogorzała“, krzepko lgnąca do spódniczek, co z sił zbytkiem tak licuje i tyle daje społecznego szczęścia; są dobre „usta czerwone i mokre“ saturnalicznie; są nawet dziwacy, którzy, dla wątłej konsystencyi nie mogąc tej „bardzo mojej“ z mokremi ustami znaleźć i do niej bardzo przylgnąć, zapisują swe dobre włości z modrzewiami rywalom do lgnięcia wprawniejszym. Z tych i tym podobnych rzeczy dobrych autor wydyma ładne, w dobrym guście naczyńko błękitne, za błękitne, i już go pogłębieniami nie wykrytycznia, aby nie prysło, bo jużby nie mogli gasić z niego pragnień i „pocieszać się“ ci zwłaszcza, którzy nigdy nie bywali zmartwieni.

Zaręczyny Jana Bełzkiego — przez Józefa Weyssenhoffa. Tak łatwo byłoby autorowi zerwać z dziedziną jałowych pozorów! Dość ma po temu uświadomień, lecz za mało *dobrej woli*. Wolę więzi indolencya i nawyk do galanteryi; zostaje sama dobroć. Przez dobroć autor stwarza fikcyjne dodatniości tak zwanego wielkiego świata, wielkiego jedynie przez to, że funkcye fizyologiczne ubiera w społeczną ideałowość. Funkcye te mają co prawda charakter ogólno ludzki, ale w kosmopolityzmie tym nic wielkiego niema. Im bardziej to idealizować i przystrajać, tem gorsza robi się z tego karykatura. Narzeczony Bełzki, mimo że pisze dziennik z analizami

(których najwyższym tonem byłaby „płoszowskość“); mimo że chce w narzeczonej swej, wielkostawowej łabędzicy, znaleźć tę „najbardziej moją“ (szczytem mojości jest znów, jak wiadomo, mojość „połaniecka“); mimo że w końcu i tego się wyrzeka, mimo że się w nim miłość, jako cel ostateczny, zachwiewa; mimo że mu autor, po analitycznych podróżach, do „skiby czarnej“ sakramentalnie wzdychać rozkazuje: — jest sobie ograniczonym (mimo zagraniczność), nie panującym nad sobą i niekonsekwentnym panem. Chce, naprzykład żeby mu narzeczona owa byla „osłodą świata“, a gdy narzeczona istotnie oslodą świata (otańcowującego ją oraz omuskującego białe puchy jej ramion) jest, to się gniewa i robi zabójstwa pojedynkowe.

Wieści z Nikąd — przez Williama Morris'a. Estetyk angielski usypia na lat tysiąc i budzi się w epoce szczęśliwego jakoby rozwiązania dzisiejszą ludzkość trapiących zagadnień. Jest to epoka, w której wszyscy ludzie są dobrze zbudowani, mocni, piękni, grzeczni i wytworni; epoka, w której nie znają pieniędzy i pracy zarobkowej, ponieważ wszystkie czynności, społeczeństwu do najwygodniejszego życia potrzebne, spełniane są przez ludzi z własnej ochoty i z najwyższą przyjemnością; praca nie jest obowiązkiem, lecz jakby sportem rozwijającym harmonijnie siły i zdolności; jest to epoka, w której świadczenie sobie usług ludzie uważają za żródło najżywszej rozkoszy, — epoka, w której indywidualna swoboda nie jest krępowana, bo wszyscy wierzą, iż ktoś tem jest dla wszystkich pożyteczniejszy, im bardziej indywidualnie potrafił rozwinąć swój talent, talent, którego wszystka dążność skierowana jest ku mocy i pięknu... Juści że to same rojenia utopijne. Ale, doprawdy, milej je z autorem roić, niżli zajmować umysł realnemi opisami społeczeństwa codziennego, w którem ten tamtemu bok rozpruł, ów oszukal, ten zgwałcił lub uciemiężył. Morris, jako twórca artystyczny, jest żaden. Stwierdza i rozprawia, lecz nie ożywia. Jest przytem po angielsku rzetelny i, chcąc tę błogosławioną przyszłość wiernie opisać, a nawet niejako dać praktycznego urzeczywistnienia jej wzory, staje się rozwlekłym i gadatliwym. Ta wadliwość, już w angliku ciężka, przez barbarzyńskie, duch języka przeokropnie gwałcące tłómaczenie sto razy się wypotwornia.

Promienna toń — przez Bogdana Jaxę - Ronikiera. Lawirowanie po *Côte d'Azur* z dużem marnotrawstwem czasu i z małym dla czytelnika pożytkiem i zabawą — lawirowanie z aparatem migawkowym, z busolą dobrego tonu, z nadętym żaglem zarozumiałości, i z dobremi chęciami zapewne, ale które w braku sił odpowiednich dają w rezultacie pretensyonalny, bez żywszego, szczerszego drgnie-

nia myśli czy uczucia, swojsko-kosmopolityczny konglomerat migawkowych rozmów, rozmówek, uwag banalnych, porównań wyprzałych, sytuacyj dziennikarskich, figur i figurek, różniących się tylko nazwiskiem, deseniem garniturów, adresem hotelowym, gustem do tej lub owej potrawy, tego lub owego wina, tego lub tamtego wymiaru biustów i koloru fryzur kobiecych. Czasem mignie aluzyjka, że to i owo się zna lepiej, bliżej, ciekawiej, ale o tem pisać nie wypada chyba, boć przecie nie o wszystkiem można pisać: czemby żył człowiek, gdyby wszystko, co ciekawsze, tylko opisywał? Czy jednak ta powściągliwość nie szkodzi literaturze? Altenberg Piotr jest sumienniejszy. Choć dużo, dużo kropek używa, jednak zawsze jeszcze sporo tych migań pomiędzy halkami i spódnicami widzieć czytelnikowi daje; nawet z pewnym tonem umie to połączyć, który nastrojowo podnieca — czytelników z *Herren-gasse.*

Nowele amerykańskie — nagrodzone na konkursie. Oto treść jednej z nowel, p. t. *Tajemnicza kartka.* Pewnemu Amerykaninowi, który nie umiejąc po francusku przybył do *Folies Bergères*, jakaś piękna dama rzuciła na stolik kartkę i odeszła. Amerykanin chce, by mu ktoś przetłumaczył treść kartki. Ale wszyscy, do których się zwraca, po przeczytaniu kartki, zrywają z nim, wyrzucają go z hotelów, nawet z granic Francyi; żona go opuszcza, przyjaciel się go wyrzeka. Nakoniec Amerykanin przydybuje gdzieś ową damę, chce od niej wyjaśnień, ale dama natychmiast umiera; z kartki zaś znika wszelki ślad pisma. Nic więcej. Wszystko opowiedziane tonem trzecioklasisty na temat: jak spędziłem wakacye? Nagroda — dwieście czy trzysta funtów. — Któżby podjął tak cenno-ważkie wydawnictwo, jeśli nie „Biblioteka dzieł wyborowych“, dbająca narówni z dziennikiem od *faits divers* o popularny dochód i „chwilową rozrywkę“ popularnego czytelnika. Ale czy biblioteka dzieł chwilowo rozrywających zdaje sobie sprawę, że bodaj najpopularniejszy czytelnik taką nowelą się nie rozerwie. Tłómaczenie, też niewesole, ma takie miejsca: „obdarzony wszystkiemi darami“. Tłómaczka obdarzona darem kakofonii widać. Tak, „są rzeczy tak zabawne, że przechodzą granice śmiechu i nabierają powagi“ — jak powiada inna z tychże nowel (nagroda dwieście funtów).

Historya o Królewiczu Milanie — przez Antoniego Miecznika. „Poznanie niemiłe człowiekowi, bo go przekonywa o próżności zabiegów i skłania do usunięcia się w krainę innego bytu“. Zapewne. „Utrapienie ducha jest początkiem odnowienia i oczyszczenia człowieka“. Zapewne. „Czem jest życie? Ułudą“. Zapewne. Ale w stan usposabiający do przyjęcia tych zapatrywań historya o króle-

wiczu wyżej wymienionym nie wprowadza. Ku przeciwnemu biegunowi, na którymby Maja — rozkosz tej ułudy życiowej, w postaci jakiejś niesłychanie ponętnej siedziała, o utratę zbawienia przyprawiając, królewicz Milan też nie naklania. *Historya* jest za ogólnikowa, za kobieco bezbarwna. Słowa tu, jak te kamyki wodą zaokrąglone, opłókane z kantów i z ostrości pierwołomnych. Takiemi nawet kamienowanieby nie raniło. Kapłanka Mai naprzykład ma za całą charakterystykę i ozdobę od autora epitet „piękna *dziewica*“. Dawno już, dawno, kiedy to wyraz „dziewica“ dość było wymówić, aby zaszło coś niepokalanego. W dzisiejszych czasach podniszczyła się już dziewiczość, zokrąglała, zogólniała, stłumiła się tak, że nie zaszkodziłoby autorowi dodać, jako jest z tą dziewicą, co ją nam a raczej na pokusę królewiczowi pokazuje. „Dziewica“ powiedział i zbył kłopotu. A czytelnik głowi się, jak ten Amerykanin z noweli nagrodzonej nad tajemniczą kartką, i zmuszony na własną rękę doszukiwać się takiej dziewiczości, którаby potrafiła królewiczów z drogi utrapień duchowych sprowadzić, sam się demoralizuje. A wszakże nie tego chyba chciał autor?

Chwile — przez Feliksa Brodowskiego. Niekiedy w antykwarniach lub w zamożniejszych bibliotekach widzieć można książki ładnie oprawne i czyściutkie jak grzeczny sztubaczek, który sobie mundurka nie plami. Są to książki napisane prawidłowo, przykładnie, schludnie i niekiedy bardzo nawet po literacku. Widać w nich i metonimię i synegdochę i alegoryę i całą stylistykę. Przypominają one wypisy szkolne i nagrody dla młodzieży w wieku przedpapierosowym. Zaświadczeń o swem sercu i rzewnostek, tyczących się ludzkości i społeczeństwa, jest tu naturalnie sporo. Znany krytyk dorabia do tego przedmowę z etykietą: „bez trucizny, bez zrozpaczenia o człowieku i bez obojętności na los świata“. Komu wypadnie taką książkę kupić — kupi; — komu wypadnie ją otrzymać w upominku — otrzyma; ale nikt oczywiście jej nie czyta. Bo ani o duszy piszącego, ani o ludzkości, ani o życiu nic ona nie powie.

Dziennik wycieczki do Oberammergau — przez Jerome K. Jerome'a, w przekładzie (bardzo dobrym) Emilii Węsławskiej.—Szereg dowcipnych i niedowcipnych spostrzeżeń zawodowego humorysty na wycieczce, który nałogowo śmieszy, ale któremu wolno też dopuszczać się zwykłej, poczciwej obywatelskiej nudy. Lektura łagodna, bez ironii i zgryźliwości, bez przewracania do góry dnem czegokolwiek, bez wtrącania czytelnika w niezdrowy stan, dający odczuć względną wartość rzeczy najbezwzględniejszych, bez oswobadzania nas od ciężaru ich i władzy nad nami, bez tego, co rozkłada

i obala porządek, który już, jakibykolwiek był, przestał zajmować strupieszawszy w nasycie, — odręczna, bez artystycznego założenia i jednolitości, nieraz przecie dobroczynny skurcz śmiechu wywołać mogąca lektura, przeczytania warta, gdyż po należytem i zdrowem wyśmianiu się, człowiek staje się szlachetniejszym, pojednawczym i rodzinnie usposobionym.

Jak ja to widzę? — przez Piotra Altenberga. Najlepsza w książce jest okładka K. Żelechowskiego i przedmowa Wł. St. Reymonta, w której tenże powiada: „Piotr Altenberg sławi wszystkie anielice buduarów, byle miały perfumowane halki, udręczone dusze głupotą męską i oczekiwały troskliwie na morskich wybrzeżach w sezonie kąpielowym. P. Altenberg to mistrz-konfekcyonista z *Café Central* na Herren-gasse i autor aforyzmów czerpanych z Nietzschego". Trafniejszej oceny nie można już wymyślić. Dlatego ją przytaczamy i do autora *Jak ja to widzę* odsyłamy wszystkich, co modernistycznie rozkoszować się zdolni temi arcydziełami dla pokojówek i garderobianych, zarażonych jedwabną treścią sukien, które paniom swoim, z rana wczasującym się po buduarach, niewywczasowane trzepią.

Pies Baskerville'ów — przez Conan Doyle'a. Życie, t. z. realne życie burżuazyi wogóle, a, dajmy na to, angielskiej w szczególności, wypełniają następujące kodeksowo uregulowane i uzasadnione obrzędy: operacye z finansami i z powiększeniem rodziny związane, zbieranie kart pocztowych, przechadzki z aparatem migawkowym, przebieranie się w jedwabne halki i smokingi, zdejmowanie pierścionków przy myciu, taniec, *lawn-tennis*, jeżdżenie, chodzenie, przystępowanie do stołu rano, w południe, wieczór i nocą, i spanie. Resztę czasu wypełniają studya nad dziennikami, których treść wyżej wymienione czynności omawia i rozwija. Jeśli dusza mieszczanina mimo to nie jest zadowolona i łaknie strawy intelektualnej, wtedy przychodzi jej z pomocą literatura szarad, logogryfów i powieści w rodzaju *Psa Baskerville'ów*. Jest w takiej literaturze i intryga, i *lawn-tennis*, i kryminalistyka, i aparaty migawkowe, i rozmowy o charakterze metodyczno-konwersacyjnym. Literatura taka jest to płaskie pudełeczko ze szkiełkiem, w środku kilka śrócin i tyleż dziurek, które mają być zapełnione śrócinami; póty się pudełkiem rusza, aż się to stanie. Niewinne to, ćwiczące myśl, zabijające czas i higieniczne. *Pies Baskerville*'ów to nawet cokolwiek wyższy typ takiego pudełka: pudełko z tajemnicą i ze strachami. Autor w pewnych miejscach mówi: „Bójcie się, bo to straszne!" Mieszczanin czyta i boi się, ale tylko na żarty. Kasa ogniotrwała nieuszkodzona. Polisa ubezpieczeń jest. Detektywy są. Czegóż bać się naprawdę?

Cztery dni — przez Antoniego Miecznika. Z wiotkiej niegdyś i łamliwej latorośli Jerychońskiej, na próchnicy rodów, których mury opadły, wyrosło drzewo pękate i rzuca tandetno-przemysłowy cień na ruinę. Zamachnąwszy się i zrobiwszy kilka lepszych cięć w ten pień brudno-kory, autor daje za wygraną, traci uśmiech, skisa, przechodzi do zupełnego matu powagi i ledwie-ledwie dowleka do końca tę warszawską Ohnet'-iadę. Epopea warszawska, osobliwie w taki łatwo się męczący brana sposób, mimo kurzu przemysłowo-handlowego, jest blada. Cnoty — blade (nadzwyczajnie); rozpusta — blada; zbytek — blady; dusze — blade (ostygłe po prasowaniu)... Tylko policzki tu czerwone i karki; a brzuchy w zaokrągleniach niezwykłych, zamyślone niby, jak gór wypinające się wzdęcia, dewizkami złotemi i kamizelkowemi kwiatuszkami porosłe, nad filarami ud zwisają.

Jedna dla wielu — przez Verę. Przekład (bardzo poprawny) Stefanii Maybaumowej. Znawcy kobiet utrzymują, że kobieta lubi zepsucie, bo ją ono zaciekawia, poucza, rozwija, uinteligentnia, wysubtelnia; że — powiadają — tylko w kobiecie przez takiego zepsutnika wyćwiczonej duch się lęże; że ten duch czczy być musi, jeśli pod drzewem świadomości dobrego i złego nie leżał z mężczyzną, co z niejednego kosztowywał owocu. Vera, jako rzeczniczka kobiet, temu ich męzkiemu znawstwu zaprzeczających, przedsięwzięła słowem drukowanem dowieść, a gdy słowo to wydało się jej za słabe (słabe jest rzeczywiście) — samobójczą śmiercią dowieść prawdy innej, prawdy, że wstręt budzić może w kobiecie mężczyzna z młodością przedślubną sprostytuowaną. Czy dowiodła? I czego? Mogło to samobójstwo wyniknąć z poczucia krzywdy, że dała się nietknięta a wzięła rzecz używaną. A może zabiła się dla wielkiego uwielbienia czystości cielesnej? Jeśli przypuścić, że ukochany Jerzy jej nie jadł jeszcze owoców przed jej poznaniem, to któż zaręczy, że, zjadłszy go (Jerzego), nie zaczęłaby tęsknić za innym sama, zwłaszcza w braku dzieci, krewnych i zajęć, któreby ją wyczerpywały? Jerzy zjedzony przestał być już czystym. A żyć czystością trzeba. Należałoby tedy wziąć innego jakiego Jerzego, czystego, z tych, którzy się koło małżeństw sobą nasyconych kręcą, radzi i żądni uświadomień. *Eheu.*

Cicha Moc — przez M. Domańską. Autorka wciela się w duszę młodego ziemianina i pisze za niego dziennik. Bohaterowi swemu każe jechać, w imię normalnych pragnień i zdrowych zaspokojeń, do Wiednia, każe mu tam źle mniemać o „dekadentyzmie“ i „secesyi“, terminować na fabrykanta i prowadzić flirt z panną se-

cesyjną, *les paons nonchalants* deklamującą, której ma się on, jako zdrowy aspirant o niezdrowo szerokich barkach, podobać. Następnie uczy go dekadenckich formuł: *Burne Jones* (może przez omyłkę wydrukowano „*Buone* Jones“) i Maeterlinck (może przez omyłkę wydrukowano „*La* silence“). Potem każe mu opisywać krajobrazy poetycznie, zachwycać się Wagnerem i wracać do kraju, a po powrocie wypowiadać aforyzmy, że „przyroda stanowczo wpływa na charakter“, zakochać się nieszczęśliwie, wyjechać do Interlaken, i na Lido ranić sobie serce śpiewem *vorrei morir* (może przez omyłkę wydrukowano „*morio*“). Wreszcie, znękanego tem omyłkowem życiem sprowadza, tym razem na dobre, na wieś, robi go rolnikiem i każe mu siać żyto.

Podkreślić trzeba zacną tendencyę autorki: żeby młodzi ziemianie pracowali dla społeczeństwa, w imię zdrowych pragnień i normalnych zaspokojeń, na glebie rodzinnej, a nie jeździli po zagranicach, bo tam na nich czekają same omyłki. Czy jednak młodzi ziemianie oduczą się tych błędów, niewiadomo. Zbyt ich autorka swoją inkorporacyą skrzywdziła. Wzorować się można tylko niestety na rzeczach dobrych, bezomyłkowych, a przynajmniej nie w „Bibliotece dzieł wyborowych“—skoro ma ona tak niewyborową korektę — drukowanych.

Z miłości — przez Emmę Jeleńską. Powieść o mężu i żonie. Żona, jeszcze jako dziewica, szperała w książkach i atlasach, aby mamy i ciocie nie miały jej w wigilię ślubu nic do objaśnienia. Mąż też jako kawaler do atlasów i książek się przykładał. Żona, skończywszy z książkami i atlasami, zamarzyła o miłości na zjednoczeniu dusz opartej. Mąż został „wyjątkowym“ działaczem społecznym (obrońcą), który pracuje dla ogólnych ideałów i żąda (w nagrodę) idealnego szczęścia osobistego. Pobrali się. Żona dręczy męża, żeby jej dał klucz do swej duszy. Mąż klucza nie daje, bo klucz przyszyty z metryką do akt sądowych. Po ośmiu latach tego poszukiwania klucza, które zazwyczaj w łożnicy się kończyło, żona zaprzestaje poszukiwań, przestaje uważać męża za „wyjątkowego“ działacza, podwięduje cokolwiek i tęskni do jakiejś odnowy. Wtedy zjawia się kochanek i klucz swój odnawiający narzuca. I nastąpiłoby otwarcie zagadki, ale mu autorka występnych aspiracyj dokończyć nie pozwala i żonę na progu wiarołomstwa topi. W tem okazuje się być sroższą od baszy, który żonę dopiero po wiarołomstwie szukać na dnie wód klucza jeszcze nowszego posyła. Szkoda, bo najciekawszą byłoby rzeczą wiedzieć a zwłaszcza widzieć, do jakiej to symfonii żonie która „wyjątkowego“ zapomniała męża, nowy klucz może się przydać?

Głód życia — przez Ire ad sol. Gdy się ma głód życia i gdy się przytem chce niedoli ludzkiej zmniejszyć ciężar, to można albo żyć i uszczęśliwianiu najbliższych się oddać, albo można też głodu życiowego poskromieniem w cichości się zająć i cierpieć, albo jeszcze co innego można robić, ale niekoniecznie o tych głodach i cierpieniach trzeba się ludzkości w formie *in folio* zapożyczanej zwierzać i tem nędze ogólno-ludzkie powiększać. Ma się dla wszystkich niby cierpiących miłosierdzie, to niechże się je ma i dla biednego czytelnika.

Na Bezdrożu — przez W. Weresajewa. Tendencyjny obrazek, skreślony skromnie, z sercem i z rzewnością własną, bardzo obfitą, na temat miłosnych, człowieko-kobiecych i sanitarnych zagadnień.

J. L.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — K. D. Balmont. *Sobranie stichow.* Tom wtoroj. *Goriaszczija zdania. Budiem kak sołnce.* Moskwa. Knihoizdatielstwo „Skorpion.“ — A. Biełyj. *Zołoto w łazuri.* Moskwa. Knihoizdatielstwo „Skorpion.“ — A. Curti. *A la Polonia.* Polimetro. (Dialetto milanese). Milano. Libr. editr. Nazionale. — Z. Dębicki. *Święto kwiatów.* Lwów. Tow. Wydawnicze. — Deotyma. *Polska w pieśni. Sobieski pod Wiedniem.* Części 1 i 2 (Śpiewy I — III). Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — W. Iwanow. *Prozracznost'.* Moskwa. Knihoizdatielstwo „Skorpion.“ — St. Jasiński. *Poezye.* Lwów. Druk. J. Chęcińskiego. — St. Jasiński. *Poezye.* Serya II. Skł. gł. u W. Zukerhandla we Lwowie. — St. Korczak. *Wieczornica wołyńska.* Warszawa. Nakł. autora. — H. Salz. *Błędnemi szlaki.* Lwów. Księg. Polska. — E. Słoński. *Okruchy.* Wilno. Druk. J. Zawadzkiego. — A. Stodor. *Atlantyda.* Lwów. Księg. Polska. — J. Vrchlicky. *Vittoria Colonna.* Uebersetzt von J. Spaczil. Dresden. Pierson's Verlag. — B. Żaba *Poezye.* Lwów. H. Altenberg.

POWIEŚĆ. — L. Andrejew. *Milczenie i inne nowele.* Lwów. H. Altenberg. — Hugo Bertsch. *Rodzeństwo.* Lwów. Pol. Tow. Nakł. — G. Deledda. *Po rozwodzie.* 2 części, Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. France. *Historya komiczna.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — K. Gliński. *Obrazki z przeszłości.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — J. Gordon. *Kaukaz czyli ostatnie dni Szamyla.* Warszawa. Skł. gł. u Wendego i S-ki. — A. G. Matuszewicowa. *Kobieta. Studyum duszy.* Lwów. H. Altenberg. — G. de Maupassant. *Przy świetle księżyca.* Lwów. Księg. Polska. — Z. Niedźwiecki. *Erotyki.* Lwów. Księg Polska. — E. Paszkowski. *Jasne wody.* Lwów. Tow. Wydawnicze. — T. Prażmowska. *Romas gąski.* Warszawa. Nakł. St. Niemiry. — St. Przybyszewski. *Homo sapiens.* Pierewod M. N. Siemionowa. Moskwa. „Skorpion.“ — A. Stodor. *Z cichych tragedyj.* Lwów. Księg. Polska. — K. Przerwa-Tetmajer. *Na skalnem podhalu. II.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Iw. Wazow. *Wybór nowel.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — X. Y. i Y. Z. *Pamiętniki ex-dziedzica z dopiskami ex-pachciarza.* Dwie części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — St. Żeromski. *Promień.* Wyd. 3-cie. Warszawa. Gebethner i Wolff. — St. Żeromski. *Utwory powieściowe.* Wyd. 3-cie. Warszawa. Gebethner i Wolff.

DRAMAT. — W. Feldman. *Życie.* Lwów. H. Altenberg. — M. Hertz. *Ananke.* Warszawa. Skł. gł. u Gebethnera i Wolffa. — St. Laudynowa. *Bez słońca.* Warszawa.

Skł. gł. u Wendego i S-ki. — S. Najdienow. *Dzieci Waniuszyna.* Lwów. H. Altenberg. — O. Wilde. *Salome.* Przekł. J. Gąsowskiej. Monachium. Dr. J. Marchlewski et. Co. — O. Wilde. *Salome.* Przekł. W. Fromowicza. Kraków. Nakł. St. Fromowicza.

STUDYA LITERACKIE I ESTETYCZNE. — Dr. P. Chmielowski. *Jan Kasprowicz.* Próba charakterystyki. Brody. F. West. — A. France. *Wybór pism. I. Pisma krytyczne.* Lwów. Pol. Tow. Nakł. — Prof. R. Muther. *Historya malarstwa. II. Mistycy i marzyciele. Malarstwo germańskie w epoce reformacyi.* Przekł. St. Wyrzykowskiego. Warszawa. J. Fiszer.

FILOZOFIA. — Imm. Kant. *Krytyka czystego rozumu.* Przel. P. Chmielowski. Warszawa. Wyd. Kasy Mianowskiego.

DZIEJE KULTURY. — *Kraków. Jego kultura i sztuka.* Tom VI-ty *Rocznika krakowskiego.* Kraków. Nakł. Towarzystwa miłośników historyi i zabytków Krakowa. — Dr. K. Bąkowski. *Kościół św. Krzyża w Krakowie.* (Bibl. krakowska Nr. 25) Kraków. Nakł. Tow. mił. hist. i zab. Krakowa. — Dr. K. Bąkowski. *Dawne cechy krakowskie.* (Bibl. krakowska, Nr. 22). Kraków. Nakł. Tow. mił. hist. i zab. Krakowa. — Dr. J. Krupski. *Szopka krakowska.* (Bibl krakowska, Nr. 24). Kraków. Nakł. Tow. mił. hist. i zab. Krakowa. — J. Ptaśnik. *Obrazki z przeszłości Krakowa.* Serya druga. (Bibl. krakowska, Nr. 23). Kraków. Nakł. Tow. mił. hist. i zab. Krakowa.

PAMIĘTNIKI. — H. Brandt. *Pamiętniki oficera polskiego (1808—1812).* Trzy części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Ed. Jelinka. *Vzpominky.* Vydal J. Czerny. Praha. Nakl. dr. Maje. — X. A. Jelowicki. *Moje wspomnienia.* Warszawa. Skł. gł. u Wendego i S-ki. — J. F. Kierzkowski. *Pamiętniki.* Warszawa. Skł. gł. u Wendego i S-ki.

VARIA. — A. Carnegie. *Państwo interesu.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — W. Depping. *Japonia.* Dwa tomy. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — W. Doleżan. *Mandżurya. Opis kraju i ludzi.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — K. Flammarion. *Światy nieznane.* Warszawa. Geb. i Wolff. — K. Richet. *Wojny i pokój.* Przekł. St. Szczutowskiego. Warszawa. Gebethner i Wolff. — *Sprawozdanie dyrekcyi Muzeum Narodowego w Krakowie za rok 1903.* Kraków. Nakł. Muz. Nar. — Dr. J. Stark. *Rozkład i zmienność atomów chemicznych.* Warszawa. E. Wende i S-ka. — Swami Abhedananda. *Dla czego Hindusi są jaroszami?* Warszawa. Nakł. Tow. Jaroszów. — M. Wawrzeniecki i S. Jastrzębowski. *Poszukiwania archeologiczne w Królestwie Polskiem w sierpniu 1902 r.* Kraków. Nakł. Akad. Umiejętn. — G. Weulersee. *Współczesna Japonia.* Przekł. J. Lorentowicza. Warszawa. Geb. i Wolff. — *O wyborze zawodu. Praca zawodowa a właściwości organizmu.* Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka. — J. Zahorski. *Tablica chronologiczna do dziejów Polski.* Warszawa. G. Centnerszwer i S-ka.

VARIA.

KOMITET OPIEKUŃCZY WARSZAWSKIEJ SZKOŁY SZTUK PIĘKNYCH nadesłał nam następującą odezwę:

„Zatwierdzenie urzędowe Komitetu, wybranego z grona członków Założycieli rzeczywistych i wspierających przyszłej Szkoły Sztuk Pięknych, upoważnia tenże Komitet Opiekuńczy do odezwania się w sprawie nowej instytucyi do szerszego ogółu w kraju. Od tej chwili bowiem musimy poczytywać sprawę szkoły nie za agitujący zamiar, ale jako żywotnie istniejącą i przyobleczoną w kształty rzeczywistość. — Komitet, upoważniony do podjęcia tego zada-

nia, poczuwa się do obowiązku wypowiedzenia dziś przed ogółem zasadniczych motywów, jakie w swej kształtującej pracy za najbardziej doniosłe poczytuje. Dziś wytyczne dwa zagadnienia poważne stoją przed nami. Pierwsze z nich tyczy się materyalnej podstawy nowej instytucyi, drugie — jej kierunku artystycznego. Obydwa zaś uzupełniają się wzajem, zależne są od siebie, a zbieżne ku temu kierowniczemu pytaniu, jaka szkoła dla naszego społeczeństwa najbardziej jest potrzebną, a pożyteczną. — Pragniemy służyć sztuce, chcemy powołać ku niej, wychować dla powszechniejszego jej zamiłowania, powszechniejszego zrozumienia ogół nasz, który nie uznaje jeszcze w tym stopniu, w jakim społeczeństwa, usilniej na tem polu pracujące, moralnych i materyalnych korzyści, z wykształcenia poczucia sztuki płynących. Dlatego pragnęlibyśmy, aby nowa szkoła dążenia te rozwinęła i uczyniła żywemi a owocnemi. — Atoli wobec wysoko stojących i uprawiających sztukę czystą Akademij, tak Krakowskiej jak Petersburskiej, nie chcemy wyłącznie tego samego typu szkoły otwierać, a pragniemy w szerszej mierze uwzględnić sztukę stosowaną do przemysłu, sądząc, że przysłużymy się krajowi, zwracając usiłowania nasze w tym kierunku. Nieprzeto, byśmy poniżać chcieli pojęcie sztuki i rzemieślniczą ją czynić, — lecz przeciwnie, rozwijając ku sztuce rzemiosła. Jest wielka w tych pojęciach różnica. Nie chodzi nam o wykształcenie zdolnych kopistów i rękodzielników pojętnie przyswajających sobie obce wzory, ale o artystów prawdziwych, którzyby wzory te stwarzać potrafili. Sądzimy, że sztuka żywą być może w każdem dziele ręki ludzkiej i że w rękodziele arcydzieło żyć może, jeżeli w uczuciu człowieka pragnienie i poczucie sztuki wykwitło. W naszych czasach walczy sztuka z bezdusznem, wyjałowionem uczuciem, które, nieczułe na kształty, przyzwyczajone do naśladowniczo i nędznie powtarzanych motywów, obojętnie się zachowuje wobec istotnej, rzeczywistej natury otaczającego nas życia. Dlatego poddajemy się tak łatwo, nieledwie rzecby można tak chętnie pod wpływy obce, dlatego nie wyrobiliśmy dostatecznie odrębnej rodzimej cechy w tem, co dokoła siebie tworzymy, dlatego przygłusza nas wytwórczość niemiecka, rozlewa się szeroko cudzoziemczyzna. — Za granicą zdali sobie ludzie sprawę doskonale, jak silnie sztuka wpłynąć może na dobrobyt kraju, a w ostatnich czasach stała się ona potężną dźwignią przemysłu. Bez niej nie zdobywa już tak łatwo przemysł rynków dalszych. Zrozumiały to państwa i wielkie instytucye, przyczyniając się hojnie do poparcia i rozwinięcia piękna w przemyśle. — Szkoła, którą otworzyliśmy, nie zamknie się tedy w zupełnej wyłączności

jako kształcąca jedynie w kompozycyi obrazu lub rzeźby, ale przedewszystkiem mieć będzie na celu wykształcenie poczucia artystycznego w swych wychowańcach. Jakie drogi wyżłobi sobie to uczucie, o tem stanowić będzie wybór i uzdolnienie każdego — szkoła da mu atoli możność, by poznał własną swą artystyczną naturę i do niej pracę swą zastosować umiał. — To zadanie podjąć i przeprowadzić będzie mogła nowa instytucya, jeżeli znajdzie dostateczne w społeczeństwie poparcie. Jesteśmy w znacznie trudniejszem położeniu pod tym względem od zamożniejszych społeczeństw, a nadto wiele instytucyi powstaje i utrzymuje się u nas li tylko z obywatelskiej ofiarności. Ciężko raz po raz do ofiarności tej apelować, — a jednak musimy przyjść i mówić o naszej szkole, zawierzając, że znajdziemy poparcie. Już bowiem w pierwszych chwilach posypały się chętne datki zapisujących się członków i urosły w cyfrę pokaźną. Cyfra ta atoli nawet na początek niedostateczna jeszcze, a powiedzmy śmiało: zwłaszcza na początek. Dalecy od myśli, by zbyt wielkim nakładem rozpoczynać i powierzone nam fundusze wyczerpać na kosztowne instalacye, sądzimy przecież, że niezbędne będą niektóre uwygodnienia i że lokal dla szkoły, acz najmniej zbytkowny, odpowiednio wybranym i urządzonym być winien. — Pragniemy atoli zaznaczyć, że komitet ożywiony był myślą, aby dobrać siły użyteczne i młode, pragnące z sercem służyć podjętej sprawie. — Odwołujemy się tedy do wszystkich, którzy pojmują, jaką korzyść społeczeństwo z nowej szkoły mieć może, by nam nie szczędzili pomocy ze zjednywaniem dla młodej instytucyi jak najliczniejszych przyjaciół, by zapisywali się na listę członków i pomogli do zebrania takich środków, któreby dozwoliły na pomyślny i zapewniony byt szkoły. — Zapisy i wkłady przyjmuje się na przeciąg lat pięciu, członkowie komitetu przyjmują deklaracye i wpłaty u siebie, a przelewają je na rachunek otwartej szkoły do Banku Handlowego, gdzie też wprost można nadsyłać fundusze."

NAD DOLĄ MEHOFFEROWSKIEJ DEKORACYI wewnętrznej dla tumu płockiego zapłakały naraz jednogłośnie wszystkie dzienniki. Po poprzedniem jednozgodnem milczeniu, nawet w chwilach najbardziej dla sprawy decydujących, nagłe to rozrzewnienie zastanowićby co najmniej musiało, — gdyby źródło jego nie było tak rozśmieszająco oczywistem („Neue freie Presse" *locuta est)*, i gdyby podobnie *samorzutne* porywy gromadne dziennikarstwa naszego z nurzącą oddawna nie powtarzały się monotonią.

Oto krótka danej historyi rekapitulacya. Znakomity malarz

przedstawia na cichym konkursie wspaniały, twórczy szkic dekoracyi wewnętrznej dla odnawianego prastarego kościoła w Płocku. Wbrew tradycyom epoki, które nakazują w takich wypadkach dawać pierwszeństwo pastiszom i miernościom, odnośne sfery decydujące na owo właśnie głęboko artystyczne i renesansowo bogate godzą się dzieło. Prasa ani słowem nie podnosi zdumiewającej tej, a po trzykroć radosnej niespodzianki. Niezadługo, zakulisowe jakieś machinacye wywołują odrzucenie przyjętego już projektu. Prasa się nie odzywa. W sukurs odrzucającym przychodzi bałamutna broszura wiedeńsko - polskiego znawcy, stwierdzająca „szkodliwość talentu“ przy odnawianiu zabytków sztuki. Mimo oczywistych nonsensów tego druczku ulotnego, prasa nie znajduje nań ani słowa repliki. Nie na tem koniec. Autor projektu wystawia na ekspozycyi „Sztuki“ w Krakowie fragmenty pomienionej dekoracyi w barwnych kartonach naturalnej wielkości. Budzą one zachwyt ogólny, stanowią rzeczywiste *clou* bogatej nader wystawy. Prasa przypuszcza widać w tem wszystkiem tylko zacietrzewienie modernistów i snobów — i milczy znowu. Wkrótce potem, nieposądzana chyba o nic podobnego Akademia krakowska, zastanawiając się, komu dać w roku 1903 przeznaczone za najlepsze dzieło sztuki plastycznej nagrodę, o tym właśnie projekcie i o tych kartonach mówi w sprawozdaniu swem na pierwszem miejscu, im zupełną przyznaje preponderancyę — a jeżeli nie Meyofferowi przeznacza nagrodę, to tylko dla tego, że w którymś z najbliższych terminów poprzednich już ją był otrzymał. I to sprawozdanie Akademii nie wywiera na prasę żadnego wpływu. *The reste is silence,* — jak mówi Hamlet. Potrzeba dopiero kolosalnego powodzenia tychże samych fragmentów Mehofferowskich między obcymi, na wystawie Düsseldorfskiej; potrzeba energicznego oświadczenia zagranicznej krytyki, iż są to dzieła *wprost genialne;* potrzeba, przedewszystkiem, ukazania się słów tych w bulwarowej „Neue Freie“, — aby w dziennikarstwie krajowem, niespodzianie, bez przejścia żadnego, chóralna zabrzmiała trenodya, iż wstyd, iż skandal, iż tak oto traktowana jest sztuka polska na rodzimym gruncie, iż genialne rzeczy zawsze zatem u nas zapoznawane i odrzucane będą!

Obłuda i papuziość tych żalów olśniewająco, same przez się, z przedstawionych powyżej dziejów sprawy, na jaw wychodzą. Winną wiekuistemu „nemo propheta“ jest dzisiaj prasa przedewszystkiem. Czemuż za odrzuconem genialnem dziełem wcześniej się nie ujęła? Czemu nigdy za niemi się nie ujmuje? Czemu — bijąc czołem przed rozgłosami — sztukę samą traktuje zawsze, jeśli

nie z wrogością, to z obojętnością zupełną? Czemu sprzymierza się zawsze z miernościami i banalnościami przeciwko rozpędom nowym, śmiałym, oryginalnym? Czemu, ujmując się krzykliwie za swojskością i piorunując przeciwko „wprowadzaniu obczyzny", sama wtedy dopiero najkapitalniejsze dzieła swojskie jednomyślnem obdarza uznaniem, gdy ją jakieś zagraniczne „Figaro" czy „Nowa Prasa" o ich wartości poinformuje? Czyż przypominać potrzeba takie niedawne, jeszcze niesłychane, niewymowne sądy *samodzielne* o utworach Malczewskiego, Mehoffera, Wyspiańskiego i wszystkich prawie członków „Sztuki" krakowskiej? Dziś cytuje się Servaes'a i, polegając na jego zdaniu, zupełnie coś innego o tychże artystach się mówi. Ale konia z rzędem, że przeciętny swojski dziennikarz nie wie nic o wartości tego istotnie pierwszorzędnego krytyka — i że gdyby to samo sprawozdanie napisał w „Neue freie Presse" jakiś zdawkowy Windischknopf czy Zuckerwasser, tak samo byłoby ono odtąd powtarzanym i obowiązującym kanonem, a natomiast słowa tegoż Servaes'a, nie w tak „popularnym" organie brukowym umieszczone, przeszłyby niewątpliwie bez echa i wrażenia.

Nie. Nie o sztukę prawą i jej rozkwit chodzi dziennikarstwu naszemu, jeno o rozgłos i gromką chlubę przed zagranicą. Ale i z tego nawet stanowiska wychodząc, należałoby nie poprzestać na chwilowych rozłzawieniach się i psalmodyach, lecz użyć całego swego — niezaprzeczonego, niestety! — wpływu, przemódz wspomniane wyżej machinacye zakulisowe i doprowadzić do tego, aby stary tum płocki rozsłonecznił się przepięknemi kompozycyami Mehoffera. Inaczej rozrzewnienia dzisiejsze zbyt już krotochwilnemi wydać się mogą, i zamiast chluby wstyd będzie — i przed zagranicą, i przed historyą.

DODATKI ARTYSTYCZNE do zeszytu niniejszego stanowią: czterobarwna autolitografia *Jana Stanisławskiego* „Sad ukraiński", którą do edycyi wytwornej dołączamy w dwóch egzemplarzach (na różnych papierach), — oraz przepiękny w linii, planie i wogóle w dekoracyjnym swym charakterze rysunek *Aubrey Beardsley'a* „Jak królowa Ginewra została mniszką". — Litografię odbito dla nas w zakładzie K. Pruszyńskiego w Krakowie, cynkotypiczne zaś fac-simile rysunku Beardsley'a wykonano w pracowniach Towarzystwa Akcyjnego S. Orgelbranda S-ów w Warszawie.

AUTOLITOGRAFIĘ OKŁADKOWĄ narysował na sześciu kamieniach Edward Okuń, odbicia zaś dokonała z godną szczerego uznania dokładnością, równie co do trafiania linij, jak co do utrzy-

mania wskazanych kolorów, firma W. Główczewskiego w Warszawie.

NASTĘPNY ZESZYT Chimery, *podwójny* również, 22/23, *za lipiec i sierpień,* poświęcony będzie wyłącznie Cypryanowi Norwidowi. Obejmie on całą seryę *niedrukowanych dotąd utworów* wielkiego poety (lirycznych, dramatycznych, nowelistycznych, filozoficznych, satyrycznych i przekładowych), ważną nader dla życiorysu jego *korespondencyę,* niektóre *szkice* jego i *rysunki,* wreszcie próbę tymczasowej — (przed odnalezieniem całego spadku rękopiśmiennego) — charakterystyki talentu na podstawie znanych dotąd utworów.

Żywimy nadzieję, bodajby niepłonną, że przebogaty ten numer, wyprzedzając zapowiedzianą przez nas edycyę zbiorową pism C. Norwida, zwróci tem bardziej uwagę osób, posiadających choćby najdrobniejszy szczątek puścizny po nim, czy to literackiej czy artystycznej, i skłoni je do użyczenia nam spółudziału swego w tej ważnej sprawie instauracyi zapomnianego niesłusznie twórcy pierwszorzędnego, który do największych chlub literatury naszej należeć winien.

ZESZYT NORWIDOWSKI ukaże się w połowie września r. b.

CHIMERA.



SPIS RZECZY,

UŁOŻONY ALFABETYCZNIE WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW.

(TOM VII. — 1904.)

KAROL BAUDELAIRE

(przeł. I. N.)

AUBREY BEARDSLEY

CHIMERA

ALBRECHT DÜRER



CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.
22, rue Nouveau Monde, Varsovie.

Sommaire du N-ro 20/21. — Mai - Juin 1904.

TEXTE: Fr. Nietzsche — *Dithyrambes Dionysiaques;* C. Norwid — *l'Hymne „Mère-de-Dieu";* W. B. Yeats — *Princesse Catherine;* Bol. Leśmian — *Legendes nostalgiques;* C. Wroczyński — *Circenses;* M. Komornicka — *La sagesse provisoire;* Ed. Porębowicz — *Ballades populaires de l'Écosse, des pays scandinaves et de l'Allemagne;* Th. Miciński — *le Nuage rose;* J. Lemański — *les Lions. Tragédie animale;* Z. P. — *Gravure inconnue de J. Ziarnko;* W. Wolski — *le Récit mystérieux;* C. Lewandowski — *les Cactus;* Revue du mois: *Glosses, les Romans, Bibliographie, Divers.*

PLANCHE HORS TEXTE: J. Stanisławski — *Verger ucraïnien (litographie originale en quatre couleurs);* Aubrey Beardsley — *How Queen Guenever made her a nun.*

DESSINS DANS LE TEXTE — de Korin, J. Mehoffer, Ed. Okuń, Fr. Siedlecki et Fr. Wojtala.

COUVERTURE — *litographie en six couleurs* de Ed. Okuń.

OD REDAKCYI

REDAKCYA prosi pp. autorów o czytelność rękopisów.

RĘKOPISÓW nieprzyjętych, objętości mniejszej niż arkusz druku nie zwraca się. — RĘKOPISY WIĘKSZE zachowują się do zwrotu w przeciągu pół roku. Zwrot pocztą — tylko za przysłaniem marek na opaskę rekomendowaną. —

RĘKOPISY BEZ NAZWISKA AUTORA i wyraźnego adresu niszczone są bez czytania

REDAKCYA nie wdaje się w żadne dyskusye co do nieprzyjętych rękopisów i nie podejmuje się, na ich podstawie, żadnych ocen talentu, ani ustnych, ani piśmiennych.

WIADOMOŚĆ O PRZYJĘCIU lub nieprzyjęciu otrzymać można w dwa tygodnie po złożeniu rękopisu w redakcyi.

ODPOWIEDZI NA LISTY, czy to do redakcyi, czy do administracyi jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY LITERATURZE I SZTUCE
REDAKCYA I ADMINISTRACYA Warszawa — Nowy-Świat, 22. —
REDAKTOR: PRZESMYCKI ZENON (MIRIAM) przyjmuje w *piątki* od 2 do 4 pp.
ADMINISTRACYA otwarta *codzień* od 2 do 6 pp.
Skrzynka pocztowa Nr. 457.

PRZEDPŁATA NA ROK 1904 — (od kwietnia 1904 do kwietnia 1905)
(TOMY VII — X CZYLI ZESZYTY 19 — 30)

wynosi:	w Warszawie	z przes. poczt.	za granicą
rocznie	**9** rb.	**12** rb. — k.	**35** fr. **27** m. **33** kor.
półrocznie	**5** rb.	**6** rb. **50** k.	**20** fr. **15** m. **18** kor.
kwartalnie	**3** rb.	**3** rb. **50** k.	**11** fr. **8** m. **10** kor.

PRZEDPŁATA na **wydanie wytworne** (na grubym papierze żeberkowym) tylko roczna: w Warszawie rb. **30**, z przesyłką pocztową rb. **35**, za granicą **95** fr., **75** mar., **90** kor.

Cena zeszytu niniejszego rb. 3.

Tomy poprzednie miesięcznika (I do VI) nabywać można po rb. **3**, z przesyłką pocztową po rb. **3** kop. **50**;
tom I-szy sprzedaje się tylko w komplecie z II, III i IV-ym;
zeszyty pojedyncze — tylko 3, 4/5, 6, 7/8, 9, 10/11/12, 13, 14, 15, 16, 17 i 18 — po cenie oznaczonej na każdym.

NUMERÓW OKAZOWYCH się nie wysyla. PROSPEKT na żądanie.

OGŁOSZENIA W „CHIMERZE".

„CHIMERA" przyjmuje w dziale ogłoszeń *jedynie* anonse takich firm i zakładów, które w bliższym lub dalszym stoją związku z produkcyą artystyczną i literacką (fabryki i składy papierów, farb, przyborów malarskich, narzędzi muzycznych, zakłady fotograficzne, litograficzne i wogóle reprodukcyjne, składy obrazów, firmy wydawnicze książek, nut i plastycznych dzieł sztuki, drukarnie, gisernie, księgarnie, antykwarnie, przemysł artystyczny, stałe i peryodyczne wystawy sztuki, sale koncertowe i odczytowe, sezony koncertowe i teatralne, akademie i szkoły sztuk plastycznych, konserwatorya i prywatne szkoły muzyczne i dramatyczne, lekcye prywatne z zakresu literatury i sztuki, pracownie do wynajęcia, adresy i ogłoszenia od artystów pochodzące, itd. itd.).

Cena ogłoszeń:

Na stronnicach poprzedzających tekst literacki, za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce . . . . **40** kop.
Na stronnicach po tekście literackim za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce . . . . **30** kop.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej, i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.